

Johanna Lindsey

**Nieposkromiony  
Colt Thunder**

## Rozdział 1

### Wyoming, 1878

Na ranczu Callana ciszę letniego dnia zakłócało jedynie złowieszcze trzaskanie bata. Grupka mężczyzn na trawiastym podwórzu przed domem obserwowała w milczeniu, jak Ramsay Pratt robi użytek z bata z wprawą, z której już wcześniej zasłynął. Były poganiacz bydła, jak zazwyczaj nazywano pastuchów prowadzących stada, uwielbiał popisywać się swoim kunsztem. Błyskawicznym ruchem nadgarstka potrafił batem wybić rewolwer z dłoni przeciwnika albo poderwać konia do galopu, nawet nie musnąwszy skóry na jego zadzie. Podczas gdy inni mężczyźni nosili na biodrze pistolety, Pratt chodził z trzyipółmetrowym bykowcem przytroczonym do pasa. Jednak dzisiejszy jego popis różnił się nieco od zwykłych sztuczek. Tym razem ciął na pasy skórę na plecach jakiegoś mężczyzny. Ramsay z wielką radością wypełniał rozkaz Waltera Callana.

Już wcześniej zdarzało mu się zaćwiczyć człowieka na śmierć, czerpiąc z tego przyjemność, o czym nikt tutaj, w Wyoming, nie wiedział. On nie załatwiał sprawy ot tak, po prostu, jak robią to rewolwerowcy. Jeżeli im przyszła ochota zabić człowieka, wszczynali zwadę i w parę sekund było po wszystkim, a kiedy rozwiął się dym, twierdzili, że sięgnęli po broń w samoobronie. Natomiast przy jego wyborze broni najpierw należało rozbroić przeciwnika, a później smagać go batem, dopóki nie wyzionie ducha. W takich okolicznościach mało kto byłby skłonny uwierzyć, że działał w samoobronie. Lecz tym razem wypełniał rozkaz szefa, a ofiara była nic nieznaczącym mieszkańcem, więc nikt nawet palcem nie kiwnie.

Nie używał teraz swojego bykowca, który przy każdym smagnięciu mógł wyrwać centymetr ciała. Zabawa za szybko by się skończyła. Callan zaproponował krótszy, cieńszy koński bat, który również zmieni plecy ofiary w krwawą miazgę, ale zajmie to znacznie więcej czasu. Ramsay był jak najbardziej za tym. Mógł się tak bawić godzinę i dłużej, zanim osłabło mu ramię. Gdyby Callan aż tak się nie wściekł, pewnie kazałby zastrzelić indiańca. Tymczasem życzył sobie, żeby ten cierpiał i wył z bólu, nim skona, a Ramsay zamierzał spełnić to życzenie. Jak dotąd zaledwie bawił się z ofiarą, posługując się batem w taki sam sposób jak bykowcem: ciął skórę to tu, to tam, powodując niewielkie szkody, a jednocześnie dojmujący ból.

Indianiec do tej pory nawet nie jęknął, nawet nie wstrzymał oddechu. Jeszcze się odezwie, kiedy Ramsay, zamiast smagać, zacznie go biczować. Ale nie ma pośpiechu, chyba, że Callan się znudzi i każe mu przestać. Do tego jednak nie dojdzie, bo szef za bardzo się wkurzył. Ramsay potrafił sobie wyobrazić, jak by się czuł, gdyby odkrył, że człowiek zalecający się do jego córki należy do tej przekłętej rasy.

Przez wiele miesięcy oszukiwał Callana, zapewne tak samo jak i jego córkę Jenny, na co wskazywałaby jej reakcja, kiedy ojciec ją oświecił. Pobladła i omal nie zemdląca, a teraz stała na werandzie wraz z ojcem, nie mniej wściekła niż on.

Cholerny wstyd, bo dziewczyna jest naprawdę ładna. Kto ją teraz zechce, kiedy rozejdzie się wieść, z kim się zadawała, komu pozwalała się obłapiać i nie wiadomo co jeszcze. Została oszukana tak samo jak ojciec, lecz któż by przypuszczał, że przyjaciel Summersów może być półkrwi indiańcem? Nosił się jak biały, mówił jak biały, włosy miał krócej przycięte niż większość białych i nosił rewolwer u pasa. Z wyglądu nikt by tego nie odgadł, bo jedyne, co w nim było indiańskie, to zupełnie proste, czarne włosy i śniada skóra, choć szczerze mówiąc, niewiele ciemniejsza, niż mają inni zaganiacze bydła.

Callanowie dalej by nic nie wiedzieli, gdyby Długa Szczęka Durrant im nie powiedział. Durranta wyrzucono z roboty na ranczu w Rocky Valley i zaledwie wczoraj zatrudnił się u Callana. Był akurat w stodole, gdy Colt Thunder - jak ten diabli pomiot kazał siebie nazywać - wjechał do

środka na swym potężnym dereszku, potomku wystawowego ogiera pani Summers. Naturalnie, zaciekawiony Durrant nie omieszkał zapytać jednego z ludzi, co Thunder tutaj robi, a kiedy się dowiedział, że od trzech miesięcy kręci się koło Jenny, bardzo się zdziwił. Zetknął się z Coltem w poprzedniej robocie; był bliskim przyjacielem jego szefa, Ch!lse'a Summersa, i jego żony Jessiki. Wiedział również, że Colt jest półkrwi Indianinem, który jeszcze trzy lata temu żył jak wojownik pośród Czejenów, choć ta wiedza nie wyszła poza Rocky Valley; jak widać, nie wyszła aż do dziś.

Durrant nie marnował czasu; odszukał swego nowego pracodawcę i poinformował go o wszystkim. Może gdyby nie zrobił tego przy trzech innych parobkach, Callan inaczej by rozegrał sprawę. Ale z powodu tych trzech mężczyzn, świadków wstydu jego córki, za diabła nie mógł darować życia temu nędznikowi. Skrzyknął resztę swoich ludzi i kiedy Colt Thunder<sup>1</sup> wyszedł na werandę, by zabrać Jenny na popołudniowy piknik, ujrzał sześć rewolwerów wymierzonych w swój brzuch, co było wystarczająco mocnym argumentem, żeby trzymać rękę z daleka od własnej broni, której szybko go pozbawiono.

Colt był wysoki, żaden z mężczyzn wokół nie dorównywał mu wzrostem. Ci, którzy przez ostatnie trzy miesiące stykali się z nim, nigdy nie mieli powodu, żeby się go obawiać, bo zazwyczaj był uśmiechnięty i nic nie wskazywało, by miał porywczą naturę. Tak było aż do teraz, kiedy znikły wątpliwości, że wychował się wśród północnych szczepów Czejenów, tych samych, którzy wraz z Siuksami zaledwie przed dwoma laty pod Little Bighorn w Montanie dokonali masakry oddziału pułkownika Custer, składającego się z dwustu żołnierzy. Colt Thunder w mgnieniu oka przeistoczył się w Czejena, dzielnego, śmiertelnie niebezpiecznego, dzikiego, nieokiełzanego indiańca, którego wygląd napędza lękiem serca cywilizowanych ludzi. Nie poddał się łatwo, kiedy pojął, że nie zamierzają go zastrzelić. Potrzeba było siedmiu ludzi, aby go przywiązać do koniowiązu przed domem, i żaden z tych siedmiu ludzi nie wyszedł z walki bez szwanku. Siniaki i rozbite nosy stłumiły uczucie niesmaku, jakie mogłoby ich ogarnąć, kiedy Walter Callan rozkazał Ramsayowi przynieść bicz, chcąc, by skazaniec umierał powoli. Colt nawet nie drgnął, słysząc polecenie. Nadal stał niewzruszony, mimo że podarta koszula nasiąkała krwią z wielu małych ran zadanych batem Ramsaya.

Ciągle stał, oparty biodrami o półtorametrowy koniowiąz, jego jedyną podporę, z ramionami rozciągniętymi do jego końców. Brakowało miejsca, by rzucić go na kolana. W końcu sam się osunie, ale na razie stał wysoki i wyprostowany, z dumnie uniesioną głową, i tylko przykurcz palców mocno zaciśniętych na drągu świadczył o bólu, a może o gniewie.

Ta właśnie tak cholernie dumna postawa uświadomiła Ramsayowi, że tym razem jest inaczej niż w tamtych przypadkach, gdy katował ludzi batem. Dwaj Meksykanie w Teksasie, do których zabrał się w ten sam sposób, padli bez ducha po dwóch czy trzech smagnięciach. Stary poszukiwacz złota w Kolorado, którego Ramsay pozbawił zarówno złota, jak i życia, zaczął się drzeć, zanim go zdążył uderzyć. Ale tu ma do czynienia z indiańcem, albo przynajmniej z indiańskim wychowankiem; a czyż nie obilo mu się o uszy, że indiańcy z Północnych Równin mają jakiś rytuał, podczas którego sami zadają sobie tortury? Jest gotów się założyć, że ten potwór ma parę blizn na torsie albo na plecach. Rozzłościł się na tę myśl. Wygląda na to, że się naharuje, zanim wydrze mu z gardła krzyk. Czas poważnie zabrać się do roboty.

Pierwsze porządne smagnięcie batem przez plecy przypominało znakowanie gorącym żelazem, z tą jedną różnicą, że zabrakło swądu przypalanego ciała. Colt Thunder nawet nie zmrużył powiek; nie robi tego, dopóki Jenny Callan będzie obserwować go z werandy. Cały czas patrzył jej

---

<sup>1</sup> Dosł. Grzmiący Kolt (przyp. tłum.).

prosto w oczy. Były tak samo niebieskie jak jego, tyle że znacznie ciemniejsze, przypominały szafir w pierścionku Jessie, który tak lubiła nosić. Jessie? Boże, rozgniewa się, kiedy się dowie, bo przecież zawsze go ochraniała, szczególnie odkąd zjawił się na progu jej domu trzy lata temu, a ona postanowiła go zmienić w białego człowieka. Sprawiała, że sam uwierzył, iż to się może udać. Powinien był mieć więcej rozumu.

Myśl o niej - nakazywał sobie ... Nie, to na nic, potrafił jedynie przywołać obraz Jessie płaczącej nad tym, co z niego zostanie, kiedy z nim skończą. Jenny - to na niej musi skoncentrować uwagę. Do diabła, ile było tych uderzeń? Sześć? Siedem?

Jenny, jasnowłosa piękność, słodka jak karmelki domowej roboty. Jej ojciec osiadł w Wyoming zaledwie przed rokiem, gdy zakończyły się wojny z Indianami, a pobitych Siuksów i Czejenów zamknięto w rezerwach. Colt w najgorętszym okresie był razem z Jessie i Chase'em w Chicago. Jessie utrzymywała przed nim te wiadomości w tajemnicy, obawiając się, że będzie chciał wrócić i walczyć wraz ze swymi ludźmi. Nie wróciłby. Jego matka, siostra i młodszy brat już nie żyli; w 1875 roku, zaledwie dwa miesiące po opuszczeniu przez niego plemienia, kilku poszukiwaczy złota zmierzających ku Czarnym Wzgórzom natrafiło na nich i wszystkich zabiło. Odkąd na tym terenie w 1874 roku natrafiono na złoto, zaroilo się tam od poszukiwaczy. To złoto w samym sercu indiańskiego terytorium było początkiem końca. Indianie od zawsze o nim wiedzieli, ale odkąd rozeszła się wieść wśród białych, nic nie było w stanie ich powstrzymać. I chociaż to oni swoją obecnością złamali traktat, za nimi pojawiła się armia, żeby ich osłaniać. Potem było jeszcze wielkie zwycięstwo Indian pod Little Bighorn i dalej już nic.

Przeczuła to matka Colta, Kobieta znad Szerokiej Rzeki.

Dlatego sprowokowała awanturę pomiędzy nim a ojczymem, Zbiegłym z Wilkami, niejako zmuszając go do odejścia z plemienia. Wysłałaby z nim razem jego siostrę, Małego Szarego Ptaszka, gdyby nie była ona mężatką.

Matka przyznała się do tego po fakcie, kiedy było za późno, żeby odwrócić bieg wypadków; wyznała też, czym się kierowała. Był na nią wściekły. Miał za nic jej obawy co do przyszłości. Wiedział jedynie, że to koniec jego życia w plemieniu. Ale ona widziała nadciągający kres, a zmuszając go do odejścia, niejako ofiarowała mu nowe życie.

Świadomość, że matka miała rację i że zamknięto by go w rezerwacie, gdyby przetrwał wojnę, a ojczym i starszy brat też by tam mieszkali, gdyby uszli z życiem, napełniała go goryczą. Ale jeszcze większe rozgoryczenie budziła myśl, że ocalał, by tak skończyć.

Dwadzieścia pięć? Trzydzieści?

Nieraz miał okazję podziwiać zręczność Ramsaya Pratta w posługiwaniu się batem, kiedy przychodził z wizytą do Jenny. Ten człowiek chełpił się tym, co potrafi. A teraz popisywał się wobec stojących za nim mężczyzn, wielokrotnie trafiając batem w to samo miejsce co wcześniej; najpierw przecinał skórę, potem otwierał i pogłębiał ranę, by znowu powtarzać całą procedurę dla samej zabawy, a także - by zadać ból.

Colt wiedział, że Pratt może wywijać batem bez końca. Był zbudowany jak niedźwiedź, a z powodu spłaszczonego, ledwo zarysowanego nosa, pozlepianych, brunatnych kudłów wiszących mu do ramion, wąsów i gęstej brody ginącej pod włosami wyglądał też jak niedźwiedź. Nikt bardziej od niego nie przypominał dzikusa. Colt dostrzegł ów radosny błysk w jego oku, kiedy posłano go po bat. Uwielbiał tę robotę.

Jak długo jeszcze Jenny będzie tam stać i patrzeć z takim samym obojętnym, zaciętym wyrazem twarzy jak jej ojciec? Czy naprawdę myślał o ożenku z tą dziewczyną i o kupnie rancza za woreczek złota, pożegnalny dar matki, który znalazł w swoich rzeczach po przyjeździe do Rocky Valley?

Pragnął Jenny od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył. Jessie żartowała z jego zainteresowania dziewczyną i namawiała do działania. To dzięki jej zabiegom nabrał pewności siebie i pokonał

wahanie.

Kiedy po raz pierwszy spotkali się tak naprawdę, przekonał się, iż Jenny odwzajemnia zainteresowanie; tak bardzo je odwzajemniała, że zanim upłynął miesiąc, obdarzyła go wiankiem. Tamtej nocy się oświadczył, snuli plany o wspólnej przyszłości, czekając na odpowiedni moment, żeby poprosić ojca o jej rękę. Stary Callan widział, co się święci. Bydło z Rocky Valley pasło się na otwartych terenach, sięgających aż po ranczo Callanów, więc Colt zjawiał się z wizytą trzy, cztery razy w tygodniu - za dnia, a także wieczorami. Na wybuch szału Waltera Callana niewątpliwie miało wpływ przekonanie o jego poważnych zamiarach. Ale skąd złość Jenny?

Teraz pojął, że powinien był powiedzieć jej o swojej przeszłości, o tym, że naprawdę nazywa się White Thunder, czyli Biały Grzmot, a imię Colt wymyśliła dla niego Jessie. Kłopot w tym, iż wiedział, że by mu nie uwierzyła, sądząc, że stroi sobie z niej żarty. Jessie aż za dobrze wykonała swoje zadanie, on często nawet myślał jak biały.

Ale teraz dla Jenny przestał być białym. Widział jej wściekłą minę, zanim się opanowała i, podobnie jak ojciec, skryła emocje pod maską obojętności, kiedy zaczęło się biczowanie. Żadnych łez, niczego, co by świadczyło o tym, że pamięta dotyk jego ust i dłoni, albo swoje błaganie o pieszczoty za każdym razem, gdy spotykali się na osobności. Stał się dla niej jeszcze jednym Indianinem, który dostaje za swoje, bo śmiał spojrzeć na białą kobietę.

Nogi się pod nim uginały, słabł mu wzrok. Ogień trawiący ciało zdawał się eksplodować w mózgu. Nie wiedział, jakim cudem jeszcze stoi, jak udaje mu się zapanować nad drganiem mięśni twarzy. Sądził, że poznał granice bólu podczas Tańca Słońca<sup>2</sup>, lecz to były zaledwie igraszki w porównaniu z tym tutaj. A Jenny nie zamknęła oczu ani nie odwróciła głowy. Z miejsca na werandzie nie mogła widzieć jego pleców. Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Podobnie jak nie miało znaczenia dalsze wpatrywanie się w jej oczy. Już nie tłumilo bólu.

Walter Callan dał znak Ramsayowi, by przestał, w chwili gdy Coltowi opadły powieki, a głowa osunęła się na bark.

- Żyjesz jeszcze, chłopcze?

Colt nie zareagował. W jego głowie, w gardle narastał krzyk gotów się wyrwać, jeśli tylko otworzy usta. Prędzej odgryzie sobie język, niż na to pozwoli. I wcale nie kierował się zawziętą, nieopanowaną indiańską dumą, wybierając milczenie. Wśród Indian odwaga białego człowieka budziła uznanie. Ale nie liczył na uznanie tych mężczyzn za swoje męstwo. Milczał dla siebie, ze względu na szacunek do samego siebie.

Pytanie Callana przerwało panującą wokół ciszę. Rozległy się okrzyki zdziwienia, że jeszcze się trzyma na nogach, dyskusje, czy można zemdleć, nie osuwając się na ziemię; ktoś rzucił propozycję, by przynieść wiadro wody i wylać je na skazańca, jeśli rzeczywiście stracił przytomność. I wtedy otworzył oczy, na tyle świadomy, by wiedzieć, że dotyk wody do zmaltretowanych pleców pozbawi go kontroli nad sobą. Trudniej mu przyszło unieść głowę, ale pokonał słabość.

- Nie uwierzyłbym, gdybym sam tego nie widział na własne oczy - odezwał się ktoś w pobliżu.

Znowu zaświstał bat, padały kolejne razy, ale nikt już nie zwracał na nie większej uwagi - poza oprawcą i jego ofiarą.

- Nie do wiary - burknął ktoś za plecami Colta. - To niemożliwe, że on jeszcze stoi.

---

<sup>2</sup> Rytualna ceremonia Indian z Wielkich Równin, połączona z kilkudniowym postem, zbiorowymi tańcami i poddawaniem się torturom, których celem była pokuta i wprowadzenie się w trans (przyp. tłum.).

- A czego się spodziewałeś? Jest tylko na wpół człowiekiem, stoi ta jego druga połowa.

Ramsay ogłuchł na te rozmowy i skupił się wyłącznie na świeżych ranach. Był wściekły, że dotąd nie złamał indiańca, a gniew osłabia celność uderzeń. Ten skurwiel mu tego nie zrobi. Nie może zdechnąć bez ani jednego jęku.

Był taki zły, że nie usłyszał jeźdźców, którzy nagle wypadli spoza zabudowań, choć wszyscy inni już wcześniej ich słyszeli.

Odwracając się, zobaczyli Chase'a i Jessikę Summersów, którzy pędzili wprost na nich wraz z grupą około dwudziestu kowbojów.

Jeśli nawet doszedł go tętent koni, pewnie założył, iż to ludzie Callana wracają z pastwiska, bo Pratt nie przerwał chłosty. Akurat w chwili, gdy się zamierzał, by kolejny raz smagnąć batem plecy Colta, Jessie Summers chwyciła strzelbę i wypaliła.

Kula, która miała roztrzaskać czaszkę Ramsaya, przeleciała nad jego głową; to Chase Summers, odgadując zamiar żony, podbił w ostatniej chwili jej ramię. Dla wszystkich ludzi z Rocky Valley ten wystrzał był sygnałem do sięgnięcia po strzelby i rewolwery. Wszyscy parobcy Callana zamarli, nie śmiejąc nawet odetchnąć.

W tej chwili do świadomości Waltera Callana dotarło, że chyba popełnił poważny błąd. Naturalnie nie zmienił zdania, ten pies powinien zapłacić życiem, ale publiczna egzekucja chyba nie była najlepszym pomysłem.

Ramsay Pratt wlepił przerażony wzrok w rząd luf, z których większość wycelowana była w niego. Z batem, nawet z bykowcem, nie miał żadnych szans przeciw tylu przeciwnikom. Powoli opuszczał rękę, aż nasiąknięty krwią rzemień zwinął się u jego stóp jak czerwony wąż.

- Ty bydlaku! - wrzasnęła Jessie Summers, zwracając się do męża. - Dlaczego mi przeszkodziłeś? Dlaczego?!

Zanim zdążył odpowiedzieć, zeskoczyła z konia i ruszyła przed siebie, roztrzając po drodze mężczyzn, którzy nadal nie ważyli się poruszyć. Kipiała gniewem. Nigdy w ciągu dwudziestu pięciu lat swego życia nie była tak rozjuszona jak w tej chwili. Ani ojcu, ani matce, ani mężowi, choć nieraz miała z nimi na pieńku, nie udało się aż tak wyprowadzić jej z równowagi. Gdyby Chase jej nie powstrzymał, wpakowałyby cały magazynek w pastuchów Callana, oszczędzając ostatnią kulę dla niego.

Kiedy dobiegła do Thundera i z bliska zobaczyła spustoszenie, które spowodował bicz, w jednej sekundzie opuściła ją furia. Z omdlewającym jękiem zgięła się wpół i targana torsjami, zwymiotowała na zbryzganą krwią murawę.

Chase znalazł się przy niej, zanim ustały torsje, i otoczył ją ramionami. Widok Thundera jego również przyprawił o mdłości. Myślał o Colcie jak o przyjacielu, chociaż to Jessie była z nim bardziej zżyta. Kochała go jak brata. Przez ponad połowę życia łączył ich szczególny związek. Colt zawsze był przy niej, kiedy potrzebowała wsparcia, a teraz ona będzie wyrzucać sobie, że nie zjawiała się w porę: Chase poważnie obawiał się, że przybyli za późno. Jeśli Colt nie umrze z powodu szoku, to wykończy go upływ krwi.

- Niecee! - krzyczała Jessie z rozpaczą, kiedy prostując się, ponownie spojrzała na Thundera. - O Boże! Boże! Zrób coś, Chase!

- Już posłałem po doktora.

- To zbyt długo będzie trwać. Zrób coś. Wymyśl. Zatrzymaj krwawienie. O Boże! Dlaczego nikt nie rozciął mu więzów?!

To nie do końca zabrzmiało jak pytanie. Jessie nie była świadoma swych słów. Jak w transie obeszła drąg. Tak lepiej. Z przodu Colt wyglądał normalnie - tylko był taki blady, nieruchomy i płytko oddychał! Bała się go dotknąć. Pragnęła wziąć w ramiona, ale nie miała odwagi. Najmniejsze dotknięcie mogło sprawić mu ból. Jakakolwiek zmiana pozycji mogła okazać się torturą.

- O Boże, Biały Grzmocie, co oni z tobą zrobili? - wyszeptała głosem nabrzmiętym łzami. Colt ją usłyszał. Wiedział, że stoi przed nim, ale nie otwierał oczu. Gdyby zobaczył jej zrozpaczoną twarz, straciłby resztki siły. Bał się, że zechce go objąć, a jednocześnie tak bardzo potrzebował jej czułości, pragnął ponad wszystko.

- Nie ... płacz ...

- Nie, nie płaczę - zapewniła go, choć łzy wciąż spływały jej po policzkach. - Nic nie mów, dobrze? Zajmę się wszystkim. Nawet zabiję Callana dla ciebie.

Starła się go rozbawić? On kiedyś złożył jej podobną ofertę, a człowiek, którego chciał dla niej zabić, był teraz jej mężem i kochała go całym sercem.

- Nie zabijaj ... nikogo.

- Cśśś, dobrze, już dobrze, co tylko chcesz, ale więcej nic nie mów. - Zwróciła się do męża: - Cholera, Chase, uwiń się z tymi sznurami! Musimy powstrzymać krwawienie.

Colt nie oderwał ramion od drąga, kiedy rozcięto więzy.

Chase stanął przed nim.

- Jessie, kochanie - tłumaczył łagodnie - bat od czasu do czasu spadał na ziemię. Najpierw trzeba zdezynfekować mu plecy, bo inaczej wda się zakażenie.

Zapanowała ponura cisza. Gdyby Colt nie stał sztywno wyprostowany, teraz na pewno naprężyłby wszystkie mięśnie.

- Chase, zrób to - półgłosem powiedziała Jessie.

- Chryste, Jessie ...

- Musisz - nalegała.

Wszyscy troje bardzo dobrze się rozumieli i obaj mężczyźni wiedzieli, że Jessie nie ma na myśli oczyszczania ran ani ruszania go z miejsca. Colt z westchnieniem ulgi rozluźnił mięśnie. Najwyższy czas, wreszcie wymyśliła coś sensownego.

- Przede wszystkim potrzebny jest materac i paru ludzi, którzy go podtrzymają, żeby nie runął na ziemię.

Jessie była w swoim żywiole, wydając polecenia, lecz kiedy posłała dwóch ludzi po materac do domu Callana, ten nagle przypomniał sobie, na którym terenie się znajdują, stanął więc w wejściu i zastąpił im drogę.

- Nie pozwolę marnować materaców na tego śmierdzącego ...

Nie dokończył. Na jego protest Jessie zareagowała gwałtownym obrotem i skupiła na nim całą uwagę w kolejnym przyptywie furii. Wbiegła po stopniach na werandę i zanim ktokolwiek zdążył odgadnąć jej zamiar, wyrwała rewolwer jednemu z osłaniających go ludzi. Tym razem Chase jej nie przeszkodzi. A nikt inny się nie odważy.

- Czy ktoś cię kiedyś postrzelił, Callan? - zagadnęła przyjaźnie i, dając znak ludziom, aby weszli do domu, z roztargnieniem zaczęła gładzić lufę starego colta dragoon 44. - Są takie części ciała, które można odstrzelić, powodując piekielny ból bez zbyt wielkiego upływu krwi. Na przykład paluch u nogi czy palec ... albo to, co nazywacie męskością. Jak myślisz, ile kul potrzeba, żeby skracać tę rzecz po parę centymetrów? Trzy? Nawet nie tyle? Czy to dorównałoby twemu bestialstwu? Jak sądzisz?

- Jesteś szalona - wychrypiał Walter przerażonym szeptem. W odruchu samoobrony przeniósł dłoń na rewolwer. Jessie, nie robiąc nic, aby go powstrzymać, nie spuszczała wzroku z jego ręki - w nadziei, że wyciągnie broń. On jednak dostrzegł ten wyraz oczekiwania w jej oczach i powoli cofnął dłoń.

- Tchórz! - wysyczała, kończąc grę. - Pakuj manatki, Callan, masz stąd zniknąć do zachodu słońca, ty i twoi ludzie. Zlekceważ tylko moje ostrzeżenie, a zmienię ci życie w piekło. Nie ma takiego miejsca na tym terenie, gdzie możesz się ukryć przed moją zemstą.

Tego się nie spodziewał.

- Nie masz prawa ...

- No to zobaczmy!

Przeniósł błagalny wzrok na jej męża.

- Summers, nie potrafisz okiełznać żony?

- Ty skurczybyku, już wyświadczyłem ci przysługę - odkrzyknął Chase. - Uchroniłem przed rozwaleniem czaszki. Cokolwiek Jessie ma na myśli, to i tak zasługujesz na więcej, nie przeciągaj więc struny. Masz szczęście, że jeden z twoich ludzi, który podsłuchał, co planujesz, jest kumplem od kielicha mego zarządcy. I masz cholerne szczęście, że nie musiał jechać aż do Rocky Valley, tylko znalazł nas na pastwisku. Ale w tym miejscu kończy się przychylność fortuny. To, czego się dopuściłeś, jest najpodlejszą zbrodnią, zwykłym zezwierzęceniem.

- Miałem prawo - zaprotestował Walter. - On uwiódł moją córkę.

- Ta bezduszna suka, twoja córka, sama go do tego zachęcała - warknęła Jessie, usuwając się na bok, by mężczyźni mogli przeciągnąć materac przez drzwi. Wóz już czekał, wytoczony ze stodoły. - Powiem ci jedno, Callan, jeżeli on nie przeżyje, ty też umrzesz. Więc radzę ci gorąco się modlić, kiedy będziesz stąd wyjeżdżał.

- Szeryf się o tym dowie.

- Och, miałam nadzieję, że nie jesteś aż taki głupi, naprawdę. Gdybym nie podejrzewała, że spotka cię za to ledwie reprimenda, sama bym cię do niego zaprowadziła. Wykonaj jakikolwiek ruch przeciwko mnie, a osobiście wymierzę sprawiedliwość. Przysięgam na Boga, że tak będzie. To moja powinność - zakończyła Jessie z nutą żalu do samej siebie i odwróciła się na pięcie.

- Cholera! Toż to tylko mieszaniec - burknął za nią Walter. Odwróciła się do niego gwałtownie, z oczyma płonącymi gniewem.

- Ty skurczybyku! Ty nikczemny, podły skurczybyku! Człowiek, którego o mało nie zabiłeś, jest moim bratem! Jeszcze jedno słowo, a wpakuję ci kulę między oczy!

Odczekała dwie sekundy, dając mu czas na ewentualną ripostę na swe ostatnie ostrzeżenie, po czym odwróciła się i podeszła do Colta. Miał otwarte oczy. Wpatrywali się w siebie przez jakiś czas.

- Wiedziałaś?

- Nie od początku. A ty?

- Kiedy ... od kiedy odszedłem.

Ostrożnie położyła mu palec na ustach.

- Jestem zaskoczona, że mimo wszystko ci powiedziała. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego jesteś mi bliski, a twoja siostra i bracia - nie. W końcu wprost zapytałam twoją matkę. Nie odpowiedziała. Ale brak zaprzeczenia wystarczył mi za odpowiedź, szczególnie, że tak bardzo pragnęłam, aby to była prawda.

- Jessie, nie sądzisz, że tę rozmowę można odłożyć na bardziej sprzyjający czas? - wtrącił się Chase.

Skinęła głową i czule pogładziła Colta po policzku. Był to sygnał dla dwóch mężczyzn stojących za nim, aby zbliżyli się i podtrzymali go za ramiona. Colt ponownie zamknął oczy, kiedy Chase stanął przed nim.

- Wybacz mi, przyjacielu.

- Nie bądź mięczakiem, Chase - skomentowała Jessie obojętnym tonem, za co odwdzieczył się jej spojrzeniem mówiącym: "Wrócimy do tego później", co w typowy dla siebie sposób zignorowała.

- To jedyna rzecz w tym piekielnym dniu, za którą powinien być wdzięczny. Zrób to wreszcie.

I Chase to zrobił: zamachnął się i dłonią zwiniętą w pięść uderzył Colta w szczękę.



## Rozdział 2

Hrabstwo Cheshire, Anglia, 1878

Vanessa Britten opuściła tamborek na kolana i przyglądała się, jak księżna zatacza kolejny krąg w salonie. Nie określiłaby tego "przemierzaniem pokoju". Miała nawet wątpliwości, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę, że wydeptuje ścieżkę w puszystym wschodnim dywanie.

Kto by pomyślał, że księżna będzie przeżywać dramat, który właśnie rozgrywa się na piętrze. Gdy przed miesiącem Vanessa przyjęła propozycję, by zostać damą do towarzystwa dziewiętnastoletniej księżnej, też nie byłaby skłonna w to uwierzyć. Małżeństwa młodych panien z leciwymi lordami ze względu na ich bogactwo i tytuły nie należały do rzadkości. A Jocelyn Fleming złapała jedną z najlepszych partii, Edwarda Fleminga, szóstego diuka Eaton, człowieka niepierwszej młodości, który podupadał na zdrowiu już w zeszłym roku, gdy stawali na ślubnym kobiercu.

Jednakże Vanessa szybko zmieniła zdanie na temat młodej księżnej Eaton. Niewątpliwie dziewczyna była na skraju nędzy, kiedy diuk jej się oświadczył. Ojciec Jocelyn był właścicielem hodowli ogierów, jednej z najlepszych w całej Anglii, o ile można wierzyć jej słowom. Niestety, jak wielu mężczyzn w tych czasach, on także wykazywał ogromne zamiłowanie do hazardu, kiedy więc umarł, wyszło na jaw, że był potwornie zadłużony, a Jocelyn nie zostawił złamanego pensa. Edward Fleming dosłownie uratował biedaczkę przed najgorszym losem, jaki może się trafić arystokratce, czyli przed szukaniem płatnej posady.

Vanessa mogła skwitować zamążpójście dziewczyny jednym krótkim stwierdzeniem: sprytne posunięcie. Lubiła historie o cudzych sukcesach, nie należała do osób, które zazdrościły innym dojścia do małych pieniędzy czy też dużych fortun, takich jak ta, która przypadła Jocelyn. Dziewczyna nie należała do łowczyń majątku, jak Vanessa z początku sądziła.

Zbyt długo mieszkała w Londynie, wśród ludzi z jej sfery, których cechowało zimne wyrachowanie, gdy w grę wchodziły zyski. Jocelyn nie potrafiłaby być wyrachowana, nawet gdyby chciała. Była zanadto naiwna, zbyt otwarta i szczerą oraz do niewiary godnie niewinna. I wcale nie udawała. Ona rzeczywiście taka była! A najdziwniejsze, że naprawdę kochała człowieka, który w tej chwili umierał w sypialni na piętrze.

Vanessa zyskała posadę damy do towarzystwa właśnie w związku z tą sytuacją. W ostatnich miesiącach stary diuk podjął wiele nadzwyczajnych środków ostrożności - wyprzedał ruchomy majątek, zdeponował pieniądze za granicą, zakupił akcesoria niezbędne do podróży. Zajął się wszystkim drobiazgowo. Jocelyn pozostało jedynie udać się w drogę wraz ze swym licznym orszakiem. Nawet rzeczy zostały spakowane.

Vanessa odnosiła się dość sceptycznie do dalekowzrocznych zabiegów diuka, dopóki nie poznała jego dalekich krewnych, których nazywał wilkami, a którzy tylko czekali, by rzucić się na jego majątek i rozdrapać między siebie.

Maurice Fleming, obecny pretendent do tytułu diuka Eaton, stanowił uosobienie chciwości i skrajnej bezduszności. Edward nie miał bliskiej rodziny. Maurice był zaledwie kuzynem, a Edward nie znosił go do tego stopnia, że nie był w stanie przebywać z nim w jednym pokoju. Maurice, wspierany przez liczną rodzinę żony, rodzoną matkę oraz cztery siostry - delikatnie rzecz ujmując - z niecierpliwością oczekiwał na zejście wuja. Miał nawet szpiegów we Fleming Hall, którzy informowali go o stanie Edwarda, z pewnością więc w tej samej chwili, gdy diuk zamknie powieki, na frontowych drzwiach dworu rozlegnie się stukanie kołatki.

Biedna Jocelyn znalazła się w centrum czegoś, co można by nazwać zapiekłym sporem rodzinnym. Krewni Edwarda stawali na głowie, by mu wyperswadować ożenek. Ponieważ przegrali, zaczęli rzucać groźby pod adresem diuka, naturalnie poza jego plecami, ale i tak się o

tym dowiedział. Wcale nie przesadzał w swych zabiegach, których celem było zabezpieczenie przyszłości jego młodej żony.

Vanessa pierwsza gotowa była przyznać, że pozostanie w Londynie byłoby kuszeniem losu. Nowy diuk nie będzie spokojnie patrzeć, jak majątek Fleminga wymyka się mu z rąk. Za wszelką cenę postara się go odzyskać, a jego pozycja i wpływy jako nowego diuka Eaton staną się potężne. Edward jednak powziął twarde postanowienie, że Maurice i jego chciwa rodzina nie dostaną niczego, co im się nie należy, i że cały majątek powinien przypaść Jocelyn za jej lojalność i bezgraniczne oddanie.

Jeśli ktokolwiek potrzebował rad Vanessy, to z pewnością ta młoda dziewczyna o oczach zalanych łzami. Jocelyn nie chciała opuszczać Anglii i środowiska, które знаła. Oponowała od pierwszej chwili, gdy mąż poruszył ten temat, ale na próżno. Bała się nieznanego, pod tym względem była jak dziecko. Nie rozumiała, co ją czeka, gdy znajdzie się w zasięgu wpływów Maurice'a. Natomiast Vanessa wiedziała. Dobry Boże, aż strach pomyśleć! Jocelyn może być sobie księżną, ale wkrótce zostanie księżną wdową, bo Maurice miał żonę, której przysługiwał tytuł nowej duchess Eaton. Natomiast Jocelyn - jej pozycja nie dawała żadnej ochrony przed władzą Maurice'a.

- Jaśnie pani? - Z wahaniem stanęła w drzwiach ochmistrzyni wraz z osobistym lekarzem królowej u boku. - Jaśnie pani?

Dopiero następne "jaśnie pani" wyrwało Jocelyn z zadumy.

Vanessa widziała, że dziewczyna ma ciągle jeszcze odrobinę nadziei. Jednakże wystarczył rzut oka na twarz lekarza, by wszelka nadzieja prysła.

- Ile jeszcze? - zapytała słabym głosem Jocelyn.

- Dziś wieczorem, jaśnie pani - odparł stary doktor. - Bardzo mi przykro. Mieliśmy świadomość, że to tylko kwestia czasu ... - Urwał.

- Mogę go teraz zobaczyć?

- Naturalnie. Pytał o panią.

Jocelyn skinęła głową i wyprostowała ramiona. Jedno, czego nauczyła się od męża przez ostatni rok, to panowanie nad sobą i swoisty rodzaj pewności siebie, jaki wynika z wysokiej pozycji. Nie będzie płakać, przynajmniej nie w obecności służby. Ale kiedy zostanie sama ...

Skończył zaledwie pięćdziesiąt pięć lat. Cztery lata temu, gdy Jocelyn go poznała, miał włosy lekko przyprószone siwizną. Przyjechał do Devonshire, żeby od jej ojca kupić konia do polowań. W skazała mu mniej efektownego wierzchowca i Edward posłuchał jej rady, a nie pomocnika ojca. Koń, którego wybrała, był odważniejszy i bardziej wytrzymały. Edward nie żałował wyboru. Rok później przyjechał ponownie, tym razem po parę koni wyścigowych. Znowu dokonał zakupu zgodnie z jej radą. Bardzo jej to pochlebiło. Znała się na koniach, wychowała wśród nich, ale z powodu młodego wieku nikt nie traktował jej wiedzy poważnie. Natomiast Edward Fleming był pod wrażeniem jej znajomości przedmiotu i pewności siebie. Dzięki czystej krwi arabom, które mu sprzedała, zarobił sporo pieniędzy. I tym razem nie pożałował. Ponadto jakoś tak się złożyło, że Jocelyn i Edward zostali przyjaciółmi pomimo dzielącej ich sporej różnicy wieku.

Przybył natychmiast, kiedy usłyszał o śmierci ojca Jocelyn.

Złożył jej ofertę, której nie mogła odrzucić. Ta propozycja nie wynikała z jego erotycznych apetytów. Wiedział, że umiera. Jego lekarz dawał mu parę miesięcy życia. Szukał towarzyski, przyjaciółki, kogoś, kto zadbałby o niego i uronił nieco łez, kiedy odejdzie.

Lubił powtarzać, że to z jej powodu udało mu się trochę dłużej pożyć. Jocelyn chciała w to wierzyć. Była mu taka wdzięczna za czas, jaki dane jej było spędzić u jego boku; był dla niej wszystkim - ojcem, bratem, nauczycielem, przyjacielem, bohaterem. Był wszystkim, tylko nie

kochankiem, i tego nie można było zmienić. Wiele lat, zanim ją poznał, nie był już zdolny do kochania. Jednak jako niedoświadczona, młodziutka, osiemnastoletnia żona nie wiedziała, co traci, nie miała więc żalu o tę sferę ich związku, która nie była jej znana. I chociaż chętnie by ją zgłębiła, nie czuła się oszukana. Po prostu kochała Edwarda za wszystko, czym dla niej był.

Czasami miała wrażenie, że poznając go, urodziła się na nowo.

Matka zmarła, zanim zdążyła ją zapamiętać. Ojciec spędzał większość czasu w Londynie. Kiedy się z rzadka pojawiał w domu, poświęcał jej nieco uwagi, ale nigdy nie łączyła ich prawdziwa więź. Pędziła samotne, pustelnicze życie na prowincji, a krąg jej zainteresowań stanowiły konie hodowane przez ojca. Natomiast Edward wprowadził ją w inny świat: poznała sporty i życie towarzyskie, zdobyła przyjaciółki, miała piękne stroje i luksusy, o jakich nie śniła. Teraz rozpoczynała nowe życie bez Edwarda jako przewodnika. Boże, jak sobie bez niego poradzi?!

Wchodząc do sypialni, spłyciła oddech, by w miarę możliwości uniknąć powietrza, które przesycał zapach chorego. Za nic nie użyłaby perfumowanej chusteczki, żeby odgrodzić się od przykrego odoru. Nie mogłaby mu tego zrobić.

Leżał na plecach w przepaścistym łożu, ustawionym pośrodku ogromnej sypialni, co miało ułatwić mu oddychanie. Zbliżając się, widziała, że patrzy na nią; oczy w zapadniętej, śmiertelnie bladej twarzy były matowe, niemal pozbawione życia. Zbierało jej się na płacz, kiedy na niego patrzyła, przecież jeszcze przed kilku tygodniami był aktywny, wydawał się zdrowy i w pełni sił. Może chciał, żeby w to wierzyła, podczas gdy zajmował się planowaniem i załatwianiem jej spraw, wiedząc, iż jego czas dobiega końca.

- Nie rób takiej smutnej miny, najdroższa.

Nawet jego głos wydawał się nie ten sam. Boże, jak ma się z nim pożegnać, nie wybuchając płaczem?

Sięgnęła po jego dłoń, spoczywającą na aksamitnej kapie, i podniosła do ust. Kiedy ją od nich odjęła, ze względu na niego przez chwilę siliła się na uśmiech.

- To oszustwo - skarciła ich oboje po paru sekundach. - Jest mi smutno. Nic na to nie poradzę, Eddie.

Cień ożywienia pojawił się w jego oczach, kiedy zdrobniła jego imię, czego nikt inny nie odważył się zrobić, nawet gdy był dzieckiem.

- Zawsze byłaś bezgranicznie szczera. To jedna z tych cech, które od początku budziły mój podziw.

- A ja sądziłam, że koński instynkt, to znaczy intuicja w odniesieniu do koni.

- To też. - Jego próba uśmiechu zakończyła się fiaskiem.

- Masz bóle? - zapytała z wahaniem.

- Zdążyłem już do nich przywyknąć.

- Czy lekarz nie dał ci ...

- Później, najdroższa. Chciałem zachować jasność myśli na nasze pożegnanie.

- O Boże!

- No, tylko nie to! - Usiłował nadać głosowi szorstkie brzmienie, ale nie potrafił być dla niej surowy. - Jocelyn, proszę. Nie mogę znieść, kiedy płaczesz.

Odwróciła głowę, żeby otrzeć łzy, ale gdy znów przeniosła na niego spojrzenie, popłynęły na nowo strumieniem po policzkach. - Przepraszam, Eddie, ale tak mi ciężko. Nie zamierzałam cię tak pokochać, nie aż tak - stwierdziła zadziornie.

Jeszcze kilka dni temu tą uwagą wzbudziłaby jego wesołość.

- Wiem.

- Powiedziałaś: dwa miesiące, uważałam więc ... myślałam, że nie przywiążę się do ciebie w tak krótkim czasie. Chciałam otoczyć cię opieką, rozjaśnić ci te ostatnie dni, o ile to możliwe, ponieważ tyle dla mnie zrobiłeś. Lecz nie zamierzałam zanadto zbliżać się do ciebie, by nie

cierpieć, gdy ... Nie miałaś mi tego za złe, prawda? - Gorzki uśmiech przemknął jej przez twarz. - Zanim zdążyły minąć te dwa miesiące, już za bardzo mi na tobie zależało. Och, Eddie, nie możesz dać nam trochę więcej czasu? Wcześniej wywiodłeś lekarzy w pole. Możesz to zrobić jeszcze raz, prawda?

Jak bardzo pragnął powiedzieć: "tak". Nie chciał rezygnować z życia, nie teraz, kiedy szczęście zjawilo się w nim tak późno. Zachował się egoistycznie, żeniąc się z nią, bo przecież istniało wiele innych sposobów, żeby jej pomóc. Trudno, stało się, a on nie potrafił żałować tego niestety krótkiego okresu, który z nią przeżył, chociaż teraz stał się przyczyną jej smutku. On też, podobnie jak ona, chciał mieć kogoś bliskiego. Po prostu nie zdawał sobie sprawy, że serce będzie mu krwawić, gdy przyjdzie czas ją opuścić.

Uściskał jej dłoń w odpowiedzi na to błaganie. Zauważył, jak opuściła ramiona; wiedział, że rozumiała. Westchnął, przytknął oczy, lecz zaraz je otworzył. Patrzenie na nią zawsze dawało mu tak wiele radości, bardzo teraz tego potrzebował.

Była niewiarygodnie piękna, chociaż na pewno by go ofuknęła, gdyby jej to powiedział, i nie bez racji, bo trudno byłoby uznać jej urodę za zgodną z obowiązującym kanonem. Nadto wyrazista kolorystyka, płomiennie rude włosy, niezwykle jasnozielone i bardzo ekspresyjne oczy. Jeżeli ktoś nie przypadł jej do gustu, mógł to w nich wyczytać - była niestety zbyt prostolinijna i nie uznawała hipokryzji. W przeciwieństwie do typowych rudzielców jej skóra, jasna jak kość słoniowa i niemal przezroczysta, była całkowicie wolna od piegów.

Natomiast rysy miała delikatniejsze: owalną twarz z ładnie wznoszącymi się łukami brwi, z małym, prostym noskiem i delikatnymi, miękkimi ustami. Wysunięty podbródek świadczył o uporze, a może i temperamentie, ale tego Edward nie wiedział. Z uporem miał do czynienia tylko w jednym wypadku - kiedy zdecydowanie odmówiła wyjazdu z Anglii, ale w końcu mu ustąpiła.

Co do reszty ... no cóż, musiał uczciwie przyznać, że mogłaby być nieco pulchniejsza. Dość wysoka jak na kobietę, była od niego, mężczyzny o przeciętnej budowie, niewiele niższa. Zawsze aktywna, zaczęła żyć jeszcze intensywniej, odkąd zamieszkała we Fleming Hall, co musiało wpłynąć na szczupłość sylwetki. W ostatnich miesiącach zmizerniała ze zmartwienia o niego, wszystkie ubrania więc były na nią za luźne. Ale nie zwracała na to uwagi. Była całkowicie pozbawiona próżności. Zadowalała się tym, co ma, i nie walczyła o więcej.

Może to śmieszne, lecz był o nią piekielnie zazdrosny, cieszyło go więc, że inni mężczyźni nie uważają jej za piękność. A ponieważ jego przywiązanie nie miało podłoża erotycznego, niedostatki w figurze nie były problemem.

- Czy mówiłem ci, jaki jestem wdzięczny, że zgodziłaś się zostać moją duchess?

- Przynajmniej ze sto razy.

Uściskał jej dłoń. Ledwo poczuła.

- Czy ty i hrabina jesteście spakowane?

- Eddie, nie ...

- Trzeba o tym porozmawiać, najdroższa. Musisz natychmiast wyjechać, choćby miał to być środek nocy.

- To nie w porządku.

Wiedział, co ma na myśli.

- Jocelyn, pogrzeby bardzo przygnębiają. Twoja obecność na moim może jedynie zniweczyć wszystko, co zrobiłem, żeby zabezpieczyć cię na przyszłość. Obiecujesz?

Bez przekonania pokiwała głową. Ta rozmowa czyniła jej wyjazd czymś tak bardzo realnym. Usiłowała o tym nie myśleć, jakby w ten sposób mogła zatrzymać przy sobie Edwarda dłużej. Ale to nie było możliwe.

- Wysłałem kopię testamentu Maurice'owi. - Widząc jej niespokojne spojrzenie, wyjaśnił: - Mam nadzieję, że to powstrzyma go od jakichś drastycznych posunięć. Poza tym liczę, że kiedy

zobaczy, iż nie ma cię w kraju, zrezygnuje z zakusów i zadowoli się tym, co mu przypada w udziale. Eaton jest na tyle zasobny, by zapewnić mu byt wraz z całą jego liczną rodziną.

Nie musiała zostawać w kraju do otwarcia testamentu, ponieważ zapisał na nią resztę swego majątku.

- Gdybyś dał mu, o co ...

- Nigdy! Nie pozwoliłbym na to, choćbym miał przekazać cały majątek na dobroczynność ... Jocelyn, moim życzeniem jest, żeby on należał do ciebie. To jeden z powodów, dla których się z tobą ożeniłem. Chcę, by niczego ci nie brakowało. Zadbalem też o twoje bezpieczeństwo. Zatrudniłem najlepszych ludzi jako twą eskortę. Kiedy wyjedziesz z Anglii, Maurice nie będzie mógł intrygować przeciwko tobie u dworu. A kiedy osiągniesz pełnoletność albo zdecydujesz się wyjść za mąż...

- Nie wspominaj o małżeństwie, Eddie ... nie w tej chwili - przerwała mu łamiącym się głosem.

- Przepraszam, najdroższa, ale jesteś taka młoda. Nadejdzie dzień, kiedy ...

- Eddie, proszę!

- No dobrze. Ale wiesz, że pragnę, abyś była szczęśliwa?

Nie powinien był tyle mówić. Bardzo go to wyczerpało; z trudem unosił powieki. A przecież tyle jeszcze chciał jej powiedzieć.

- Świat stoi przed tobą otworem ... masz się nim cieszyć.

- Dobrze, Eddie. Obiecuję. Potraktuję wyjazd jak przygodę, tak jak chciałeś. Będę jeździć, zwiedzać. - Mówiła gorączkowo, bo wydawał się gasnąć na jej oczach. Coraz mocniej ścisnęła jego rękę, zmuszając go, by podniósł na nią wzrok. - Będę jeździć na wielbłądach i słońiach, polować na lwy w Afryce, wspinać się na piramidy w Egipcie.

- Nie zapomnij o ... swojej stadninie ogierów.

- Nie, nie zapomnę. Wyhoduję najlepsze konie czystej krwi w całej ... Eddie? - Powieki mu opadły, palce rozluźniły uścisk. - Eddie?

- Kocham ... cię ... Jocelyn.

- Eddie!

### Rozdział 3 Arizona, 1881

Droga bardziej przypominała ścieżkę dla mułów, miejscami była tak wąska, że karetka kilkakrotnie się zaklinowała; raz utknęła między półką skalną a głazami sterczącymi z ziemi, później pomiędzy dwoma stromymi zboczami. Za każdym razem zmarnowali wiele godzin na poszerzanie traktu łopatami i łomami, które na szczęście zabrali ze sobą. Niewiele mil pokonali w ten gorący październikowy ranek.

Upał. Prawdziwy upał, chociaż w Meksyku było gorzej, znacznie gorzej, szczególnie w lipcu, najmniej odpowiednim czasie na przyjazd do tego kraju. Zeszłej nocy kawalkada karet i wozów przejechała granicę meksykańską; właśnie wtedy zniknął ich przewodnik i dlatego nie znaleźli porządnej drogi. Zgubili się w środku gór, które zdawały się ciągnąć bez końca, ale trakt, którym jechali, musiał przecież dokądś prowadzić.

Jechali do Bisbee. A może do Benson? Naprawdę, w tych okolicach przewodnik jest niezbędny. Meksykanin, którego najęli parę miesięcy temu, wykonał kawał dobrej roboty, przeprowadzając ich przez granicę bez żadnych kłopotów, ale najwyraźniej okłamał podopiecznych co do swej znajomości terenów w Ameryce Północnej, bo zniknął bez uprzedzenia, zostawiając ich na pastwę losu.

Na szczęście nic ich nie ponagla. Zapasów żywności wystarczy na miesiąc, mają dość złota, żeby je uzupełnić, kiedy dotrą wreszcie do Bisbee czy do Benson - obojętne, które z tych miast jest bliżej na szlaku. Tu czy tam - nie miało znaczenia, dokąd trafią.

Ostatnio o kierunku dalszej jazdy decydował często rzut monetą. Ten zwyczaj Jocelyn wprowadziła jeszcze w Europie, kiedy nie potrafiła rozstrzygnąć, dokąd pojedą w następnej kolejności. Tym razem końcowym etapem miała być Kalifornia - statek „Jacel” tam właśnie płynął im na spotkanie. Naturalnie, jeśli po drodze księżna zmieniłaby zdanie, zawsze mogła przesłać wiadomość do kapitana, by zawinął do innego portu, jak to się już nieraz zdarzało.

Rozważała, czy powinni zatrzymać się w tym kraju kilka miesięcy i zwiedzić go dokładnie, tak jak przedtem Meksyk, czy może lepiej byłoby jechać dalej - do Kanady albo Ameryki Południowej. Naprawdę należało dokonać wyboru, co ważniejsze - przyjemność czy bezpieczeństwo? Korciło ją, by lepiej się przyjrzeć zachodnim terytoriom, zobaczyć więcej tamtejszych stanów i miast. Jak dotąd była jedynie w Nowym Jorku i Nowym Orleanie. A szczególnie jej zależało na przyjrzeniu się hodowli koni w Kentucky, o których wcześniej słyszała, żeby porównać amerykańskie konie z własnymi i ewentualnie zakupić klacze dla Sir George'a, pokazowego ogiera, którego przywozła ze sobą.

Jednakże, gdy postąpi zgodnie z tym planem, istnieje ryzyko, że dogoni ich Długonosy John. Ten człowiek deptał im po piętach, odkąd wyjechali z Anglii trzy lata temu, zajmując szpiegów w różnych krajach, nigdy więc do końca nie wiedzieli, kto jest kim i kogo się wystrzegać. Ani razu nie spotkali się twarzą w twarz z tym człowiekiem ani nie poznali jego prawdziwego nazwiska. Ponieważ jego osoba dość często przewijała się w rozmowach, nadali mu przydomek Długonosy John, żeby jakoś go nazywać.

Najbezpieczniej byłoby wypłynąć w morze, kiedy dojadą do Kalifornii. Prawdopodobnie zgubiliby Długonosego, przynajmniej na jakiś czas. Oczywiście, jeśli nie zdążył wytropić jej statku na Zachodnim Wybrzeżu i nie czeka tam na nią. Ach, do kroćset, była zmęczona tą zabawą w kotka i myszkę, naprawdę miała jej serdecznie dość! Żyła w ten sposób od początku tej zwariowanej podróży, nierzadko opuszczając jakieś miejsce, zanim była do tego gotowa, bez przerwy zmieniając hotele i wciąż przybierając nowe nazwiska.

- Och, widzę, że znowu prześladują cię niewesołe myśli - zauważyła Vanessa, patrząc wymownie na gwałtownie poruszający się wachlarz. A kiedy Jocelyn w odpowiedzi jedynie zmarszczyła

czoło, dodała: - Okropnie gorąco, prawda?

- Bywałyśmy już w cieplejszych krajach, łącznie z tym, który właśnie opuściłyśmy.

- Tak, rzeczywiście.

Vanessa nie starała się podtrzymać rozmowy. Nawet odwróciła się w stronę okna, udając, że temat został wyczerpany. Jocelyn za dobrze ją знаła. Hrabina miała zwyczaj ukrywać swoje prawdziwe intencje pod maską obojętności. Ta jej maniera była irytująca, ale Jocelyn zdążyła się już przyzwyczaić i zwykle się nie przejmowała. Lepiej Vanessie powiedzieć to, co chciała wysondować, niż próbować ją zbyć.

Można by sądzić, że dwie kobiety, skazane na swoje towarzystwo przez tak długi czas, będą sobie grać wzajemnie na nerwach, ale tak się nie stało. Przyjaźń zadziergnięta w Anglii cały czas się pogłębiała, aż doszła do takiego etapu, że nie było rzeczy, której by o sobie nie wiedziały, ani tematu, którego nie mogłyby poruszyć.

Jocelyn ze swoim bujnym kolorytem i Vanessa, popielata blondynka o piwnych oczach, stanowiły niezwykle tandem. Trzydziestopięcioletnia hrabina wyglądała na dziesięć lat młodszą, a jej kształtna figura przyciągała wzrok mężczyzn. Jocelyn pozostała chuda, wszystkie egzotyczne potrawy, których kosztowała w najróżniejszych krajach, nie przyczyniły się do zaokrąglenia jej kształtów. Kiedy stały razem, przy niższej Vanessie Jocelyn wydawała się jeszcze wyższa i chudsza, aniżeli była w rzeczywistości. Vanessa ze swą łagodną urodą sprawiała wrażenie przystępnej i nie budziła onieśmienia - w przeciwieństwie do Jocelyn, obdarowanej niepokojącym typem urody.

Jocelyn nie poradziłaby sobie bez hrabiny. Często zastanawiała się, dlaczego jej starsza towarzyszka już dawno jej nie zostawiła, a przynajmniej nie uczyniła tego w Nowym Jorku, gdy zamordowano ich amerykańskiego adwokata, co rzuciło ponury cień na całą eskapadę. Vanessie wyraźnie służyło życie pełne przygód. W przeciwieństwie do Jocelyn zawsze chciała poznawać świat, zdawała się więc cieszyć każdą chwilą ich podróży. Nawet gdy trafiały się im niewygodne kwatery czy męcząca pogoda - rzadko narzekała.

Vanessa nie była jedyną osobą, która lojalnie przy niej trwała. Nadal miała swoje dwie pokojówki z Fleming Hall, Babette i Jane. Pozostali także wybrani przez Edwarda trzej forysie doglądający koni oraz Sydney i Pearson, dwaj służący, szczególnie przydatni przy rozbijaniu obozowiska pod gołym niebem. Opuściła ich kucharka i jej dwie pomocnice, ale Philippe Marivaux, francuski zagorzały kucharz, który zajął ich miejsce we Włoszech, podróżował z nimi nadal, podobnie jak Hiszpan i Arab, których później najęli mu do pomocy, a także do prowadzenia wozów, jeżeli zachodziła potrzeba. Z szesnastoosobowej obstawy Jocelyn odeszło tylko czterech ludzi. Tych jednak trudno było zastąpić, bo niewielu mężczyzn sprawnie posługujących się bronią przejawiało ochotę do opuszczenia domu i kraju, by wyruszyć w podróż, która zdawała się nie mieć końca.

Po mniej więcej pięciu minutach Vanessa podjęła kolejną próbę.

- Nie martwisz się chyba tą wąską drogą, co?

- To raczej ścieżka. Nie, najwyraźniej się obniża, więc powinna wkrótce dokąś nas doprowadzić.

- Mam nadzieję, że nie myślałaś przypadkiem - ciągnęła Vanessa tym swoim zarozumiałym tonem osoby wszystkowiedzącej - o tym mężczyźnie, który został w Nowym Jorku. Wydawało mi się, że postanowiłaś wstrzymać się z małżeństwem, dopóki nie pozbędziesz się dziewictwa.

Jocelyn nie oblała się rumieńcem, jak to było za pierwszym razem, gdy ten jej problem wypłynął w rozmowie. Od tamtej chwili tyle razy o tym rozmawiały, iż zażenowanie ją opuściło.

- Nie zmieniłam zdania - odparła Jocelyn. - Charles znał Edwarda, poznali się w czasie jego podróży po Europie. W żadnym wypadku nie dopuszczę, aby Charles dowiedział się o jego przypadłości. Nie pozwolę skalać jego pamięci. A nie ma sposobu, aby nie poznał prawdy, jeśli

za niego wyjdę, chyba że ma ten sam defekt, co jest mało prawdopodobne w jego młodym wieku.

- I raptus z niego. Sama mówiłaś, że wtedy w sypialni niemal rzucił się na ciebie i o mało ...

- No właśnie, obie doszłyśmy do wniosku, że skwapliwie egzekwowałyby swe prawa małżeńskie. Teraz Jocelyn się zarumieniła. Nie zamierzała zwierzać się z tego incydentu, ale Vanessa jak zwykle wszystko z niej wyciągnęła. Nie czuła wstydu z powodu tamtego zdarzenia. Charles zdążył jej się oświadczyć. Więc gdyby wypła nieco więcej na tamym przyjęciu i pozwoliła Charlesowi się uwieść, nie byłoby w tym nic niestosownego, biorąc pod uwagę, co do siebie czuli. Tamtej nocy zapomniała o swoim problemie, i gdyby Vanessa, szukając jej, nie zajrzała do sypialni, kładąc kres karesom Charlesa, byłoby po kłopotcie. Lecz wówczas, niestety, Charles dowiedziałby się, że wdowa po diuku Eaton jest dziewicą.

- Gdybyś nie była taka zasadnicza w Maroku - przypomniała Vanessa - mogłabyś przeżyć mały romansik z szejkiem, jak mu tam, który się za tobą uganiał. On nie znał Edwarda, nie wiedział nawet, że jesteś wdową, i ledwo dukał po angielsku, co zresztą nie miało znaczenia. Moja droga, wystarczy jeden kochanek i problem zniknie.

- To było za wcześnie, Vanesso. Byłam w żałobie, o ile sobie przypominasz.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego. Nie sądzisz chyba, że odczekałam rok po śmierci hrabiego, zanim wzięłam sobie kochanka? Potrzeby kobiet są równie silne w tym względzie, jak potrzeby mężczyzn.

- Nic o tym nie wiem.

Jej pruderyjny ton wywołał uśmiech Vanessy.

- Nie wiesz, ale się dowiesz. Znowu się denerwujesz?

- Wcale nie - zaprzeczyła Jocelyn zgodnie z prawdą, chociaż jedną sprawą jest o tym mówić, a zupełnie inną robić. Czas się dowiedzieć, o co w tym wszystkim tyle hałasu. Sama wie, jak się to robi, nie wystarczy do zaspokojenia ciekawości. Ale to nie może być pierwszy lepszy mężczyzna.

- Naturalnie, że nie. Za pierwszym razem nie wystarczy lekkie zadurzenie. Delikatnie mówiąc, ten ktoś musi cię ściąć z nóg. - Cały czas się rozglądam - powiedziała Jocelyn.

- Wiem, kochana. Ci czarnowłosi, smagli Meksykanie wyraźnie nie byli w twoim typie. Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślałaś, zanim pojawił się Charles, i nie zaczęłaś brać pod uwagę małżeństwa.

- Skąd mogłam przypuszczać, że będę chciała wyjść ponownie za mąż?

- Uprzedzałam cię, że to się może zdarzyć. Nikt nie planuje, że się zakocha.

- Naprawdę szczerze wierzyłam, że nie wyjdę za mąż. Przecież to wiąże się z rezygnacją z wolności, w której się rozsmakowałam.

- To nie ma znaczenia, jeśli trafi się odpowiedni człowiek.

Ustaliły podczas długiej morskiej podróży z Nowego Jorku do Meksyku, że małżeństwo schodzi na dalszy plan, a Jocelyn musi się pozbyć dziewictwa. To był jedyny sposób, żeby jakieś nieszczęsne plotki nie zbrukały pamięci Edwarda. Przecież wdowa nie powinna być dziewicą. Nie ma się czym szczyścić w wieku dwudziestu dwóch lat, szczególnie gdy nikt by się czegoś takiego po niej nie spodziewał.

Niewinność stała się dla niej ciężarem, i - jak to Vanessa ujęła - należało się tym zająć znacznie wcześniej. Możliwości było niewiele. Mogła zwrócić się do lekarza, ale myśl, że potraktuje ją jakimiś okropnymi narzędziami, wywołała dreszcz obrzydzenia. Drugim wyjściem było znalezienie kochanka, najlepiej spoza jej sfery, kogoś, kto nigdy nie słyszał o Edwardzie, a przede wszystkim - na kogo nigdy więcej się nie natknie. Gdyby wróciła do Nowego Jorku, do Charlesa trzeciego Abingtona, czy spotkała innego mężczyznę godnego jej ręki, mogłaby bez przeszkód planować małżeństwo. Przypadek Edwarda nigdy nie wysłabłaby na jaw.

Jocelyn była gotowa do tego kroku, odkąd zeszły na ląd w Meksyku. A Vanessa się myliła. Paru



Meksykanów uznała za całkiem atrakcyjnych. Niestety, nie odwzajemniali zainteresowania, a może i byli nią zainteresowani, lecz nie potrafiła odczytać ich subtelnych sygnałów. Nie umiała flirtować.

Znalezienie kochanka nie będzie łatwą sprawą. Nie dość, że brak jej doświadczenia, to jeszcze musi się liczyć z panem Długonosym, a skoro nie może nigdzie zatrzymać się na dłużej, to jak doprowadzić znajomość do takiego etapu, aby zwabić mężczyznę do łóżka? Przypuszczała, wręcz miała nadzieję, że tutejsi mężczyźni będą ją adorować, tak jak to miało miejsce na Bliskim Wschodzie czy Wschodnim Wybrzeżu Ameryki. Mieszkańców niektórych krajów cechował większy temperament niż innych, a przynajmniej większa bezpośredniość w manifestowaniu emocji. Mogłaby teraz wykorzystać tę bezceremonialność, którą dotąd uważała za tupet i czystą bezczelność.

Na wspomnienie tego psa, który bezustannie węszył za nimi, wyznała Vanessie:

- Wiesz, wcale nie myślałam o Charlesie. Szczerze mówiąc, od jakiegoś czasu nie przychodzi mi na myśl. Czy możliwe, że nie zależy mi na nim aż tak bardzo, jak z początku sądziłam?

- Moja droga, za krótko go znasz. Podobno istnieje miłość od pierwszego wejrzenia, chociaż mnie nigdy się nie przytrafiła. Zazwyczaj uczucie potrzebuje czasu, żeby dojrzeć. Siedzieliśmy w Nowym Jorku kilka miesięcy, a ty go poznałaś zaledwie trzy tygodnie przed naszą dalszą podróżą. I tak uważam, że to dobry znak, iż wzbudził twoje zainteresowanie, bo dotąd ignorowałaś mężczyzn. A teraz powiedz mi, dlaczego zaprzętają cię myśli o naszym upartym przyjacielu, panu Długonosym. Nie sądzisz chyba, że udało mu się tak szybko nas zlokalizować, nie po tym, jak kluczyliśmy po Meksyku?

Jocelyn skwitowała uśmiechem przekonanie Vanessy, że tylko dwie sprawy mogą ją nurtować.

- Nie, nie wiem, jakim sposobem miałby odgadnąć, że obraliśmy kurs na południe, skoro równie dobrze mogliśmy popłynąć do Europy.

- Nie wiemy również, jak nas odszukał w Nowym Jorku, a jednak mu się udało. Zaczynam się zastanawiać czy któryś z naszych ludzi nie jest na jego usługach.

Zielone oczy Jocelyn rozblęły z niepokoju, bo jeśli nie mogła ufać ludziom z własnego otoczenia, to sytuacja była groźna.

- Nie, w to nie uwierzę!

- Moja droga, nie mam na myśli eskorty. Ale weź pod uwagę załogę „Jocela”. Prawie w każdym porcie jacyś marynarze rezygnują i kapitan musi szukać nowych na ich miejsce. W rejsie z Nowego Orleanu do Nowego Jorku na statku znalazło się sześciu nowych majtków, a dziesięciu innych zamustrowało przed wypłynięciem do Meksyku. Poza tym w wielu krajach korzystamy z telegrafu, jeśli więc Długonosy dotarł do tajnych informacji, ustalenie naszego miejsca pobytu nie zajmie mu wiele czasu.

O dziwo, skutki tego rozumowania wywołały nie tyle strach, ile gniew Jocelyn. Niech go diabli porwą! Martwiło ją jedynie, że mógł wytropić ich statek w Kalifornii, zanim jeszcze tam dotrą. Całkiem możliwe, że już wiedział, gdzie się znajdują, albo przynajmniej - dokąd zmierzają. Na ich korzyść przemawiał fakt, że nie miał do swojej dyspozycji statku, co utrudniało mu ich ściganie.

- No cóż, w takim razie zmieniamy plany - oznajmiła Jocelyn przez ściśnięte gardło. - Nie pojedziemy do Kalifornii.

Vanessa uniosła brwi.

- Kochana, ja tylko snułam domysły.

- Wiem. Ale jeśli są trafne, miałybyśmy wyjaśnienie, jakim cudem za każdym razem nas odnajduje, nawet kiedy schodzimy ze statku i część podróży odbywamy łodem tylko po to, aby go zwieść. Doprawdy, Vanesso, mam tego dość! Już same próby porwania mnie i wywiezienia do Anglii były wystarczającym przeżyciem. A odkąd skończyłam dwadzieścia jeden lat i

uzyskałam pełnoletność, dwukrotnie usiłował mnie zabić. Być może czas podjąć wyzwanie.

- Nie mam odwagi zapytać, co wymyśliłaś.

- Sama jeszcze nie wiem, ale wpadnę na jakiś pomysł - zapewniła ją Jocelyn.

## Rozdział 4

- Dewane, nie podoba mi się pomysł z zabijaniem kobiety.

- A co ci zależy? Clydell, taka by nawet na ciebie nie spojrziała. W dodatku jest obca, tak samo jak on. Przypatrz mu się, grzeczny i uprzejmy jak ta lala. Nie nosi się jak my, nie zachowuje jak my, ani też nie gada jak my. I twierdzi, że ona też jest Angielką. Więc co ci zależy?

Clydell spojrział spod oka na obcego. Wysoki, szczupły, ubrany paradnie jak ci ze Wschodniego Wybrzeża, a może jak Anglik? No i dobre dziesięć lat od nich starszy. Ten mężczyzna pasował do nich jak pięść do nosa. A jaki czysty, choć spał jak oni wszyscy na grani pod gołym niebem. Jak to możliwe, że się nie wybrudził?

- A jednak ... - Clydell nie dokończył, widząc zmrużone oczy brata.

- Słuchaj no, wydostał nas z Meksyku, kiedy myśleliśmy, że już nigdy nie uzbieramy na przeprawę przez granicę. Nie muszę ci mówić, jaki jestem szczęśliwy, że wróciłem i znowu mogę pluć i sikać, gdzie mi się żywnie podoba, i nikomu nic do tego. Mamy u niego dług, Clydell, bez dwóch zdań. Czy widzisz, by któryś z chłopaków się przejmował? Do diabła, to zwykła robota, jak każda inna!

Kiedy Dewane przybierał ten ton, jego młodszy brat wiedział, że czas zamilknąć. Dewane'a można było naciskać, dopóki nie wyjaśnił swoich zamiarów. Rabowanie stanic było w porządku, podobnie jak podkradanie bydła. Nie miał też nic przeciwko rozróbom i wszczęciu kilku bójek, gdy wpadali do miasta. Clydell miał pewne wątpliwości co do tamtego napadu na bank, ale brat i tak go zrobił. Po tamtej robocie szeryf rozesłał za nimi swych ludzi.

Ścigano ich aż do granicy, dopiero w Meksyku byli bezpieczni, a przynajmniej tak im się wydawało, dopóki banda opryszków z gór nie odebrała im wszystkich pieniędzy i o mało nie pozbawiła życia. Anglika samo niebo im zesała, kiedy byli na dnie; tyrali za żarcie i spanie w jakiejś plugawej speluncie, gdzie nie rozumieli ani słowa z tego, co do nich mówiono. Miesiące mijały i Clydell zaczął się bać, że przyjdzie mu tam wyzionąć ducha.

Naprawdę nie powinien narzekać ani się wahać. Dewane jak zwykle miał rację. Czterej kumple, zgarńceni po drodze w Bisbee, z których dwaj dawniej razem z nimi podprowadzali bydło w Nowym Meksyku, nawet okiem nie mrugnęli, kiedy się dowiedzieli, co to za robota. Tylko on, Clydell, uważa, że to nie w porządku zabijać kobietę. A sposób, w jaki kazano z nią skończyć, przyprawiał go o mdłości. Naturalnie, zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że się nie uda; dzięki Bogu, że nie jest na miejscu żadnego z tych dwóch facetów, którzy mają dokończyć robotę, jeżeli głąz nie zmieni kobiety w mokrą plamę. Kawałek ołowiu czysto załatwia sprawę, jeśli trzeba kogoś posłać na tamten świat. On jest jednym z tych czterech, co to mają zepchnąć głąz z góry; dlatego właśnie zatrzęśło nim w środku, bo Meksykanin, którego postawili na czatach z tyłu na wzgórzu, przybiegł, żeby im powiedzieć, że lada chwila nadjadą.

Elliot Steele uniósł wieczko kieszonkowego zegarka i sprawdził czas. Księżna jak zwykle się spóźniała. Dotąd zawsze udawało jej się jakimś cudem pokrzyżować jego perfekcyjnie przygotowane plany. Nie wiedział, skąd to przekonanie, że tym razem będzie inaczej. Na szczęście godzina przejazdu nie ma znaczenia. Prowadziła tędy tylko jedna droga i ona właśnie nią jechała. Kawalkada mogła się posuwać wyłącznie do przodu, prosto w jego pułapkę.

Ile razy już coś takiego mówił, a ona nadal żyła sobie radośnie. Musieli nad nią czuwać bogowie, bo inaczej jakim cudem wciąż by się wymykała z zastawianych przez niego sieci?

Elliot był specjalistą w swoim fachu, a przynajmniej tak mu się wydawało, dopóki nie najął go diuk Eaton. Przez lata zdążył dorobić się niezłej fortunki jako człowiek do specjalnych poruczeń ludzi z wyższych sfer, do licha więc, musiał być dobry w swoim fachu. Zlecenie Maurice'a Fleminga wydawało się proste. Chciał tylko, by odnalazł dziewczynę i ściągnął do Anglii, gdzie mógłby przejąć kontrolę nad nią i jej pieniędzmi.

Elliot miał kontakty z ludźmi podobnej profesji w różnych krajach. Wiedział też, jak za małe pieniądze nająć człowieka, który wypełni rozkazy, nie zadając przy tym zbędnych pytań. Cała sprawa powinna być mu zająć ledwie kilka miesięcy, tyle ile potrzebował czasu na zlokalizowanie "Jocela". Tymczasem minęły dwa lata, diuk pokrywał wydatki Elliota, a jego ludziom tylko raz udało się ją porwać.

To wszystko zakrawało na ironię, bo nawet jeśli nie mogli akurat zlokalizować statku, to wytropienie licznej grupy, złożonej z karet, wozów i straży na koniach, nie nastręczało trudności. Taką switę trudno przeoczyć, a księżna nawet nie starała się jej kamuflować, zmieniać czy zostawiać w tyle. Jej kareta była dziełem sztuki - duża, niebieska i połyskliwa, a ciągnęły ją trzy pary rączych, siwych klaczy o idealnie dobranej maści. Pojazd tak bardzo rzucał się w oczy, że równie dobrze można by umieścić na jego drzwiach książęcy herb.

Za każdym razem, kiedy odnajdował księżną, próba zbliżenia się do niej kończyła się fiaskiem. Zawsze czuwała w pobliżu jej mała armia, złożona ze służby i strażników. Kiedy jeden jedyny raz jego ludziom udało się ją porwać, jeszcze tego samego dnia jej eskorta odnalazła ją i odbiła, przy czym czterech jego ludzi odniosło śmiertelne rany, a po jej stronie wszyscy wyszli bez szwanku.

Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Księżna osiągnęła pełnoletność i Fleming nie może już zdobyć kontroli nad nią za pomocą intryg na dworze. Zrezygnował więc z porwania, przestał pokrywać wydatki na poszukiwania i zwolnił Elliota, nie płacąc mu za zmarnowany czas, za kłopoty i frustracje. Dwa lata trudów na próżno. Nie należał do ludzi, którzy skwitują taką sytuację nonszalanckim wzruszeniem ramion. W żadnym wypadku!

Przyświecały mu dwa cele. Zamierzał zabić rudowłosą dziwkę dla samej satysfakcji oraz zemścić się za poczucie porażki i narażenie na szwank swej reputacji człowieka niezawodnego, wykonującego zadania szybko i bezbłędnie. Potem poinformuje księcia, że zajął się nią oraz testamentem, a Fleming - jedyny spowinowacony - przejmie cały majątek i na pewno sowiec go wynagrodzi.

Nie dbał, ile poświęci czasu i własnych pieniędzy, żeby dopiąć swego. Zabicie jej jest łatwiejsze niż porwanie. Można tego dokonać na odległość. Można to zrobić na wiele sposobów. A dwie nieudane próby dowodzą jedynie, że szczęście jej na razie nie opuściło.

Nawet te cholerne kraje, które przemierzała, najczęściej zdawały się jej sprzyjać. Meksyk był idealnym miejscem realizacji jego planu - przynajmniej tak sądził. Rozległy, poza miastami rzadko zaludniony, o dziewiczych terenach ciągnących się setkami mil, gdzie zabójstwo mogło pozostać niewykryte przez wiele dni, a nawet tygodni. W dodatku księżna czasami stawała obozem na jakimś pustkowiu. Stwarzało to idealną okazję do napadu. Wystarczyło nająć grupę uzbrojonych ludzi równą liczebnie jej obstawie. W każdym innym celu wynajęcie takiej bandy było łatwe i tanie, lecz namówienie Meksykanina do zabicia kobiety było prawie niemożliwe. I choć podjął wiele prób, zawsze odsyłano go z kwitkiem. Tym razem księżna go pokonała, nie kiwnąwszy nawet palcem, wyłącznie dzięki mentalności Meksykanów.

Potem natknął się na Dewane'a i Clydella Owenów, dwóch zdesperowanych Amerykanów, a sam ich wygląd podpowiedział mu, że nie mają skrupułów i są gotowi na wszystko. Wyekspediował ich za północną granicę, gdzie znaleźli jeszcze czterech podobnych do nich obwiesiów i ustalili miejsce zasadzki. Umówił się z nimi na spotkanie w górniczym miasteczku Bisbee, które dopiero wczoraj udało mu się odnaleźć. Resztę dnia spędził, jeżdżąc tam i z powrotem ścieżką do przepędzania mułów, w poszukiwaniu miejsca odpowiedniego dla swego zamysłu.

Teren nie był aż tak idealny, jak się spodziewał. Masyw górski urywał się tutaj, a ścieżka schodziła zboczem do podnóża. Część stoku poniżej szlaku była zadrzewiona, co prawda niezbyt obficie, ale kareta mogła zatrzymać się na drzewach, jeśli głaz jedynie zepchnąłby ją z drogi. To jednak wydawało się mało prawdopodobne. Uskok pod głazem był stromy, a ścieżka w tym

miejscu szeroka głaz, zatem spadając z dużą siłą, teoretycznie nie ma prawa potoczyć się dalej. Gdyby miał więcej czasu, kazałby przesunąć ten ogromny głaz w miejsce, gdzie spadając, zaklinowałby szlak pomiędzy dwiema skalnymi ścianami tak, aby nie mógł tamtędy przejechać ani wóz, ani koń. Gdyby kareta z księżną jechała na czele, przepuściłby ją dla samej przyjemności zabicia jej własnymi rękami. W obecnej sytuacji, nawet jeśli głaz nie wyląduje - jak zakłada - na pierwszym powozie, szlak zostanie częściowo zablokowany, a odciętą część eskorty ludzie Elliota przytrzymają ostrzałem za głazem. W tym samym czasie dwaj obwiesie, którzy na wszelki wypadek dostali od niego instrukcje, zbiegną z góry i bez trudu pochwyć księżnę.

Słyszeli odgłos końskich kopyt, orszak posuwał się wolno traktem.

- Ilu jeźdźców naliczyłeś z przodu? - zwrócił się Elliot do Meksykanina.

- Sześciu, senior.

Elliot pokiwał głową. Powinien był się domyślić, że strażnicy nie złamią szyku tylko dlatego, iż szlak jest wąski, a oni nie są do takich przyzwyczajeni. Zawsze sześciu jechało przed kareta, a sześciu zabezpieczało tyły. Nie szkodzi. Występ, po którym biegł szlak, był wystarczająco szeroki, aby przednia straż mogła objechać powóz, kiedy Meksykanie dla odwrócenia uwagi zaczęły ostrzeliwać tyły orszaku. Gorzej, jeśli strażnicy nie zdecydują się sprawdzić, co się tam dzieje, bo szansa na wystrzelanie wszystkich sześciu, zanim pochowają się między skałami, jest raczej nieduża. Jeśli więc głaz nie zmiążdży karety, zbyt wielu ich pozostanie do jej obrony.

- Wracaj na swoją pozycję - rozkazał Elliot. - I czekaj na mój znak.

Dewane przyglądał mu się chwilę.

- Chyba nie mówił pan meksom, że ona ma zginąć? - zapytał ze złośliwym grymasem.

Elliot zmierzył chłodnym spojrzeniem starszego z braci Owenów. Zgodnie ze swoją zasadą zawsze mówił najemnikom tylko tyle, ile konieczne, i nie widział powodu, aby po swoich wcześniejszych doświadczeniach z Meksykanami ryzykować w przypadku tamtego meksykańskiego przewodnika, któremu zapłacił za sprowadzenie orszaku księżnej z głównego traktu na boczny szlak.

- Masz rację - powiedział jedynie i to musiało wystarczyć. Ci mężczyźni czuli przed nim respekt i tak właśnie powinno być. Należeli do innej nacji, nie fraternizowali się z nim - i to była właściwa relacja, nawet gdyby nie wchodziła w grę różnica narodowości. Kiedy zatrudnia się ludzi tak samo wynaturzonych i bezwzględnych jak on sam, należy zachować dystans, aby nie pozostawić najmniejszej wątpliwości, do kogo należy władza.

Elliot odwrócił się i odprowadził spojrzeniem Meksykanina biegnącego na wyznaczoną pozycję. To miejsce było wprost idealne. Górny występ, niewidoczny z półki, po której prowadził szlak, doskonale nadawał się na zasadzkę. W dodatku z grani schodziła jeszcze jedna ścieżka, na której ukryli konie. Ci na dole nie mogli się udać w pogoń za nimi, bo oba szlaki spotykały się dopiero u stóp góry po tej stronie. Ścieżka po drugiej stronie góry schodziła do jej zachodniego podnóża, lecz konie nie miały tam możliwości manewru.

Już niedługo ... wkrótce będzie mógł żyć jak dawniej. Tym razem wszystko musi się udać. Musi. Szczęście mu wreszcie dopisze, w końcu jemu też się coś należy.

Wrócił na swoją pozycję, skąd miał dobry widok na szlak poniżej. Widział teraz szpicę; jak zawsze na czele jechał sir Parker Grahame, dowódca straży. Elliot znał imiona wszystkich ludzi księżnej, a także koleje życia niektórych. Rozmawiał z nimi, stawiał im drinki, a w Egipcie o mało nie uwiódł tej głupiutkiej francuskiej pokojówki Babette. Nie mieli pojęcia, kim jest ani czym się zajmuje, co bardzo ułatwiało mu sytuację.

Ponieważ zbliżał się do nich tylko wtedy, gdy byli w pojedynkę i nie próbował podejść do tej samej osoby w innym mieście czy kraju, nie wzbudził niczych podejrzeń.

- Panowie, najwyższa gotowość - powiedział półgłosem do przyuczajonych za nim mężczyzn.

Leżał wyciągnięty po lewej stronie głazu. Nie porzuci swej pozycji, dopóki nie zobaczy masakry. Ogromny blok skalny wyrastał z samej krawędzi grani. Musieli go tylko trochę obluzować, teraz wystarczy go pchnąć.

Czterej mężczyźni oparli ręce na głazie. Elliot czekał, aż przejedzie przednia straż i dokładnie pod głazem znajdzie się pierwsza para koni z zaprzęgu karety, zanim da znak Meksykanom, by przystąpili do dzieła. Dewane przysunął się do niego z dwoma karabinami, po czym odłożył jeden na później. Czwarty z mężczyzn wyjął lusterko, żeby przesłać znak Meksykanom.

- Stangreta należy wyeliminować, zanim zaciągnie hamulec - Elliot przypomniał swój wcześniejszy rozkaz. - Zatrzyma karete, jak tylko strażnicy zawrócą, żeby sprawdzić, co znaczą strzały na tyłach orszaku. Lecz obojętne, czy objadą karete, czy nie, stangreta należy unieszkodliwić, zanim dotknie hamulca. Bez niego spłoszone konie ruszą na oślep.

- Nie ma problemu - Dewane wyszczerzył zęby w uśmiechu, widząc na koźle potężnego mężczyznę. - Trudno go nie trafić.

Elliot zauważył, że tym razem kareta księżnej powoził jeden z forysiów. Szkoda, że nie Hiszpan! Piekielnie dobrze posługiwał się nożem i w Nowym Jorku zabił jednego z ludzi Elliota, kiedy przyłapał go na majstrowaniu przy karecie.

Właśnie przejeżdżała straż. Za chwilę ... - Daj sygnał - rzucił przez ramię.

Czekał w napięciu, wstrzymując oddech. Pierwsza para siwych koni minęła ich, druga prawie przejechała. Jasna cholera, jeśli ten Meksykanin ...

Usłyszeli wystrzał. Podobnie jak strażnicy poniżej. Cała szóstka zawróciła konie, lecz Grahame pchnął na tyły zaledwie dwóch ludzi. Kawalkada zatrzymała się. Krzyki wypełniły powietrze, ludzie chcieli wiedzieć, co się dzieje. Forys stanął na koźle, żeby się rozejrzeć.

Teraz pod głazem przesuwała się trzecia para siwych koni. Rozległy się kolejne dwa strzały. Pozostałych czterech strażników objeżdżało karete przy krawędzi występu, bo tylko tam było miejsce. Grahame trwał przy powozie, chciał zapewne uspokoić księżnę. Elliot, zajęty obserwowaniem go, nie widział, kiedy forys sięgnął do hamulca, lecz Dewane to zauważył. Wystrzał, który rozległ się tuż przy uchu Elliota, zaskoczył go, lecz nie na tyle, by przeoczył moment, kiedy forys wypuścił lejce z rąk i osunął się z koźła. Spadł na ziemię za plecami Grahame'a, płosząc jego wierzchowca. Leżał tuż za trzecią parą siwych koni, więc te, nie mogąc się cofnąć, wzbudziły panikę w całym zaprzęgu.

Kareta zastygła w bezruchu, po czym ruszyła przed siebie jak z procy.

- Teraz! - krzyknął Elliot i zaklął siarczyście, widząc, jak głaz przy uderzeniu o trakt rozpryskuje się w kawałki, zaledwie obsypując kurzem umykającą karete.

Zerwał się z ziemi z gniewnym warknięciem i o mało nie został trafiony. Strażnicy księżnej wracali na pozycje, strzelając do atakujących ich z góry mężczyzn.

Dwaj jego ludzie, którzy mieli zbiec w dół i porwać powóz, jeśli nie zmiażdżyłby go głaz, stali w oczekiwaniu na rozkazy.

- Weźcie konie i jedźcie do miejsca, gdzie schodzą się ścieżki - poinstruował ich Elliot. - Przy jej cholernym szczęściu kareta może wcale się nie wywrócić i zjechać do podnóża góry. Dopędźcie ją, zatrzymajcie i dopilnujcie, żeby wszyscy w powozie zginęli. Wszyscy co do jednego!

## Rozdział 5

- Vanesso? Vanesso, nic ci się nie stało?

- Zapytaj mnie za chwilę. Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem.

Jocelyn leżała na podłodze, a mówiąc dokładniej - na drzwiach. Po przerażającej jeździe, która zdawała się trwać całe wieki, powóz przewrócił się na bok. Jocelyn runęła na drzwi zaraz kiedy powóz się przechylił, i teraz leżała na nich rozplaszczona, ze swymi długimi nogami wyciągniętymi na podłodze, która stała pionowo niczym ściana. Vanessie powiodło się niewiele lepiej, bo, zaklinowana na siedzeniu, wisiała teraz nad głową Jocelyn.

Obie otrząsnęły się mniej więcej w tej samej chwili. Vanessa z jękiem, a Jocelyn z gniewnym pomrukiem:

- Chyba wyjdziemy z kilkoma siniakami z tej przygody.

- Myślisz? - odezwała się Vanessa nieswoim głosem.- Wygląda na to ...

- Jesteś ranna - stwierdziła oskarżycielskim tonem Jocelyn, widząc, że hrabina przyciska dłoń do skroni.

- To chyba tylko guz. Usiłowałam osłonić się rękami, ale ramię mi się osunęło.

- Obróć się i przesun plecy na oparcie. Jest bardziej miękkie niż ściana.

Jocelyn pomogła jej zmienić pozycję, po czym uniosła się na kolana. Obie miały suknie w nieładzie i potargane fryzury. Jocelyn powyjmowała resztę szpilek z włosów i odgarnęła je do tyłu. Gdyby nie grymas bólu na twarzy Vanessy z powodu guza, radość, że wyszły z tej przygody bez szwanku, byłaby pełna.

- Vana, jak myślisz, co to było?

- Coś mi się wydaje, że to kolejny wybryk pana Długonosego.

- Tak sądzisz? - Jocelyn w zasępieniu przygryzła wargę, rozważając tę możliwość. - Ale jakim sposobem dostałby się tu przed nami? Skąd wiedział, którą drogą pojedziemy?

- Kochana, nie spieszyło nam się zbytnio w Meksyku - powiedziała Vanessa, nie otwierając oczu.

- Miał dość czasu, żeby nas wyprzedzić. A co do znajomości trasy, hmm, zastanowiło mnie to nagłe zniknięcie przewodnika. Raczej dziwne, że wywiódł nas akurat na ten górski szlak, nieprawdaż?

- Co, ten mały zdrajca?!

- Wielce prawdopodobne, że opłacił go Długonosy. Jeżeli sobie przypominasz, to nie my go znalazłyśmy, ale on sam się do nas zgłosił. Poza tym potrafię rozpoznać głos tego Anglika, a tamten okrzyk "teraz", który poprzedził huk, zabrzmiał zdecydowanie z brytyjska. A właśnie, co to tak huknęło?

- Nie mam pojęcia. Ważniejsze jest pytanie, co się stało z naszym woźnicą.

Vanessa westchnęła.

- Nie sądzę, żeby był na kozle podczas tej szalonej jazdy. Słyszalibyśmy, jak krzyczy na konie, nawet gdyby nie udało mu się ich zatrzymać. Ten wystrzał padł tak blisko ...

- Nawet o tym nie myśl! - przerwała jej Jocelyn. - Zgubiłyśmy go, zapewne spadł z kozła, przecież nas też rzucało po całej karecie.

- Na pewno - zgodziła się Vanessa dla świętego spokoju. Wkrótce i tak się dowiedzą, co się wydarzyło. - Zdaje mi się, że straciłyśmy także konie.

Jocelyn również poczuła zmianę szybkości, zanim karetka się przewróciła.

- Znajdą się - powiedziała z przekonaniem. - Nas też wkrótce odnajdą. Tymczasem ...

Vanessa otworzyła oczy i zobaczyła, że księżna się podnosi. - Co ty kombinujesz?

Stojąc na drzwiach, Jocelyn usiłowała dosięgnąć przeciwległych drzwi.

- Chciałam sprawdzić, jak się można stąd wydostać, ale nawet gdyby udało mi się wypchnąć te drzwi...

- Daj spokój, Jocelyn. Niedługo nasi ludzie ... - Urwała, ponieważ doszedł je zbliżający się tętent galopującego konia. - Widzisz, szybko nas dogonili.

Wysłuchane w odgłosy z zewnątrz, zorientowały się, że jeździec gwałtownie zatrzymał konia tuż przy nich; prawdopodobnie jeden ze strażników wysforował się naprzód, być może to sam sir Parker Grahame. Był im bardzo oddany, a w dodatku podkochiwał się w Jocelyn, bardziej więc niż inni przeżywał podstępne działania Długonosego.

Chwilę później karetka skrzypnęła, bo ich wybawca wspiął się na nią i otworzył drzwi, opuszczając je z hukiem na pudło powozu. Światło słoneczne, które dotąd sączyło się przez okno, zalało wnętrze, oślepiając Jocelyn. Dopiero gdy przybysz częściowo przesłonił sobą otwór, mogła zobaczyć zarys jego sylwetki, lecz rysy mężczyzny pozostały niewyraźne.

- Parker?

- Nie, proszę pani - odpowiedział niski głos, przeciągając słowa.

Jocelyn najchętniej rozejrzała się za swą torebką, w której trzymała mały pistolet, kupiony w Nowym Orleanie. Oczywiście mężczyzna mógł ją zastrzelić, zanim odnajdzie mieszek wśród kapeluszy i ubrań, które rano wyjęły z kufra.

- To chcecie stąd wyjść czy nie? - Tym razem w głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie.

- Nie wiem - odparła szczerze Jocelyn i ponownie spojrzała w górę, żałując przy tym, że widzi tylko ciemną postać.

Jak miała zapytać mężczyznę, czy przyjechał je zabić? Lecz czy zadawałby sobie trud, żeby je wydostać, gdyby miał zamiar je zastrzelić? Mógł to zrobić w karecie. A może Długonosy kazał mu je sprowadzić? Trudno liczyć, że był zwykłym podróżnym, który natknął się na nie przypadkiem.

- Może by nam pomogło, sir - przerwała przedłużającą się ciszę Vanessa - gdybyś nam powiedział, kim jesteś i co tu robisz.

- Zobaczyłem konie pędzące ku rzece i pomyślałem, że wyprzęgły się z dyliżansu, chociaż nigdy jeszcze nie widziałem, aby takie konie ciągnęły dyliżans.

- Więc przyjechałeś pan się rozejrzeć? Nie jesteś w zмовie z Anglikiem?

- Nie jestem z nikim, jak to pani ujęła, w zмовie. Chryste, co znaczą te wszystkie pytania?! Chcecie stąd wyjść czy nie? Rozumiem, że nie macie ochoty pobrudzić sobie o mnie rąk, kiedy was będę podciągał. - Gorycz zastąpiła zniecierpliwienie w jego głosie. - Ale nie widzę innego sposobu. Chyba, że wolicie poczekać, aż ktoś inny będzie tędy przejeżdżał.

- Ależ nie - zaprzeczyła z ulgą Jocelyn, pewna teraz, że mężczyzna nie ma złych zamiarów. - A tę odrobinę brudu łatwo da się zmyć - dodała z uśmiechem, błędnie odczytując słowa mężczyzny.

Tak go zaskoczyła tą odpowiedzią, że nie od razu pochwycił wyciągnięte ku sobie ręce. Dopiero po chwili zrozumiał, że ona go nie widzi. Zmienił ton w jednej chwili, jak tylko go zobaczy. Będzie miał szczęście, jeśli usłyszy chociażby "dziękuję" za swoją pomoc.

Jocelyn cicho sapnęła, gdy zręcznym ruchem podciągnął ją za rękę. Siedziała teraz na karecie z nogami zwisającymi w otworze drzwi. Roześmiała się, uradowana, że tak łatwo udało się ją oswobodzić, i obejrzała się na Vanessę, która nadal tkwiła w środku.

- Vana, wychodzisz? To naprawdę nic trudnego.

- Zostanę tutaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu, moja droga. Wolę poczekać, aż karetka zostanie postawiona na koła - oczywiście, jeśli można dokonać tego bez większych wstrząsów. Być może do tego czasu ustąpi mi nieco ten ból głowy.

- No dobrze - zgodziła się Jocelyn. - Sir Parker powinien nas wkrótce odnaleźć. - Rozejrzała się wokół, lecz jej wybawca stał dokładnie za jej plecami. Zaczęła się podnosić, jednocześnie zwracając do niego:

- Nie trzeba jej wyciągać. Uderzyła się w głowę i nie czuje się ... najlepiej ... - Zamilkła, gubiąc tok myśli.



Nie doznała takiego szoku od dnia, kiedy ujrzała piramidy w Egipcie. Ale to było zupełnie co innego; tym razem pobudzone zostały wszystkie zmysły, nie tylko wzrok. Przeżyła wstrząs, któremu towarzyszyły dziwne sensacje - przyspieszony oddech, trzepotanie serca, nagły przypływ adrenaliny - wszystkie objawy strachu, a przecież ani trochę się nie bała.

Nie wiedzieć dlaczego odstąpił od niej parę kroków, co pozwoliło jej lepiej mu się przyjrzeć, bo był bardzo wysoki. Najpierw uderzyła ją nieprzeciętna męska uroda, potem siła, o której miała okazję wcześniej się przekonać, a także karnacja i coś nietypowego w całym wyglądzie. Idealnie proste, czarne jak smoła włosy opadały na niewiarygodnie szerokie barki.

Cera śniada i orle rysy - prosty, jakby rzeźbiony nos, głęboko osadzone oczy pod szerokimi brwiami, wąskie usta i czysto zarysowany, kwadratowy podbródek.

Smukłe, muskularne ciało okrywała osobliwa skórzana kurtka wykończona frędzlami. Frędzle zdobiły również wysokie do kolan i pozbawione obcasów buty, zrobione z tej samej skóry co kurtka. W czasie pobytu w Meksyku Jocelyn przywykła do widoku broni noszonej na biodrze, nie poczuła się więc zaskoczona, podobnie jak nie dziwił jej kapelusz, którego szerokie rondo ocieniało mężczyźnie oczy, czyniąc niemożliwym odgadnięcie ich koloru, poza tym, że wydawały się jasne.

Ciemnoniebieskie spodnie opinały kształtne nogi. Nic w tym nadzwyczajnego. Ale on nie miał na sobie koszuli! Luźna, rozpięta kurtka rozchyłała się na śniadej piersi - śniadej i pozbawionej owłosienia tak samo jak twarz. Nie dostrzegła ani jednego włoska na torsie ani na brzuchu, co wydało się jej dość niezwykle, chociaż tak naprawdę jej wiedza na temat Amerykanów, podobnie jak i męskich torsów, była znikoma.

Szczerze mówiąc, nie spotkała dotąd nikogo takiego jak on.

Jego odmienność i egzotyczna uroda wytrąciły ją z równowagi. - Czy zawsze pan chodzi ... na wpół ubrany?

- Pani, tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Poczuła, że rumieńce występują jej na policzki.

- O Boże, nie zamierzałam pana obrazić. Nie mam pojęcia, skąd ... to pytanie. Zazwyczaj nie bywam impertynencka.

Głośne "hal" rozległo się w karecie i Jocelyn się uśmiechnęła.

- Zdaje się, że hrabina uważa inaczej, i zapewne ma rację. Widać moja szczerść często zakrawa na arogancję.

- Żeby zadać takie głupie pytanie ... - mruknął pod nosem, odwracając się i zeskakując z karety.

Jocelyn ze stropioną miną przyglądała się, jak podchodzi do swego pięknego i potężnego konia. Nie widziała dotąd takiego zwierzęcia - z czarno-białymi łatami na zadzie i tylnych nogach. Chętnie dokładniej by go obejrzała, nawet się na nim przejechała, ale w tej chwili ważne były jedynie intencje tego mężczyzny.

- Chyba pan nie zamierza odjechać?

- Mówiła pani, że ktoś tu się zaraz zjawi. - Nawet nie raczył na nią spojrzeć. - Więc nie ma sensu, abym ...

- Nie może pan tak odjechać! - zawołała przestraszona, nie do końca wiedząc, co wprawia ją w panikę. - Nie zdążyłam panu podziękować i ... i ... jak mam stąd zejść, jeśli mi pan nie pomoże?

- Do diabła! - usłyszała i jednocześnie poczuła, że znowu się czerwieni. Ale on wrócił: - Dobrze, proszę zeskoczyć.

Spojrzała na wyciągnięte ku sobie ramiona i nie wahała się ani chwili. Zdążyła już poznać siłę tego mężczyzny. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że może jej nie złapać, kiedy rzuci się w dół. I oczywiście ją pochwytał. Z impetem wylądowała w jego ramionach. Ale to było znacznie mniej niepokojące niż fakt, że natychmiast postawił ją na ziemi i czym prędzej się odsunął. A potem znów zawrócił po swego konia.

- Nie, proszę zaczekać! - Wyciągnęła rękę, ale się nie zatrzymała, uniosła więc spódnicę i ruszyła za nim. - Czy naprawdę aż tak bardzo się panu spieszy?

Wpadła mu na plecy, gdy się zatrzymał, i usłyszała, jak zaklął, nim odwrócił się do niej, obrzucając ją gniewnym spojrzeniem.

- Niech pani posłucha. Tak się składa, że zostawiłem swoje rzeczy i koszulę nad rzeką, bo właśnie zamierzałem zrobić pranie, zanim wjadę do miasteczka. W tym kraju nie można zostawiać rzeczy bez opieki, licząc na to, że się je znajdzie po powrocie.

- Zrekompensuję panu wszystkie ewentualne straty, tylko proszę nas nie zostawiać. Moi ludzie musieli utknąć za nami w górach, skoro jeszcze ich nie ma. Naprawdę potrzebujemy pańskiej ...

- Zjechała pani ze szlaku, po którym każdy może się poruszać.

- Tak, ale nas rozdzielono, kiedy napadło nas kilku mężczyzn, mężczyzn, którzy chcieli mnie skrzywdzić. Równie dobrze mogą się tu zjawić przed moimi ludźmi.

- Pani "ludźmi"?

- Moim orszakiem. - Kiedy po tym wyjaśnieniu nie znikła pionowa zmarszczka na jego czole, dodała: - Moją służbą i strażą, ludźmi, z którymi podróżuję.

Po tych słowach powiódł wzrokiem po jej aksamitnej spódnicy i jedwabnej bluzce ozdobionej riuszką, stroju, jaki można było widzieć noszony przez kobiety ze Wschodniego Wybrzeża. Potem rzucił spojrzenie na połyskliwą, stalowoniebieską karetę, której wnętrze sprawiało nierealne wrażenie. Nawet te wymyślne prywatne salonki nie mogły się z nią równać pod względem luksusu.

Kiedy zauważył przewrócony pojazd, nie spodziewał się znaleźć w nim kobiet, a już na pewno nie takich, z których jedna była jakąś tam hrabiną. Czyżby miał do czynienia z rodziną królewską? Kimkolwiek były, nie pochodziły stąd. A ta tutaj, z tymi płomiennymi włosami i oczyma jak nowe liście wiosną! Już w pierwszej chwili, gdy na nią spojrział, wróciły gorzkie wspomnienia. Ale to nie powstrzymało fali pożądania. Przeraził się nie na żarty, bo od lat nie pociągały go kobiety jej pokroju.

- Kim pani jest?

- Och, przepraszam. Powinam się była przedstawić. Jocelyn Heming - odpowiedziała, uznając, że nie ma sensu podawać fałszywego nazwiska, skoro Długonosy deptał im po piętach.

Patrzył na jej wyciągniętą dłoń, nie czyniąc żadnego gestu, aż zmuszona była ją opuścić.

- Chyba powinienem był zapytać, skąd pani jest?

- Nie rozumiem.

- Jesteś żoną któregoś z tych bogatych górników z Tombstone?

- Nie. Owdowiałam kilka lat temu. Właśnie przyjechałyśmy z Meksyku, ale rozpoczęłyśmy podróż w Anglii.

- To znaczy, że jest pani Angielką?

- Tak. - Uśmiechnęła się, słysząc, jak zniekształca jej rodzinną mowę, chociaż rozumiała go bez trudu, a co więcej, nawet podobał się jej sposób, w jaki przeciągał samogłoski. - Jak rozumiem, jest pan Amerykaninem?

Znał to słowo, ale nigdy nie słyszał by ktoś go tu używał. Ludzie raczej utożsamiali się ze stanem czy obszarem, z którego pochodzili, a nie z całym krajem. Teraz dopiero zwrócił uwagę na jej akcent. Nigdy nie słyszał kobiety posługującej się taką wytworną mową, ale zdarzyło mu się spotkać paru Anglików przemierzających Zachód. Jej narodowość tłumaczyła fakt, dlaczego nie wahała się go dotknąć. Za krótko tu przebywała, żeby się zorientować, kim jest. Dlatego tak się w niego wpatrywała, stojąc na karecie. Znowu poczuł znajome stężenie mięśni.

Przez ułamek sekundy zastanawiał się nad ukryciem swego pochodzenia. Prawdopodobnie więcej jej już nie spotka, po co więc wytwarzać ten tak dobrze mu znany dystans? A po to, że ten dystans jest mu potrzebny. Znajdowała się poza jego zasięgiem, a pociąg, jaki odczuwał do niej,

był niebezpieczny. Nie przywykł do mówienia o swoim pochodzeniu. Wystarczyło, że nosił charakterystyczny strój. Nie musiał więc już nic mówić - i tak wszystko było jasne.

- Urodziłem się w tym kraju, ludzie jednak mają dla mnie szczególną nazwę. Jestem mieszańcem.

- A to ciekawe - powiedziała, słysząc ponownie rozgoryczenie w jego głosie, które i tym razem postanowiła zignorować. - Mogłoby się wydawać, że ten termin dotyczy zwierząt i hodowli. Co to ma wspólnego z ludźmi?

Przyglądał jej się przez chwilę, jakby była niespełna rozumu.

- Do diabła, co to ma wspólnego z ludźmi? A to, że jestem tylko na wpół biały.

Zamilkła pod wpływem tonu jego głosu.

- A ta druga połowa? - zapytała po chwili.

Znowu rzucił jej spojrzenie, które zdawało się mówić, że ze względu na bezpieczeństwo otoczenia lepiej by ją było trzymać w zamknięciu.

- Jestem Indianinem - warknął. - Czejenem. I teraz powinna pani dostać gęziej skórki ze strachu, jeśli jeszcze jej pani nie ma.

- Dlaczego?

- Chryste, kobieto, należałoby się czegoś dowiedzieć o kraju, zanim się do niego przyjedzie!

- Zawsze tak robię - odparła, nieco zaniepokojona jego podniesionym głosem. - Akurat o tym kraju wiem bardzo dużo.

- Pani, widocznie musiałaś przeoczyć fakt, że biali i Indianie są zapiękłymi wrogami - prychnął ironicznie. - Zapytaj o to w najbliższym miasteczku. Wy tłumaczą ci, dlaczego nie powinnaś wdawać się w rozmowę ze mną.

- Jeżeli masz coś przeciwko białym, jak ich nazywasz, to przecież nie ma to nic wspólnego ze mną, prawda? - odparła, wcale niezbita z tropu. - Nie jestem twoim wrogiem, mój panie. Dobry Boże, jak możesz w ogóle coś takiego przypuszczać, skoro czuję wyłącznie wdzięczność za twoją pomoc?

Pokręcił głową, patrząc na nią z niedowierzaniem, a potem szczerze się roześmiał:

- Poddaję się. Sama to, pani, zrozumiesz, kiedy pobędziesz tu trochę dłużej.

- Czy to znaczy, że możemy zostać przyjaciółmi? - A kiedy westchnął ciężko, dodała: - Jeszcze mi się nie przedstawiłeś.

- Colt Thunder.

- Colt? Tak jak rewolwer? To dość niezwykle imię.

- Cóż, Jessie ma raczej niezwykle poczucie humoru.

- Jessie to twój ojciec?

- Córka mojego ojca, chociaż jeszcze kilka lat temu żadne z nas o tym nie wiedziało. Wcześniej była moją przyjaciółką.

- Ciekawe. Jak rozumiem, Colt nie jest twoim prawdziwym imieniem? Ja też często musiałam się ukrywać pod fałszywymi nazwiskami, chociaż teraz straciło to sens, bo moi wrogowie i tak mnie odnaleźli.

Nie zamierzał jej wypytywać. Choćby miał paść trupem. Im mniej będzie o niej wiedział, tym szybciej wyrzuci ją z pamięci. Chryste, jeśli to w ogóle możliwe! Te jej włosy - długie do bioder, wijące się jak płomienie. Długo będą prześladować go w snach. Wiedział, że tak będzie. I te jej oczy. Cholera, czemu się w niego tak wpatruje, jakby była nim równie zafascynowana jak on nią?

Coś do niego powiedziała, ale nie dosłyszał, bo równocześnie podeszła i położyła mu rękę na ramieniu. Pod wpływem tego dotyku, rozmyślnego, niepotrzebnego, jego serce zaczęło tłuc się o żebra. Przyszły mu do głowy takie myśli, których najlepiej szybko się pozbyć. Do diabła, ta kobieta igrała z ogniem, nawet o tym nie wiedząc.

Kula strąciła mu kapelusz, wyrywając go spod jej czaru.

Błyskawicznie odwrócił się i wypalił dwukrotnie, trafiając w obu przypadkach. Mężczyzna, który przechylony w siodle pędził wprost na nich, spadł na ziemię ze stopą uwięzłą w strzemieniu. Drugi rzucił broń, bo kula trafiła go w prawy bark, i okładając konia, zawrócił tam, skąd nadjechał. Colt pozwolił mu się oddalić. Nie miał zwyczaju strzelać ludziom w plecy ani ich zabijać, o ile to nie było konieczne.

Koń pozbawiony jeźdźca pędził na nich. Najłatwiej go zatrzyma, dosiadając w biegu.

Jocelyn, obserwując tę scenę, nie wierzyła własnym oczom.

Zaskoczyła ją szybkość, z jaką Colt wyciągnął broń i oddał strzały. Nie widziała też dotąd, by ktokolwiek wskakiwał na konia w pełnym galopie. Wydawało się, że musi skończyć twarzą na ziemi, lecz on tylko uchwycił się końskiej grzywy i już znalazł się w siodle.

Nadal pod wrażeniem, odpowiedziała na niespokojne pytanie Vanessy, że nic jej nie jest, i podbiegła do konia, który stał teraz spokojnie zaledwie kilkanaście metrów dalej. Colt uwolnił stopę mężczyzny ze strzemienia. A kiedy pochylił się nad nim, by sprawdzić jego stan, znowu usłyszała wiązkę soczystych przekleństw. Ona też zdążyła zauważyć, że jeździec jest martwy; skrzyknął kark, lecz prawdopodobnie był nieprzytomny, kiedy do tego doszło, bo kula Colta trafiła go w skroń.

- Drań się uchylił - stwierdził z odrazą Colt, prostując się.

- Czyżbyś celował w konkretne miejsce?

- W prawy bark. Najpewniejszy sposób na rozbrojenie napastnika pędzącego wprost na ciebie.

Znasz go, pani?

Spojrzał na nią, paraliżując ją intensywnością wzroku. Dopiero teraz, gdy nie miał kapelusza, zobaczyła, że jego oczy nie są ani ciemne, ani jasne, lecz czysto niebieskie, i tworzą zdumiewające zestawienie ze śniadą cerą. Z wrażenia dosłownie zaparło jej dech w piersiach i musiała spuścić wzrok, zanim zdobyła się na jako tako składną odpowiedź.

- Nie, nigdy przedtem go nie widziałam, podobnie jak tego drugiego. Jestem przekonana, że obaj są najemnikami Johna Długonosego. Ma zwyczaj w każdym kraju, w jakim się znajdujemy, najmować miejscowych ludzi do brudnej roboty. Wygląda na to, że ocaliłeś mi życie.

- Pani, żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie chciałby cię zabić. Przychodzi mi na myśl wiele innych rzeczy, na które ten człowiek mógłby mieć ochotę, ale nastawianie na twoje życie na pewno do nich nie należy.

Dokończył tę uwagę, idąc już po kapelusz, niemniej usłyszała ją i aż się zarumieniła z radości. Jej agresywna uroda pociągała niewielu mężczyzn, zazwyczaj też wyczuwała, że się komuś podoba. Ale ten tutaj był nieprzenikniony. Patrzył groźnie, krzyczał na nią i tylko czekał, żeby odjechać. Czyżby więc pociągała go tak jak on ją? Naturalnie, jeżeli tę jego uwagę można uznać za komplement.

Pobiegła za nim, chcąc mu to wszystko wytłumaczyć:

- On czyha na moje życie dopiero od roku, przedtem usiłował mnie porwać i siłą sprowadzić do Anglii. Nie mogłam do tego za żadną cenę dopuścić. To raczej długa historia, ale krótko mówiąc, uciekam przed tym człowiekiem od trzech lat i już mnie to zmęczyło.

Oczyścił kapelusz z piasku strzepnięciem o nogę i nałożył, zawiadując nasuwając rondo na oczy.

- Pani wybacz, to nie moja sprawa.

- Rzeczywiście, nie. Naturalnie. Nawet nie śmiałybym obarczać cię, panie, moimi problemami, szczególnie, że i tak wiele dla mnie zrobiłeś.

Spojrzał na nią przeciągle, choć za odpowiedź wystarczyłoby tylko skinienie.

- Miło mi to słyszeć - odparł sucho.

- Jeszcze nie skończyłam, panie Thunder.

- To "pan" jest zbyteczne. Można się do mnie zwracać "Colt" albo "Thunder". Reaguję w obu

wypadkach.

- Jak sobie życzysz. Jak już wspomniałam, wprawiłeś mnie w podziw swoją sprawnością w posługiwaniu się rewolwerem.

- Sprawnością w posługiwaniu się? - błysnął zębami w uśmiechu. - Pani, masz szczególny sposób nazywania rzeczy.

- Nie rozumiem.

- Nieważne. No i co dalej?

- Co dalej? Och ... no tak. Czy przypadkiem można cię wynająć?

- Chcesz zabić Długonosego?

W strząsnęło nią to bezpośrednie pytanie, zadane bez cienia emocji, lecz szybko się opanowała.

- Nie, jedynie nastraszyć i oddać w ręce przedstawicieli prawa na tym terenie. Jest ścigany w Nowym Jorku za zabicie mojego pełnomocnika.

- Kogo?

- Mojego amerykańskiego prawnika.

- Dlaczego go zabił?

- Udało nam się jedynie ustalić, że ten biedak nakrył go w swojej kancelarii na kradzieży testamentu, który sporządziłam wcześniej tego samego dnia. Według słów jego współnika nic więcej z biura nie zginęło. Znalazło się też kilku świadków, ludzi, których Długonosy pytał o drogę do kancelarii. Wszyscy zgodnie przysięgają, że człowiek, który ich zaczepił, był Anglikiem. A poza tym to nie był pierwszy mój testament, który zniknął.

- Pani, wygląda na to, że szukasz łowcy głów, a ja nim nie jestem. A jeszcze lepiej, opowiedz o wszystkim szeryfowi w Tombstone, kiedy tam dojedziesz. Potrzebne jest tylko nazwisko i opis Anglika.

- Nie znam jego nazwiska ani nie wiem, jak wygląda. - Na widok jego ściągniętych brwi szybko dodała: - To my nazwaliśmy go John Długonosy. Jedyne, co o nim wiem, to że jest Anglikiem. Tak jak ja.

- Cóż, istnieje' szansa, że w promieniu stu kilometrów nie ma żadnego innego Anglika oprócz niego, ale nigdy nie wiadomo. Sam widziałem kilku przejazdem, łatwo więc o pomyłkę. Najlepiej pozwolić mu podejść bliżej, samej będąc pilnowaną. Mówiłaś, pani, że masz strażę?

- Tak, ale ...

- Więc niepotrzebny ci jeszcze jeden człowiek z bronią.

Zanim przedarło się do jej świadomości, że właśnie odrzuca jej propozycję, jego broń znów poszła w ruch. Jocelyn odwróciła się i zobaczyła ogromnego, jeszcze wijącego się węża z odstrzeloną głową. Tymczasem ona ani nie usłyszała, ani nie przeczuła niebezpieczeństwa. Niepotrzebny jej jeszcze jeden człowiek z bronią? Właśnie udowodnił, że tak nie jest.

Odrzucając węża, Colt spojrział na nią ukradkiem. Jedno należało jej przyznać. Strzelano do niej, o mało nie ukąsił jej wąż, przedtem wywróciła się jej kareta. Kto wie, co wcześniej przeżyła. A jednak nie podniosła krzyku. Widok węża zapewne odebrał jej mowę. Była najbardziej rozmowną kobietą, jaką w życiu spotkał. Nie drażniło go to. Ten jej akcent był miły dla ucha.

Odwrócił się i obserwował zbliżający się tuman kurzu. Jej ludzie - pomyślał z nadzieją, oceniając, że chmurę musiała wzbić znaczna grupa jeźdźców. Na wszelki wypadek jednak naładował broń.

Znowu spojrział na nią i zobaczył, jak osusza czoło małą koronkową chusteczką, która nie wiadomo skąd znalazła się w jej dłoni. Słodki zapach tej kobiety doszedł go ze wzmożoną siłą, burząc krew. Do licha, ona była niebezpieczna! Przy każdym spojrzeniu wydawała mu się coraz piękniejsza i coraz bardziej budziła pożądanie. A kiedy podnosiła na niego te swoje cudownie zielone oczy, musiał zmagać się z pierwotnym instynktem. Gdyby spotkał tę kobietę sześć lat wcześniej, po prostu posadziłby ją na siodło i uwiózł. Ale teraz należał do ludzi

"cywilizowanych" i nie wolno mu było ulegać głosowi natury.

A jednak instynkt był silny, zbyt silny, właśnie dlatego Colt nie miał odwagi zostać z nią i pomóc jej w kłopotach. Co innego, gdyby nie miała nikogo, kto by jej bronił, lecz sądząc po liczbie jeźdźców, jej obstawa była aż nadto liczna. Wtedy nie miałby wyboru, bo nie chciał, by ktokolwiek wyrządził jej krzywdę. Nieważne, że nie pochodziła stąd, znalazła się tutaj i przecięła jego ścieżkę. Od tej pory będzie się o nią martwił, dopóki nie będzie bezpieczna. Akurat mu to potrzebne!

- Ci tam to pani ludzie?

Jocelyn drgnęła na jego pytanie, od huku wystrzałów dzwoniło jej w uszach. Gorączkowo zastanawiała się, jak go przekonać, by zmienił decyzję i został. Nie chciała, aby odjechał i zniknął na zawsze. Była tego pewna, choć jeszcze nie wiedziała dlaczego.

Teraz ona również dostrzegła jeźdźców z sir Parkerem Grahame'em na czele.

- Tak, to moja eskorta wraz ze sporą częścią służby, sądząc po wielkości grupy.

- W takim razie będę się zbierał. Konie z zaprzęgu ludzie znajdą nad rzeką, jakieś dwa kilometry stąd na wschód - naturalnie, jeśli ktoś ich dotąd nie ukradł.

Z tonu głosu wyczytała to, co przemilczał. Jeżeli konie znikły, to nie ma tam i jego rzeczy.

- Dziękuję. Jestem pewna, że bez trudu je odzyskamy. Więc nie mogę liczyć na zmianę decyzji co do ...

- Jedzie w naszą stronę mała armia. Zatem nie jestem ci, pani, potrzebny.

- A jednak przydałby się nam przewodnik.

- Znajdziesz go w Tombstone.

Jocelyn, zaciskając szczęki, odprowadziła go do jego wierzchowca. Najwyraźniej nie potrafi go przekonać, aby dołączył do jej kawalkady.

- Gdzie jest to miasto, o którym wspominałeś? - zapytała, gdy siedział już na koniu.

- Jakies dwanaście kilometrów stąd, dokładnie po drugiej stronie San Pedro. Jest dość duże, trudno je przeoczyć.

- Czy przypadkiem tam nie mieszkasz?

- Nie, pani.

- Może sądzisz, że przypadkiem tam cię spotkam?

- Wątpię.

Nie odwrócił się do niej ani razu, kiedy szedł do swego konia, a teraz, spojrzawszy na nią, musiał przytrzymać się kulbaki. Widok rozczarowania na jej twarzy przyprawił go o ucisk w żołądku. O co, do diabła, jej chodzi? Czy nie rozumie, że patrząc na niego w ten sposób, naprasza się o kłopoty?

- Naprawdę, chciałabym, abyś jeszcze się zastanowił - poprosiła cicho, głosem, który wywołał jęk w jego duszy.

Jako dodatek do wszystkich emocji, które w nim rozbudziła, tego było już za wiele. Jak najszybciej powinien odjechać.

- Nie, pani. Niepotrzebne mi takie kłopoty.

Nie odgadła, że to ją ma na myśli, a nie jej położenie.

Odprowadzała go wzrokiem, czując wyrzuty sumienia za próbę wciągnięcia go w niebezpieczną sytuację. Miał rację, że odmówił. I tak bardzo jej pomógł. Ale, do licha, musi go jeszcze spotkać!

## Rozdział 6

Kiedy Ed Schieffelin planował zapuścić się w głąb dzikich terenów na południowo-wschodnich obrzeżach Arizony, gdzie aż się roilo od Apaczów, dowódca garnizonu w Forcie Huachuca ostrzegł go, iż może się tam dorobić co najwyżej własnego grobu. Doświadczony poszukiwacz złota nie przejął się tym ostrzeżeniem, a kiedy trafił na żyłę złota, natychmiast nazwał swą działkę "Tombstone"<sup>3</sup> Za nim ruszyli chmarą inni poszukiwacze, lecz to właśnie od działki Eda wzięło nazwę całe miasteczko, które wyrosło w tym miejscu w 1877 roku. Cztery lata później miasto mogło się już pochwalić jakimś pięciuset domami, z których co najmniej setka miała licencję na wyszynk alkoholu, a w mniej więcej pięćdziesięciu na wschodnim przedmieściu, tuż za Szóstą Ulicą, mieściły się burdele i salony gier, co nie jest taką znowu imponującą liczbą, biorąc pod uwagę fakt, że w mieście osiedliło się ponad dziesięć tysięcy ludzi.

Colt miał zwyczaj przeprowadzać wywiad na temat miasta, do którego zamierzał się udać, kiedy więc przejeżdżał przez Benson, dowiedział się o Tombstone wszystkiego, co mogło się ewentualnie przydać; wcześniej podobnie wypytał o Benson w czasie pobytu w Tucson. Teraz, kiedy zobaczył miasto na własne oczy, potrafił zrozumieć, co mogło zachęcić siedemnastolatka uciekającego do Meksyku, by zatrzymał się tu na jakiś czas. Miał nadzieję, że właśnie tutaj znajdzie wreszcie Billy'ego Ewinga. I lepiej dla chłopaka, aby tak się stało. Przed czterema miesiącami trafił na jego ślad w St. Louis, potem kilkakrotnie gubił trop i szczerze mówiąc, jego cierpliwość bliska była wyczerpania. To, co smarkacz zrobił Jessie ...

Jednak niełatwo będzie namierzyć siedemnastolatka w mieście tej wielkości. Wiedział od ludzi, że jest tutaj pięć sporych hoteli i sześć pensjonatów, ale kto wie, czy Billy posługuje się własnym nazwiskiem. Powiedziano mu też, że pora na wizytę w mieście nie jest najlepsza, bo lada chwila może dojść do rozgrywki pomiędzy bandytami grasującymi w okolicy a szeryfem i jego braćmi.

Przypomniawszy sobie o możliwości zamieszek, Colt stanął jak wryty na środku Toughnut Street. Dlaczego ta informacja umknęła mu z pamięci, kiedy rozmawiał z rudowłosą? Jadąc do Tombstone, zamierzał zabrać stamtąd Billy'ego, jak tylko go odnajdzie, tymczasem skierował tam taką kobietę. Czy tak go oszołomiła, czy podświadomie zapragnął, by pojechała w tym samym kierunku? Co za głupota! Teraz będzie musiał się z nią spotkać, aby ją uprzedzić, że mądrze zrobi, nie zatrzymując się tu na dłużej. Nie, spotkanie z nią będzie jeszcze większą głupotą. Przekaze jej wiadomość przez Billy'ego, kiedy już go odnajdzie.

Zły na siebie, z ponurą miną podciął konia i ruszył bezmyślnie naprzód. Dopiero po paru minutach zorientował się, że minął Trzecią Ulicę, gdzie powinien skrócić w lewo. Pensjonat Flya który mu polecono, znajdował się przy Fremont Street, pomiędzy Trzecią i Czwartą Ulicą, zamiast więc zawrócić, należało raczej skrócić w Czwartą Ulicę.

Miasto zbudowano na planie kwadratu: Toughnut, Allen, Fremont oraz Safford Street bieging z południa na północ, natomiast ulice od Pierwszej do Siódmej przecinały je z zachodu na wschód. Przejechał Allen Street i dalej wędrował wzdłuż Czwartej Ulicy, mijając po drodze usytuowany na rogu Saloon Hafforda, sąsiadujący z restauracją "Kan-kan" oraz kawiarnią po przeciwnej stronie. Odczuł ulgę na widok tych wszystkich restauracji i barów. Zdarzało się bowiem, że w niektórych mniejszych miasteczkach nie było ani jednego miejsca, gdzie można by coś zjeść.

W jednym z prześwitów między wolno stojącymi domami zauważył stajnię, z której, być może, później skorzysta. Najpierw jednak musi zapewnić sobie nocleg i przeczesać wszystkie kwatery w poszukiwaniu Billy'ego. Jadąc dalej, minął warsztat blacharski, probiernię kruszcu oraz sklep meblowy. Skład z bronią Spangenburga znajdował się prawie na końcu kwartału, za nim, na

---

<sup>3</sup> Dosł. nagrobek (przyp. tłum.)

rogu, stał Capital Saloon; skręcił przy nim w lewo we Fremont Street, żeby wrócić na Trzecią Ulicę. Obok saloonu znajdowała się redakcja jednej z dwóch tombstońskich gazet - "Nugget", a po przeciwnej stronie ulicy miała swą siedzibę konkurująca z nią "Epitah".

Wreszcie, niemal na końcu kwartału, dostrzegł szyld pensjonatu Flya i puścił konia truchtem. Nadzieja, że Billy zatrzymał się akurat tutaj, była raczej znikoma, więc reszta dnia zejdzie mu prawdopodobnie na poszukiwaniach. Zapewne będzie musiał też zajrzeć do wielu saloonów, co w jego wypadku zawsze oznaczało większą możliwość kłopotów. Ale skutek swego nastroju nieszczególnie się tym przejmował.

Billy Ewing nerwowym gestem przecesał złotokasztanowe włosy, zanim nalał sobie następną szklaneczkę trunku, sprzedawanego w barze i salonie gry "Orient" jako whisky, a zwanej potocznie czterdziestobatówką z tej racji, że ogarniał po niej kompletny paraliż, zupełnie jak po czterdziestu batach. Miał świadomość, że znalazł się w poważnych kłopotach, i nie widział sposobu, jak z nich ująć z życiem. Wydawało mu się, że bar "Orient" będzie ostatnim miejscem, w którym jego nowy "przyjaciel" zechce się pokazać, jako że Wyatt Earp był jednym ze współwłaścicieli tej szczególnej spelunki, a jedną ze spraw, które właśnie Billy odkrył, było istnienie zacieklego sporu pomiędzy braćmi Earp a gangiem Clantonów. Niestety, Earpów nie było w pobliżu, natomiast odnalazł go jego nowy przyjaciel, Billy, najmłodszy z braci Clantonów.

Jak zwodnicza potrafi być powierzchowność! Czy ktoś, kto nie znał tutejszych układów, odgadłby, że szesnastoletni - a kto wie, czy nawet nie młodszy - Clanton jest mordującym z zimną krwią zbir? Chryste!

Billy natknął się na Clantona w Benson, a kiedy się zgadali, że następnego dnia obaj jadą do Tombstone, postanowili podróżować razem. Billy'ego ucieszyło towarzystwo kogoś, kto zna te tereny, a jeszcze bardziej uradowała go propozycja. roboty na ranchu Clantonów w pobliżu Galeville. Znał się na tym zajęciu, bo lato zazwyczaj spędzał w Wyoming u swojej siostry, a teraz bardzo potrzebował pracy, bo właśnie kończyły mu się pieniądze. Okazał się jednak niewiarygodnie naiwny. Usiłował udawać kogoś, kim nie był, nie zadał pytań, które należało postawić, i w efekcie odkrył, że wylądował nie na ranchu, lecz w gangu złodziei bydła i rabusiów stanic oraz konwojów. A rancho pod Galeville było po prostu ich kwaterą.

Już pierwszego wieczoru ostrzegło go paru górników z kopalni Mountain Maid, którzy widzieli, jak wjechał do miasta z Clantonem. Nie uwierzył. Ale to samo powtarzali wszyscy zapytani. Banda Clantonów działała na tym terenie od lat i z tego powodu miała na pieńku z szeryfem z Tombstone. Znano ich pod tą samą nazwą od czasów Starego Clantona, który założył gang. Stary Clanton zginął parę miesięcy temu, a jego miejsce zajął Kędzierzawy Bill Brocius.

W skład gangu, oprócz Billa Brociusa i trzech jego braci: Ike'a, Finna i Billy'ego, wchodzili inni znani awanturnicy z Tombstone. Jednym z nich był John Ringo, który, jak wieść niosła, brał udział w walkach w Manson County i w Teksasie, a jakiś czas temu zastrzelił Louisa Hancocka w saloonie na Allen Street. Często też wymieniano Franka i Toma McLaurych, podobnie jak i Billy'ego Claibome'a, kolejnego zawadiakę, który życzył sobie, aby nazywać go Billy Kidem, odkąd prawdziwy Billy Kid stracił życie. Claiborne zdążył zastrzelić trzech ludzi za to, że naśmiewali się z jego manii wielkości, a Ike i bracia McLaury odbili go z więzienia w San Pedro już w pierwszą noc po osadzeniu go tam za trzecie zabójstwo.

Młody Billy Clanton był zamieszany w napad - nazwany Masakrą w Kanionie Guadalupe - który przyczynił się do śmierci jego ojca. Ewing zdążył już co nieco usłyszeć o tej akcji Clantonów. W lipcu tegoż roku gang napadł na karawanę mułów przewożącą srebrne sztaby przez góry Chiricahua i zabił dziewiętnastu konwojujących ją Meksykanów. Stary Clanton zginął kilka tygodni później wraz z paroma innymi bandytami w zasadzce zastawionej przez kolegów



zabitych konwojentów, kiedy przepędzał stado ukradzione w Meksyku przez te same góry. Młodego Clantona z nimi nie było, chociaż - jak ogólnie wiadomo - parał się kradzieżą bydła, odkąd skończył dwanaście lat.

Jak to możliwe, że on, Billy Ewing, zaplątał się w coś takiego? Jeszcze nie mógł w to uwierzyć. A najgorsze, że nie wiedział, jak się wywinąć z tej sytuacji. Usiłował... Oznajmił młodemu Clantonowi, że się wycofuje. Jednakże posądzenie o tchórzostwo i sposób, w jaki szczeniak położył rękę na swoim sześciostrzałowym rewolwerze, zmusiły go do zmiany decyzji. Potem starał się unikać Clantona. Ale jutro ma razem z nim pojechać na rancho. Czy jeśli się nie stawi, Clanton będzie go szukał? A jeżeli wyjedzie z miasta dziś wieczorem, czy cały ten cholerny gang nie ruszy za nim w pogoń?

- To miejsce jest martwe, chłopie. Może pójdziemy do "Alhambry" albo do baru Hacha?

Billy spojrzał na pozajmowane stoły i tłok przy barze oraz w połowie zapełnioną część ze stołami do gry, gdzie urzędowali górnicy z porannej zmiany. Martwe? Obawiał się, że jego "przyjaciel" szuka okazji do rozróbki w ostatni wieczór przed wyjazdem z miasta.

- Jest wcześniej. Słońce nawet nie zaszło - odparł. - Wpadłem tu na jednego po drodze na kolację do restauracji "Nowy Orlean". Masz ochotę do mnie dołączyć?

Zapytał tylko przez uprzejmość, ucieszyła go więc odpowiedź: - Nie chce mi się jeść, a z ciebie coś słaby pijak, nie? Gadasz też jakoś śmiesznie, jak niektóre eleganty ze Wschodu. Że też tego wcześniej nie zauważyłem! Skąd ty mówiłeś, że jesteś?

- Nie mówiłem - odparł czujnie Billy. - Czy to ma jakieś znaczenie?

- Chyba nie, ale ... ty, popatrz tylko! - Clanton wyprostował się w krzesło, machinalnie opierając prawą dłoń na rękojeści rewolweru, wpatrzony w przybysza, który właśnie wszedł przez wahadłowe drzwi. - Ani Apacz, ani Komancz, ale wyczuwam indiańca na kilometr, bezbłędnie każdego rozpoznam. Może by tak trochę ożywić to miejsce ...

- O cholera! - jęknął Billy i naciągając kapelusz na czoło, skulił się na krzesło. - O cholera!

Clanton popatrzył na niego z pogardą.

- Znasz go czy aż tak się boisz tych kundli?

A podobno to Ike, jego brat, najgłośniejszy z nich wszystkich się przechwał! Billy miał dość Clantona, obojętne czy był niebezpieczny, czy nie.

- Nie bądź głupi - syknął do młodszego od siebie i znacznie niższego wyrostka. - To nie jest zwyczajny mieszaniec, wychowany wśród białych. Jeszcze parę lat temu był prawdziwym wojownikiem Czejenów, a kiedy odszedł z plemienia, nauczył się świetnie posługiwać rewolwerem. Nie widziałem szybszego niż on.

Clanton, który uważał się za wyborowego strzelca, puścił tę uwagę mimo uszu.

- Więc go znasz? Czy on cię czasem nie szuka?

- Nawet o tym nie myśl! - warknął Billy na widok zaczepnego uśmiechu swego towarzysza.

- Ale on idzie prosto do nas.

Billy zaryzykował spojrzenie w górę i zobaczył wbite w siebie niebieskie oczy, znacznie jaśniejsze od jego, które zdawały się przewiercać go na wylot. Gdyby mógł, schowałby się pod stół.

- Colt! - jęknął z rezygnacją na powitanie.

W odpowiedzi przybysz skinął lekko głową, już nie patrząc na niego, skupiony na Clantonie, który podnosił się z krzesła. Zanim wyrostek zdążył się wyprostować, Colt wyciągnął rewolwer i pokazał mu, że ma usiąść, co tamten uczynił, blednąc i wytrzeszczając oczy.

Billy podniósł się powoli, bardzo powoli, czując przyptyw ulgi, dopiero gdy Colt schował rewolwer. Colt nie powiedział ani słowa i Billy nie sądził, że się odezwie. Nie tutaj. Ale za to później ...

Clanton poczerwieniał na twarzy, zły, że dał się tak łatwo usadzić, ale nie ponowił próby. Jednak

nie zamierzał siedzieć cicho, nie przy świadkach, zwłaszcza że jednym z nich był barman Earpa, Buckskin Frank Leslie. Nikt w barze nie odezwał się słowem, lecz mieszaniec ściągnął na siebie uwagę już przy wejściu i wszyscy widzieli, jak bez jednego słowa zmusił młodego Clantona do posłuszeństwa.

- Ewing, nie musisz z nim iść, bez względu na to, co zrobiłeś. Masz teraz wsparcie. Kiedy powiem braciom ...

- Nie fatyguj się, Clanton - odparł Billy z westchnieniem, czując wyraźną ulgę, gdy uzmysłowił sobie, że Colt właśnie wybawił go z kłopotu. Nawet posłał uśmiech swemu świeżo poznanemu "przyjacielowi". - Muszę z nim iść.

- Do diabła ...

- Oj, piekło to on mi robi - przerwał Billy, uśmiechając się jeszcze szerzej, zanim dokończył - bo, wiesz, to jest mój brat.

## Rozdział 7

Żarty się skończyły. Billy przestał suszyć zęby, kiedy tylko stanął na trotuarze przed barem "Orient", czekając na Colta, który wycofał się przez wahadłowe drzwi, skoczył w bok i dopiero wtedy zdjął rękę z kolby rewolweru. Billy poczuł mdłości. Colt Thunder tutaj? Nie ma mowy o przypadku.

- Gdzie twój koń? - zapytał oschle Colt.

Billy wykrzywił się na widok potężnego ogiera z nakrapianym zadem, przywiązanego przed sąsiednim saloonem.

- Przyszedłem pieszo z hotelu, zatrzymałem się w "Nobles".

- W takim razie idziemy.

Billy niemal dorównywał Coltowi wzrostem, a jednak miał wrażenie, że potyka się o własne nogi, usiłując dotrzymać mu kroku, kiedy ruszyli drewnianym trotuarem.

- Colt, nie przypuszczałem, że wyśle ciebie za mną. Przysięgam, że nie.

- Myślałeś, że sama będzie cię ścigać?

- Ależ nie! Uważałem, że matka napisze do Jessie i sądziłem, że poprosi Chase'a, by mnie odszukał. Zawsze się na niego zdawała, kiedy potrzebowała pomocy.

- Tak było, zanim ożenił się z Jessie. Prawdopodobnie wybór padłby na niego, gdyby akurat był w domu. I to nie twoja matka mnie posłała, tylko Jessie. Wymyśliła sobie, że bez problemu cię wytropię.

- Tak mi przykro - powiedział Billy łamiącym się głosem.

- Poczekaj, aż się zastanowię, czy nie sprać cię na kwaśne jabłko. Dopiero wtedy będzie ci przykro.

Billy schował głowę w ramiona. Żałował, że nie widział miny Colta, kiedy to powiedział, bo ciągle szedł parę kroków przed nim i nawet nie raczył się obejrzeć. Niestety, raczej nie miał wątpliwości, że Colt mówi serio. Wszystko zależy od tego, jak bardzo jest zły. A jak się głębiej nad tym zastanowić, wyraz jego twarzy niewiele by mu powiedział, bo świetnie potrafił maskować emocje, jeśli tego chciał.

Ostatnie lata były dla Billy'ego jednym pasmem niespodzianek. Został wychowany w Chicago przez swoją matkę, Rachel, i ojczyma, chociaż nie wiedział, że Jonathan Ewing był tylko jego ojczymem. Nie miał także pojęcia o istnieniu siostry, dopóki nie zmarł ojciec Jessie i Rachel nie pojechała do Wyoming, żeby zająć się córką. Miał wtedy zaledwie dziewięć lat i spotkanie z kimś takim jak Jessie było pamiętym doświadczeniem. Ojciec wychował ją jak chłopaka, potrafiła prowadzić ranczo, które zostawił jej w spadku, i robiła to nie mniej sprawnie niż mężczyzna. Chodziła w bryczesach, nosiła broń i wiedziała wszystko o hodowli bydła. Billy ją uwielbiał i był zachwycony, kiedy się dowiedział, że jest jego prawdziwą, a nie tylko przyrodnią siostrą, bo jego ojcem również był Thomas Blair.

Niestety, Rachel wróciła do Chicago, zabierając Billy'ego ze sobą, i minęło parę lat, nim znów przyjechał na ranczo do Rocky Valley. Był tam akurat, kiedy po raz pierwszy zjawiał się u nich Colt, tyle że wtedy nazywał się Biały Grzmot.

Naturalnie, Billy znał go wcześniej ze słyszenia. Waleczny Czejen od wielu lat był najbliższym przyjacielem Jessie, ale nigdy dotąd nie przyjeżdżał na ranczo. Kiedy go zobaczył, nie od razu domyślił się, że to on, a po tych wszystkich historiach i problemach z Siuksami i z Czejenami, których się nasłuchał, widok Indianina pędzącego na koniu był - delikatnie mówiąc - przerażający, tym bardziej, że ten akurat Indianin sprawiał wrażenie dzikusa.

Na wpół nagi, z rozwianymi włosami sięgającymi połowy pleców ... nie, zdecydowanie nie wydawał się cywilizowany, dopóki nie zobaczyło się go z Jessie i nie usłyszało, jak mówi po angielsku. I to wcale nie gładką, poprawną angielszczyzną, jakiej zapewne uczono Indian, lecz jej

zachodnią, śpiewną odmianą, co wcale nie było takie dziwne, skoro nauczył się języka od Jessie. Jedenastoletniego Billy'ego Biały Grzmot fascynował nie mniej niż Jessie. Ponieważ nie został dłużej na ranchu, nie był świadkiem jego transformacji w "białego człowieka", ledwo więc go rozpoznał, kiedy niecały rok później przyjechał do nich na Wschód wraz z Jessie i Chase'em na ślub Rachel z Carlosem Silvelą, który był ojcem Chase'a. Lecz nawet wtedy tkwiło w nim coś, co sprawiało, że nie czuł się całkiem swobodnie w jego obecności, pomimo że Colt wydawał się otwarty i sympatyczny. I jak sądził, zawsze będzie się przy nim czuł nieswojo, zwłaszcza, że po wypadku w 1878 roku, kiedy o mało nie stracił życia, bardzo zamknął się w sobie.

Wtedy właśnie Billy dowiedział się, że Colt nie jest zaledwie przyjacielem Jessie, ale jej przyrodnim bratem, a więc również i jego, bo ojcem ich wszystkich był Thomas Blair. Niestety, ta wiedza nie zbliżyła go do Colta, a przynajmniej nie doprowadziła do takiej więzi, jaka istniała między Coltem a Jessie. Brat czy nie brat, niemniej, nawet nie kiwając palcem, przerażał go bardziej niż dziesięciu Billy'ów Clantonów razem wziętych.

- Kim był ten smarkacz w gorącej wodzie kąpany? - zwrócił się do niego Colt, jakby czytając w jego myślach.

Wyjaśnił mu, niewiele myśląc, i w tej samej chwili poczuł, jak Colt chwyta go za kołnierz i przyciska do ściany sklepu z siodłami, który akurat mijali.

- Człowieku, czyś ty zostawił rozum na Wschodzie? Ledwie wjechałem w te rejony, a już zdążyłem się tyle nasłuchać o tej bandzie, by wiedzieć, że lepiej ich unikać.

- A ja nic nie słyszałem - bronił się Billy. - Przynajmniej dopóki nie było za późno. - I nie mając odwagi spojrzeć Coltowi w oczy, wyznał: - Prawie nająłem się u nich, myślałem, że będę pracował na ranchu.

- Ty głupi gów ...

- Rany boskie, Colt, nie miałem pojęcia, w co wdepnąłem! Kończyły mi się pieniądze.

- Wystarczyło zatelegrafować do domu.

- Gdybym tak zrobił, musiałbym wrócić do domu, a nie sądzę, by moja matka była gotowa spojrzeć na sprawy z mojego punktu widzenia

- Czy jest gotowa, czy nie, cholera, mniejsza z tym.- Puścił Billy'ego, oglądając się na "Orient", ale nikt nie pojawił się; w drzwiach, odkąd opuścili bar. Szli dalej w kierunku konia, Colt co rusz spoglądał za siebie przez ramię.

- Wycofałeś się?

- Próbowałem, ale, jak sam powiedziałaś, młody Clanton jest porywczy. Nie chciał przyjąć do wiadomości mojej odmowy.

- Dobra, nie przejmuj się. Jeżeli ktokolwiek zechce ci przeszkodzić w wyjeździe z miasta, będzie miał ze mną do czynienia. Wymeldujemy cię z hotelu i ...

Coltowi uciekła myśl na widok stalowoniebieskiej karety, toczącej się ulicą w ich kierunku, w otoczeniu dwunastu zbrojnych ludzi na koniach. Jechał za nią jeszcze jeden, mniejszy powóz, a zza niego wyłonił się następny. Kawalkadę zamykały trzy duże wozy załadowane bagażami i zapasami, przy których szły cztery pełnej krwi konie pod wierzch, najwspanialsze, jakie dotąd widział na zachodnim brzegu Missisipi.

- Chryste, a to co za ... ?

Pytanie Billy'ego ledwo przedarło się do świadomości Colta. To samo pytanie zadawali sobie wszyscy z wyjątkiem niego. Przechodnie na ulicy przystawali, gapiąc się w osłupieniu, ludzie wybiegali ze sklepów i wychylali się z okien, żeby lepiej widzieć. Połowa dzieciarni z miasta biegła wzdłuż orszaku, podekscytowana, jakby do miasta zawitał cyrk.

- Myślałem, że przyjechała znacznie wcześniej - mruknął z roztargnieniem, nie spuszczać oczu z karety.

Billy rzucił mu zdziwione spojrzenie, jakby co najmniej oznajmił, że księżyc ma kolor zielony.

- Znasz tych ludzi?

Colt ocknął się z zadumy, zszedł z chodnika i zaczął odwiązywać konia, odwrócony plecami do ulicy ... do niej.

- Spotkałem damy z tej karety na drugim brzegu San Pedro. Świta została z tyłu, a kareta się wywróciła, trzeba więc było im pomóc.

Uwagi Billy'ego nie uszło celowe ignorowanie przez Colta spektaklu rozgrywającego się na ulicy.

- Hmm, na drugim brzegu rzeki? Co robiłeś tak daleko stąd na Zachód?

- Zazwyczaj poruszam się wzdłuż rzeki, omijając drogi. Unikam w ten sposób niepożądanych spotkań.

Billy zmarszczył się, rozumiejąc, co ma na myśli.

- Więc co to za jedni?

- Damy są Angielkami. Nie poznałem ich eskorty, ale sądząc po wyglądzie, wszyscy są cudzoziemcami.

- Najwyraźniej - przytaknął Billy.

Wpatrywał się w woźnicę jednego z wozów. Ubrany w luźną białą szatę, miał na głowie, zamiast kapelusza, coś w rodzaju dużej chusty. Dwunastu strażników też było dziwnie odzianych. Wszyscy mieli identyczne amarantowe kaftany z krótkimi pelerynkami, granatowe pantalony z czarnymi atłasowymi lampasami i wysokie trójgraniaste kapelusze.

- Ej, oni się zatrzymują! - oznajmił zaskoczony Billy.

- Chryste, ona tego nie robi ... Nie tu, przed samym saloonem! - Colt zaklął, odwracając się gwałtownie.

Ona jednak zatrzymała karete, a jeden ze strażników rzucił się, żeby otworzyć drzwi. Zanim Colt zdążył wskoczyć na konia, mignęły mu przed oczyma płomiennorude włosy.

- Ta kobieta ma tyle samo rozumu co ty, Billy.

- Dlaczego? Po prostu wysiadła z karety i... Wiesz, ona chyba chce z tobą rozmawiać.

Colt nie obejrzał się. Sama świadomość, że dzieli ich zaledwie kilka metrów, wzburzyła w nim krew.

- Nic z tego. Spotkamy się przed twoim hotelem.

- Nie poczekasz i ... - Oczy Billy'ego zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Wiesz, jak zareagowaliby ci wszyscy ludzie, gdyby zobaczyli, że rozmawia z kimś takim jak ja.

- Może nauczyłaby ich czegoś o ocenianiu ludzi wedle ich wartości - zachnął się Billy. Nie cierpiał, kiedy Colt się poniżał.

On jednak nie miał zamiaru z nim dyskutować. Spiął konia i odjechał. Billy stał zapatrzony w rudowłosą piękność. Zatrzymała się pośrodku ulicy i, wyraźnie rozczarowana, odprowadzała Colta spojrzeniem. Billy najchętniej kopnąłby swego przyrodniego brata w zadek - naturalnie, nigdy by się na to nie zdobył, niemniej nasza go taka chęć.

Chcąc nie chcąc, Colt i tak zrobił wrażenie, ponieważ wszyscy bez wyjątku ją obserwowali, by zobaczyć, do kogo zmierza i z kim chce rozmawiać. Jedno było pewne: nie chodziło jej o Billy'ego, gdyż po odjeździe Colta elegancka rudowłosa dama zawróciła do karety i po wymianie kilku słów ze strażnikami, pojechała dalej.

## Rozdział 8

Vanessa otworzyła drzwi swego apartamentu w "Grand Hotelu" i przyłapała w holu rozchichotaną Babette na rozmowie z Sidneyem, jednym z dwóch forysiów, który smalił do niej cholewki.

- Chodź no tu, dziewczyno! - poleciała zniecierpliwiona, posyłając Sidneyowi pełne dezaprobaty spojrzenie, po którym natychmiast zniknął. - Udało mi się namówić księżną, żeby się położyła z zimnym kompresem, ale nie uspokoi się, dopóki nie usłyszysz, czego dowiedział się Alonzo. - Rozumiem, że znasz jego relację?

- Naturalnie. - Babette uśmiechnęła się promiennie i potrząsając starannie ułożonymi, złotymi lokami, pośpiesznie weszła do komnaty. - Alonzo, on znaleźć, gdzie Amerykan pojechać, ale jak długo zostać ... - uniosła ramiona.

- Cóż, obojętne, co księżna zamierza, dobrze, że nie wyjechał, chociaż nie mam pojęcia, czego ona chce. Sama mówiła, że nie zgodził się nająć. - Vanessa z zafrasowaną miną zapatrzyła się na zamknięte drzwi do sypialni Jocelyn. - Jak się nad tym zastanowić, może byłoby lepiej, gdyby go więcej nie spotkała. Nie pamiętam jej takiej płaczliwej od tamtych miesięcy po śmierci diuka.

- Nic dziwnego, po tym wszystkim, co się dzisiaj działo ...

- Tak, wiem, wiem - odparła Vanessa, ciągle nie mogąc się nadziwić, że żaden z ludzi nie odniósł poważniejszych obrażeń podczas zasadzki. Dwóch mężczyzn było lekko rannych i lekarz kazał im się położyć, lecz mogli podróżować, gdyby zaszła taka potrzeba. - Ale ona nie dlatego płacze. Ten nieokrzesaniec wyprowadził ją z równowagi. Żeby tak ją zignorować!

- Może on pani nie zauważył, nie?

- Może.

Vanessa ani przez chwilę w to nie wierzyła. Zaskoczyło ją żywe zainteresowanie Jocelyn tym mężczyzną i nie była pewna, czy należało z nim szukać kontaktu, szczególnie po tym, co usłyszała od Jocelyn o ich spotkaniu. Wydawał się, hmm ... bardzo niekonwencjonalny.

- Czy Alonzo dowiedział się również, kim on jest? Babette otworzyła szeroko swe jasnoniebieskie oczy, przywołując w pamięci tę część raportu.

- O tak, ale myślę, że pani nie będzie zachwycona.

- Nie podejrzewam - odparła cierpko Vanessa. - W takim razie chodźmy.

Hrabina delikatnie zapukała do drzwi, zanim weszły do pogrążonej w półmroku sypialni. Słońce dopiero zaszło, niebo w kolorze lawendy rozświetlało wnętrze przez otwarte okna, więc od razu zauważyły, że Jocelyn nie śpi; na ich widok usiadła na łóżku, wpatrując się z oczekiwaniem w młodą pokojówkę.

Vanessa dała znak Babette, by pozapalała lampy.

- Pozwoliłam sobie zamówić lekki posiłek do numeru, powinni go niebawem przynieść - zwróciła się do Jocelyn. - Nie wiem, jak ty, ale ja nie mam siły przebierać się do kolacji.

- Vana - Jocelyn z niepokojem popatrzyła na przyjaciółkę - to nie ja, lecz ty powinnaś była położyć się z powodu tego bólu głowy, który męczył cię rano. Ja się dobrze czuję ...

- Ale nie zaszkodzi ci lekki posiłek i trochę odpoczynku - weszła jej w słowo Vanessa tonem nieznośnym sprzeciwu.

Jocelyn westchnęła. Lepiej nie sprzeciwiać się Vanessie, kiedy ogarnia ją przyływ macierzyńskich uczuć. Matkuje jej dzisiaj od chwili, gdy się rozkleiła, kiedy znalazły się w apartamencie. Spojrzała na Babette krążącą między lampami. W samej tylko sypialni było ich sześć.

Apartament okazał się bardzo wygodny, o wiele bardziej komfortowy, niż się spodziewały - miasta na Zachodzie przeważnie były małe, a hotele w nich obskurne. To było pierwsze miasto, które odwiedziły w tych stronach, i były mile zaskoczone jego wielkością, podobnie jak

wyborem hoteli. Co prawda "Grand" nie umywał się do luksusowych hoteli na Wschodnim Wybrzeżu, ale widać było, że stara się im dorównać. Poza tym udało im się wynająć całe pierwsze piętro, co było idealnym rozwiązaniem ze względu na bezpieczeństwo.

- No już skończ, Babette - poleciła Jocelyn z rosnącym zniecierpliwieniem. - I czego dowiedział się Alonzo?

Francuzeczka uśmiechnęła się triumfalnie, widząc, że Jocelyn przejrzała jej grę na zwłokę.

- Nie jest tak źle. Przynajmniej Alonzo uważa, że to sprawa uprzedzeń. Metys jest traktowany jak Indianin, a na nich tutaj patrzą z góry.

- Z pogardą?

- Żeby ukryć strach, rozumie pani? Bo Indianin, on ciągle budzi tu lęk. Napada, zabija i ...

- Który Indianin? Och, masz na myśli Indian jako takich!

- Apaczy. My słyszeć o nich w Meksyku, nie?

- Tak, ale nie przypominam sobie, by mówiono, że nadal są wrogo nastawieni.

- Oprócz Geronimo<sup>4</sup>. Alonzo mówi, że on jest renegatem i ukrywa się z grupą Indian w Meksyku. Czasem jednak zapuszcza się na tę stronę granicy.

- No dobrze; ale Colt Thunder nie jest półkrwi Apaczem, on jest Czejenem - podkreśliła Jocelyn.

- Czego Alonzo dowiedział się o Czejenach?

- Nie są tu znani.

- Więc dlaczego pan Thunder uważa, że powinnam się od niego trzymać z daleka?

- Zdaje się, że umknęło ci najważniejsze, moja droga - wtrąciła Vanessa. - Uprzedzenia nie dotyczą jednego plemienia. Wygląda na to, że na zachodnich terytoriach wszyscy Indianie są tak samo traktowani, niezależnie od tego, z jakiego plemienia się wywodzą.

- Ależ to absurdalne! - oburzyła się Jocelyn. - I jakie niesprawiedliwe. Poza tym w panu Thunderze nie ma nic odpychającego. Uważam, że zachowywał się uprzejmie, w większości ... uprzejmie. I okazał się niezwykle pomocny. Mój Boże, w ciągu niecałej godziny dwukrotnie uratował mi życie! Poza tym był niecierpliwy, impulsywny, kłótlivy i zdecydowanie negatywnie nastawiony do przedłużania znajomości, lecz wolała to przemilczeć.

- Jocelyn, kochanie, jesteśmy wdzięczni temu człowiekowi za to, że w porę przyszedł ci na ratunek. Naprawdę. Natomiast jego postawa jest jednoznaczna, dowiódł tego po południu. Wyraźnie cię unikał.

- Teraz potrafię go zrozumieć. Tak samo zachowywał się rano - jakbym samym tylko przebywaniem w jego towarzystwie popełniała jakąś poważną gafę. To niemądre.

- On najwyraźniej uważa inaczej.

- Wiem, on myślał, że unikając mnie w mieście, chroni moje dobre imię. To bardzo szlachetne, niemniej zbyteczne. Nie pozwolę, aby jakieś przesady miały wpływ na moje postępowanie. I nie obchodzi mnie ludzkie gadanie. Mam ochotę na znajomość z nim, więc zrobię, co zechcę. Nikt mi tego nie może zabronić.

Vanessa uniosła jasną brew na widok stanowczego podbródka Jocelyn. Dawno temu, podczas jednej z pierwszych rozmów, diuk zapewniał ją, że jego księżna jest najśłodsza, najbardziej potulną i zgodną istotą. Vanessa miała na ten temat odmienne zdanie.

- A jaki rodzaj znajomości masz na myśli? - zapytała ostrożnie, podejrzewając, że z góry zna odpowiedź.

---

<sup>4</sup> Wódz Apaczów, który przeciwstawiając się zamykaniu Indian w rezerwach, kierował w latach 1876-1886 najazdami na osady w Meksyku i w południowo-zachodniej części terytorium Ameryki Północnej (przyp. tłum.).

Jocelyn wzruszyła ramionami, ale zdradził ją błysk zielonych oczu:

- Och, nie wiem. Może taką, o jakiej rozmawialiśmy z samego rana.
- Obawiałam się, że to właśnie usłyszę.



## Rozdział 9

- Ja otworzę! - zawołał Billy i zeskoczył z łóżka, skąd przyglądał się, jak Colt goli rzadki zarost pod nosem, te parę włosków, które zapewne by powyrywał, jak to miał w zwyczaju, gdyby mu się tak nie śpieszyło.

Zanim jednak zdążył dotknąć klamki, usłyszał trzask odciąganego kurka i zrozumiał, że popełnił kolejny błąd. Nie otwiera się drzwi ot tak, po prostu, w mieście, gdzie trzeba liczyć się z kłopotami. Najpierw należy się upewnić, kto puka, lub - jak to uczynił stojący za nim Colt - przygotować się na wszelki wypadek. Billy Clanton nie wyjechał jeszcze z miasta. I chociaż mało prawdopodobne, by odnalazł ich lokum, nie jest to całkiem niemożliwe.

Myślał, że Colt naskoczy na niego tak jak wczoraj wieczorem, kiedy zapomniał zamknąć na klucz drzwi pokoju, który zajmowali, ale dziś najwyraźniej był w lepszym humorze.

- No, otwórz - powiedział jedynie, kiedy Billy zawahał się przy drzwiach. - I zejdź z linii ognia.

Słyszając tę radę, Billy nerwowo przełknął ślinę, po czym przekręcił klucz i otworzył drzwi na oścież, chowając się jednocześnie za nimi. Kiedy podróżował sam, nie pamiętał o środkach ostrożności, nie wietrzył niebezpieczeństwa na każdym kroku. Co prawda Jessie uczulała go na takie sprawy, ale podczas tej eskapady na Zachód wyleciało mu z pamięci wszystko, czego go nauczyła. Cud, że dotąd się uchował.

Tym razem ostrożność okazała się zbyt cenna. W holu stało dwóch mężczyzn, żaden z nich nie był Clantonem i obaj zamarli na widok Colta, który stojąc w głębi pokoju w samych tylko spodniach i mokasynach, celował do nich z rewolweru. W pierwszym momencie Billy zdziwił się, że Colt odwrócił się błyskawicznie i wsunął rewolwer do kabury zahaczonej o stojak umywalki, ale po chwili on także rozpoznał ludzi z orszaku. Mężczyźni dalej stali jak wryci, mimo że nie patrzyli już w lufę colta 45. Niewątpliwie przestraszyli się rewolweru, lecz na dobre odebrał im mowę widok pleców Thundera, kiedy ten chował broń.

Na szczęście Colt nie był tego świadomy. Nic bardziej go nie złościło aniżeli szok wywołany widokiem jego blizn. Jessie twierdziła, że jego złość wynika z dumy, bo on nie chce, by ktokolwiek się domyślał, jak strasznie musiał cierpieć, skoro te blizny tak wyglądały. Jakakolwiek była przyczyna, Colt potrafił być bardzo przykry, jeżeli wyczuł choć nutę współczucia. Wolał, by go nienawidzono, niż żalowano.

Billy wysunął się zza drzwi, chcąc odciągnąć uwagę przybyłych od Colta.

- Panowie, czym mogę służyć? - zapytał uprzejmie, przypominając sobie o dobrych manierach.

Wyższy z nich, mniej więcej wzrostu Billy'ego, lecz wiekiem zbliżony do Colta, miał krótko ostrzyżone kasztanowe włosy i brązowe oczy.

- Panie, czy mam przyjemność z Coltem Thunderem? - odpowiedział pytaniem, nadal nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia.

W tym pytaniu pobrzmiwało tyle nadziei, że Billy nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- Niestety, nie.

Posłańcy, wyraźnie zbici z tropu. wymienili spojrzenia, lecz wyższy nie dał za wygraną:

- Tak też mi się wydawało, hm, no cóż ... - A potem, zaglądając w głąb pokoju, dodał nieco głośniej: - Mamy wiadomość dla pańskiego towarzysza, jeżeli jest nim pan Colt.

Billy uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Panie Thunder, wiadomość dla pana! - powtórzył, celowo zwracając się do Colta per "pan", wiedział bowiem, że on tego nie cierpi.

- Słyszałem, lecz nie jestem zainteresowany.

Wesołość opuściła Billy'ego, odwrócił się, by spojrzeć na Colta, który właśnie naciągał koszulę. Colt może sobie nie być zainteresowany, ale on jest cholernie ciekawy, bo doskonale wie, od kogo ta wiadomość.

- Oj, Colt, to tylko wiadomość. Nic ci się nie stanie, jeśli się dowiesz, o co chodzi.

Colt zbliżył się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, choć Billy gotów był przysiąc, że dostrzegł u niego pierwsze oznaki zniecierpliwienia, kiedy tylko ci dwaj się zjawili. Nie zapiął koszuli, lecz zatknął ją tylko za brzeg spodni. Być może przybysze cofnęli się od drzwi na widok czarnej koszuli i czarnych spodni Colta, ale raczej zaskoczył ich jego wzrost.

- No, to posłuchajmy - rzucił szorstko.

Wyższy z posłańców odchrząknął, bo widocznie to jemu przypadła rola herolda.

- Jej wysokość, duchess Dowager Eaton, ma zaszczyt...

- Co takiego? - przerwał mu Colt.

- Rety, angielska księżna! - wydukał równocześnie z nim Billy.

Colt zmiażdżył go spojrzeniem.

- Do diabła, o czym on ... ?

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz ... jasne ... skąd mógłbyś ... ?

- No, wyduś to z siebie, zanim się udławisz.

Billy zaczerwienił się, w podnieceniu zapominając o lęku przed Coltem.

- Duchess to tytuł angielskiej arystokratki, żony diuka. Arystokraci w Anglii dzielą się na bardziej i mniej, znaczących - baronów, hrabiów i różnych innych. Można to porównać ~. wodzami plemienia i szczepów. Poza rodziną królewską jednak najwyżej w hierarchii stoi diuk i duchess.

Colt spojrział badawczo na dwóch posłańców

- Jest tak, jak on mówi?

- Mniej więcej - odparł drugi z przybyszów, uznając, że nie będzie się wdawać w szczegóły dotyczące wielkości majątku i wpływów, skoro marzył tylko o tym, by wreszcie stąd wyjść. - Tak jak wspomniałem, panie Thunder, jej wysokość ma zaszczyt prosić, by przyszedł pan w południe do "Mais" ... "Maisy" ...

- "Maison Doree" - odpowiedział mu szeptem jego towarzysz.

- Właśnie, do restauracji "Maison Doree".

Mężczyzna uśmiechnął się, zadowolony z wypełnienia misji.

Colt spojrział na Billy'ego, który suszył zęby z błogą miną.

- Księżna zaprasza cię na obiad - wyjaśnił.

- Nie - odrzekł krótko Colt i odwrócił się od drzwi.

- Panie Thunder, proszę zaczekać! Dostałem instrukcje, że gdyby pierwsze zaproszenie zostało odrzucone, mam wysunąć następne. Jej wysokość z radością przyjmie pana w swym apartamencie w "Grand Hotel" w dogodnym dla pana czasie.

- Nie.

- Nie?

- Nie zamierzam nigdzie i w żadnym czasie spotkać się z tą kobietą. Czy to wystarczająco jasne?

Obaj posłańcy wydawali się zszokowani nie tyle jego odmową, ile czymś, co za chwilę herold wyjawiał:

- Sir, istnieją odpowiednie sposoby tytułowania księżnej. Można o niej mówić „jej wysokość” albo „jej lordowska mość” ewentualnie „lady Fleming”, ale nie używa się zwrotu „ta kobieta”. Tego się po prostu nie robi, sir.

- Nie wierzę własnym uszom - wymamrotał Colt, odwracając się wreszcie. - Billy, pozbądź się ich!

Billy nie wiedział, co go bardziej rozczarowało. Czy obojętność Colta w stosunku do prawdziwej księżnej, pięknej, prawdziwej księżnej, czy też snobizm jej posłańców.

- To nie było najmądrzejsze posunięcie, panie ... ?

- Sir Dudley Leland - przedstawił się z dumą posłaniec. - Drugi syn hrabiego ...

- Chryste, człowieku, zapomniałeś chyba o czymś! Jesteś w Ameryce i jeśli sobie przypominasz, przed mniej więcej stu laty toczyliśmy wojnę z twoimi przodkami po to właśnie, żeby się pozbyć różnic stanowych. Twoje tytuły mogą zrobić wrażenie na matronach ze Wschodniego Wybrzeża, ale nic nie znaczą dla czejeńskiego wojownika.

- Och, masz rację, sir. Proszę przyjąć przeprosiny. Lecz ja mam jeszcze jedną wiadomość dla twego przyjaciela.

Billy obejrzał się na Colta. Stał przy jedynym oknie w ich pokoju, wpatrzony w prześwit obok pensjonatu Flya, w którym rysował się budynek probierni kruszcu. Ponieważ trudno było uznać ten widok za frapujący, wiedział, że Colt musiał usłyszeć sir Dudleya.

- Może będzie lepiej, jeśli to ja przekażę tę wiadomość - zaproponował.

Sir Dudley skinął głową na zgodę, widząc, że Colt wyłączył się z rozmowy. Nie miał wątpliwości, że słyszy on każde jego słowo, niemniej - gdy mówił - zwrócił się do Billy'ego.

- Jej wysokość liczyła się z tym, że oba zaproszenia mogą być odrzucone. W takim wypadku miałem poinformować pana Thundera, że księżna pani, za jego sugestią, zadała niezbędne pytania i otrzymała pełne sprawozdanie na temat uprzedzeń dotyczących jego rasy. Jej wysokość pragnie, aby się dowiedział, że te uprzedzenia są jej obce i nic dla niej nie znaczą. Ma też nadzieję, że pan Thunder weźmie to pod uwagę i ponownie rozważy któreś z zaproszeń.

Fakt, że Colt nie odwrócił się po tej tyradzie, mógł jedynie znaczyć, że nie zamierza niczego rozważać. Billy dostrzegł, że stojąc, napina wszystkie mięśnie, a palce trzyma zaciśnięte na parapecie.

- Panowie, myślę, że otrzymaliście odpowiedź - zwrócił się do nich półgłosem. - Możecie poinformować księżną, że ... - Nie mów za mnie, Billy - usłyszał za sobą gniewne warknięcie. - Nie będzie odpowiedzi. A teraz zamknij te przeklęte drzwi!

Billy bezradnie uniósł ramiona, jakby chciał dać posłańcom do zrozumienia, że to nie jego należy potępiać za brak manier. Niemniej jednak zamknął im drzwi przed nosem. A później powoli zaczął odliczać w myślach, kiedy zaś doszedł do pięćdziesięciu, nie wytrzymał i wybuchnął:

- Z przykrością stwierdzam, że w życiu nie widziałem, aby ktoś zachował się bardziej ordynarnie, podle i niegodnie! I jak mniemam, zrobiłeś to celowo! Ale, na Boga, dlaczego? Wiesz, że oni jej wszystko przekażą i ... i ...

- Za dużo gadasz - zauważył Colt, sięgając po pas z bronią. Billy kręcił głową.

- Wiesz dobrze, że już wczoraj nie potrafiłem cię zrozumieć i za cholerę nadal nic nie rozumiem. Przyjrzałem się tej damie i z wrażenia o mało nie zaryłem nosem w trotuar. Ona jest piękna ...

- I biała - przerwał mu Colt, kończąc zapinać pas, po czym schylił się po sakwy leżące koło łóżka.

Billy zamilkł, nagle zachowanie Colta nabrało sensu. Nie znosił tego. Nigdy nie potrafił pogodzić się z jego pełną goryczy postawą, jaką przyjął po tamtym incydencie, który o mało nie przyprawił go o śmierć. Billy kochał brata, uważał, że jest najlepszy, najodważniejszy i najbardziej lojalny spośród ludzi, i zawsze bardzo cierpiał, gdy Colt nie protestował przeciw opiniom tych głupich, pełnych uprzedzeń ludzi, którzy traktowali go jak śmieć.

- Czyżby coś mi umknęło? Mógłbym przysiąc, iż na własne uszy słyszałem, że tej damy nie obchodzi, jaka krew płynie w twoich żyłach.

- Billy, ona uważa, że ma wobec mnie dług wdzięczności - odpowiedział Colt. - I to wszystko, co się za tym kryje.

- Tak sądzisz? I dlatego byłeś taki arogancki wobec jej posłańców? Po prostu nie chcesz jej wdzięczności? A ona nalega na spotkanie tylko po to, żeby ci ją okazać, tak? Colt, bądź poważny

...

- Jestem. Pozwoliłem ci zachować zęby. A teraz biegnij do Stajni O.K. po nasze konie. Spotkamy się na dole za piętnaście minut. Jeżeli się pospieszymy, zdążymy do Benson na późny obiad.

- Uhm i zagonimy konie na śmierć - dodał w myślach Billy.

Dochodziło południe, Benson leżało jakieś pięćdziesiąt kilometrów na północ, po takiej więc gonitwie konie będą robić bokami. Nie, był niesprawiedliwy. Colt nigdy nie odbijał swoich złych humorów na koniach. Był natomiast zdecydowany jak najszybciej opuścić Tombstone, zanim księżna wymyśli jakiś inny sposób, żeby się z nim zobaczyć.

Colt poszedł zapłacić rachunek za nocleg, Billy więc pozbierał swoje rzeczy i wyszedł tylnym wyjściem, jak mu polecił Colt. Stajnia była niedaleko. Camillus S. Fly miał zakład fotograficzny na tyłach pensjonatu, a Corral i Stajnia O.K. 'znajdowały się tuż za nim, dokładnie pośrodku placu, do którego prowadziły ulice Trzecia i Czwarta oraz Fremont i Allen.

Po chwili był z powrotem na Fremont, lecz bez koni, co wychodzący z pensjonatu Flya Colt skwitował odpowiednim spojrzeniem.

- Nie patrz tak na mnie - zastrzegł czym prędzej Billy. - Mój koń zgubił podkowę, kiedy go wyprowadzałem ze stajni. To zajmie tylko parę godzin.

- Parę godzin?

- Tak. Kowal ma dużo roboty - wyjaśnił Billy. - To on tak wyliczył, nie ja. Więc co powiesz na wczesny obiad? A potem proponuję ci bilard u Boba Hutchy na Allen Street.

- Ty wyraźnie szukasz kłopotów, co, dzieciaku? - zapytał Colt, już w znacznie pogodniejszym nastroju.

- Nie sądzę, byśmy się mogli natknąć na młodego Clantona, jeżeli o to ci chodzi - odparł Billy z łobuzerskim uśmiechem. - Akurat usłyszałem, że jeden z braci Earpów dorwał dziś rano Ike'a i zaciągnął go do biura sędziego, a ten kazał mu zapłacić grzywnę. Myślę, że to był Wyatt Earp. Mówi się o nim, że lubi przyłożyć kolbą pistoletu w twarde łby. Prawdopodobnie Billy odwiózł już brata na ranczo. Więc gdzie miałbyś ochotę zjeść? Może w "Maison Doree"?

W odpowiedzi Colt lekko kopnął Billy'ego w zadek

## Rozdział 10

Przy Fremont Street - wciśnięta między biuro dylizansów i gabinet doktora - mieściła się pracownia modystki, pani Addie Bourland. Ostatnią rzeczą, jakiej Jocelyn potrzebowała, był nowy kapelusz, a jednak przyszła tu, aby zamówić jeden, dwa czy choćby i z tuzin, w zależności od tego, ile czasu będzie zmuszona spędzić w sklepie, zanim Colt Thunder albo wejdzie do swego lokum, które znajdowało się dokładnie po drugiej stronie ulicy, albo z niego wyjdzie. Vanessa zaproponowała, żeby po prostu złożyła mu wizytę, ona jednak wolała nie ryzykować. Ludzie, których wysłała z rana, nie spotkali się z dobrym przyjęciem i nie miała podstaw, by sądzić, że Colt przyjmie ją bardziej życzliwie. Nie, przypadkowe spotkanie na ulicy jest najlepszym rozwiązaniem i chociaż niewiele w nim będzie z przypadku, pan Thunder nie musi o tym wiedzieć. Tym razem nie pozwoli się zignorować.

Przyjechała swoją kareta tuż przed drugą, a ponieważ natychmiast ją odprawiła, grupka gapiów szybko się rozeszła i nic nie wskazywało, że księżna jest u modystki. Naturalnie nie mogła zrezygnować ze straży, ale wzięła ze sobą tylko sześciu ludzi. Zajęli pozycje przy frontowym i tylnym wyjściu; ci wewnątrz sklepu starali się jak najmniej zawadzać, niestety ze słabym skutkiem, bo - krótko mówiąc - speszzyli panią Bourland. Nie nawykła do obecności tylu mężczyzn naraz w swym małym sklepie. Nawet jeden osobnik płci męskiej w jej progach stanowił rzadkość. Jednakże widoki na duże zamówienie sprawiły, iż starając się ich nie zauważać, skupiła całą uwagę na klientce.

Vanessa stanęła przy szybie wystawowej, by wypatrywać Colta, natomiast Jocelyn zajęła swoją osobą panią Bourland, która porozkładała przed nią wszystkie materiały, pióra i kwiaty, jakie tylko miała na składzie. Jocelyn, nie wiedząc, ile czasu przyjdzie jej tkwić w pracowni, była bardzo niezdecydowaną klientką. Jakiś czas, niestety niewystarczająco długo, rozwodziła się nad ulubionymi europejskimi fasonami. Obsługiwanie kapryśnej klientki bardzo frustrowało modystkę, podobnie jak Jocelyn frustrowała konieczność odgrywania roli osoby niezdecydowanej. Jeśli Colt nie pojawi się przed zamknięciem zakładu, to ...

- Jocelyn, kochanie, chodź, powinnaś to zobaczyć ... ! - zawołała Vanessa od okna. - Chyba zanoszą się na coś niezwykłego.

Jocelyn stanęła przy Vanessie, a Addie Bourland poszła w jej ślady. Z miejsca odgadła, co tak zainteresowało Vanessę. Środkiem zakurzonej ulicy szło powoli, aczkolwiek zdecydowanie, czterech dżentelmenów. Wyglądali identycznie w swych czarnych ubraniach, czarnych, wysokich stetsonach z szerokim rondem, z wąskimi, czarnymi muszkami pod brodą i obwisłymi wąsami. I wszyscy czterej byli po zęby uzbrojeni. Na pustym placu po drugiej stronie ulicy stało pięciu mniej starannie ubranych mężczyzn, którzy najwyraźniej czekali na zbliżającą się czwórkę.

- Strzelanina - oznajmiła Addie, nie odrywając oczu od ulicy. - Od dawna się na to zanosilo.

- Co za strzelanina? - Vanessa zapytała modystkę. Kobieta spojrzała na nią z niedowierzaniem, po czym zachichotała:

- Tak mi się zdawało, że panie jakoś dziwacznie mówią. Nie jesteście stąd, co? - I nie czekając na odpowiedź, wyjaśniła:

- Strzelanina to taki pojedynek. Dlatego Virgil Earp, nasz szeryf, i jego bracia: Wyatt i Morgan idą tutaj. A ten ze strzelbą to doktor Holiday, przyjaciel Wyatta.

- Doktor będzie uczestniczył w strzelaniu? - Vanessa w życiu nie słyszała o czymś tak nieetycznym.

- Był dentystą na Wschodnim Wybrzeżu, proszę pani. A teraz żyje z hazardu. Aż dziw widzieć go tak wcześnie na nogach. To nocny ptak.

- A ci panowie, którzy stoją tam jakby przyczajeni?

- Te gadziny? - prychnęła Addie. - Bezcelne obwiesie, każdy z nich! Złodzieje i bandziory. Wszyscy należą do gangu Clantona. - Na widok niemego pytania w oczach Vanessy wyjaśniła: - To Ike i Billy Clantonowie, Frank i Tom McLaury i chyba jest dziś z nimi Billy Claiborne. Panie chyba od niedawna w mieście, skoro nie słyszałyście o bandzie Clantona. To śmiertelni wrogowie Earpów.

- Rzeczywiście, przyjechałyśmy dopiero wczoraj wieczorem. Ale skoro, jak pani powiada, jest tu przedstawiciel prawa, dlaczego ma dojść do strzelaniny, jak to pani nazywa? Czy nie byłoby bardziej logiczne uznanie, że szeryf idzie tu z zamiarem aresztowania tych ludzi?

- Och, zamiar to on sobie może mieć i pewnie go ma, ale co z tego? Te chłopaki po drugiej stronie ulicy nie czekali by spokojnie, aż się ich zamknie. Jeżeli stoją, to znaczy, że będą strzelać. Jestem gotowa założyć się o mój sklep, bo od dłuższego czasu się na to zanosilo.

Vanessa i Jocelyn wymieniły spojrzenia. Żadna z nich nie wiedziała, czy należy poważnie traktować słowa tej kobiety. To prawda, że nigdzie dotąd nie widziały tylu mężczyzn tak ostentacyjnie paradujących z bronią jak tu, w Tombstone. Wszędzie było tak samo, gdziekolwiek zwrócić wzrok. Widocznie poza gotowością do ewentualnej "strzelaniny" muszą też być ku temu jakieś inne powody.

Czterech ubranych na czarno dżentelmenów zbliżyło się do placu. Jocelyn patrzyła zafascynowana, jak raptownie skręcają i zajmują pozycje wzdłuż jego krawędzi, plecami do sklepu modystki. Piątka mężczyzn utworzyła półkole, stając do nich twarzą. Padły jakieś słowa, chyba rozkaz poddania się, nikt go jednak nie usłuchał, i zanim Jocelyn zdążyła się zorientować w sytuacji, rozpoczęła się strzelanina.

Poczuła szarpnięcie; to jeden ze strażników odciągnął ją od okna i niemal przycisnął do podłogi, to samo uczyniono z Vanessą i ostro protestującą Addie Bourland. Jocelyn nie zamierzała oponować, przynajmniej nie po usłyszeniu uderzenia pierwszej zblakanej kuli o fasadę sklepu. Strzelanina zdawała się nie mieć końca, chociaż w rzeczywistości potworny huk trwał nie dłużej niż jakieś pół minuty. Nie pozwolono jej się podnieść, dopóki jeden ze strażników nie nabrał pewności, że wymiana ognia naprawdę dobiegła końca.

Addie poderwała się wcześniej i powróciła do okna, by liczyć leżących.

- Wygląda na to, że dostali obaj McLaury i młody Clanton. Powinno mi być żal tego chłopaka. Nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Ale jego ojciec był zły i tak samo wychował dzieciaka, więc czego się można po takim spodziewać?

Jocelyn nie miała ochoty wysłuchiwać tych wszystkich brutalnych szczegółów. Mój Boże, czyżby naprawdę zginął tam szesnastoletni chłopiec?

- Myślę, że ... że powinniśmy wrócić do hotelu - zaproponowała drżącym głosem.

- Lepiej trochę poczekać - poradziła Addie. - Ike i młody Claiborne uciekli, ale nigdy nie wiadomo. Poczekać, niech chociaż Earpowie odejdą. Pomagają się podnieść Morganowi. Pears oberwał w ramię. Pears, szeryf i doktor są ranni, ale chyba niezbyt groźnie, bo trzymają się na nogach. - Roześmiała się z satysfakcją. - Nie, to nic poważnego. Odchodzą, a na ulicę wylegają gapie. Chyba pójde porozmawiać z panem Flyem. Zdaje się, że widział wszystko z bliska.

Wybiegła ze sklepu, zapominając zupełnie o zamówieniu i o zamknięciu drzwi, i tylko po drodze rzuciła jeszcze groźne spojrzenie swemu obrońcy wbrew jej woli, biednemu sir Dudleyowi. Wnętrze pracowni wypełnił zapach prochu, przyprawiając Jocelyn o mdłości. Vanessa pobladła i przyłożyła do nosa perfumowaną chusteczkę.

- Vana, nie wiem, jak ty, ale ja nie mam ochoty zostać tu ani chwili dłużej. Zgodzisz się przejść kawałek pieszo? Sprowadzenie powozu zajmie jedną chwilę.

Ich karetka czekała ukryta jeden kwartał dalej, na Safford Street. Vanessa ochoczo przystała na propozycję Jocelyn. Nawet jedna sekunda dłużej w tym miejscu byłoby to dla niej za wiele. A strażnik Jocelyn, zawsze czujny i ubiegający jej rozkazy, już wychodził przed Zakład

Kapeluszniczki Addie Bourland, ażeby torować paniom drogę w gęstniejącym tłumie.

Uwagę Billy'ego przyciągnął widok czyjegoś amarantowego stroju na przeciwległym chodniku. Akurat wydostał się z tłumy, w którym dotąd stał, z przerażeniem wpatrując się w ciało swego niedawnego kumpla z krwawiącymi ranami na piersi i brzuchu. Ze wszystkich sił starał się utrzymać w żołądku świeżo zjedzony obiad. Musiał, koniecznie musiał zająć myśli czymś innym, a osoba, którą lada moment spodziewał się ujrzeć, mogła mu w tym pomóc, więc nie tracąc czasu, przeszedł na drugą stronę ulicy w tej samej chwili, gdy obie damy opuściły sklep.

Sądząc z ich wyglądu, tak samo jak Billy nie były przyzwyczajone do widoku martwych ciał rozciągniętych na ziemi. Obie były blade, starsza sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała zemdleć. Nie starały się spoglądać na ulicę, chociaż i tak nic by teraz nie zobaczyły, bo trupy otaczał tłum. Z pewnością jednak wiedziały, co się stało, nawet jeśli nie były świadkami zdarzenia.

Billy, gdy tylko się zorientował, w jakim kierunku zmierzają damy, wskoczył na trotuar, nie pozwalając odepchnąć się na bok dwóm strażnikom otwierającym pochód. Tych dwóch z przodu wraz z czterema pozostałymi tworzyli ciasny pierścień wokół nich i żaden nie wydawał się pokojowo nastawiony. Billy żałował, że nie ma przy nim Colta. Ale on właśnie prowadził ich konie, omijając kołem tłum na placu.

Zanim Billy zdążył się odezwać, jeden ze strażników chwycił go za koszulę na piersi i poderwał chłopca do góry z zamiarem usunięcia z drogi.

- Puść go, Robbie - odezwał się zamykający szyk sir Dudley. - Ten dżentelmen był rano w towarzystwie Thundera.

Na szczęście dla Billy'ego rudowłose Robbie usłuchał kolegi i natychmiast postawił go na ziemi. A nawet z przepaszającym uśmiechem wyglądał mu koszulę, którą zmiął wielkimi łapskami. W zestawieniu z tym najwyższym ze strażników, mierzącym z metr osiemdziesiąt, a w dodatku masywnie zbudowanym, szczupły siedemnastolatek nie miałby najmniej szych szans. Ale przecież Billy nie chciał wywołać zamieszania. Pragnął jedynie zamienić parę słów z księżną w nadziei, że rozmowa z nią zatrze stojący mu przed oczami obraz śmierci. Niestety, nie wziął pod uwagę, że ona też jest wzburzona i że to nie miejsce ani czas na kurtuazyjną rozmowę.

A jednak nie była aż tak rozkojarzona, by nie usłyszeć uwagi sir Dudleya.

- Więc jesteś przyjacielem pana Thundera? - zwróciła się do niego.

Dwaj strażnicy na przedzie grupy natychmiast się rozstąpili, robiąc jej przejście. Z bliska była jeszcze ładniejsza, niż sądził. Jasnozielone, świetliste oczy. Zauważył też gibką kibić, podkreśloną zielonym jedwabiem w odcieniu znacznie ciemniejszym niż oczy, od których nie potrafił oderwać spojrzenia. Minął jakiś czas, zanim uświadomił sobie, że zadała mu pytanie.

- Lady Fleming, słowo "przyjaciel" nie oddaje prawdy. Jestem bratem Colta.

- Bratem! - powtórzyła zaskoczona. - Ale nie jesteś do niego podobny. Czy też jesteś mieszkańcem?

Billy omal się nie roześmiał. Tu, na Zachodzie, ludzie nie zadają takich pytań. Sami wiedzą, co widzą. A jeśli się pomylą, to i tak nie ma znaczenia, bo kiedy kogoś uznają za mieszkańca, to tak jakby nim był.

- Nie, proszę pani - odparł i słysząc własny głos, stwierdził zaskoczony, że pod wpływem ogłady tej damy unika gwarowych naleciałości z Zachodu i posługuje się językiem, jakiego nauczono go w szkole na Wschodnim Wybrzeżu. - Mamy tego samego ojca, ale różne matki.

- W takim razie to jego matka była z plemienia Czejenów - powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

- Tak, to po niej odziedziczył wygląd. Natomiast obaj macie niebieskie oczy, ale różniące się odcieniem ... Proszę mi wybaczyć. Nie zamierzałam poruszać tak osobistych kwestii.

Billy uśmiechnął się na widok lekkiego rumieńca, który wykwitł na jej twarzy, gdy stwierdziła, że się nieco zapomniała.

- Nic nie szkodzi, proszę pani. A Colt odziedziczył kolor oczu po jednym z przodków naszego ojca, bo Thomas Blair - według tego, co mi mówiono - miał oczy zielone. Tylko Jessie jest podobna do ojca, jeśli chodzi o kolor włosów i oczu.

- Jessie ... ach tak, pański brat wspominał o niej podczas naszego wczorajszego spotkania. Czy wolno zapytać, co pan miał na myśli, mówiąc, że mówiono panu o oczach ojca? Czyżby pan go nie znał?

- Moja matka odeszła od niego, zanim się urodziłem. Wychowałem się na Wschodnim Wybrzeżu. Byłem nastolatkiem, kiedy dowiedziałem się o jego istnieniu, jak również o tym, że mam starszą siostrę. A o tym, że mam także przyrodniego brata, dowiedziałem się jeszcze później. Bo my nie wychowywaliśmy się razem. Jessie wzrastała u ojca na ranchu w Wyoming, Colt został ze swoją matką w pleminiu na Północnych Równinach, a ja mieszkałem w Chicago. Nasze drogi życiowe są dość skomplikowane.

- To wszystko brzmi fascynująco, młody człowieku - wtrąciła się Vanessa. - Nie chcę być niegrzeczna, ale pragnę zauważyć, że zależy nam na w miarę szybkim opuszczeniu tego ... hmm ... miejsca. Jestem pewna, że księżna będzie zachwycona, mogąc dokończyć tę rozmowę w jakimś przyjemniejszym otoczeniu. Jeśli pan ma ochotę, proszę nas odprowadzić do hotelu ...

- Niczego bardziej nie pragnę, proszę pani, ale obawiam się, że to niemożliwe. Colt na mnie czeka. - Rzucił niespokojne spojrzenie na drugą stronę ulicy, gdzie stał Colt. - Ja ... ja tylko chciałem usprawiedliwić jego zachowanie dziś rano i zapewnić lady Fleming, że to nie miało nic wspólnego z jej osobą. Bo, widzi pani, on wbił sobie do głowy, że ...

Billy przerwał, bo dama już go nie słuchała. Podążywszy za jego spojrzeniem, wpatrywała się teraz w Colta, który też nie odrywał od niej oczu. Billy wyraźnie widział, że on nie zamierza uczynić żadnego gestu. Nie pozdrowił jej nawet lekkim ukłonem i stojąc z kamienną twarzą, czekał cierpliwie, aż Billy zakończy konwersację i dołączy do niego. Czy czekał cierpliwie? Mało prawdopodobne. Zapewne był wściekły. W przypadku Colta trudno cokolwiek odgadnąć z wyrazu twarzy.

- Chyba nie wyjeżdża z miasta?

Wniosek nasuwał się sam, bo oba konie były objuczone na podróż. Niemniej niepokój w głosie damy i wyraz jej twarzy zaskoczyły Billy'ego. Nie bardzo rozumiał, skąd wzięło się u kobiety jej klasy zainteresowanie kimś takim jak Colt. Ledwo go znała, niewątpliwie za krótko, by poświęcać tyle uwagi jego osobie.

Billy poczuł się niezręcznie, przewidując, jaką reakcję wzbudzi jego odpowiedź.

- Colt niechętnie przebywa w miastach, szczególnie w tych, których dobrze nie zna, proszę pani. Przyjechał tu wyłącznie po to, żeby mnie odszukać, a skoro mnie znalazł, spieszo mu w drogę. Już by nas tu nie było, gdyby mój koń nie zgubił podkowy.

- Pan Thunder ma rację - mruknęła Vanessa. - Ja też jestem za tym, aby jak najszybciej opuścić to miasto.

- Nie znalazłyśmy jeszcze przewodnika - zauważyła roztargnionym głosem księżna.

- Dokąd panie zmierzają, jeśli wolno zapytać?

- Do Wyoming - odparła Jocelyn po krótkim wahaniu, zaskakując swą odpowiedzią nie tylko Billy'ego, choć nikt poza nim jej nie skomentował.

- Świetnie się składa - ucieszył się, niczego nieświadomy. - My też tam zdążamy, a przynajmniej Colt, bo dotąd mi nie powiedział, czy planuje wsadzić mnie gdzieś po drodze do pociągu do domu. Szkoda, że wszyscy nie ...

Nie dokończył myśli, bo w porę uzmysłowił sobie, że nie ma prawa nikogo zapraszać do towarzystwa, a szczególnie nie powinien tego robić w przypadku tej kobiety, której Colt za



wszelką cenę stara się unikać. Niestety, już zdążył za dużo powiedzieć, a ona z miejsca podchwyciła ten pomysł, nie dając mu szansy na naprawienie gafy.

- Ależ to świetne rozwiązanie, panie ... Blair.

- Ewing - poprawił ją, czując nieprzyjemne sensacje w okolicy żołądka. - Przyjąłem nazwisko ojczyma.

- No cóż, panie Ewing, okazał się pan naszym wybawicielem - dodała pospiesznie. - Zgadzam się z hrabiną, że nie możemy dłużej zostać w tym niebezpiecznym miejscu. Za chwilę będziemy gotowe do drogi.

- Ale ...

- Och, proszę się nie obawiać, nie zamierzamy nadużywać waszej uprzejmości, sir. Absolutnie nie. Ponieważ rzeczywiście potrzebujemy przewodnika, muszę pana prosić, byście razem z bratem pozwolili się nająć w tym charakterze. Sowiec zapłacę za czas, jaki zechcielibyście poświęcić na eskortowanie naszej grupy do Wyoming.

- Ale ...

- Nie, proszę nie odmawiać przyjęcia pieniędzy. Nalegam. W przeciwnym razie czułabym się niezręcznie. Nie opóźnimy mocno waszego wyjazdu, za godzinę będziemy gotowe, proszę więc wyjechać nam na spotkanie pod "Grand Hotel". Do zobaczenia, panie Ewing!

Minęła go z lekkim ukłonem i odeszła, zanim zdążył wydukać kolejne, nic nieznaczące "ale". Został na chodniku sam na sam z Coltem po przeciwnej stronie ulicy. Chryste! Co się właściwie wydarzyło? Przecież nie zgodził się na eskortowanie księżnej, czyż nie? Ale też nie odmówił.

Stał jak słup soli, a myśli wirowały mu w głowie. Teraz, kiedy został sam, Colt przeszedł przez ulicę, prowadząc jego konia.

- Wskakuj, mały!

Tylko tyle, nic więcej. Nawet nie był ciekawy, o czym rozmawiał z księżną, a jeśli nawet był, nie zamierzał tego okazać. Już lepiej, gdyby nakrzyczał na niego i wyzwał od głupców za to, że zbliżył się do tej kobiety. Bo on naprawdę czuł się teraz jak głupiec. Ta dama podeszła go podstępnie i teraz on musiał spróbować zrobić to samo z Coltem.

- Ummm, eh ... nie możemy jeszcze wyjechać, Colt.

- Chcesz się założyć?

Billy jęknął w duchu i brnął dalej:

- Ja się jakby zgodziłem, żeby ta dama pojechała z nami do Wyoming.

Zapanowała długa, pełna napięcia cisza. Czekał na wybuch.

Tymczasem kiedy Colt się wreszcie odezwał, jego głos był zbliżony do szeptu:

- Tak samo jak się jakby zgodziłeś dołączyć do Clantonów?

- No bo... ona nie dała mi szansy ani się zgodzić, ani odmówić. Z góry przyjęła, że pojedziemy razem. -

Billy, na koń! - uciął Colt.

- Ale tym razem to co innego! Ona pojechała do hotelu spakować rzeczy. Oczekuje nas tam za godzinę.

Colt spokojnie wsiadł na swojego konia.

- No to zrozumie, że się pomyliła, jeśli się nie pojawimy, czy nie?

Miał rację, to był najprostszy sposób, żeby się wykręcić, poza tym, że ...

- Colt, nic nie pojmujesz. Te damy boją się tu zostać po tym, co widziały. Mają zamiar wyjechać z miasta z przewodnikiem lub bez. Naprawdę pozwolisz, by błąkały się po tym kraju, nic o nim nie wiedząc, nie znając jego niebezpiecznych stron, nie umiając rozpoznać śladów Indian i innych zagrożeń? Zgubią się albo utoną, przekraczając rzekę w nieodpowiednim miejscu, lub ktoś je obrabuje. Dobrze wiesz, że nawet tu, w okolicy, włóczą się setki drobnych rzezimieszków. Wystarczy, że o drogę spytają niewłaściwą osobę, a wpadną w pułapkę. Colt, to

nowicjuszek, sto razy mniej doświadczony ode mnie.

Colta musiało ruszyć sumienie.

- Cholera! - przerwał tyradę Billy'ego. - Mówiłem jej, że nie jestem do wynajęcia!

- A wiedziałeś, że jedzie do Wyoming? Poza tym twierdzi, że dobrze zapłaci. Należy ci się jakaś rekompensata za tę podróż i kłopoty, na jakie cię naraziłem.

Przypominanie Coltowi powodu obecności w tym miejscu chyba nie było najlepszym pomysłem.

Zmiażdżył Billy'ego wzrokiem, po czym szarpnięciem za wodze skierował konia pod "Grand Hotel".

## Rozdział 11

Billy powinien był wiedzieć, że Colta niełatwo do czegośkolwiek nakłonić. Nie miał zamiaru eskortować księżnej z jej orszakiem na północ. Jak to ujął, od trzech lat była w ciągłej podróży i jakoś przeżyła. Prywatna armia zapewnia jej niezbędną ochronę, a nie zgubią się, jeśli się będą trzymać szlaków dla dyliżansów. Jeżeli chcą przewodnika, znajdą odpowiednią osobę w parę godzin i wyruszą z miasta jeszcze dziś. A jego nie potrzebują i nie dostaną, co jednoznacznie da księżnej do zrozumienia, aby się nie łudziła. Colt potrafił być bardzo nieprzyjemny. Kiedy czekali, poruszał zuchwą, jakby cały czas zgrzytał zębami, kilkanaście razy zmieniał miejsce i sztywniał za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi hotelu. Gdyby Billy go nie znał, mógłby pomyśleć, że się denerwuje, ale to przecież niemożliwe. O ile wiedział, nie było takiej rzeczy na świecie, która mogłaby zburzyć równowagę Colta. Nie reagował jak przeciętni ludzie.

Tymczasem w hotelu panował nerwowy nastrój. Jocelyn niemal drżała z niepokoju, podchodząc do wyjścia. Doniesiono jej, że Colt Thunder czeka na zewnątrz wraz z bratem. Najpierw nie była pewna, czy w ogóle się stawi, a że przyszedł, wcale jeszcze nie oznaczało, iż ona osiągnie to, czego chciała. Absolutnie nie. Miał prawo być na nią wściekły za sposób, w jaki postąpiła z jego bratem. Nie puści jej tego płazem i kto wie, czy nie powie bez ogródek, co myśli o jej wielkopańskiej pysze.

- Przystań na chwilę i weź głęboki oddech, zanim zrobi ci się słabo - poleciła Vanessa stanowczym tonem i przytrzymała ją, kładąc dłoń na ramieniu. Jednocześnie dała znak strażnikom, żeby się cofnęli.

- Co się stało, to się nie odstanie. Możesz go jedynie przeprosić.

- Mogę go nawet błagać.

- Tego nie zrobisz! - zaprotestowała oburzona Vanessa. - Nie szukamy desperacko jego pomocy ani ty nie potrzebujesz rozpaczliwie jego ciała, przynajmniej na razie - nie. Zrobił na tobie wrażenie, ale co z oczu, to i z serca. Zapomnisz o nim szybciej, niż ci się wydaje.

- I na wieki zostanę dziewicą - westchnęła Jocelyn. Vanessa nie mogła opanować uśmiechu na widok jej nieszczęśliwej miny.

- To niemożliwe, kochanie. Nie zapominaj, że dopiero co postanowiłaś wziąć sobie kochanka. Dotąd go nie szukałaś, ale skoro teraz zamierzasz to uczynić, będziesz zdziwiona, jak wielu mężczyzn pociągasz. Dotąd tego nie dostrzegałaś.

- Ale ja już dokonałam wyboru.

- Kochanie, czyżbyś nie zauważyła, że twój wybranek nie wykazuje najmniejszej ochoty? - spytała cierpkim tonem Vanessa i zaraz tego pożałowała, widząc, że sprawiła jej ból swymi słowami. - Nie, nie o to nam chodzi. Wiesz, niewątpliwie tutejsi ludzie mają swoje powody, żeby nazywać Indian dzikusami. Wątpię, czy odpowiadałyby ci takie karesy, więc powinnaś być zadowolona, że nic z tego nie wyszło.

- Vana, on nie jest dzikusiem.

- Zachowaj swoje zdanie do chwili, kiedy się z nim spotkasz. Albo lepiej miejmy to już za sobą, więc chodź!

Kiedy skierowały się do wyjścia, czterej strażnicy, odwołani uprzednio przez Vanessę, podążyli za nimi, a dwaj, trzymający dotąd straż w holu, zamknęli orszak. Pozostałych sześciu członków straży już wcześniej zajęło pozycje na zewnątrz. Zdążyli dokładnie przeszukać teren przed hotelem, łącznie z zabudowaniami po drugiej stronie ulicy. Gdyby natrafili chociaż na jedną osobę budzącą ich podejrzania, która nie zgodziłaby się trzymać w odpowiedniej odległości, Jocelyn nie wolno by było opuścić hotelu. Te zazwyczaj zbędne środki ostrożności zawsze kosztowały ich mnóstwo czasu. Gdyby Długonosy wynajął strzelca wyborowego, ich działania na niewiele by się zdały, lecz na szczęście - jak dotąd - żaden z jego ludzi nie strzelał zbyt celnie,

przynajmniej z dużej odległości.

Sir Parker - rozplývając się w uśmiechach - czekał w pogotowiu, by otworzyć im drzwi. Adorował Jocelyn aczkolwiek z odpowiednim dystansem. Była jego ideałem, bóstwem, które się czci, więc nigdy by się nie odważył na jakąkolwiek demonstrację uczuć. Ale i tak wszyscy, łącznie z Jocelyn, wiedzieli o jego uwielbieniu! Była istotą z marzeń, tymczasem takie osoby jak Babette należały do innego, ziemskiego gatunku, więc Parker, jak też połowa strażników ochoczo czynili użytek z jej wdzięków. Niemniej zabawnie było obserwować, jak sir Parker maskuje przy Jocelyn uczucia, a ona udaje, że tego nie widzi.

Szkoda, że sobie ubzdurał, iż Jocelyn jest dla niego nieosiągalna - przemknęło przez myśl Vanessie. Miał trzydzieści lat, więc pasowałby wiekiem, posiadał znaczne włości w hrabstwie Kent, a w dodatku ze swymi czarnymi włosami i intensywnie zielonymi oczyma zdecydowanie górował urodą nad resztą strażników. Rzecz w tym, że nigdy nie zgodziłby się na zostanie zaledwie kochankiem, nawet gdyby Jocelyn uznała go za odpowiedniego kandydata. Nie był jeszcze gotów się ustatkować i właśnie dlatego bardzo odpowiadało mu zajęcie zaproponowane przez diuka, lecz gdyby miał chociaż cień świadomości, że Jocelyn może go chcieć, z miejsca by się jej oświadczył.

Nie, Jocelyn nigdy nie brała pod uwagę możliwości zdobywania pierwszych miłosnych doświadczeń z którymkolwiek ze swoich ludzi, bo w ten sposób nie osiągnęłaby celu, jakim było zachowanie szacunku dla pamięci diuka. Lecz wątpliwości Vanessy na temat pana Thundera brzmiały bardzo przekonująco i Jocelyn uwierzyła, że on też nie jest odpowiednim kandydatem.

Dziewica potrzebuje delikatnego traktowania i czułości podczas pierwszego zbliżenia, a bardzo wątpliwe, czy pana Thundera na to stać. Sądząc po wyglądzie i sposobie mówienia, dzięki któremu łatwiej go było zrozumieć niż większość mieszkańców Zachodu, obie z Vanessą uznały, że pomimo swego pochodzenia został wychowany w warunkach, które tu, na Zachodzie, uchodziły za cywilizowane. Była zaskoczona, słysząc od jego brata, że było zupełnie inaczej. Czy człowiek wzrastający pośród dzikusów sam nie staje się dzikusem? Ogłada Colta Thundera była jedynie powierzchowna, toteż jego brak zainteresowania dla Jocelyn okazał się prawdziwym błogosławieństwem.

Kiedy wyszły na podjazd przed hotelem, Vanessa była zmuszona po raz kolejny zmienić zdanie na temat tego mężczyzny, który dotąd nie zsiadł z konia. Powierzchna ogłada? Akurat! W spojrzeniu, jakie posłał Jocelyn, nie było ani krzty ogłady. Ono jaśniej niż słowa dawało do zrozumienia, że gdyby zostali sami, miałyby się z pyszna. Czy ona to sobie uświadamia, czy nadal jest zaślepiona jego egzotycznie śniadą urodą? Hmm, rzeczywiście. Vanessa, która wcześniej nie miała okazji go widzieć, potrafiła zrozumieć, co Jocelyn tak zauroczyło.

Jocelyn dobrze odczytała spojrzenie Colta, ale przecież z góry liczyła się z taką reakcją. Ten człowiek był na nią zły i chciał, żeby o tym wiedziała. Nie krzyczał wprawdzie, przynajmniej na razie, spodziewała się jednak wybuchu. Oczywiście, tym razem nie byli sami. Otaczali ją strażnicy. Skądinąd wiedziała, że nie zdołaliby go powstrzymać, gdyby chciał na nią nakrzyczeć. Cisza przedłużała się, bo on wciąż nie odrywał od niej wzroku, szarpiąc jej nerwy na strzępy. Powinna go przeprosić. Zapewne na to czekał. Ale żadne słowa nie przychodziły jej na myśl. To on odezwał się pierwszy:

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, duchess. Zgadzasz się albo rezygnujesz.

Na szczęście Jocelyn nie widziała reakcji straży stojącej za jej plecami, bo zanośliło się na rozlew krwi. Owszem, słyszała głośne westchnienie Vanessy i kątem oka dostrzegła, jak kładąc dłoń na ramieniu Parkera, powstrzymuje go od odwetu za znieważenie Jocelyn. Nie miała wątpliwości, że ją znieważył, i to nie tylko słownie, dając do zrozumienia, że tylko niebotyczna kwota jest w stanie zmusić go do pracy dla niej, a jemu nie zależy, czy zgodzi się na nią, czy nie, lecz również i tonem, jaki przybrał, zwracając się do niej.

O, spryciarz z tego Thundera! Spodziewał się, że ona wpadnie w gniew, słysząc jego cenę. Wręcz na to liczył. Był przekonany, że się nie zgodzi. Wymienił sumę nie do przyjęcia, bo gdyby uważał inaczej, w życiu nie złożyłby tej oferty. Z trudem zapanowała nad uśmiechem. Za te pieniądze mogła wynająć stu przewodników, oboje o tym wiedzieli, natomiast on nie wiedział, do czego jest jej potrzebny. Prawdopodobnie będzie najdroższym kupionym kochankiem, lecz ostatecznie, na co jeszcze mogła wydawać swoją fortunę?

- Zgoda, panie Thunder - odparła z satysfakcją. - Od tej chwili pracuje pan dla mnie.

Odwróciła się prędko, by nie wybuchnąć śmiechem na widok niedowierzania malującego się na jego rasowej twarzy.

## Rozdział 12

- Zdajesz sobie sprawę, że zrobił to celowo? - narzekała Vanessa, ocierając wilgotną chusteczką kurz z twarzy. - Jakież osiem kilometrów stąd minęliśmy miasto i już wtedy zmierzchało. Nie było żadnego racjonalnego powodu, żeby jechać dalej i nocować pod gołym niebem, poza chęcią odegrania się za dzisiejszy poranek. Zapamiętaj moje słowa, Jocelyn, jeszcze będziesz żałować, że go przechytryłaś.

- Nie przechytryłam, tylko zgodziłam się na jego warunki.

- Nie bądź niemądra, moja droga. Postawił te idiotyczne warunki, bo były nie do przyjęcia, o czym dobrze wiesz. Szkoda, że nie widziałas jego miny ...

- Widziałam. - Jocelyn uśmiechnęła się triumfalnie, zarażając Vanessę swym rozbawieniem. - Nie sądzę, by pieniądze Edwarda sprawiły mi kiedykolwiek większą radość. Zażądał gwiazdki z nieba, to mu ją dałam. Mój Boże, ileż mam z tego satysfakcji!

- A ja mam nadzieję, że nadal będziesz tak myśleć, kiedy pomieszkas przez parę tygodni w namiocie.

- Och, Vanesso, przestań narzekać! Trudno to nazwać zwykłym namiotem. - Namiot był przestronny, z wysoką kopułą, na perskich dywanach leżały jedwabne poduszki do wypoczynku i puszyste skóry do spania. - Mam wszystkie niezbędne wygody.

- Poza wanną - odparła hrabina, ujawniając powód swego niezadowolenia.

- Dobrze wiesz, że możesz się wykąpać, jeśli masz ochotę.

- Skoro Sidney i Pearson nadźwigali się kilka godzin temu, ładując wozy, nietaktem byłoby ich prosić, żeby nosili jeszcze wodę z pobliskiej rzeki. Mam tę odrobinę szacunku dla ludzi.

- Vana, jest tu wiele innych osób, poza forysiami, które mogą nanosić wody. Po prostu kaprysisz i chciałabym wiedzieć, dlaczego to robisz.

- Nie ja jedna. Nie widzę powodu, żeby narażać się na niewygody, kiedy pod bokiem jest miasto. To twój niebotycznie drogi przewodnik stroi fochy.

- A jeśli omijając je, kierował się racjonalnymi względami?

- To bardzo chciałabym usłyszeć, jakimi. Dlaczego nie pójdziesz go o nie zapytać? No, czemu tego nie zrobisz?

- Bo go tu nie ma - wyznała Jocelyn. - Jego brat powiedział, że pojechał na zwiady.

- Ha. Bardziej prawdopodobne, że wrócił do Benson, żeby się wyspać w miękkim łóżku. Zobaczysz go dopiero rano, kiedy wróci wypoczęty, gotów obmyślać kolejne niedogodności. Taki rodzaj zemsty bardzo do niego pasuje.

- Vana, mylisz się. Jeżeli zechce się mścić, znajdzie mniej subtelne sposoby i na pewno nie skieruje swoich działań przeciwko wszystkim.

- Ty też to wyczytałaś z jego oczu? - Vanessa zniżyła głos, klękając wśród poduszek.

Rozżalona Jocelyn przytaknęła skinieniem głowy.

- Czy w końcu zrozumiałaś, że on się różni od mężczyzn, z którymi dotąd miałaś do czynienia? - Vanessa pogładziła ją po policzku. - Jest szorstki, niebezpieczny i ...

- Nadal go pragnę - przerwała jej szeptem Jocelyn. - Nawet gdy miażdży mnie wzrokiem, czuję dziwny ucisk w żołądku, taki sam jak w pierwszej chwili, kiedy go ujrzałam.

Vanessa westchnęła.

- On nie potraktuje cię delikatnie, wiesz o tym, kochanie, prawda? A jeśli go sprowokujesz, zanim przejdzie mu złość na ciebie, może cię skrzywdzić ... rozmyślnie.

- Tego nie wiesz - zaprotestowała, chociaż z jej oczu przebierała niepewność. - Nie jest okrutnym człowiekiem. Wyczułabym, gdyby był... prawda?

- Być może - zgodziła się Vanessa. - Niemniej nie uważam, że jest łagodny. Ukształtowały go tutejsze warunki życia i kultura; jedno i drugie całkowicie nam obce. Czy postarasz się o tym

pamiętać?

Jocelyn przytaknęła i z westchnieniem opadła na poduszki. - Nie wiem, po co się tym wszystkim zamartwiasz. Mało prawdopodobne, by mi przebaczył, iż jestem na tyle bogata, żeby go kupić.

Vanessa nie mogła się nie roześmiać.

- Co dowodzi, jak bardzo różni się od innych mężczyzn. Któryż z nich wściekałby się z powodu niespodziewanej fortuny? I nawet nie musi zbaczać z drogi! Dla jego wygody, jedziemy tam, gdzie on. A właśnie, gdzie, do czarta, leży to Wyoming?

- Cholera, a to co takiego?

Billy parsknął śmiechem, kiedy zobaczył, w co wpatruje się Colt.

- Namiot dam. Dostały go w prezencie od jakiegoś szejka z pustyni, kiedy podróżowały przez arabskie kraje w Afryce. Colt, nie uwierzyłybyś, gdzie one były! Ich opowieści starczyłoby na całą drogę do Wyoming.

- Mały, gdzie tym razem podział się twój rozum? - Colt rzucił Billy'emu zdegustowane spojrzenie, zanim zsiadł z konia. - Myślałem, że kiedy przyjadę, zobaczę obóz, a nie jakąś cholerną wioskę. Czy ty sobie zdajesz sprawę, ilu ludzi potrzeba do osłaniania takiego obszaru?

Oprócz kwatery dla dam rozbito sporo mniejszych namiotów, rozstawiając je po całej polanie, podobnie jak karety i wozy. Tylko konie umieszczono prawidłowo, po zawietrznej stronie obozu.

- Colt, odpręż się i zjedz kolację, którą z myślą o tobie zostawiłem. Wiesz, oni mają francuskiego kucharza i uczciwie ci powiem, że nigdy nie jadłem czegoś ... tak ...

Billy zaniemówił, bo Colt, rozsiadławszy konia, odwrócił się do niego z groźną miną. - Podoba ci się tu, co, mały?

Billy głośno przełknął ślinę. Już wolałby, żeby Colt wreszcie na niego nakrzyczał, zamiast przemawiać tym cichym, wyważonym tonem. Robił się taki cholernie nieprzewidywalny, kiedy brała w nim górę indiańska natura. Należało go jak najszybciej udobruchać.

- Colt, oni wiedzą, co robią. Nieraz obozowali w dziczy. Rozpakowanie i ustawienie namiotów nie zajęło im nawet dwudziestu minut. I nie zapominaj, ilu tu jest mężczyzn. Już porozstawiali strażę...

Znowu nie dokończył. Colt odwrócił się do niego plecami i wycierał konia, lecz brak płynności jego ruchów mówił więcej niż słowa. Był napięty jak cięciwa, która w każdej chwili może się zerwać, i Billy wreszcie pojął, że to nie obóz go zdenerwował - był jedynie pretekstem - ponieważ nie mógł wyładować agresji na prawdziwym powodzie swego gniewu. Dobrze, że ten "powód" poszedł już spać.

Billy'emu nadal nie mieściło się w głowie, że Colt pracuje dla księżnej. Przez te cztery słowa: "Zgadzasz się albo rezygnujesz" dał się złapać w pułapkę. Po części był wściekły na siebie, że dał tej kobiecie wybór, chociaż wcale nie miał takiego zamiaru. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Billy o mało nie zleciał z konia, kiedy usłyszał tę kwotę, lecz jego zdziwienie było niczym w porównaniu z szokiem Colta, kiedy księżna na nią przystała.

Patrząc z perspektywy, cała sytuacja była dość zabawna, przynajmniej tak mu się wydawało. Jednocześnie był pewien, że Colt do końca nie znajdzie w niej nic śmiesznego.

Colt zapewne nadal jest posiadaczem niezłej fortunki w czystym złocie, które dostał od swojej matki. Billy wątpił, czy kiedykolwiek zużył choćby jej część. Bogactwo nie miało znaczenia dla kogoś takiego jak on. Nadal żył tak jak dawniej. Pod tym względem Jessie nie udało się go ucywilizować. Czasami spał w wielkim domu na ranczu, a czasem w chacie, którą zbudował na wzgórzach ponad nim. Większość nocy jednak spędzał gdzieś daleko, pod gołym niebem, szczególnie kiedy sprzyjała pogoda. I nigdy dotąd dla nikogo, nawet dla Jessie, nie pracował.

Usiłowała wprowadzić go w arkana hodowli bydła, ale ponieważ nie miał do tego serca, niczego się nie nauczył. W końcu zajął się tym, co zawsze lubił, czyli układaniem koni. Obecnie

zaopatrywał Rocky Valley i sąsiednie farmy w konie robocze, które uprzednio musieli sprowadzać aż z Kolorado i z innych odległych terenów. A ogier, którego podarował Chase'owi, dwa ostatnie lata z rzędu wygrywał wyścigi w Cheyenne, wzrósł zatem popyt również na jego wyścigowe konie.

Natomiast w dalszym ciągu nie przykładał wagi do pieniędzy. Chwytał i ujeżdżał dzikie konie, bo to zajęcie sprawiało mu radość, a nie po to, by zapewnić sobie dostatnie życie. Colt znał wartość i siłę pieniędzy. Tę wiedzę Jessie mu wpoila. Jeździł razem z nią i Chase'em na zakupy do St. Louis. A podczas pobytu w Chicago gościł w wielu zamożnych domach oraz bywał w najdroższych magazynach, miał więc okazję przyjrzeć się z bliska, jak żyją i bawią się najbogatsi i na co wydają swoje pieniądze. Doskonale więc zdawał sobie sprawę, że zapłata, jakiej zażądał za swoje usługi, stanowiła oszałamiającą sumę i nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien na nią przystać, lecz niestety popełnił błąd.

Naturalnie, wiedział, że księżna jest osobą majątną. Musiał to zauważyć. Jej ekwipaż, wspaniałe konie, piękne stroje i liczebność świty, jaką miała na swoje usługi, wymownie świadczyły o bogactwie. Również jego brat, Billy, nie potrafił ogarnąć rozumem, jaki księżna musi mieć majątek, skoro pięćdziesiąt tysięcy dolarów stanowiło dla niej błahą sumę, którą wydała bez mrugnienia okiem. Nie znał nikogo tak bogatego.

Lecz nawet bogaci ludzie nie trwonią pieniędzy bezmyślnie, I właśnie tak postąpiła księżna. Dlaczego? Może i była ekscentryczna, ale na pewno nie sprawiała wrażenia osoby ograniczonej czy szalonej. Zdecydowanie nie. Czyżby była aż tak zepsuta, że nie potrafiła odmówić sobie czegoś, na co miała ochotę?

To wszystko nie miało sensu. Czy aby na pewno zależało jej po prostu na znalezieniu przewodnika? Najwyraźniej upatrzyła sobie Colta, mimo że on z miejsca oznajmił, iż nie jest do wynajęcia. Niewątpliwie wybór był trafny, Colt bezpiecznie dowiezie ją na miejsce, lecz przecież tego samego potrafiłoby dokonać wielu innych mężczyzn, którzy z ochotą by się najęli. Colt nie chciał i jasno dał to do zrozumienia, ale ona się tym nie zmartwiła. Musi więc mieć jakiś szczególny powód wynajęcia Colta, i to bez względu na koszty, tylko że Billy nie potrafił go dostrzec.

Podobnie zresztą jak Colt, który znacznie głębiej aniżeli Billy zastanawiał się nad tym wszystkim, no i znał więcej faktów. Wiedział, iż najpierw chciała, żeby zajął się jej wrogiem. Dopiero potem zaproponowała, aby został przewodnikiem. Ciekawe, czy gdyby rano zgodził się z nią spotkać, miałyby dla niego jakąś trzecią ofertę? Bardzo możliwe. Czy uważała, że on rozwiąże jej problemy? Czyżby nie wiedziała, że nie można nikogo do niczego zmusić siłą? Zapłaciła za usługi przewodnika i tylko tyle dostanie.

Dlaczego więc tak go rozzłościł widok obozu bezbronnego w razie ataku? Czy chce, czy nie - będzie chronił tę piekielną kobietę. Ale nie ma zamiaru tropić jej wroga. Jeżeli ona sądzi, że go do tego namówi, czeka ją gorzkie rozczarowanie.

Co naprawdę kryło się pod tym uporem, aby właśnie on towarzyszył jej w podróży? Za te pieniądze mogłaby wynająć z tuzin łowców głów. A może wcale nie ma ochoty wydać tych pieniędzy? Zablefował, podając tę sumę, a może ona teraz planuje jakiś wybieg, żeby mu ich nie dać? Kto wie, czy nie udałoby mu się wywinąć z tej sytuacji, gdyby z góry zażądał zapłaty? Tak, i znowu by się wygłupił, gdyby przypadkiem dysponowała taką kwotą. Chybaby się wtedy wściekł. Raz już wszedł na durnia, a to o jeden raz za wiele.

Colt rzucił siodło na ziemię tuż przy ognisku, aż iskry strzeliły w górę i Billy musiał szybko strzepnąć je z ubrania. Ale Colt nawet tego nie zauważył. Wpatrywał się w to pasiaste kremowobiałe cudo o monsturalnych rozmiarach, które wyrastało jakieś siedem metrów przed nim, i wcale nie widział namiotu, lecz wyobrażał sobie tę kobietę, która była w nim w środku. Czy miała rozpuszczone włosy tak jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy? Czy zdjęła ten swój piękny



strój i nałożyła coś innego ... W co się przebrała? W czym śpią kobiety z jej sfery?

Colt zacisnął zęby i ponownie zajął się koniem. Zdecydowanie wolałby, żeby Billy nie rozpałił ogniska tak blisko namiotu, ale już się stało. I tak nie zaśnie tej nocy, nie ma więc znaczenia, jaka odległość dzieli ją od niego.

- Mały, zaraz wrócę. Pozbądź się tego dziwnego jedzenia. Sam sobie coś przygotowuję.

Billy był gotów zaprotestować, lecz w porę się powstrzymał.

Tego dnia i tak już zbyt dużo narzucono Coltowi. Posiłek, choćby najbardziej wykwinny, mógłby mu utknąć w gardle.

Westchnął, patrząc, jak Colt prowadzi swojego ogiera na placyk dla koni. Nie tylko on jeden go obserwował. Odkąd wjechał do obozu, wszystkie oczy były skierowane na niego z większą lub mniejszą dozą ciekawości, podejrzliwości i niechęci. Nikt nie wiedział, co o nim myśleć ani jak go traktować. Wszyscy natomiast mieli pewność, że ich pani zdecydowanie życzy sobie mieć go w orszaku. Do Billy' ego odnoszono się z sympatią, traktowano go życzliwie, wręcz po przyjacielsku, natomiast sposób bycia Colta nie zachęcał do żadnych gestów. Nawet gdyby nie zachował się obraźliwie wobec księżnej w zasięgu słuchu połowy jej ludzi, co już samo w sobie było wystarczającym powodem, żeby darzyć go niechęcią, dodatkowo jego postawa zdawała się informować: "Trzymajcie się ode mnie z daleka". A księżna jest akurat tą osobą, która powinna trzymać się od niego najdalej - pomyślał Billy, widząc, że ona właśnie wychodzi z namiotu i podąża za Coltem do koni.

## Rozdział 13

Wiedział, że tu jest. Słyszał, jak podeszła, mimo że starała się zachowywać cicho. I nie musiał się wcale oglądać, żeby sprawdzić, czy to na pewno ona. Jego nozdrza wypełniał zapach jej perfum, ale zanim go poczuł, wszystkimi zmysłami wyczuwał jej obecność, prawie jak zwierzę wietrzące bliskość samiczki.

Stała za nim, czekała, żeby się odezwał. Nie powinien. Im mniej będą ze sobą rozmawiać, tym lepiej. Nie sądził jednak, że pozbędzie się jej, milcząc. Ta kobieta była zbyt uparta. I chociaż jej milczenie świadczyło o zdenerwowaniu, podchodziła coraz bliżej, bo jej zdecydowanie było silniejsze od niepewności.

- Słusznie postępujesz, trzymając ich w pobliżu.

Jocelyn potrzebowała chwili na otrząśnięcie się z zaskoczenia po tym niespodziewanym stwierdzeniu i jeszcze trochę czasu, żeby zrozumieć, co on ma na myśli. Odwróciła się, żeby sprawdzić, kto podąża za nią, i zobaczyła aż czterech strażników, którzy nawet nie usiłovali pozostać w ukryciu. Trzymali się w pewnej odległości, gwarantując jej w ten sposób pewną swobodę, ale zdecydowanie nie zamierzali zostawić jej sam na sam z nowym przewodnikiem.

- Jesteś dla nich nowy. Przesną ci deptać po piętach, kiedy lepiej cię poznają.

- Ty też mnie nie znasz.

Zadrżała. Sposób, w jaki to powiedział, zabrzmiał niczym groźba. I zapewne była to groźba, najlepiej więc wziąć nogi za pas. Nie musiał tego robić, i tak była dostatecznie zdenerwowana. Ale nie chciała się go bać. I nie chciała, żeby był na nią zły. Jeśli pozwoli się zastraszyć, nigdy między nimi do niczego nie dojdzie.

- Możemy to zmienić - odezwała się z wahaniem w głosie, pragnąc, żeby się odwrócił i spojrzął na nią. - Chciałabym cię lepiej poznać.

- Dlaczego?

- Bo mnie ... intrygujesz. I podniecasz, i budzisz pożądanie, i niech cię diabli, Colt, odwróć się i patrz na mnie!

Nie odwrócił się. Nadal powolnymi, lekkimi pociągnięciami wycierał konia, jakby jej w ogóle nie było. Nie była przyzwyczajona, żeby ją ignorowano. Lekceważenie nie dodaje kobiecie pewności siebie, a już i tak straciła prawie cały rezon.

Przez chwilę w milczeniu, jak zahipnotyzowana, wodziła wzrokiem za jego ręką gładzącą bok konia, wyobrażając sobie ...

Czym prędzej otrząsnęła się z tych myśli, obeszła konia i gładziła go po chrapach, z uwagą skupioną na pięknym zwierzęciu, a nie na jego właścicielu, który ani razu nie spojrzął w jej stronę.

- Czy możemy porozmawiać ze sobą jak ludzie? - zaryzykowała jeszcze raz.

- Nie.

Z jakiegoś powodu ta beznamiętna odpowiedź wzbudziła w niej gniew. Ten mężczyzna jest niemożliwy, zwyczajnie niemożliwy!'

- Posłuchaj, wiem, że nadal jesteś na mnie zły, ale ...

- Pani, słowo "zły" nawet w przybliżeniu nie oddaje tego, co czuję.

Wyprostował się i wreszcie przeniósł wzrok na nią. Od razu tego pożałowała. Pod spojrzeniem intensywnie niebieskich oczu, rozpalonych jakimiś szalonymi emocjami, zaparło jej dech w piersi. Czy to furia? Nie była pewna.

Colt też nie miał pewności. Starał się ostudzić gniew, ale przeszkadzał mu w tym jej zapach, głos ... wspomnienia. Za każdym razem, kiedy zbliżał się do białej kobiety, niemal czuł na plecach uderzenia bata, rozrywające ciało. W tym wypadku było jeszcze gorzej, pragnął jej, mimo że wiedział, iż nie może jej mieć. Musi to zwalczyć. Od trzech lat nic takiego mu się nie

przydarzyło. Widok kobiet z jej rasy budził niechęć, odrazę i wspomnienie zadanych mu cierpień. Należał do ludzi, którzy nie popełniają dwa razy tego samego błędu. Dlaczego więc nie czuł do niej niechęci? Czemu jego ciało płonęło z chęci porwania jej w ramiona? I dlaczego, do cholery, ona się nie wycofa, zanim on straci resztkę rozsądku, jaka mu jeszcze pozostała?

- Co zdecydowało? - zapytał rozmyślnie szorstkim tonem. - Czy nikt dotąd nie powiedział ci "nie"?

- Nie ... , ależ nie.

- Więc dlaczego ja, duchess?

Uderzyła ją pogarda, z jaką użył jej tytułu. Oburzenie wzięło górę nad onieśmieleniem.

- A dlaczego nie? Najwyraźniej masz swoją cenę, bo inaczej by cię tu nie było. - Wiedziała, że to, co mówi, brzmi naiwnie, lecz zanim jej to wytknie, musi mu jeszcze coś powiedzieć: - I wiedz, że nie zrezygnuję z ciebie, nawet jeśli nadal będziesz taki butny.

- Pani, jeśli tylko wymyślę coś, co może sprawić, że sama mnie zwolnisz, na pewno to uczynię - zapewnił ją z rozdrażnieniem. Jego wzrok przypadkiem ześliznął się na jej usta i zawisł tam na ułamek sekundy. - A może jest coś takiego ... dodał znacznie ciszej.

Odgadła, co się za chwilę stanie, zanim sięgnął po nią.

Wiedziała też, że nie czeka jej nic przyjemnego, że zamierza ją obrazić albo zadać jej ból, byle tylko go odprawiła. A jednocześnie zostawił jej możliwość powstrzymania go. Nie było ani śladu gwałtowności w sposobie, w jaki wyciągnął rękę ku jej szyi. A palce dotknęły karku delikatnie, nie zaciskając się na nim.

Nadal mogła uciec, ale jeszcze kilka głośnych, bolesnych uderzeń serca, i zrobiło się za późno. Przesunął palce ku nasadzie szyi i wczepiając je w sploty gęstych włosów, przyciągnął ją do siebie. Zrobił to powoli, nawet wtedy mogła temu zapobiec - wyrwać się czy krzyknąć - ale niczego nie zrobiła.

Zapewne sądził, że to strach ją sparaliżował i odebrał mowę, ale prawda była inna: ona nie chciała go powstrzymać. Tak bardzo pragnęła spotkania ich ust, że była gotowa znieść nawet ból. I bez ostrzeżeń Vanessy wiedziała, że nie obejdzie się z nią delikatnie. Bała się jedynie, że on się rozmyśli.

Pocałunek okazał się bardziej zawzięty, niż się spodziewała.

Naprawdę chciał ją do siebie zniechęcić, a nawet wzbudzić jej nienawiść, albo chociaż sprawić, by go odrzuciła. Nie wiedział jednak, że tylko połowicznie osiągnął zamierzony skutek, bo jednocześnie rozpałił w niej podniecenie, które dodając jej siły, odebrało chęć oporu.

- Jesteś gotowa mnie odprawić? - zapytał chrapliwie, wczepiając palce w jej włosy. Nie podejrzewała, iż jest świadomy, że sprawia jej ból. Odrętwiałe wargi pulsowały, oddech się rwał, nogi ugiwały w kolanach, a tymczasem on, wpatrzony w jej usta, czekał na odpowiedź, jakby od niej jedynie zależało, jak dalej postąpi.

- Nie - wydobyła z siebie, nie mniej zaskoczona niż on.

Nie chciała, by się dalej nad nią pastwił, ale też nie zamierzała z niego zrezygnować.

Spojrzał jej w oczy, próbując odgadnąć, czy jest tylko uparta, czy po prostu szalona. I nagle zamarł, po czym szepnął złowieszczym tonem:

- Powiedz mu, żeby zabrał rękę. Bo w przeciwnym wypadku sam ją zdejmę, ale długo nie będziesz miała z niego pożytku.

Zamrugnęła dezorientowana i wtedy zobaczyła, że Robbie stoi tuż za nim, trzymając swą wielką dłoń na jego ramieniu ... Colt nawet się na niego nie obejrzał i nadal patrzył na nią, ale nie miała wątpliwości, że potężna budowa strażnika nie zniechęci go do spełnienia groźby. Na pewno nie. Był gotowy do zwady, szukał okazji, by dać upust agresji. Robbie nie był tego świadomy, ale ona nie miała wątpliwości.

- Wszystko w porządku, Robbie. Pan Thunder tylko ... starał się mi coś udowodnić. Nie ma

powodu do niepokoju.

Potężny Szkot stał niezdecydowany. Jeżeli był świadkiem tego "karzącego" pocałunku w półmroku rozświetlonym przez żar z ognisk za nimi, miał prawo nie dać wiary jej zapewnieniom. Jak mogła zapomnieć, że w pobliżu czuwali jej ludzie? Nie musiała się przed nikim tłumaczyć, niemniej ...

I wtedy zorientowała się, że Colt nadal trzyma ją za włosy, I prawdopodobnie to właśnie niepokoiło Robbiego. Zaskoczona jego najściem, zupełnie o tym zapomniała. Colt też musiał zapomnieć. Jednakże gdy nieznacznie unosząc ramię, dotknęła jego nadgarstka, by dać mu dyskretnie znak, nawet nie rozluźnił uchwytu. I wystarczyło jedno spojrzenie w oczy, by z nich wyczytać, że wcale nie zapomniał. Colt nie zamierzał ustąpić, absolutnie nie.

Nie potrafiła odgadnąć, do czego zmierza. Czy pragnie wszcząć bójkę, licząc, że wtedy go wyrzuci? A może chce ją nastraszyć, udowodnić, że jej ludzie nie są w stanie jej obronić, a przynajmniej nie przed nim. Cokolwiek planował, nie podobała jej się ta sytuacja.

Jeżeli sprzeciwi się Coltowi, a on ją zignoruje, dojdzie do walki. Natomiast jeśli każe odejść Robbiemu, da nadal trzymającemu ją Coltowi wolną rękę. A jeśli niczego nie robi, to Colt spełni obietnicę i Vanessa nigdy jej nie daruje, że dopuściła do kontuzjowania jej ulubionego strażnika. Nie miała wątpliwości, kto przegrałby walkę. Prawda, że Robbie jest osiłkiem, który ma za sobą służbę w Królewskich Oddziałach Szkockich Górali, ale nie ma w sobie krzty zimnej zawziętości, która aż biła z postaci Colta.

Nie ma wyjścia.

- Robbie, doceniam twoją troskę, ale nic mi nie grozi ze strony pana Thundera. Możesz odejść i odwołać resztę straży. Za chwilę wrócę do namiotu.

Ponieważ wydała polecenie, musiał jej usłuchać, aczkolwiek zrobił to z ociąganiem:

- Wedle życzenia, wasza wysokość.

Gdy tylko cofnął rękę z ramienia Colta i odwrócił się, Indianin uwolnił jej włosy. O to mu więc chodziło. A niech go piekło pochłonie, przez niego przeżywała takie rozterki!

- To było niegodziwe! - syknęła, masując obolałą czaszkę. I nie mam na myśli tego, co mi zrobiłeś, chociaż to również było nikczemne. Nie wątpię, że byłbyś w stanie poturbować moich ludzi, ale szantaż taką groźbą, by zmusić mnie, żebym pozwoliła ci odejść, jest posunięciem godnym tchórza, a cokolwiek o tobie myślałam, nie posądzałam cię o tchórzostwo, sir.

- A co teraz o mnie myślisz? - zapytał hardo.

Odstąpiła od niego o krok, w pełni świadoma, że mówi o tym, co zaszło między nimi. Co ona myśli? Wie jedno, że bez litości potrafi dopiąć swego.

- Uważam, że jesteś upartym człowiekiem, Colcie Thunderze. Ale ja również jestem znana z uporów. I bardzo mi przykro, że muszę cię rozczarować, ale twój popis nie odstręczył mnie. Nadal cię potrzebuję.

Odeszła, lecz jej ostatnie słowa okazały się trafną zemstą za pocałunek. To, co miała na myśli, mówiąc, że go potrzebuje, oraz interpretacja tych słów przez jego ciało oznaczały dwie różne sprawy, niemniej spędził bezsenną noc, przez większą jej część wijąc się w mękach.

## Rozdział 14

- Ferme la!

- Hein? Espece de salaud, je vais te casser la gueule!

- Mon cul!

- Dobry Boże, czy muszą mnie budzić takie awantury? - irytowała się Jocelyn, przewracając się na posłaniu z futer. - O co tym razem się kłóć?

Vanessa, stojąc w wejściu do namiotu, wzruszyła ramionami. - Wygląda na to, że Babette znowu obraziła kucharza.

Wiesz, jaki Philippe jest wrażliwy na punkcie swoich umiejętności.

- Chyba nie zamierza rozbić mu głowy, jak obiecuje, co?

- Naprawdę złapała za patelnię, ale on trzyma drugą. Teraz stoją naprzeciw siebie, gotowi zabić się wzrokiem.

- Vana, odwołaj ją. Wielokrotnie ją ostrzegałam, żeby zakończyła te kłótnie z Philippe'em. Jak ona myśli, skąd wezmę kogoś na jego miejsce, jeśli odejdzie? To ją powinnam odprawić. Problemy, jakie przez nią ...

- Musisz przyznać, że ona ożywia atmosferę i, że tak powiem, mężczyźni są zadowoleni. A coś ty dzisiaj taka drażliwa?

Jocelyn zignorowała pytanie.

- Zawołaj ją i już. Nie chcę, żeby przez nią zepsuł mi śniadanie. Czemu lampy się palą? Któraż to godzina?

- Sądzę, że będzie jakaś szósta rano - zachichotała Vanessa. - Twój przemiły Thunder postawił cały obóz na nogi jakieś pół godziny temu. Wspominał coś o wyruszeniu przed świtem, żeby nie tracić dnia.

- Świt? Czy on oszalał?! - jęknęła Jocelyn.

- Jestem gotowa się założyć, że będzie dążył do tego, aby jak najszybciej zakończyć pracę u ciebie. Ani się obejrzymy, jak będziemy w Wyoming.

- Porozmawiam z nim.

- Życzę powodzenia.

- Cóż tak cię bawi, Vana?

- Czyż nie ostrzegałam cię, moja droga? Ten człowiek jest gotów zrobić wszystko, żebyś pożałowała, że go najęłaś. Przewodnik, akurat! Toż to urodzony poganiacz niewolników!

Vanessa wyszła przed namiot, żeby zapobiec wojnie pomiędzy francuskim kucharzem a jego rodaczką pokojówką. Po chwili wróciła, prowadząc ze sobą Jane z miską ciepłej wody i z ręcznikiem. Babette wołała dyskretnie się usunąć, najwyraźniej uprzedzona, że naraziła się na gniew swojej pani, więc tym razem Jane przyszykowała dla Jocelyn ubranie na drogę.

Jocelyn leżała zagrzebana w futrach, zmagając się z narastającą irytacją, która nie miała nic wspólnego z rozmową z Vanessą. Usta miała obrzękłe i obolałe, lusterko niewątpliwie pokaże, że są spuchnięte. Jak coś takiego ukryć? Colt, kiedy ją zobaczy, będzie miał dowód, że naprawdę udało mu się sprawić jej ból. Nigdy nie zrozumie, dlaczego z miejsca go nie wyrzuciła. Co mu powie, jeśli zażąda wyjaśnień? Że lubi być poniewierana? A może wyjawi mu - zgodnie z prawdą - że tak bardzo pragnie, aby został jej pierwszym kochankiem, że puściła w niepamięć jego brutalne zachowanie?

- No i? Jeszcze chwila, a zaczniesz walić w drz ... , znaczy - w klapę namiotu, jeżeli nie będziesz gotowa w wyznaczonym przez niego czasie. A może właśnie o to ci chodzi? Czy mam stąd wyjść, żeby wam nie przeszkadzać?

Cierpkie poczucie humoru Vanessy zdecydowanie jej nie pomagało. Uwielbiała triumfować, jeśli się okazywało, że ma rację, a Jocelyn podejrzewała, że ona uważa, iż to wyrwanie ich ze snu o

tak nieludzkiej porze jest wyrównywaniem rachunków za zatrudnienie go wbrew woli.

- Jeżeli rzeczywiście przyjdzie mnie popędzać, to będzie się miał z pyszna - odburknęła Jocelyn.
- Nie ruszę się stąd, dopóki nie będę gotowa.
- A cóż to? Czyżbyśmy się szykowały do pierwszej kłótni z tym panem? Czy dobrze słyszę?
- Vana!
- No, już dobrze - załagodziła Vanessa, przysiadając w nogach pościania Jocelyn. - Powiedziałam, co myślę. Ale dlaczego jesteś dzisiaj taka rozdrażniona?
- Nie spałam zbyt dobrze - westchnęła Jocelyn.
- Chcesz o tym porozmawiać?
- Nieszczególnie - odparła, odwracając się na bok, i aż się skuliła, słysząc westchnienie Vanessy na widok jej twarzy.
- Mój Boże, to już się stało?! Kiedy? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Dzięki Bogu, że nie rozszarpał cię na kawałki. Cóż, przynajmniej możemy się już pozbyć tego grubianina.
- Nic się nie stało.
- Bzdura. Przecież widzę, poznam wycelowane usta.
- I więcej do niczego nie doszło. A zrobił to, bo myślał, że go wyrzucę.
- A wyrzuciłaś? No nie, oczywiście, że nie, przecież by go tu nie było. A czy ... hmm, czy przynajmniej sprawy zaszły dalej?
- Zaszły dalej?! - Jocelyn zbierało się na pusty śmiech. - Vana, on nie pocałował mnie dlatego, że chciał. Próbował ...
- Wiem, słyszałam. Myślał, że go wyrzucisz. Czy było tak ... jak się spodziewałaś?
- Jak się spodziewałam? Tak. Jak chciałam? Nie. Zrobił to najbrutalniej, jak można, i mam nadzieję, że te jego przeklęte usta są równie obolałe jak moje.

Vanessa aż zamrugła, słysząc jej zawzięty ton.

- Cóż, możemy uznać, że nie ma postępu w tej sprawie - zaryzykowała. - Naturalnie, istnieje możliwość, że się zapomniał, i stąd to dzikie zachowanie.

Zapomniał się? Chyba nie do końca panował nad głosem, kiedy spytał, czy gotowa jest go wyrzucić. I jak się nad tym zastanowić, oddech też miał jakby przyspieszony. A szarpnął ją za włosy, dopiero kiedy skończył, nie wcześniej. Czy możliwe, że kryła się w tym pocałunku niezamierzona namiętność? Boże, bardzo chciała w to wierzyć, ale przy swoim braku doświadczenia nie mogła mieć pewności.

- Nie wiem, Vano, ale to i tak bez znaczenia. Znowu pokrzyżowałam mu szyki, więc kładł się spać, przeklinając mnie, a nie targany namiętnością. I tak sobie myślę - dodała, odrzucając skóry i wstając - że mądrze zrobię, trzymając się od niego z daleka przez kilka dni. Wczoraj nie powinnam była się do niego zbliżać, skoro wiedziałam, że nie miał czasu ochłonać. Nie zamierzam po raz drugi popełnić tego samego błędu.

## Rozdział 15

- Jedzie Pete.

- Najwyższy czas - odburknął Dewane.

- Przywiózł doktora? - odezwał się Clay z legowiska w kącie.

- Przestań jęczeć - warknął Dewane na rannego mężczyznę. - Wyjąłem ci kulę, nie?

- Pete jest sam, Clay - poinformował go Clydell, stojąc w otwartych drzwiach, skąd dostrzegł zbliżającą się sylwetkę jeźdźca. - I tak doktor niewiele by ci pomógł, a potem musielibyśmy go zabić, żeby zamknąć mu usta. Chcesz jeszcze whisky?

Elliot patrzył w milczeniu, jak butelka palącej niby ogień okowity, uchodzącej w tych stronach za whisky, ląduje w dłoni Claya. Biedak nie zdawał sobie sprawy, że umiera. Stracił za dużo krwi, zanim udało mu się ich odnaleźć. On z miejsca uwolniłby go od bólu, zamiast przedłużać jego cierpienia wyjmowaniem kuli, ale ponieważ nikt go nie pytał o zdanie, wołał, żeby zachować dla siebie. Miał ochotę go zabić za to, że nie wykonał zadania, lecz tego również wołał nie wyjawiać. Po co mieli wiedzieć, jaki był wściekły? To on ponosi winę za niepowodzenie, bo najął nieudaczników, nie dopracował planu, no i wysłał za księżną tylko dwóch ludzi. Znowu dopisało jej szczęście, to jej cholerne szczęście, bo w porę znalazł się ktoś, kto jej pomógł, w dodatku ktoś bardzo sprawny. Jak to możliwe, że ona za każdym razem wymyka mu się z rąk?

Clay zapadł w stan półświadomości, przez jakiś czas więc nie będzie jęczał. To jego zawroźnienie doprowadzało Elliota do szału. Ale nic nie mówił. Lepiej, żeby jęki Claya innym też zaczęły grać na nerwach, przynajmniej nie będą zanadto protestować, kiedy zasugeruje, żeby go tu zostawić i niech sobie umiera w spokoju.

Dewane postawił na stole dzbanek z kawą, lecz Elliot nie miał chęci na dolewkę tego okropnego naparu. Tkwili tu w koszmarnych warunkach, ale przynajmniej mieli dach nad głową.

Clydell znalazł tę pustą chatę, którą nazwał stanicą. Korzystali z niej poganiacze bydła z okolicznych rancz, kiedy przepędzali stada. Stał tu stół i dwa krzesła, stara kuchnia oraz skrzynia z pogiętymi blaszanymi naczyniami, a w kącie na drewnianej ramie leżał zapleśniały siennik. Kiedy padało, dach zapewne przeciekał, ale przynajmniej mieli gdzie przeczekać do powrotu Pete' a Saundersa. Miał on wywęszyć, w którą stronę udała się księżna.

Po dwóch dobach oczekiwań Elliot zaczął nabierać przekonania, że najmłodszy opryszek z ich małej grupy opuścił kolegów na dobre. Wcale by się nie dziwił. Tak długo mu się nie wiodło, a teraz wyglądało na to, że wpadł z deszczu pod rynnę. Jednakże Pete wrócił i teraz on mógł się zająć planowaniem następnego ruchu.

Pete wszedł leniwym krokiem do chaty i uśmiechając się od łoża do ucha, otrząpywał ubranie z kurzu pogiętym kapeluszem, który prawdopodobnie miał więcej lat niż jego właściciel. Kiedy Elliot po raz pierwszy ujrzał tego chłopaka, wahał się, czy go nająć, chociaż jego bujna broda maskowała nieco młody wiek. Zmienił jednak zdanie, kiedy usłyszał listę jego osiągnięć, na której między innymi znalazł się napad z bronią, kradzież bydła i jedna strzelanina, do której doszło zeszłej zimy. Nadal jego niepokój budził entuzjazm i chwackie zachowanie osiemnastolatka, nawet jeśli to była zwykła poza.

- Pete, myślałem już, że zgubiłeś drogę - zauważył Clydell na powitanie.

- Albo tak się ożłopałeś, że nie mogłeś trafić do drzwi saloonu - dodał Dewane z ironicznym uśmiechem.

- Przez cały czas nie wypilem ani kropelki - zaprotestował Pete i nadal się uśmiechając, opadł na krzesło naprzeciw Elliota, zajmującego jedyny wolny z tych dwóch sprzętów. - Ale teraz chętnie bym coś łyknął. A jak Clay?

- Bez zmian - odpowiedział Clydell, stawiając na stole butelkę z okowitą.

- Panie Saunders - odezwał się Elliot, pozwalając mu pociągnąć zaledwie parę łyków. - Jeżeli ma pan coś do powiedzenia, chciałbym to teraz usłyszeć.

Pete, nie przestając się uśmiechać, oderwał butelkę od ust.

Gdyby Elliot nie miał okazji widzieć go bez tego uśmiechu wtedy, gdy dołączył do nich zalany krwią, sądziłby, że to jakiś paraliż twarzy.

- Jasne, szefie - odparł Pete. - Kiedy przyjechałem do Tombstone, bez trudu odnalazłem tę damę. Narobiła wokół siebie sporo zamieszania swoimi powozami i strażą. Wszyscy o niej gadali, kombinowali, kim jest i co robi ...

- Tak, tak, wszędzie to samo, gdziekolwiek się pojawi - przerwał mu niecierpliwie Elliot. - Mów, co dalej.

- Zarezerwowała dla siebie i dla całej reszty pokoje w "Grandzie", sądziłem więc, że trochę posiedzi w mieście. Planowałem wyruszyć następnego dnia rano, kiedy sprawdziłem, czy powinniśmy się liczyć z pościgiem ...

- Powinniśmy? - wtrącił się Dewane.

- Nie. Facet, co sprząta w więzieniu, powiedział, że wpisali nas na listę "osób niezidentyfikowanych", kiedy znaleźli ciało. Nie wiedzą, jak wyglądamy, szeryf więc nie będzie nas szukał. No, ale jak już mówiłem, dobrze się stało, że na drugi dzień zasnęłam i nie wyjechałem z samego rana.

- My tkwiłiśmy tu bez sensu, a tymczasem ty się dobrze bawiłeś, co? - stwierdził Dewane.

- Daj spokój, a co miałem robić z czasem? Gdybym się nie zasiedział z wieczora, nie byłoby mnie w mieście, kiedy ta dama wyjeżdżała.

- Więc znowu jest w drodze? - podsumował nieco zaskoczony Elliot.

- No pewnie. Wyruszyła zaraz po strzelaninie. Hej, Dewane, nigdy nie zgadniesz, kto się strzelał!

- podniecił się Pete. - Bracia McLaury i dzieciak Clantonów!

- Z Earpami?

- No, a z kim?

- Widziałeś? - chciał wiedzieć Clydell.

- Nie. Akurat rozmawiałem z tym gościem w więzieniu. Ale strzały było słychać w całej okolicy. Kiedy tam poszedłem, było już po wszystkim.

- Panie Saunders, czy byłby pan tak łaskaw - upomniał go Elliot. - Interesuje mnie księżna, a nie jakaś tam strzelanina w jednym z tych waszych miasteczek na rubieżach.

- Jasne, szefie. Ale ona tam była, ta dama. I zaraz potem odeszła. Nietrudno zgadnąć, że po tym strzelaniu musiała mieć dość i chciała wyjechać. Więc pomyślałem sobie, że chociaż spieszy mi się z powrotem, przejadę się jeszcze koło hotelu, i wtedy właśnie zobaczyłem, że pakują wozy.

- Przypuszczam, iż miałeś tyle rozumu, żeby za nią podążyć?

Pete kiwnął głową.

- Jechałem za nimi do czasu, kiedy wieczorem rozbili obóz kilkanaście kilometrów za Benson. Trzymają się szlaku dyliżansów, chociaż znaleźli jakiegoś mieszańca przewodnika, zanim opuścili miasto. Zerwał ich dzisiaj przed świtem i kierują się na Tucson.

- Dokąd ona teraz jedzie? - zapytał Elliot.

- No, chyba do Tucson - skwapliwie podpowiedział mu Clydell.

Idioci, zwykła banda idiotów - westchnął w duchu Elliot. - Zapewniam cię, panie Owen, że księżna nie zamierza zostać na tych terenach. Interesuje mnie docelowe miejsce podróży.

- Kieruje się na północ, ale to jasne jak słońce, że nie zamierza jechać do Utah - spekulował Dewane, jedyny, który zrozumiał intencje Elliota. - Tam są same pustynie. W każdej chwili może odbić do Kalifornii lub skręcić do Nowego Meksyku, a potem do Kolorado. Tam mają tory, więc jak zechce, może wrócić pociągiem na Wschodnie Wybrzeże.

- Bardzo słusznie - uśmiechnął się wreszcie Elliot, choć był to uśmiech lodowaty i wymuszony. - A dopóki trzyma się dróg, co raczej nieuniknione z tymi ciężkimi wozami, to jeśli narzucimy tempo, bez trudu ją wyprzedzimy. Jak daleko stąd do Tucson?



- Jak na te frymuśne powozy za daleko, żeby dojechać w jeden dzień. Jeżeli zaraz wyruszymy i nie zatrzymamy się na noc, zdążymy tam przed nimi.

- Świetnie, ale potrzeba nam więcej ludzi. Znacie może kogoś w Tucson?

- Ja chyba znam - odparł Dewane. - Myśli pan o konfrontacji?

- Panie Owen, zapominasz, ilu zbrojnych jej towarzyszy.

Teraz doszedł nowy człowiek. Niedobrze, że ma przewodnika. Jeden z was mógł zaoferować swoje usługi, a kiedy już by się znalazł wewnątrz obozu, bez trudu mógłby poderżnąć jej gardło w pierwszą bezksiężycową noc i uciec. Aha, co miałeś na myśli, mówiąc o mieszańcu?

- Że jest półkrwi. Wie pan, na wpół Indian. Pete, co on tam jest? Apacz?

- Nie, za wysoki. I nigdy nie widziałem, żeby Apacz nosił kolta i potrafił go użyć. Oni wołają strzelby.

- Wysoki, tak? - upewnił się zaniepokojony Dewane. - A przypadkiem nie słyszałeś, jak go wołają?

- Po prawdzie podsłuchałem dwóch strażników, kiedy kazali mi odjechać dalej sprzed hotelu. Nazywali go Colt Thunder.

- Cholera! - zaklął Dewane, po czym dołożył soczystą wiązanekę. - Zatrudniła szybkiego strzelca. Naprawdę szybkiego!

- Czy mam przez to rozumieć, że znasz tego Thundera? Zdenerwowany Dewane zapomniał się i spojrzął z wściekłością na niewzruszenie spokojnego Anglika. Colt Thunder! Nikomu poza tym bydlakiem nie udało się zmusić go do wycofania się z pojedynku! A niech to! Co on, do diabła, robi tak daleko na południu?!

- Parę lat temu widziałem, jak strzelał się z jednym gościem. Nie ma sobie równych.

- Dewane, przecież to ...

- Zamknij się, Clydell! - warknął ostrzegawczo na brata. - Wiem, co widziałem. - A potem dodał spokojniejszym tonem: - Z tym Indiańcem nie ma żartów, szefie. Nikomu nie przepuści. Nie musi, bo jest za dobry. I założę się, że to on strzelał do naszych chłopaków. Teraz rozumiem, jakim sposobem go tak szybko najęła. Poznała go wcześniej.

- Co za problem. Po prostu go wyeliminujecie.

- A jak niby mamy to zrobić? Mówiłem już ...

- Nie martw się, człowieku - uciał cynicznie Elliot. - Przecież nie mówię, że macie go wyzwać na pojedynek. Kula w plecy załatwi sprawę, a wtedy księżna będzie potrzebować nowego przewodnika.

- Pewnie tak - uśmiechnął się Dewane. Jedno wiedział na pewno: nie miał zamiaru znaleźć się w pobliżu Colta Thundera ...

- Jeśli nie ma pan nic więcej do powiedzenia, Saunders, proponuję, abyśmy ruszali w drogę - powiedział Elliot, podnosząc się z krzesła. - Muszę rozejrzeć się po tym mieście i sprawdzić, jakie korzyści wynikają dla nas z jego położenia.

- A co z Clayem? - chciał wiedzieć Pete.

- Jeżeli uważacie, że przetrwa jazdę, oczywiście należy go zabrać.

Pete zerknął na Dewane'a, kiedy Anglik wyszedł z chaty, po czym obaj bez wahania ruszyli za nim. Piąty mężczyzna, który nie brał udziału w rozmowie, uczynił to samo. Znał Claya zaledwie od kilku miesięcy, nie będzie litował się nad facetem, który był na tyle nieostrożny, żeby się dać postrzelić, bo przecież wszyscy równo ryzykowali. Jedynie Clydell spojrzął na konającego i po chwili namysłu postawił swoją butelkę z whisky na podłodze obok barłogu, zanim dołączył do pozostałych.

## Rozdział 16

Stanowili piękny widok - ta kobieta i ten wspaniały koń.

Colt przez chwilę przyglądał się urzeczonemu, jak pędzi przez dolinę poznaną kaktusami, zdając się stanowić jedną całość ze swym wierzchowcem. Nigdy by nie podejrzewał, że ta dama podróżująca w wymyślnej karecie potrafi tak się trzymać na koniu. I nawet nie siedzi porządnie w siodle, tylko po damsku, bokiem. Ciekawe, czym jeszcze go zaskoczy.

Nie miał czasu zbyt długo nad tym dumać. Znowu wzbierał w nim gniew, a kiedy znalazła się przy nim, kipiał ze złości. Nie dał jej nawet nabrać powietrza, tylko z miejsca rzucił się z krzykiem, płosząc przy tym ogiera, próbując więc nad nim zapanować, nie dosłyszała początku tyrady.

- ... bez sensu, idiotyzm ... jesteś szalona czy jak?! Powiniennem był się domyślić! Po co opłacać dwunastu ludzi do pilnowania, skoro jeździsz bez obstawy?!

- O czym ty mówisz? - zapytała, kiedy wreszcie udało się jej okiełznać Sir George'a i podjechać bliżej Colta. - Widziałam cię z daleka. Jechałam na spotkanie. Gdybyś przypadkiem nie zauważył, nie ma tu ani wzgórz, ani drzew, ani nawet krzaków, za którymi można się schować. Nic mi tu nie grozi.

- Ach tak? No to rozejrzyj się, duchess. Co prawda ten górski lew zazwyczaj nie poluje na takich terenach, a jednak tu jest. Nie wiadomo, czy upolował swoją ofiarę, która prawdopodobnie odciągnęła go aż tutaj od jego terenów łowieckich, ale zapewne nie pogardziłby łatwą zdobyczą, gdyby zwietrzył twój zapach.

Odczekał chwilę, pozwalając jej przyjrzeć się potężnemu kotu, krążącemu leniwie jakieś trzysta metrów od nich na południe. Na szczęście zwierzę nie wydawało się nimi zainteresowane, lecz ona nie musi o tym wiedzieć.

- A gdyby koń spłoszony przez węża zrzucił cię na ziemię? Koń by pogalopował, a wąż zajął się tobą. Myślisz, że ktokolwiek zdążyłby w porę usunąć jad? Przemyśl to wszystko. Człowiek nie stanowi tu jedyne zagrożenia.

- Masz rację, przekonałeś mnie - powiedziała skruszona.

- To dobrze - odparł nie bez satysfakcji i nie omieszkał dorzucić: - Więc co właściwie robisz tu sama?

- I ja, i Sir George, oboje potrzebujemy ruchu - tłumaczyła się speszona. - Nie przebiegł się porządnie, odkąd opuściliśmy Meksyk, poza tym mam w zwyczaju codziennie się na nim przejechać. A ponieważ ... chciałam z tobą porozmawiać i wydawało się, że nie wrócisz do obozu przed zachodem ... nie widziałam nic złego ... teraz już wiem, ale nie wiedziałam, kiedy pomyślałam sobie, że wyjadę ci naprzeciw.

- Zsiadaj.

- Słucham?

- Duchess, przegoniłaś go dobre sześć kilometrów. Daj mu odsapnąć. Chryste, nie wiesz, że ...

- Tylko mi nie mów, jak mam dbać o mojego konia! - postawiła się, ale zeskoczyła na ziemię i prowadząc Sir George'a za uzdę, okrążyła Colta. - Możesz pouczać mnie w każdej innej sprawie, ale bardzo proszę, konie zostaw w spokoju. Od dzieciństwa je hodowałam i zajmowałam się nimi, i nikt, rozumiesz, nikt, nie wie o nich więcej niż ja.

Colt nie odpowiedział. Jej wybuch zaskoczył go i ostudził jego gniew. Nie wątpił, że zna się na koniach. Ktoś, kto tak jeździ, musi od dawna mieć z nimi do czynienia. Ale żeby je hodować? To nie było zajęcie odpowiednie dla kobiety, a już na pewno nie dla białej kobiety.

Naprawdę okazała się inna, niż sądził, przynajmniej pod niektórymi względami. Nie miał nic przeciwko tym niespodziankom, a właściwie nawet odczuł ulgę. Bo gdyby ktoś chciał ją doścignąć i przypadkiem byłaby wtedy sama, komu udałoby się dogonić ją na tym wierzchowcu?

I ona też musiała o tym wiedzieć. Ciekawe, dlaczego nie użyła tego jako argumentu, kiedy zaczął na nią krzyczeć.

- Hodowałaś konie?

- Tak. - Ciągłe jeszcze podenerwowana, spojrzała na niego czujnie.

Zsiadł z deresza i stanął przed nią, zmuszając, by się zatrzymała. Gniady ogier cofał się nerwowo, dopóki Colt nie wyciągnął ręki i nie przemówił do niego w nieznanym Jocelyn języku. Patrzyła zdumiona, jak Sir George wsuwa chrapy w jego dłoń, a potem podchodzi do niego, przepychając się obok niej.

- Niesamowite! - sapnęła. - Jest nerwowy nawet przy ludziach, których zna. Musiałeś wcześniej się z nim zaznajomić, prawda? - zapytała podejrzliwie.

- Nie.

- Więc jak ... mój Boże! Widocznie masz dar!

- Dar?

- Umiejętność zjednywania sobie zwierząt. Ja też go mam, ale nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak szybko zdobył zaufanie.

Poczuł się rozdrażniony, że znalazła coś, co ich łączyło, skoro jemu zależało na wynajdywaniu różnic.

- Duchess, o czym chciałaś ze mną rozmawiać?

- Hmm, odjechałaś wcześniej rano, zanim ktokolwiek zdążył cię spytać, dlaczego zawróciłaś nas na tę samą drogę, którą jechaliśmy wczoraj, a potem nieoczekiwanie kazałaś nam skręcić na wschód?

- Byliśmy śledzeni - odparł krótko.

- Byliśmy ... co ... jak to! Musieli trzymać się w sporej odległości, bo nikt inny tego nie zauważył, no, ale oczywiście ty najbardziej się oddalasz ...

- Jechał za nami tylko jeden mężczyzna - przerwał jej, zanim zdołała zarzucić go słowami. - Zatrzymał się na noc jakieś dwa kilometry za naszym obozem i zawrócił, kiedy wjechaliśmy na drogę do Tucson.

- Więc doniesie, że tam się skierowaliśmy, a tymczasem my pojedziemy prawie w przeciwnym kierunku - podsumowała ze śmiechem. - Och, Thunder, wiedziałam, że okażesz się nieoceniony! Ale nie podejrzewałam, że do tego stopnia! No, nie patrz tak na mnie. Cóż znowu takiego powiedziałam?

- Duchess, nie jestem żadnym przewodnikiem i nigdy się za niego nie podawałem. Podobnie jak tamten górski lew bardzo się oddaliłem od moich terenów łowieckich. Nie wiem nawet, gdzie następnym razem znajdziemy wodę. Jednego tylko jestem pewien: tam, za tymi górami, jest Nowy Meksyk i stary szlak Santa Fe, który doprowadzi nas na równiny. A te znam. Natomiast między miejscem, w którym się znajdujemy, a równinami ... - Zawiesił głos i wzruszył ramionami.

- Mój Boże, a ja sądziłam ... Chcesz powiedzieć, że możemy się zgubić?

- Co to, to nie, ale przez jakiś czas nie będzie dróg, które ułatwiają podróżowanie, i nie mogę zagwarantować, że cały szlak prowadzący do gór okaże się przejezdny dla twoich wozów.

- Więc jak dotarłeś tutaj z Wyoming? Bo stamtąd pochodzisz, prawda?

- Twoje wozy z pewnością by utknęły na drodze, którą jechałem, lecz ja tropiłem Billy'ego, a on nie miał pojęcia, dokąd zmierza.

- Nie wydajesz się zmartwiony tą sytuacją - zauważyła.

- Zawsze znajdzie się jakaś droga. Problem w tym, ile czasu zmarnujemy na jej znalezienie. Przed nami tereny Apaczów, więc powinniśmy trafić na ubity trakt.

- A Apacze?

- Prędzej znajdziesz ich w Meksyku. Większość ich osiadła w rezerwach, podobnie jak ich

pobratymcy z innych plemion w tym kraju. Powinnaś była się bać Indian, kiedy mnie spotkałaś, a nie teraz.

Odwróciła się, słysząc jego gorzki ton, i podeszła do jego konia.

- Proszę cię, nie zaczynaj na nowo - powiedziała, nie oglądając się. Skupiona na potężnym wierzchowcu, przesunęła dłonią po jego szyi. Zwierzę spokojnie poddało się pieszczocie. - Nie uda ci się mnie przekonać, że jesteś dzikusiem, jakiego starasz się przede mną udawać.

Popełniła błąd, rzucając mu wyzwanie, przeczuwając, że na nie odpowie. Ale nie miała wcześniej do czynienia z mężczyznami jego pokroju. Zanim zdążyła się zorientować, leżała na ziemi, pod nim. Oba konie uskoczyły na bok, a on w tej samej chwili zadął jej spódnicę.

- Nie uda mi się, duchess? - zapytał zimnym, bezwzględny głosem. - Zobaczymy, czy zmienisz zdanie, kiedy będzie po wszystkim.

W szoku ledwo dosłyszała, co mówi, czując, jak jednym szarpnięciem ściąga jej pantaloney i wsuwa rękę między uda.

- Colt, nie pozwalam ...

- Nie możesz mnie powstrzymać, kobieto. Czy to do ciebie jeszcze nie dotarło? Sama dążyłaś, by znaleźć się ze mną sam na sam, wiedząc, że tylko we mnie możesz szukać obrony. Więc kto cię teraz obroni przede mną?

Z całych sił odpychała go za ramiona, chcąc się od niego uwolnić, lecz niestety miał rację, nie potrafiła go powstrzymać.

- Robisz to tylko po to, żeby mnie przestraszyć!

I rzeczywiście dopiął celu.

- Myślisz, że dużo czasu minęło, odkąd zrezygnowałem z tamtego życia, kiedy bez pytania sięgałem po to, czego chciałem, i kiedy zabijałem, bo takie było moje prawo? Wiesz, co by się z tobą stało, gdybym cię wtedy znalazł? Byłoby znacznie gorzej. Nie tylko gwałciliśmy białe kobiety, my robiliśmy z nich niewolnice.

Obawiała się, że tym razem nie tylko chce ją przestraszyć, lecz że naprawdę weźmie ją tu, w tym pyle, pod palącym popołudniowym słońcem. Nie chciała, żeby tak to się odbyło, mówiły o tym łyzy, które rozbłysły w jej oczach, ale on ich nie widział.

Instykt kazał jej zarzucić mu ramiona na szyję.

- Colt, proszę cię, nie rób mi krzywdy.

Zsunął się z niej z przekleństwem na ustach. Przeżyła kolejny szok. Nie sądziła, że tak łatwo go powstrzyma. Niebezpieczeństwo minęło. A więc znowu próbował ją nastraszyć.

- Powinam cię kazać wybatożyć! - wyszczała ze złością, obciążając spódnicę i podnosząc się z ziemi. - Nie możesz tak ze mną postępować, Colcie Thunderze. Nie pozwolę!

- Jeszcze jedno słowo, a znowu wylądujesz na plecach! - Spojrzał na nią przez ramię. Nie ruszył się z miejsca, usiłując zapanować nad płonącym z pożądania ciałem.

Mógł sobie na nią warczeć, ile chciał. Wściekłość stłumiła chęć ucieczki.

- Czyżby, ty zakazany skur. .. indiański synu?!

Patrzył, jak podchodzi do jego konia, unosi spódnicę i dosiada go okrakiem z nogami odsłoniętymi do kolan. Widział też, jak wyciąga z olster jego strzelbę, a mimo to nie podniósł się z ziemi. Nie miał pojęcia, do czego zmierza, dopóki jednak nie wyceluje broni w niego ...

- Nie chcę, żeby ten wielki kot zjadł cię na kolację, ale mam nadzieję, że nieco ochłoniesz, zanim dołączysz do nas na wieczorny posiłek.

Po tych słowach wypaliła dwa razy w ziemię tuż przed łapami lwa, zmuszając go do ucieczki. Huk wypłoszył z ukrycia kilka zajęcy, stadko guszców i jednego dzikiego indyka. Jeszcze trzy następujące po sobie strzały, i dwa zajęce oraz indyk padły martwe na ziemię.

Colt nie odrywał wzroku od martwego ptaka.

- Niebezpieczeństwo jest groźne tylko wtedy, kiedy zlewa się z tłem, panie Thunder - wyrwał go

ze zdumienia jej głos. - Może by pan pozbiarał te trofea, zanim dotrze tu nasza karawana? Kucharz Philippe na pewno się ucieszy.

Końcówka tego komentarza przedarła się do jego świadomości, dopiero gdy odjechała, wzbijając tuman kurzu, a potem usłyszał jeszcze przenikliwy gwizd i gniady ogier pogalopował za nią. Nadal nie podnosił się z ziemi. Nie mógł wyjść z podziwu dla jej umiejętności strzeleckich, niewiele gorszych od jego; to jeszcze jeden talent, o jaki jej nie podejrzewał. Może właśnie z powodu zdumienia nie zareagował na zuchwały postępek, jakim było porzucenie go na pustkowiu.

Niech sobie tak myśli. Bez trudu mógł zawrócić swego konia w taki sam sposób, w jaki ona przywołała gniadosza. Jednak znowu znalazłaby się w zasięgu jego ramion, a wiedział już, że nie potrafi trzymać od niej rąk z daleka. Chryste, szukał pretekstu, żeby jej dotknąć, nawet kiedy zamierzał zniechęcić ją do kolejnych prób zbliżenia się do niego, by potem znowu nie szukać do tego pretekstu.

Kiedy wreszcie dotarło do niego, że nadal siedzi na ziemi, a leżące w pobliżu martwe zwierzęta ani chybi ściągną lada moment stada ptactwa, wyrzucił z siebie potok przekleństw, od których zawziętej rudowłosej zwiędłyby uszy. Niewątpliwie potrzebował czasu, żeby ochłonąć z podniecenia, a ponieważ, wyprzedzał orszak o jakieś trzy kilometry, zdąży dojsć do siebie. Natomiast na nowo wzbierał w nim gniew.

## Rozdział 17

- A co zrobisz, kiedy ten człowiek podniesie na ciebie rękę?

Jocelyn lekceważąco machnęła dłonią.

- Vana, nie bądź niemądra. Nie odważyłby się. - Po chwili przestała krążyć po namiocie. - Myślisz, że mógłby? - zapytała, rozpoznając niepewność w swym głosie.

- Kochanie, ja nie wiem. To ty cały czas igrasz z ogniem. Jeśli chodzi o mnie, nawet z nim jeszcze nie rozmawiałam. Należało się zastanowić, zanim ukradłaś mu konia.

- Nie ukradłam, tylko pożyczyłam. Bo sobie na to zasłużył. Jej powrót na potężnym wierzchowcu wywołał spore poruszenie, lecz jeden rzut oka na jej kwaśną minę zniechęcił wszystkich - łącznie z bratem Colta - do zadawania pytań. Od tamtej chwili minęło parę godzin.

Kawalkada przejechała miejsce, gdzie go zostawiła, lecz nigdzie nie było go widać. Rozbili się obozem na następną noc i dalej ani śladu Colta. Jej ludzie pewnie zaczęli się zastanawiać, czy przypadkiem nie pozbyła się go na dobre. Przecież musieli słyszeć odgłos wystrzałów. Powoli zaczynała się niepokoić. Te węże, o których wspomniał, no i czający się gdzieś górski lew. Naturalnie, nie zostawiła go bez broni. Nadal miał swój rewolwer. On niewątpliwie chciał, żeby się o niego martwiła.

- Lubię ten dywan, lecz niestety nie wytrzyma długo, jeśli dalej będziesz go tak wydeptywać - zauważyła Vanessa najbardziej cierpko, jak potrafiła. - Co powiesz na kieliszeczek sherry przed kolacją?

- Przepraszam - odezwała się Jocelyn, nie przestając krążyć po namiocie. - Zdaję sobie sprawę, że nie najlepsza ze mnie towarzyszka ostatnimi dniami.

- Chyba żartujesz! - prychnęła Vanessa. - Twoje małe spięcia z panem Thunderem są najlepszą rozrywką od czasu, kiedy dwóch forysiów o mało się nie pozabijało, konkurując o względy Babette. Wprawdzie nie wyjawiałaś, co się dzisiaj stało, lecz nietrudno zgadnąć, skoro odbiłaś od orszaku, wyglądając jak dama, a wróciłaś obszarpana. Naprawdę, jestem ciekawa, co jeszcze się wydarzy.

Jocelyn zrewanżowała się hrabinie ponurym spojrzeniem, lecz niemal natychmiast zacisnęła powieki i schowała głowę w ramiona, bo obie usłyszały zamieszanie przed namiotem. To wrócił Thunder.

- Posłuchaj, człowieku! - tłumaczył zniecierpliwiony strażnik. - Nie możesz wejść bez zaproszenia!

Jedyną odpowiedź stanowiło plaśnięcie, jakby pięść trafiła w twarz. Potem doszedł je protest drugiego strażnika, odgłosy szamotaniny oraz dwóch znacznie mocniejszych ciosów.

- Lepiej, kochanie, miej pod ręką swojego derringera, zanim powróci mu rozum.

Pomimo przestrogi Vanessy nie ruszyła się z miejsca, zresztą nie miała na to czasu. Jak na ironię, żadna z nich nie wierzyła, że straż wyjdzie z walki zwycięsko, i obie się nie pomyliły. Kłapa namiotu pofrunęła na bok i Colt gniewnym krokiem wmaszerował do środka, kierując się prosto do Jocelyn. Objęła się ramionami, ale nie cofnęła nawet o centymetr. Być może to właśnie powstrzymało go od wyciągnięcia po nią rąk, kiedy przed nią stanął.

- Powinnaś ... nigdy więcej ... ! - krzyknął jedynie, ciskając kapelusz na dywan w przestrzeń pomiędzy nimi.

Nie dokończył. Pokonała go, odpowiadając na furię kamiennym spokojem. Zafascynowana patrzyła, jak Colt zmagają się ze sobą, usiłując okiełznać emocje. Stał z przymkniętymi powiekami; czuła, że w nim wrze, chociaż nie dał tego po sobie poznać.

Jocelyn podejrzewała, że obca mu była utrata kontroli oraz że dumny jest z umiejętności maskowania myśli i uczuć, tak by nikt nie potrafił dostrzec targających nim emocji. A jednak ... zdarzało mu się już na nią krzyczeć.

Czy to dobry znak - zastanawiała się - że ten mężczyzna traci panowanie nad sobą tylko wtedy, gdy ona znajdzie się w pobliżu? A może przerasta go sytuacja, w jakiej się znalazł? Chciałaby się tego dowiedzieć, jednakże lepiej go dziś więcej nie prowokować. Vanessa jak zwykle miała rację. Nie należy igrać z ogniem, dopóki nie umie się przewidzieć konsekwencji.

Zanim zdążył otworzyć oczy, do namiotu wtargnęło sześciu strażników.

- Spóźnili się - powiedział półgłosem do Jocelyn, gdy Vanessa skwapliwie przekonywała mężczyzn, że nie ma powodu do niepokoju. - Cholernie łatwo się do ciebie dostać, kobieto.

- Wcale nie - odpowiedziała mu również półgłosem. - Udało ci się wejść, bo cię znają. Gdyby ktoś obcy chciał zrobić to samo, zastrzeliliby go bez ostrzeżenia. Mocno ich poturbowałeś?

- Nie.

- To dobrze.

Przywołała uśmiech na twarz, zanim odwróciła się do straży i wsparła Vanessę w jej zapewnieniach, że doszło jedynie do nieporozumienia. A nawet wzięła całą winę na siebie, twierdząc, że niepotrzebnie sprowokowała Colta, i unikając przy tym szczegółowych wyjaśnień. Fakt faktem, wszyscy widzieli, że wróciła na koniu Colta bez Colta, co czyniło jego zdenerwowanie zarówno zrozumiałym, jak i wybaczalnym. Nie musiał mówić ani słowa na swoją obronę, a zresztą i tak by się tego nie doczekali.

Jedynie sir Parker ociągał się z wyjściem, ponieważ jednak Colt był teraz zupełnie spokojny, obie damy zaś zapewniały, że nie będzie więcej żadnych kłopotów, nie pozostało mu nic innego, jak tylko się oddalić. Niemniej gdy zniknął uwaga Colta wypowiedziana cicho i na serio wprawiła je w konsternację.

- Próbowałem to wychodzić, potem wybiegać, ale nie pomogło. Poczuję ulgę, wyłącznie skręcając ci kark.

Vanessa, przerażona tym, co słyszy, już otwierała usta, żeby z powrotem przywołać straże, ale Jocelyn ją powstrzymała.

- Mój kark docenia fakt, że odzyskałeś zmysły. Zapewne winna ci jestem przeprosiny ...

- Masz cholerną rację. - Nawet to zdanie wypowiedziane zostało w miarę wyważonym tonem.

- .. .lecz ty także powinienesz mnie przeprosić, więc dlaczego by nie uznać, że tym razem jesteśmy kwita?

Ani słowami czy skinieniem głowy nie dał do zrozumienia, że akceptuje tę propozycję, a Jocelyn coraz bardziej ubywało pewności pod jego miazdzącym spojrzeniem. W tych oczach kryło się dla niej śmiertelne niebezpieczeństwo, a wpatrywanie się w nie zwiększało tylko poczucie zagrożenia. W ich niebieskiej głębi czytała intymną znajomość swego ciała. Zaledwie parę godzin temu czuła na sobie jego twarde ciało. Kiedy podciągnął spódnicę, skóra na nogach zdawała się płonąć pod jego dotykiem. Na wspomnienie ręki wciskającej się między uda miękką jej kolana. Czuła, że on rozpamiętuje tę samą scenę, patrząc na nią w ten sposób. Oby się myliła! Odwróciła się i podchwyciwszy czujne spojrzenie Vanessy, zaśmiała się z ulgą. Co innego wysłuchiwać pełnych sarkazmu uwag przyjaciółki, opartych na spekulacjach, a co innego przyglądać się jej, jak po raz pierwszy widząc tego mężczyznę na własne oczy, najprawdopodobniej nie wie, co o nim myśleć.

Nadal płonęła w nim furia, lecz ukryta głęboko, nie była groźna - przynajmniej nie w tej chwili.

- Hrabina zwróciła mi wcześniej uwagę, że nie wywiązałam się dotąd z obowiązku prezentacji. Colcie Thunderze, proszę mi pozwolić przedstawić sobie moją najdroższą przyjaciółkę i towarzyszkę Vanessę Britten.

- Pani - skłonił się Colt.

- Bardzo mi miło, panie Thunder - Vanessa zdobyła się na grzeczność, wyraźnie odczuwając ulgę.

- Och, Vana. On nie lubi, żeby tytułować go panem. Możesz na niego mówić "Colt" albo

"Thunder",

- Bez różnicy? Jakież to niezwykłe!

- Ale to uwolnienie się od konwenansów jest miłe, prawda! Dzięki temu można odnieść wrażenie, że zna się daną osobę lepiej niż w rzeczywistości.

- Panie mi wybaczą - powiedział, kierując się do wyjścia, Jocelyn więc czym prędzej zastąpiła mu drogę.

- Ależ nie możesz tak odejść. Musisz zostać z nami na kolacji.

- Muszę?

- Czy będziesz tak miły i zjesz z nami kolację? - poprawiła się, opuściwszy przedtem oczy.

- Ja nie ...

- Więc zostań przynajmniej na drinka - nalegała. - Na pewno jesteś ... - Lepiej nie wspominać o tym, że musi być spragniony. - Mamy sherry ... nie, sherry nie przypadnie ci do gustu. Vano, czy mogłabyś sprawić, by Jane poszukała jakiegoś mocniejszego alkoholu w naszym wozie z zapasami?

- Czy jeszcze się nie nauczyłaś, że nie jest bezpiecznie zostawać ze mną sam na sam?

Jocelyn wykonała gwałtowny półobrót i zobaczyła jedynie falującą klapę namiotu. Vanessa wyszła bez słowa. Naprawdę zostali sami ... na chwilę.

- Zaraz wróci i ... - Zerknęła na niego. Dobry Boże, znowu te oczy. Nawet kiedy pozostawały takie nieprzeniknione, pod ich spojrzeniem przebiegały ją ciarki. - A ty, czy jeszcze się nie nauczyłaś, że trudno mnie nastraszyć?

- Kobieto, jesteś szalona ... sama się o to napraszasz - warknął.

Naprasza się, lecz nie w taki sposób, jaki jej zademonstrował. Dlaczego on tego nie widzi? Czemu tak bardzo pragnie wydać się podły i godny nienawiści? Bo on naprawdę taki jest - podszeptnął jej wewnętrzny głos. Nie, nie uwierzy w to, nie uwierzy ani na chwilę. Poza tym Sir George nie Ignąłby do człowieka, w którym wyczułby skłonność, do okrucieństwa.

- Jaka jestem, Colcie Thunderze - zaczęła miękkiem szeptem, z powrotem patrząc mu w oczy. - Ja bardzo ...

- Jane już tu idzie. Kazałam jej poszukać tej butelki brandy, którą kupiłaś od ... och, chyba nie przeszkadzam? - zmieszała się Vanessa.

Jocelyn, czerwieniąc się aż po nasadę włosów, z trudem pokręciła głową, odsuwając się od Colta.

- Nie, wcale nie - wydusiła przez ściśniętą krtani.

Nie mogła uwierzyć, że jeszcze chwila, a wyznałaby, jak bardzo ją pociąga. Tego się nie robi, zwłaszcza gdy uczucia drugiej strony są niejasne.

Dobry Boże, jakież by to było poniżające, gdyby nie zareagował na jej wyznanie, albo - co gorsza - oznajmił, że to jej problem, a nie jego. Tak, to był jej problem i nie wiedziała, jak się z nim uporać.

- Dobrze, że przyszedł, Vano, ponieważ właśnie miałam zapytać Colta, dlaczego zdecydował ominąć wczoraj tamto miasto. Zapewne ciebie też to ciekawi, prawda?

- O, tak - odparła bez większego przekonania.

Łatwo wytykać Jocelyn złośliwość przewodnika - pomyślała Vanessa - znacznie trudniej krytykować go w oczy, szczególnie iż nie wydaje się życzliwie usposobiony. Szczerze mówiąc, ten jego wzrok skierowany na Jocelyn, gdy ona nie patrzyła ... Matko jedyna, co tu się wydarzyło pod jej nieobecność? Wzrok mu płonął, ale jakiego rodzaju emocje tak go rozpałyły?

- Więc skąd ta decyzja, pa ... hmm, Colt? - przynagliła go, bo wpatrzony w Jocelyn, zdawał się nieobecny duchem.

Z wyrazem najprawdopodobniej zniecierpliwienia spojrział na nią przelotnie i choć ogień w jego oczach przygasł, znowu przeniósł wzrok na księżną, jakby nie mógł go od niej oderwać.

- Nie wjechaliśmy do Benson, ponieważ najbezpieczniej dla was jest na odkrytym terenie, gdzie



łatwo dostrzec podchodzącego wroga. W mieście trudno zgadnąć, gdzie go wypatrywać, zwłaszcza że nie wiemy, jak wygląda Anglik ani jego ludzie. Tutaj, duchess, każdy, kto próbuje się do ciebie zbliżyć, jest podejrzany. To najprostszy środek ostrożności, jaki powinnaś sobie wziąć do serca.

W jego słowach kryło się podwójne znaczenie. Nawet Vanessa je wychwytiła. Natomiast Jocelyn udawała, że tego nie słyszy.

- No widzisz, Vano, masz wystarczający powód. Co więcej, Długonosy został chwilowo wyprowadzony w pole, dzięki manewrowi, przy którym Colt upierał się rano. Zgodzisz się ze mną, że nie mogłybyśmy się znaleźć w lepszych rękach, prawda?

Vanessa przytaknęła skinieniem głowy, skupiając uwagę na Colcie, który zdawał się sprawdzać jej reakcję. Nie mogła mieć pretensji do Jocelyn, że posługuje się taktyką starą jak świat. Najpierw dała mężczyźnie do zrozumienia, że jego obecność jest pożądana, spuszczać przy tym skromnie oczęta, jakby nie miała odwagi spojrzeć na niego, aby przypadkiem nie wyczytał z nich, co się pod tym kryje, a potem poczęstowała go pochlebstwem. Jednak żaden z tych zabiegów nie zrobił wrażenia na tym człowieku, a przynajmniej nie przyniósł zamierzonego skutku. Bo im bardziej Jocelyn mu ulegała, tym bardziej wydawał się niespokojny.

Czy prawidłowo odczytał sytuację i po prostu nie chciał dać się w nią wciągnąć? A może uważał, że nie ma prawa sięgnąć po to, czego pragnie? Vanessie przyszła do głowy jeszcze jedna możliwość, ale nie bardzo chciała ją roztrząsać. Zastanawiała się, czy powinna o niej wspomnieć Jocelyn. Nie, najlepiej niech dziewczyna postępuje po swojemu. Poza tym jedynie pytanie zadane wprost przyniosłoby konkretną odpowiedź, a Jocelyn, chociaż zazwyczaj bardzo bezpośrednia, w tym wypadku miałaby chyba dość rozsądku, by nie dotykać tego tematu, a przynajmniej ona, Vanessa, żywiła taką nadzieję. Strach pomyśleć, ile wstydu mogłaby się najeść.

Żadna z kobiet nie przypuszczała nawet, że pewna bezpośredniość w tej materii byłaby mile widziana przez Colta, bo nadal nie potrafił zrozumieć motywów postępowania księżnej. Możliwość, że zainteresowała się nim, wiedząc, kim on jest, była ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby mu na myśl.

Chciał uwolnić się od niej, gdyż przebywanie w pobliżu niej tylko pogarszało jego samopoczucie. Popęłił błąd, wchodząc do tego namiotu, chociaż wtedy chronił go gniew. Teraz gniew ustąpił, musiał więc jak najprędzej się stąd wycofać.

Wykorzystał moment, kiedy uniosła się zasłona namiotu i służąca wniosła na srebrnej tacy butelkę brandy.

Skłonił się damom na pożegnanie i bez słowa ruszył do wyjścia. Po drodze jeszcze tylko zabrał butelkę z tacy, wprawiając pokojówkę w osłupienie. To przynajmniej mógł zabrać Jocelyn bez poczucia winy. I cholernie dzisiaj tego potrzebował.

## Rozdział 18

Przez kilka następnych dni Jocelyn w ogóle nie widywała Colta, ale wiedziała od ludzi, że ich nie opuścił. Po prostu zniknął, zanim się obudziła, a wracał, kiedy szła spać do namiotu. Miała podstawy, aby martwić się jego przedłużającą się nieobecnością, bo przejeżdżali akurat przez sam środek ziem Apaczów, niemniej uważała swe zatroskanie za dość niezwykłe. Od trzech lat miała wiele innych zmartwień na głowie, a od czasów Edwarda żaden mężczyzna nie zaprzętał jej myśli.

Gdy któregoś popołudnia Colt niespodziewanie pojawił się na czele grupy jeźdźców, nie tylko ona uznała, że miał ku temu szczególne powody. Jak to miał w zwyczaju, i tym razem nie raczył udzielić żadnych informacji. Łatwiej było znaleźć wodę na tym wysuszonym obszarze niż doczekać się od Colta spontanicznych wyjaśnień. To, że nikt z orszaku nie zadał mu żadnych pytań, aby zaspokoić ciekawość, potwierdziło jedynie przeczucie Jocelyn, że wszyscy zgodnie czuli do niego niechęć.

W takim razie ona powinna go wypytać. Ponieważ siedziała na koźle obok stangreta, gdy tymczasem Vanessa drzemała w karecie, wystarczyło tylko trochę podnieść głos. Rozważała ten pomysł przez jakieś dwie sekundy, lecz kiedy się zbliżył i mogła spojrzeć mu w twarz, uznała, że nigdy dotąd jej wyraz nie był aż tak nieprzystępny.

Ogarnął ją niepokój, dziwne przeczucie, że stanie się coś niedobrego, a potwierdzała to sztywność wyprostowanej sylwetki Colta, jadącego na czele kawalkady. Pół godziny podróży minęło bez przygód, zanim wyjaśnił się powód jego napięcia.

Zbliżali się do nierówności terenu, którą z pewną przesadą można by nazwać wzgórzem. Na szczycie tego wzniesienia stało sześciu jeźdźców. Na ich widok przednia straż natychmiast się zatrzymała, ale ponieważ Colt jechał dalej, Jocelyn dała znak, by podążać za nim. Z tej odległości trudno było rozpoznać jeźdźców spokojnie czekających na zbliżający się orszak. Jeżeli to Długonosy ... hmm, właściwie chciałaby, żeby to był on. Używając tutejszego obrazowego określenia, doszłoby wreszcie do "spodziewanej od dawna strzelaniny".

Niestety, nie miała szczęścia. Kiedy podjechali bliżej, okazało się, że czeka ich pierwsze spotkanie z prawdziwymi Indianami, lecz gdy po chwili dojrzeli ilość ich pasów z nabojami, z których część trzymali przewieszoną przez pierś, jak bandolety, zrozumieli, że nie mają do czynienia z pokojowo nastawionymi mieszkańcami tych ziem. Niemniej jednak ich widok nie wzbudził wielkiego niepokoju w orszaku Jocelyn, bo było ich zaledwie kilku. Samej tylko straży mieli dwukrotnie więcej. A mimo to, kiedy Indianie jeden za drugim zaczęli powoli zjeżdżać ze wzniesienia na ścieżkę, którą poruszała się kawalkada, Jocelyn wstrzymała oddech.

Colt osadził konia i wszyscy poszli w jego ślady. Po chwili sir Parker podjechał do niego i po krótkiej wymianie słów Colt wysforował się naprzód, żeby pertraktować z Indianami.

Pearson, który w tym dniu powoził karetą Jocelyn, przechylił się do niej i wyszeptał:

- Zawsze mi się wydawało, że oni strzelają z łuków.

Zrozumiała, skąd ta uwaga. Żaden z Indian nie miał łuku ani strzał.

- Panie Pearson, czasy się zmieniły. Musieli odkryć, że strzelby bardziej się nadają do zabijania ... zwierzyny.

- Zwierzyny tu tyle co na lekarstwo. Myśli pani, że będą domagać się żywności?

- Możliwe. Albo zażądają opłaty za przejazd przez ich ziemie - odparła, czując, jak spływa na nią uczucie ulgi. - To wydaje się całkiem logiczne, prawda? Bo jaki inny powód mogliby ... mieć ... ? Skupiła całą uwagę na Colcie i stojących przed nim ławą Indianach. Rozmawiali o czymś, lecz odległość nie pozwalała wychwycić słów, usiłowała więc odgadnąć nastrój ich rozmowy z ożywionej gestykulacji Colta i wodza Indian.

Na szczęście to wszystko nie trwało długo. Colt zawrócił konia, a Jocelyn zdążyła z pomocą

służby znaleźć się na ziemi, zanim stanął przy niej. Niestety, minę miał tak ponurą, że wstrzymała oddech przynajmniej do chwili, gdy wzięwszy ją pod ramię, odprowadził na bok.

- Chcą twego ogiera - oznajmił bez wstępow.

- Sir George nie jest na sprzedaż za żadną cenę - odparła takim samym tonem.

- Nie powiedziałem, że zamierzają go kupić, duchess.

- Czyżby ... nie chcesz chyba powiedzieć, że domagają się Sir George' a jako zapłaty za pozwolenie na przejazd przez swoją ziemię.

- Nie. Oni sami nie mają do niej żadnego prawa. To odszczepieńcy.

- Tacy, co robią wypadki poza granicę, na tę stronę granicy?

- No właśnie - przytaknął niemal z uśmiechem, rozbawiony skupionym tonem głosu, z jakim sformułowała tę myśl.

Wyczuła, że traktuje ją protekcjonalnie.

- A jeśli się nie zgodzę oddać im Sir George' a? - zapytała, wysuwając podbródek do przodu.

- Zazwyczaj nie pytają o zgodę, gdy chcą coś zabrać - odpowiedział cierpliwie. - Wczoraj nas zauważyli, ale nie udało im się ukraść konia w nocy. Podejrzewam, że biorą was za mieszkańców Wschodniego Wybrzeża i dlatego zachowują się tak butnie. Są przekonani, iż udało się im śmiertelnie was nastraszyć i że bez protestów oddacie konia.

- Ach tak? - prychnęła ironicznie. Tym razem się uśmiechnął.

- No więc?

- Toż to absurd - powiedziała, oglądając się z oburzeniem przez ramię na grupkę czekających Indian. - Co oni mogą nam zrobić? Naszych ludzi jest trzy razy więcej. I czy muszę ci przypominać, że sama też celnie strzelam?

Podziwiał jej odwagę, choć nie do końca wiedziała, o czym mówi.

- Czy kiedykolwiek zabiłaś człowieka?

- Oczywiście, że nie - odparła. - Nawet w samoobronie.

Niewątpliwie tak było, przeszedł więc do rzeczy:

- W takim razie pozwól, że ci coś wyjaśnię, duchess. Możesz ich odesłać z pustymi rękami. Odejdą, ale mogę się założyć o twój słod ... że wrócą z posiłkami. Za kilka dni, może za tydzień, nie wiadomo, i na pewno pojawią się bez ostrzeżenia, bo najłatwiej napadać im w nocy, kiedy większość naszych ludzi śpi. I przyjdą nie tylko po ogiera, ale po cały dobytek, a przy okazji nas wymordują.

- Za żadne skarby nie oddam ogiera - oznajmiła z uporem. - Jest nadzieją dla mojej stadniny.

- Pani, chyba nie potrzebujesz zakładać stadniny, żeby się utrzymać? A może się pomyliłem, sądząc, iż jesteś tak bogata, że nie liczysz się z pieniędzmi?

Wkraczali na niebezpieczne tereny, odgadła to z jego tonu.

- Colt, obojętne jak wielki jest mój majątek, muszę znaleźć cel w życiu i wiem, że będzie nim hodowla koni.

Właśnie dlatego, kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat i osiągnęła pełnoletniość dopuściła, by Sir George pokrył trzy klacze; myślała, że jej tułaczka wreszcie dobiega końca. Jakże była naiwna!

Nagle zaświtała jej pewna myśl.

- A gdybym zaproponowała im jedną z moich klaczy?

- Zrobiłabyś to? - Uniósł brwi ze zdziwienia.

- Nie mam ochoty, lecz jeżeli to może powstrzymać ich od ataku na nas ... tak, naturalnie, że tak. Nie będę niepotrzebnie narażać życia moich ludzi.

- Nic z tego nie będzie - z namysłem pokręcił głową. - Ich wódz zapragnął ogiera. Taki koń bardzo podniósłby jego pozycję w oczach współtowarzyszy, nie cofnie się więc przed niczym, aby go zdobyć. Lecz mogę zawrzeć z tobą układ. Jeżeli uda mi się ich pozbyć bez utraty żadnego

z twych koni ...

- Chcesz powiedzieć, że masz jeszcze jakiś pomysł, ale jak dotąd zapomniałeś mi o nim napomknąć?

- Można tak to ująć. Ale nie zrealizuję go za darmo, duchess. Będzie cię to kosztować ...

- Nie mówisz poważnie! - obruszyła się. - Po zapłacie, jaką ci zaoferowałam ...

- ... jedno źrebię po którejś z twoich klaczy ... Jeśli oczywiście ojcem jest Sir George.

Przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa. Zaskoczyło ją, że zorientował się, iż klacze są żrebne, bo miały rodzić dopiero wiosną. Ale jeszcze bardziej zdumiała ją jego żądanie. Czy przegnanie tych Indian nie jest jego obowiązkiem jako ich przewodnika? Skądże, to nie licowałoby z godnością tego śniadego zarozumialca!

- A więc to twój warunek? - zapytała przez zaciśnięte zęby. - Apacze znikną i nie będą nas więcej nękać, a ty weźmiesz źrebię po Sir George'u?

Skinął głową.

- A jak zamierzasz się ich pozbyć?

- To już moja sprawa, duchess. Umowa stoi?

- Skoro nie mam wyboru ...

- Dobrze - przerwał jej niecierpliwie. - Powiedz mężczyznom, żeby się nie zbliżali, a ty i reszta kobiet wsiedźcie do karet i najlepiej nie patrzcie.

Nie patrzcie?

- Czemu mam nie patrzeć? - chciała wiedzieć, lecz on już zdążył się odwrócić do konia i albo jej nie słyszał, albo udawał, że nie słyszy.

Powoli podeszła do karety, żeby dołączyć do Vanessy, która nadal musiała drzemać, bo dotąd się nie zainteresowała, dlaczego nie jadą. Przystanęła w pół drogi, zła na siebie, ponieważ nagle uzmysłowiła sobie, że spełnia polecenie Colta.

Obeszła karete i ukryta w cieniu przyglądała się, ile czasu zajmą Coltowi pertraktacje z Indianami. Lepiej dla niego, żeby trwały całe popołudnie, bo dużo ją to kosztuje. Jednakże nie minęły nawet dwie minuty, a Colt znowu galopował w ich stronę.

Jocelyn zamarła. To już? Przekłety spryciarz! Lecz nie, cofnął się tylko w pół drogi. A jeden z Indian podążył za nim i obaj równocześnie zsiadli z koni na środku przestrzeni dzielącej orszak od reszty Indian.

A więc będą rozmawiać na osobności. Bardzo dobrze. Colt zatem tak zamierza to rozegrać. Prawdopodobnie nie będzie to dżentelmeńska rozmowa, zapewne zechce go nastraszyć. Cokolwiek by mówić, był znacznie wyższy i lepiej zbudowany od Apacza. Właściwie Indianin wydawał się raczej niski, no i taki chudy, jakby trochę niedożywiony.

Po chwili przerwali rozmowę. Apacz o kościstych kolanach, których nie zasłaniały ani wysokie mokasyny, ani też żółtawa przepaska, sięgająca połowy ud, odłożył strzelbę. Oprócz przepaski miał na sobie bawełnianą koszulę z długimi rękawami, którą musiał kupić w jakimś składzie albo od kogoś wytargować. W odróżnieniu od swoich kompanów za jedynym pasem z nabojami trzymał zatknięty nóż o długim ostrzu. Z tej odległości Jocelyn dostrzegła, że jego skóra miała ciemniejszy odcień niż Colta, a jego czarne, stosunkowo krótkie włosy, zaledwie sięgające ramion, podtrzymywała czerwona opaska. Może był drobnej postury, lecz wyglądał bardzo niepokojąco, kiedy tak stał i czekał na Colta.

On tymczasem zdjął irchową kurtkę. Dotąd nie zauważyła, że tego dnia nałożył również koszulę z irchy, którą nosił wyrzuconą na spodnie i ściągniętą szerokim, ozdobnym pasem. Kiedy odwrócił się twarzą do niej, żeby powiesić kurtkę na kuli siodła, dostrzegła na przodzie koszuli jakiś skomplikowany ornament...

Duch, ta przekłeta odległość! Wyglądał na wzór wyhaftowany z niebieskich i białych koralików, który kończył się aż na ramionach, ale nie była do końca pewna. Karczek koszuli i końce

rękawów, sięgające nadgarstków, były obszyte bardzo długimi frędzlami, z nanizanymi na końcu koralikami.

Następnie Colt zdjął kapelusz. Jocelyn o mało nie opadła szczęką ze zdziwienia, bo dotąd nie widziała, żeby zaplatał włosy w warkocze. Natomiast kiedy odpiął pas z bronią, poczuła skurecz niepokoju. Postąpiła krok do przodu, lecz zamarła, nic nie rozumiejąc, bo Colt oderwał jeden z rzemyków od koszuli i podał go Apaczowi, po czym stanął do niego tyłem. Co, do diaska ... ?

Głośnie westchnienie wydarło się jej z gardła, kiedy Colt ponownie odwrócił się do Apacza. Również wśród jej ludzi rozległ się szmer głosów. Strażnicy zastanawiali się szeptem, dlaczego Colt się zgodził, aby Indianin unieruchomił jego prawą rękę, przywiązując ją za plecami do paska od spodni. W następnej sekundzie poznali odpowiedź.

Obaj mężczyźni wyciągnęli noże. Colt w tym prymitywnym pojedynku dawał przeciwnikowi fory, zgadzając się na jego znaczną przewagę, bo przecież Jocelyn wiedziała, że jest praworęczny. Obaj trzymali noże w zaciśniętych dłoniach, długimi ostrzami ku górze, jak do pchnięcia, lecz zamierzając się, kierowali je ku dołowi, jakby celem nie było zadanie ciosu, lecz cięcie. Apacz natarł pierwszy.

Był szybki, zwinny i zdecydowanie żądny krwi. Podobnie zresztą jak Colt. Najwyraźniej celem tej walki było wzajemne pocięcie się na strzępy. Jedyłą przewagę Colta stanowił większy zasięg ramienia. Ręka skrępowana na plecach utrudniała utrzymanie równowagi, nie mógł się nią zasłonić. Jeżeli upadnie ... Jocelyn bała się nawet o tym pomyśleć.

Apacz musiał rozumować podobnie, bo kiedy odebrał kilka cięć w tors, ani razu się nie rewanzując, zmienił taktykę. Doscakiwał do Colta, starając się zająć go od tyłu. Kiedy i to nie poskutkowało, próbował podstawić mu nogę

Otrząsnąwszy się z szoku, Jocelyn rzuciła się przed siebie, lecz sir Parker zastąpił jej drogę.

- Nie wolno, jasnie pani. Powiedział, że najmniej sza ingerencja z naszej strony może doprowadzić do strzelaniny.

- Ale musimy to przerwać!

- Za późno. Oby tylko ci Indianie rozumieli choć trochę po angielsku, kiedy przyjdzie nam z nimi pertraktować po ...

Jej bladość zamknęła mu usta. Po śmierci Colta? Czy oni wszyscy uważali, że on nie ma żadnej szansy? Nie, nie może zginąć! Niech sobie wezmą Sir George'a ...

Niestety, było za późno. Kiedy ponownie przeniosła wzrok na walczących, Colt leżał na ziemi pod Apaczem. Była bliska omdlenia, kiedy zrozumiała, że za żadne skarby nie zdąży tam dobiec, aby położyć kres tej walce. Mogła tylko patrzeć, podobnie jak i pozostali, jak Apacz - przygwoździwszy lewą ręką dłoń Colta do ziemi, unosi prawą, szykując się do zadania ciosu.

Odwróciła się, nie chcąc widzieć tego, co nieuchronne, a właściwie obróciła się wokół własnej osi, bo musiała wiedzieć. Akurat w tym ułamku sekundy Colt dokonał niemożliwego. Teraz on siedział na Indianinie, trzymając mu nóż na gardle.

- Co? Jak?

Sir Parker wydawał się zdegustowany takim obrotem sprawy. - Indianin opadł z sił i Thunder uwolnił ramię. Udało mu się w porę odparować cios. Wybił Apaczowi nóż z dłoni i jednocześnie pozbawił go równowagi, bo tamten nadal trzymał go za nadgarstek.

Czuła, że się uśmiecha, ale to przecież nie koniec. A może jednak już po wszystkim? Colt podniósł się powoli, przeciął krępujący go rzemień, potem wyciągnął lewą rękę do przeciwnika, aby pomóc mu wstać. A więc nie zabił Apacza, chociaż tamten leżał jak martwy. Po chwili się poruszył i nie przyjmując wyciągniętej dłoni, pozbierał się z ziemi i powłókł do swego konia.

Colt odczekał, aż Apacz dołączy do swych pobratymców.

Gdy nabrał pewności, że Indianie się wycofali, wsiadł na konia i wrócił do kawalkady, wyraźnie zirytowany widokiem Jocelyn stojącej obok karety. Zatrzymał się przy niej i wtedy jej pełen

niepokoju wzrok prześliznął się po nim w poszukiwaniu śladów krwi. Widział, jak odetchnęła z ulgą, kiedy ich nie znalazła, i jeszcze bardziej się zirytował. Nie życzył sobie, żeby ta kobieta się o niego martwiła. Jej zainteresowanie rozdzierało mu serce, sprawiało, że czuł ... Chryste, czuł jeszcze większą frustrację, bo nigdy nie będzie jej mieć!

- Dobrze, że go nie zabiłeś - uśmiechnęła się do niego. Na jej uśmiech odpowiedział szyderczym grymasem.

- Naprawdę? Gdyby był Czejenem, musiałbym go zabić, bo moi ludzie wolą umrzeć niż żyć z hańbą przegranej. Ale zwyczajnie Apaczów różni się od moich. Wolą przeżyć, aby znowu móc chwycić za broń, więc mu to umożliwiłem.

- A jeśli wróci któregoś dnia, żeby ponownie spróbować zabrać Sir George'a? - zapytała, pochmurniejac pod wpływem jego słów.

- Nie wróci. Powiedziałem mu, że ogier należy do mnie. żeby go zabrać, musiały najpierw mnie zabić, a to mu się nie udało.

- Chcesz powiedzieć, że ty ... on ... żeby Sir George'a ... - Roztrzęsiona zacisnęła szczęki, zapominając, że ledwie przed chwilą cieszyła się, iż wyszedł z walki żywy i bez obrażeń.

- A co by było, gdybyś przegrał?

Uśmiechnął się kpiąco, doprowadzając ją tym do furii, po czym wycedził:

- To już nie byłby mój problem, prawda, duchess?

## Rozdział 19

Vanessa ze znużeniem westchnęła, obserwując przez okno karety, jak Jocelyn galopuje na Sir George' u, wzbijając tumany pyłu. Od czasu spotkania z Indianami, które Vanessa szczęśliwie знаła jedynie ze słyszenia, Jocelyn zrezygnowała z dalszych eskapad. Na tle przeczystego nieba sylwetka księżnej na koniu przedstawiała piękny widok, kontrastując z monotonią otaczającej ich przyrody.

Krajobraz działał na Vanessę przygnębiająco, natomiast Jocelyn nic sobie z tego nie robiła. Któregoś dnia na linii horyzontu, jak okiem sięgnąć, otoczyły ich góry o lawendowym odcieniu, lecz odległość od nich zdawała się w ogóle nic zmniejszać. Posuwali się po niezmierzonej równinie, suchej i spękanej, gdzie tylko rosące z rzadka kaktusy były zielone, bo krzaki i kępy przywędłej trawy zszarzały, wypalone słońcem.

Czy deszcz nigdy nie pada w tej części świata? Odkąd opuścili niebezpieczne Tombstone, to miasto o tak trafnie dobranej nazwie, nie spadła nawet kropla. Co prawda w pobliżu szlaku wiała się rzeczka, o tej porze zaledwie błotnisty strumyczek, więc o kąpeli mogli tylko marzyć. Gdyby nie wieźli zapasu wody w beczkach, byłoby z nimi krucho.

Vanessa nie narzekała jednak i nie utyskiwała, przynajmniej od czasu, kiedy umyślnie okazała niezadowolenie, chcąc zwrócić uwagę Jocelyn na złośliwość ich przewodnika. Szczerze mówiąc, była zadowolona, że poniosło ich w te strony, bo krajobraz, tak nieciekawym za dnia, o świcie i o zmierzchu nagle olśniewał bogactwem barw. Czasem żółte i czerwone smugi kładły się na niebie jak języki ognia. A potem wschodził ogromny księżyc i wisiał nad nimi tak nisko, że zdawało się, iż wystarczy wyciągnąć rękę, żeby go dotknąć. Dzięki tej świecącej kuli noce były jasne, rozpalali więc ognisko tylko po to, żeby się ogrzać i ugotować posiłek.

Jocelyn każdego wieczoru wychodziła przed namiot i napawała oczy tymi cudami natury, przy okazji rozglądając się dyskretnie po obozie, czy przypadkiem nie widać gdzieś Colta. Nigdy się nie pojawiał. Nadal unikał ich wszystkich z wyjątkiem brata, któremu dawał wskazówki na każdy kolejny dzień.

Vanessę ogarniało rozdrażnienie, gdy pod koniec dnia patrzyła na zawiedzioną Jocelyn, której nie udawało się nawet z daleka popatrzeć na ich przewodnika. Lecz szczerze przejęła się, słuchając relacji ze spotkania z Apaczami, bo uderzyły ją emocje malujące się na twarzy dziewczyny, kiedy rozpamiętywała walkę, a szczególnie tamtą dramatyczną chwilę, gdy Colt o mało nie zginął. Vanessa odgadywała dręczące Jocelyn skrupuły, że się zgodziła, aby Colt załatwił sprawę z Apaczami, i jej przerażenie sposobem, w jaki tego dokonał; słyszała strach w głosie Jocelyn, kiedy opowiadała, jak o mało nie stracił życia, oraz radość, gdy wyszedł z walki bez szwanku. Widziała też przygnębienie przyjaciółki z powodu jego obojętności. Na szczęście szybko się z niego otrząsnęła.

Obawa Jocelyn o tego amerykańskiego nieokrzesanego i jej głębokie zainteresowanie jego osobą zaalarmowały Vanessę. W przeciwieństwie do Jocelyn doskonale wiedziała, jak łatwo te uczucia mogą przerodzić się w miłość. A taka możliwość nie wchodziła w grę. Pozostawało się modlić, by dziewczyna się nie zadurzyła, choć może już się to stało. Ponieważ upierała się przy Colcie, należało się z nim rozstać, jak tylko pozbawi ją dziewictwa, bo to był jedyny sposób, żeby zauroczenie nie rozwinęło się w uczucie.

Na drodze do realizacji planu leżała jedna poważna przeszkoda - Thunder rzadko się pojawiał. Cokolwiek by mówić, w tej chwili był ich jedynym przewodnikiem i dopóki nie dotrą do cywilizacji, gdzie będzie można rozejrzeć się za kimś innym na jego miejsce, są na niego skazane.

Trudny teren i szybkie tempo, w jakim się przemieszczali, nadwerżyły pojazdy, a konie pogubiły podkowy, na gwałt więc potrzebowali kowala. Ponieważ roboty było sporo, zanosilo się

na kilkudniową przerwę w podróży. Ich przewodnik nie mógł dłużej omijać miast, jeśli w ogóle na tym pustkowiu gdzieś się jakieś znajdowało.

- Jedno należy mu przyznać - odezwała się Vanessa, kiedy wjechali do Silver City następnego dnia późnym rankiem. - Przynajmniej nie wybrał jakiejś miejsciny z jedną ulicą i hotelem o czterech pokojach ... Chociaż pragnę zauważyć, że przywiózł nas tu wielce niechętnie.

Jocelyn z zainteresowaniem oglądała przez okno karety miasteczko Dzikiego Zachodu.

- Vana, wiesz dobrze, że ma rację, iż unika miast - powiedziała, nie odwracając się od okna.

- Chyba tak - zgodziła się łaskawie hrabina, ciągle mając za złe Coltowi, że im nie powiedział, iż kilka dni temu wjechali do Nowego Meksyku. - Byłoby miło z jego strony, gdyby od czasu do czasu informował nas o postępach w podróży. Sądziś, że kiedy znajdziemy się w Wyoming, zechce nam łaskawie o tym powiedzieć?

Jocelyn spojrzała na Vanessę, rozbawiona najbardziej cierpkim z jej tonów.

- Musisz przyznać, że doskonale sprawdza się jako przewodnik, chociaż normalnie się tym nie zajmuje. Przejechaliśmy taki szmat drogi bez przygód. O ile pamiętasz, nie został wynajęty, żeby zorganizować nam wycieczkę krajoznawczą.

- Właśnie, skoro już mówimy o celu, w jakim go wynajęłaś, uważam, że powinnaś wykorzystać tę przerwę w podróży. Będziesz miała oddzielny pokój, więc zwabisz go do siebie pod byle pretekstem, a jak już się znajdziecie sam na sam, sprawy potoczą. ..

- Zapomniałaś o pewnym drobiazgu - przerwała jej Jocelyn, pochmurniejąc. - On mnie nie lubi.

- Moja droga, nie wyciągałabym tak pochopnych wniosków.

- Niestety. Dał mi to wyraźnie do zrozumienia. Poza tym w ogóle go nie pociągam.

Vanessa omal nie prychnęła.

- Bzdura, czy dotąd nie przyszło ci na myśl, moja droga, że być może odczuwa pożądanie, lecz nie śmie tego okazać ze względu na twoją pozycję?

- Vana, on nie jest Anglikiem, ani nawet Europejczykiem, aby zwracać uwagę na to, że pochodzimy z różnych sfer. Pamiętasz, jak jego brat zrobił wykład sir Dudleyowi na temat znaczenia, jakie Amerykanie przywiązują do równości?

- No tak, rzeczywiście, ale mówimy tutaj o Amerykaninie innej rasy, takim, który w obecności ludzi potraktował cię obojętnie, żeby chronić twoją reputację - a może o tym już zapomniałaś? Poza tym, jeśli pozwolisz, pragnę zauważyć, że pojęcie „równość” tu akurat nie pasuje. Mam na myśli kolor skóry ...

- Bo jestem, jak on to nazywa, biała kobieta..? - podsumowała po chwili, doznając olśnienia. - Dobry Boże, myślisz, że tylko o to chodzi?

- Nie zdziwiłabym się, gdyby tak właśnie było. Przynajmniej miałabym wytłumaczenie, dlaczego tak bardzo się stara, ujmując rzecz delikatnie, zniechęcić cię do zbliżania się do siebie.

- Ale ... jak z tego wybrnąć?

- Dobre pytanie. Orientuje się już, że nie obchodzi cię jego pozycja mieszańca, więc albo sam ma uprzedzenia względem naszej rasy, w co raczej wątpię, albo też niewłaściwie interpretuje twoje zachowanie z tej prostej przyczyny, że nie wierzy, byś mogła pragnąć kogoś takiego jak on.

- Nie podoba mi się żadna z tych możliwości - stwierdziła Jocelyn, stając w obronie Colta.

- Ale ta druga jest wielce prawdopodobna.

- Nie wierzę, że mógłby mieć tak niskie mniemanie o sobie.

- Moja droga, nie wiesz, jak wyglądało jego życie, jakie okoliczności go ukształtowały, że jest dzisiaj taki, jaki jest. Załóżmy więc, iż mam rację. Jeżeli nadal nie wie, że go pragniesz, musisz mu to uświadomić.

- Po prostu mu to powiem.

- Nie, tego nie zrobisz! - zaprotestowała z przerażeniem Vanessa. - Skąd ta twoja pewność, że jestem nieomylna? Nie chcę, żebyś przeżyła taki potworny wstyd, gdybym nie miała racji. Z



drugiej jednak strony ... może by nie zaszkodziło dać mu trochę jaśniej do zrozumienia, że go chcesz.

- Trochę jaśniej?

Na twarzy Vanessy pojawił się konspiracyjny uśmiezek.

- A może przydałby się któryś z tych francuskich negliży, kiedy będziecie sami? To powinno podziałać.

- I sprawić, że rzuci się na mnie jak zwierzę - odpaliła Jocelyn.

- Hmm, jeśli tak uważasz ...

- Oj, nie bądź taka drażliwa - uśmiechnęła się Jocelyn. - To niezły pomysł. Nie wiem tylko, czy poskutkuje. Ostrzegł mnie, bym sama więcej z nim nie zostawała, a on potrafi być bardzo nieprzyjemny, kiedy nie słucham jego przestroż.

- No właśnie, kochanie. Po cóż miałby cię ostrzegać, jeśli nie ze względu na siebie samego, najwyraźniej się boi, iż nie zapanuje nad sobą. Coś mi mówi, że ten mężczyzna pragnie ciebie tak samo jak ty jego - jeśli nawet nie bardziej. Złam jego opór i już.

- Boże, Vano, obyś miała rację! - Podniecenie wywołane słowami Vanessy gorącą falą wypełniło trzewia Jocelyn.

Na pewno mam, kochanieńka - odparła w myślach Vanessa.

## Rozdział 20

Wieczorem nie mogła usiedzieć spokojnie, czekając, kiedy Colt zapuka do drzwi jej pokoju. Tym razem nie mógł się nie stawić. Przecież pracował dla niej. Wezwała go pod bardzo wiarygodnym pretekstem - chciała się dowiedzieć, ile jeszcze potrwa ich podróż do Wyoming. Zdecydowała się na to miejsce, nie mając pojęcia, gdzie jest ani jak długo się tam jedzie.

Drocząc się z nią, Vanessa narzekała, że będą podróżować całymi tygodniami. Prawdę mówiąc, żadna z nich nigdy nie słyszała o Wyoming, dopóki nie wspomniał o nim Billy Ewing, a i teraz wiedziały tylko, że znajduje się gdzieś "na północy". Silver City, według tego, co mówił recepcjonista w hotelu, leżało w południowo-zachodniej części Nowego Meksyku, a ponieważ zbliżała się zima, droga, jaka jeszcze została do pokonania, mogła budzić niepokój, tym bardziej, że trzeba było znaleźć jakieś miejsce na dłuższy pobyt, zanim wiosną ożrebią się jej klacze.

Miała więc dobry powód, żeby go wezwać. A gdyby uczynił jakąś niestosowną uwagę na temat jej stroju, no cóż... przygotowała wytłumaczenie. Późna godzina, znużenie po długim dniu i pewność, że już nie przyjdzie, skoro posłała po niego wiele godzin temu.

Tak naprawdę dopiero przed chwilą poleciła Pearsonowi i Sidneyowi odszukać go i przysłać do jej pokoju. Vanessa nalegała, aby najpierw dopiąć wszystko na ostatni guzik na wypadek, gdyby służący natychmiast go odnaleźli.

Jocelyn nie mogła odmówić racji takiemu rozumowaniu i chętnie skorzystała z pomocy Vanessy w stworzeniu sprzyjającej atmosfery. Rozrzuciona pościel, jakby dopiero przed chwilą z niej wyszła, jedna lampa z mocno przykręconym knotem. No i najważniejsza sprawa: kąpiel, pachnidła, a na koniec nieprzyzwoicie cienki, atlasowy neglig.

Sama nie wybrałaby takiego stroju, lecz przychyliła się do rady Vanessy jako osoby bardziej doświadczonej w tej materii. Ani razu nie miała tego negligu na sobie, a uszyła go dla niej na zamówienie krawcowa, Francuzka, którą odkryły w Nowym Jorku, bo Jocelyn miała akurat taki kaprys, kiedy poznała Charlesa Abingtona i po raz pierwszy pomyślała o zamążpójściu. Jasnozielony neglig w odcieniu niemal identycznym jak jej oczy, udrapowany na ramionach, o niskiej linii dekoltu, zakrywał jej piersi wyłącznie wtedy, gdy była wyprostowana, i opływał ciało w talii i na biodrach. Peniuar, z długimi rękawami i w takim samym kolorze, wykończony białą koronką, nie miał ani zapinki, ani paska, bo jego zadaniem było podkreślenie zmysłowości stroju, a nie jego zasłanianie.

Na koniec Jocelyn zajęła się włosami; umyła je i szczotkowała tak długo, aż nabrały połysku jedwabiu. Niezwiązane, spływały jej na ramiona i plecy, falując przy każdym ruchu.

- Takie je widział podczas waszego pierwszego spotkania, ale zapamiętaj moje słowa, dziś nie oprze się pokusie i sprawdzi, czy nie palą w dotyku jak ogień - orzekła Vanessa, gdy Jocelyn skończyła szczotkować płomiennorude pukle.

Słowa Vanessy wcale nie dodały jej ducha, bo pamiętała tamten ból, kiedy zanurzył palce w jej włosach. W nerwowe podniecenie wkradł się niepokój. Zdecydowanie pragnęła Colta Thundera, była więc gotowa zaryzykować, mając cichą nadzieję, że dziś będzie inaczej niż poprzednio, gdy znalazła się z nim sam na sam. Dziś w nocy będzie czułym kochankiem, takim, jakim widziała go w marzeniach od chwili, gdy w kilka godzin po ich spotkaniu zaplanowała, że to właśnie on wprowadzi ją w arkana miłości. Jeżeli podda się niepewności, nie starczy jej odwagi, aby otworzyć mu drzwi, kiedy zapuka.

Czekała na to pukanie, drgając przy każdym, najślabszym nawet odgłosie na korytarzu, a upływające minuty zmieniały się w godziny i cichł gwar za oknem. Zapewne służący nie mogą go odnaleźć. Należało się z tym liczyć. Lecz prędzej czy później jeden z nich go znajdzie i wtedy on bezzwłocznie do niej przyjdzie. To może się stać lada chwila - powtarzała sobie w myślach, wprawiając się w coraz większe zdenerwowanie. Podchodziła do okna, przez które spoglądała na

pochyły dach werandy nad wejściem do hotelu, wracała do łoża obleczonego we własną jedwabną pościel. Przysiadła na nim, lecz po chwili zrywała się i szła do sięgającego podłogi lustro, w którym odbijała się postać jakby nieznannej młodej kobiety o bladej twarzy. Klepała się po policzkach, żeby dodać im rumieńców, i nasłuchiwała kroków na korytarzu, miotła się między drzwiami i oknem w kolejnych okrążeniach pokoju.

Niestety, komnata, choć według słów właściciela największa, okazała się stosunkowo mała. Hotel nie miał apartamentów, a pokoje - zaledwie na dwóch kondygnacjach - nie pomieściły całej świty, część ludzi musiała więc udać się na nocleg do pensjonatu na tej samej ulicy, a część została przy wozach. Ponieważ Jocelyn nie mogła mieć całego piętra na własny użytek, postawiono wartownika przed jej drzwiami, ale nie słyszała, żeby się choć raz poruszył, kiedy nasłuchiwała kroków na korytarzu.

Jeżeli Colt zaraz się nie zjawi, to ona zmieni się w kłębek nerwów. I jak w takim stanie ma przekonująco udawać, że jest zaskoczona i że "właśnie się obudziła", gdy on wreszcie przyjdzie? Niech go piekło pochłonie, co go tak długo.;

Kiedy w końcu rozległo się pukanie, miała wrażenie, iż żołądek spłynął jej kilka centymetrów niżej, i zamarła, zdolna jedynie wpatrywać się w drzwi, bo opuściła ją cała pewność siebie, nie mówiąc już o odwadze. Kiedy więc drzwi się uchyliły i zamiast Colta stanęła w nich Vanessa, pod wpływem ulgi o mało nie osunęła się na podłogę.

- Przepraszam, kochanie - powiedziała szeptem Vanessa i zamknąwszy drzwi, dodała zasmuconym tonem: - Wszędzie go szukali, w pensjonatach, w saloonach, a nawet w hmm ... bardziej nieprzyzwoitych miejscach. Pozostał nieuchwytny, zupełnie tak samo jak na szlaku. Nawet jego własny brat go nie widział od przyjazdu do miasta.

- Nic nie szkodzi, Vanesso. Pozostaniemy tu kilka dni. Można spróbować jutro.

- Dzielnie to znosisz. Ja na twoim miejscu kipiałabym ze złości, tyle przygotowań i ...

- Jakich przygotowań? Przecież nie szykowałam się na bal. Po prostu szłam spać ...

- Przygotowałaś się na wizytę mężczyzny, a to zupełnie co innego - ucięła hrabina, po czym zapytała tonem pełnym zrozumienia: - To czekanie bardzo cię zmęczyło?

- Wykończyło - roześmiała się Jocelyn. - Nie majak spontaniczność.

- O wiele lepsze skutki przynosi starannie zaplanowana gra miłosna - zareplikowała Vanessa. - Jeżeli pamiętasz, twoja spontaniczność na niewiele się zdała.

- To prawda, więc jeszcze raz spróbuję użyć twoich sposobów. Być może w praktyce nie okaże się to aż tak trudne. - Ponownie się roześmiała, bo zadowolona z odzyskanej równowagi, starała się nie poddać rozczarowaniu.

- Być może jutro opracujemy lepszą strategię - podsunęła lekkim tonem Vanessa, odgadując jej nastrój. - Miękkie łoża' i intymność pokoju sprzyjają amatorom, w przeciwieństwie do namiotu, bo nie dość, że tam ściany mają uszy, to w dodatku zawsze czuwa nad tobą kilka par oczu, no i w każdej chwili ktoś może wejść. Bo chyba nie masz ochoty - prychnęła, robiąc przy tym zde gustowaną minę - na figle na łonie natury, nawet gdybyś uznała scenerię za romantyczną?

- Naturalnie mówisz, opierając się na doświadczeniu?

- Oczywiście. Te najróżniejsze okropne owady uwielbiają nagie ciało, do tego kaprysy pogody, a na tym terenie, gdzie obecnie jesteśmy, możesz rozesłać derkę wyłącznie na piachu, w pyle lub na kamieniach. Wyznam ci coś w tajemnicy, moja droga. Obojętnie jak gruba będzie derka, zawsze się trafi jakiś kamyk, patyk czy jeszcze coś innego, co będzie cię rozpraszać, uwierając w plecy. Nie wspomnę już o dzikich bestiach, jakie w każdej chwili mogą się pojawić.

- Dzikich bestiach, Vano? - zachichotała rozbawiona Jocelyn.

- Hmm, raz zaskoczył mnie dziki królik, tyle że mi się wydawało, iż to mój ogrodnik. Przeraziłam się wtedy nie na żarty.

- No nie, teraz poniosła cię wyobraźnia! - Jocelyn wybuchnęła śmiechem.

- Teraz mówię całkiem poważnie. Przestraszyłam się, że staruszek umrze z wrażenia.
- Po tych wszystkich szalonych przyjęciach w twoim pałacu, o których mi opowiadałaś? Podobno połowa twoich gości, ginąc w płataninie krzewów, gubiła swych współmałżonków i wyłaniała się w nowych parach? Twój ogrodnik musiał się napatrzeć na miłosne podchody przez te wszystkie lata, więc niewiele go mogło szokować.
- Ależ, kochana, tak się akurat złożyło, że wtedy moim kochankiem był jego wspaniale zbudowany, młodziutki syn. - Och!
- No właśnie.
- Popatrzyły na siebie i równocześnie zaniósł się śmiechem. - Dziękuję ci. Nie sądzisz, że za poważnie podeszłam do tej sprawy? - Jocelyn uśmiechnęła się z wdzięcznością do przyjaciółki, gdy wreszcie złapała łyk powietrza.
- Odrobinę. Moja droga, on po prostu jest mężczyzną, który ma ci wyświadczyć pewną niezbędną przysługę ... Oczywiście, jeśli się nie rozmyśliłaś. Kiedy wrócimy do tego, co, oględnie mówiąc, można by nazwać cywilizacją, znajdzie się wielu kandydatów.
- Nie ... Colt nadal ...
- Nie musisz mówić nic więcej. - Vanessa westchnęła w duchu, a głośno dodała przekonującym tonem: - Jeżeli go chcesz, to go zdobędziesz. Lecz nie dzisiaj, więc marsz do łóżka!
- Nie będę już na niego dłużej czekać?
- Nie ma sensu. Zrobiło się późno. Nie, kazałam służącym oddalić się na spoczynek. Dobranoc, kochanie, wyśpij się dobrze. O ile twój mieszaniec jest tak namiętny, jak mi się wydaje, nie zaznasz zbyt wiele snu jutrzejszej nocy.
- Pod warunkiem, że uda mi się go zdobyć.
- Z tą bronią, jaką masz do dyspozycji? - zapytała Vanessa, omiatając spojrzeniem sylwetkę Jocelyn, po czym z uśmiechem wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

## Rozdział 21

Przez otwarte okno dobiegł ją lekki stukot obcasów na trotuarze po przeciwnej stronie ulicy i ledwo słyszalne syknięcie: - Jezu, aleś mnie, chłopie, wystraszył!

Nikt nie odpowiedział, kroki przyspieszyły. W oddali zakumkała żaba, słyszała ją tylko wtedy, gdy milkło pianino w którymś z saloonów na dole. Pianista dobrze grał, stłumiona melodia wcale nie drażniła, działała wręcz kojąco. Od czasu do czasu rozlegał się śmiech, na tyle jednak cichy, by nie przeszkadzać w zaśnięciu.

Nie mogła złożyć bezsenności na karb tych przytłumionych hałasów. Odgłosy na wpół uśpionego miasteczka były niczym w porównaniu z często wrywającym ją ze snu przenikliwym wyciem kojotów lub soczystymi przekleństwami strażników, którym podczas obchodzenia jej namiotu zdarzało się potknąć o kołki do mocowania linek.

A jednak nie mogła zasnąć. Starła się, lecz myśli o tym, co mogło się dziś wydarzyć, a jednocześnie ulga, że do niczego nie doszło, spędzały jej sen z powiek. Nie nadaje się do miłosnych intryg. Będzie musiała o tym powiedzieć Vanessie. Poczuje się zawiedziona, bo zapewne zasypiała, planując kolejny podstęp.

Odrzuciła kołdrę, rezygnując z dalszych zmagañ. W pokoju panował gęsty mrok, ponieważ poświata księżycyca sponad dachu hotelu ledwo sączyła się przez jedyne okno jej pokoju na froncie budynku. Gdy po chwili jej wzrok oswoił się z ciemnością, dojrzała lampę. Zapaliła ją, przykręciła knot, odnalazła peniuar w półmroku i bez przygód dotarła do okna.

Gdy odsunęła zasłonę, poczuła się rozczarowana; jaskrawe światło księżycyca zalało pokój, pogłębiając czerń zacienionych miejsc. Dach werandy ginął w mroku, a szyld nad wejściem zasłaniał chodnik. Za to widziała wyraźnie zabudowania po przeciwnej stronie ulicy, lecz nie miała na czym zatrzymać wzroku, bo w żadnym z okien się nie świeciło.

Przydałby się jej długi spacer, pomogło fizyczne zmęczenie.

Strażnik, który pilnował drzwi, na pewno chętnie by jej towarzyszył, lecz myśl o porannej przeprawie z sir Parkerem, który niewątpliwie miałby jej za złe takie ryzykowne przedsięwzięcie, zniechęciła ją do tego pomysłu.

Westchnęła ciężko - zła na siebie, zła na Colta, zła na swoje położenie. Gdyby nie Długonosy, mogłaby pójść na ten spacer. A gdyby wiedziała, gdzie jest Colt, nie odczuwałaby takiej potrzeby. Natomiast gdyby nie zależało jej na Colcie, nie miałyby problemów z zaśnięciem. A niech to!

Jak on śmie tak znikać? A jeśli musieliby opuścić to miasto w pośpiechu, co nie jest wykluczone, bo przecież nieraz już tak się zdarzało?

Traci rozsądek. Colt codziennie udawał się na rekonesans, wiedziałby zatem, że Długonosy depcze im po piętach, i niewątpliwie by ją o tym poinformował. Zapewne Anglik nadal szuka ich w Arizonie. Musi wreszcie uczciwie przyznać, że sen odbiera jej myśl, iż Colt prawdopodobnie spędza tę noc z inną kobietą.

Nic nie pomaga. Pójdzie na ten spacer, a sir Parkerem będzie się martwić później. W tej samej chwili, gdy odwróciła się od okna, usłyszała łoskot na korytarzu ... coś jakby ... jakby uderzenie ciała o podłogę. Rzuciła okiem na drzwi, a potem na swoją torebkę w drugim końcu pokoju. Nie miała wątpliwości, że zanim zdąży wyjąć z niej derringera, intruz wtargnie do pokoju. Poza tym ten pistolecik strzelał celnie wyłącznie z niewielkiej odległości, musiałaby więc zacząć się za drzwiami. Tymczasem wystarczył rzut oka na klamkę, by dostrzec, że się porusza.

Nie zastanawiając się wiele, przełożyła nogi przez parapet i zeskoczyła na dach werandy. Miała szczęście, że nie okazał się stromy, lecz niestety to była jedyna jasna strona sytuacji. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ten ktoś, kto zakradł się do niej w środku nocy, niewątpliwie wyjrzy przez okno, kiedy zobaczy, że nie ma jej w pokoju. Lecz czy zaryzykuje strzał, czy nie będzie się

bał, że postawi na nogi całe miasto? Zapewne spodziewał się znaleźć ją w łóżku, uśpioną, co dawałoby możliwość pozbycia się jej w jakiś cichy sposób. Czy napastnik wyjdzie po nią na dach?

Już w tej chwili powinna krzyżeć, ile sił w płucach. Może spłoszyłaby napastnika wrzaskiem? Niestety, chęć do krzyku odbierał jej strój, ten nieprzyzwoity negliż, który ciągle miała na sobie. Nie zamierzała czekać, aż ten ktoś wytknie głowę przez okno. Od narożnika dachu dzielił ją nieco ponad metr, ponieważ ostatnim narożnym pomieszczeniem była ubikacja za jej pokojem. Większa szansa, że nie zostanie zauważona, jeżeli szybko skryje się za węglem, niż jeśli spróbuje dostać się do okna sąsiedniego pokoju, tym bardziej, że ze swego miejsca nie potrafiła określić, czy było otwarte, czy nie. Balustrada zwieńczała dach jedynie od frontu, więc -nie musiała jej pokonywać. Wystarczy, że zsunie się z dachu na jego krańcu i zjedzie po filarze. A potem już tylko opętańczy bieg na tyły hotelu, gdzie mieściły się stajnie, i będzie uratowana. Tam są jej ludzie. Co prawda naje się wstydu, kiedy zobaczą ją w nocnej koszuli, ale jak się to mówi, wszystko zostanie w rodzinie.

Rzuciła się biegiem, zanim skończyła analizować plan, i z impetem wpadła na barierkę za narożnikiem. Nie czekała, aż odzyska oddech. Zsuniecie się z dachu nie wymagało specjalnego wysiłku, wystarczyło jedynie opuścić nogi, trzymając się przy tym wspornika barierki do chwili, kiedy obejmie nogami filar werandy.

.Niestety, w tym miejscu szczęście ją opuściło. Machała nogami w poszukiwaniu podpory, lecz wszędzie trafiała wyłącznie na pustkę. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że z góry założyła, iż każda weranda jest wsparta na kolumnach. No bo jak inaczej by się trzymała? W takim razie gdzie ten przeklęty filar?! A co ważniejsze, jeżeli nie istnieje, jaka odległość dzieli ją od ziemi? Do diabła, dlaczego nie obejrzała wszystkiego dokładniej, kiedy zajechali do tego hotelu? Pamięta jedynie, że na werandę wchodziło się po kilku stopniach. Nie miała pojęcia, na jakiej wysokości wisi i czy dach zachodzi poza budynek. Spoglądanie w dół niewiele pomogło, bo widziała tylko ciemności.

Być może, przesuając się wzdłuż krawędzi okapu, prędzej czy później natrafiłaby na upragniony filar, jednak ręce zaczynały jej omdlewać pod ciężarem ciała. Lepiej od razu zeskoczyć, póki jeszcze ma siłę zamortyzować upadek i nie upaść na plecy. Jednocześnie nie potrafiła zebrać się na odwagę. Wraz z uczuciem narastającej paniki w jej wyobraźni przestrzeń dzieląca ją od ziemi powiększała się z każdą sekundą, zmieniając się w otchłań bez dna.

Ogłuszona biciem własnego serca, nie od razu się zorientowała, że ból w ramionach zelżał, bo ktoś ją podtrzymał, obejmując za nogi. W tej samej chwili usłyszała znajomy cichy głos: "Puść".

Jej urywany oddech przeszedł w westchnienie ulgi. Oderwała dłonie od okapu. I jak tamtego pierwszego dnia z pełnym zaufaniem zeskoczyła z powozu w jego ramiona, tak samo teraz nie wątpiła, że bezpiecznie postawi ją na ziemi.

A jednak nie było zupełnie tak samo. Dziś przytrzymał ją w ramionach i nie odsunął od siebie.

W długiej ciszy, jaka między nimi zapanowała, bezskutecznie starała się zobaczyć jego ukrytą w cieniu twarz. Jak to możliwe, że znalazł się dokładnie w chwili, gdy go potrzebowała? Nurtowało ją to pytanie, lecz na razie nie miała siły go zadać.

- Niech zgadnę. Masz awersję do drzwi, tak? - przerwał ciszę pytaniem zabarwionym sporą dozą sarkazmu.

Postawił ją na ziemi, nadal jednak nie puszczał. Dokładniej mówiąc, teraz obejmował ją za ramiona. Żeby nie upadła? Woląa wierzyć, że pragnie jej dotykać. Bo ona tego pragnęła. Po chwili jego pytanie przedarło się przez jej oszołomienie i przypomniała sobie, z jakiego powodu znalazła się w tych objęciach, w których jeszcze przed chwilą było jej tak błogo.

- Ktoś ... - zaczęła wyjaśniać gorączkowo. - Usłyszałam hałas w holu ... moja torebka leżała za

daleko ... chyba nie zdążyłabym jej podnieść ... widziałam, jak poruszyła się klamka. Co miałam robić?

- Chcesz powiedzieć, że ktoś usiłował wtargnąć do twego pokoju, duchess? - podsumował jej chaotyczną opowieść.

- Nie próbował. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Nie czekałam, aż się otworzą, ale na pewno do tego doszło.

- A strażę?

- Był tylko jeden wartownik i obawiam się, że może nie żyć. Ten hałas, który słyszałam ...

Nie czekając, aż dokończy, puścił ją i wetknął jej w dłoń swój rewolwer.

- Zostań tu - polecił jedynie, nie tracąc czasu na wyjaśnienia.

- Dokąd idziesz?

Niemądre pytanie, skoro zdążył już wspiąć się na dach werandy, przebiec po nim i w ułamku sekundy zniknąć w ciemnościach. Jocelyn popatrzyła na pustą ulicę zalaną księżycową poświatą, na zaciemiony dach werandy, który - jak się okazało - zachodził jednak poza budynek, i na rewolwer w swojej dłoni. W przeciwieństwie do jej derringera ten był ciężki i miał długą lufę. Nigdy nie strzelała z takiej broni i wątpiła, czy w tej chwili udałoby się jej w cokolwiek trafić, bo palce miała nadal zeszywniałe od kurczowego trzymania się krawędzi okapu.

Po chwili rewolwer zaczął jej ciążyć w opuszczonej ręce, przycisnęła go więc do siebie i czekała, wpatrując się w krawędź dachu. Dostrzegła tam zarys czegoś, co wyglądało na pozostałość po narożnikowym filarze. Poczuli się lepiej, widząc, że jej naprędce ułożony plan nie do końca był pozbawiony sensu. Lecz nie myślała już, żeby szukać schronienia w stajni, zgodnie z wcześniejszym zamiarem. Colt powiedział, że ma tu zostać, więc zostanie.

## Rozdział 22

Rzeczywiście ktoś był w pokoju. Dwóch mężczyzn przeszukiwało kufry księżnej, rozrzucając suknie i drobiazgi po podłodze. Jeden z intruzów znalazł szkatułkę z klejnotami i dłubał małym nożem w zamku. Drugi na kolanach nurkował w głąb największego kufra. Żaden z nich nie zauważył Colta, gdy bezszelestnie wsunął się do pokoju przez okno. Niepokoiły ich wyłącznie drzwi, na które raz czy dwa zdążyli nerwowo zerknąć, zanim ich dopadł.

Colt przytrzasnął ciężkim wiekiem głowę zbója, akurat gdy ten podnosił się z jakąś zdobyczą w ręce, a drugiego intruza kopnął w szczękę, co okazało się poważnym błędem. Stopa momentalnie zaczęła pulsować z bólu, więc zaklął siarczyście, zły na siebie, że nie zrobił użytku z noża, który ścisnął w dłoni. Teraz go nie potrzebował, bo obaj rabusie stracili przytomność.

Skrzywiony pokuśtykał w stronę łóżka, żeby obejrzeć nadwerżoną stopę, ale zaledwie na nim przysiadł, nozdrza wypełnił mu zapach Jocelyn, zerwał się więc jak oparzony, znowu klnąc na czym świat stoi. Z wściekłości gotów był poderżnąć tym ludziom gardła, rozważa jednak zwyciężyła. To nie ich wina, że tkwił przez pół nocy po drugiej stronie ulicy z flaszką okowity w ręce i wpatrzony w jej okno jak jakiś zakochany dureń wyobrażał sobie, co by było, gdyby wdrapał się do niej przez to otwarte okno.

Stoczył batalię z własnym sumieniem, żeby się do tego nie posunąć. Był wściekły; posłuchał głosu sumienia, a mimo to znalazł się w tym pokoju, rozpalony świadomością, że ona czeka na dole.

Jedyna nadzieja, że natychmiast pobiegła zawiadomić strażę o tym, co się stało. Zanim podszedł do okna i zobaczył, że nadal stoi, zdążył stłumić żądzę i nawet pohamować gniew. - Możesz wrócić, duchess! - zawołał, już w pełni panując nad sobą.

O dziwo, jego głos zabrzmiał niemal przyjaźnie. Nie domyślała się, że tylko pozoruje uprzejmość.

- To znaczy, że nie ma nikogo w moim pokoju?

- Tego nie powiedziałem. Miałaś gości, ale ich wyrzuciłem. Wyjdę po ciebie do holu.

- Nie, poczekaj! - zawołała, spanikowana, szeptem. - Nie mogę przejść przez hol. Co będzie, jeśli ktoś mnie zobaczy?

Colt patrzył na nią z góry, zadowolony, że mrok nie pozwala mu widzieć jej zbyt dokładnie. A więc czułaby się zażenowana, gdyby ktoś oglądał ją w nocnym stroju? To nim się powinna przejmować, a nie jakimś tam drzemającym recepcjonistą.

- Lubisz igrać z niebezpieczeństwem, prawda?

Błędnie zinterpretowała znaczenie tych słów.

- Nie jest aż tak wysoko. Mógłbyś się przechylić i mnie wciągnąć?

Nie widziała go w oknie, nie słyszała odpowiedzi. Zaniepokojona wpatrywała się w krawędź dachu, nie rozumiejąc, co się dzieje, nie mając pewności, czy ją usłyszał. Przecież dałby radę ją wciągnąć. Tamtego pierwszego dnia bez wysiłku wy dostał ją z karety, a tutaj nie było o wiele wyżej.

Jak dotąd szczęście jej sprzyjało, ulica była pusta, nikt jej jeszcze nie widział na tej werandzie. Colt "pozbył się" intruzów w parę minut. Przebiegł ją dreszcz, kiedy się zastanowiła, co to może oznaczać. Jednak nie może tu czekać bez końca. Teraz, gdy jechali na północ, robiło się coraz chłodniej, a temperatura w nocy była znacznie niższa niż za dnia. Skostniała z zimna w swym lekkim stroju. Kiedy ochłonęła ze strachu, zaczęły ją wstrząsać dreszcze. Nie może tu tkwić do końca świata.

- Colt?! - zawołała, tym razem rezygnując z szeptu. Jeżeli poszedł do holu, by, jak wcześniej powiedział, tam na nią czekać, będzie na niego zła, mimo że właśnie ... właśnie - co? Znowu ją



uratował? Właściwie nie wiedziała, co zrobił, i nie dowie się, dopóki ...

Drgnęła zaskoczona, bo wysunął rękę tak niespodziewanie. A więc był tam przez cały czas i ją słyszał. To nie jest odpowiedni moment na strofowanie go za to, że trzyma ją na dworze, nie mogąc się zdecydować, czy jej pomóc, czy nie. Prawdę mówiąc, lepiej, żeby się w ogóle powstrzymała od reprimend, jeśli nie chce mu dać pretekstu do porzucenia pracy. Poza tym zdążyła już poznać jego brak kurtuazji. Naiwnością byłoby sądzić, iż nabierze manier tylko dlatego, że ona dygocze z zimna i nie ma ochoty biegać półnaga po dobrze oświetlonym holu.

Najpierw oddała mu rewolwer, który szybko włożył do kabury, zanim ponownie wyciągnął rękę. Problem w tym, że nie mogła jej dosięgnąć, nawet wspinając się na palce. Chciała mu o tym powiedzieć, lecz intuicja podszeptęła jej, że nie ma co liczyć na większy wysiłek z jego strony. Nie wiadomo dlaczego, on nie chciał jej pomóc wdrapać się na dach, ale jej determinacja przewyższała jego opór.

Podskoczyła i już przy pierwszej próbie udało jej się pochwycić go za palce. Oderwała stopy od ziemi, ale pod ciężarem ciała jego ręka wyslizgiwała się jej z dłoni. Już miała krzyknąć ze strachu, bo lada chwila groził jej bolesny upadek na plecy, gdy szarpnięciem podciągnął ją wyżej i chwycił za nadgarstek.

Na sekundę zawisła w powietrzu, czując dojmujący ból w barku, ale zanim zdążyła krzyknąć, okazało się, że siedzi na dachu. Niemniej, wzięwszy pod uwagę okoliczności, nie miała zamiaru dziękować swemu tak zwanemu wybawcy, szczególnie że następnym szarpnięciem poderwał ją na równe nogi.

Znowu naszła ją ochota, by ostro na niego nakrzyczeć, lecz w odpowiedzi na jego warknięcie: "No dalej!" jedynie zacisnęła zęby i ruszyła za nim po pochyłości dachu do okna.

Lecz tu pojawił się kolejny problem. Wyciągając ramiona, sięgała zaledwie do parapetu i nie miała wątpliwości, że z nadwierzonym barkiem nie da rady wspiąć się na okno.

Nie miała wyjścia.

- Czy byłbyś tak dobry i mnie podsadził? - zapytała z niechęcią.

Nie widziała, jak jego wzrok zatrzymał się na tym miejscu, którego musiałby dotknąć, żeby to zrobić. Podniecenie wywołane jej bliskością rozpałiło go do granic wytrzymałości. Jeżeli jej dotknie, już nic go nie powstrzyma. Nie może nawet przykucnąć przy jej nogach, aby mogła postawić stopę na koszyczku z jego dłoni, bo więcej niż pewne, że stracił resztki kontroli nad sobą. Dość tego!

- Nie ma mowy, duchess! - odpowiedział oschle, kładąc kres wszelkiej dyskusji.

W tym momencie wyczerpała się jej cierpliwość.

- Cóż, bardzo mi przykro, ale sama nie dam rady! Boli mnie bark, jest mi zimno. Jestem zmęczona ... Myślisz, że dla przyjemności skakałam przez okno i biegałam po dachu?!

- Kobieto, to środek nocy. Kto o tej porze jest jeszcze na nogach?

- Ty - odparła cierpko. - A także owi dżentelmeni, którzy zakradli się do mojego pokoju. Kto wie, czy jeszcze kilku nie czeka na dole w holu?

Cholernie trafna uwaga, ale i tak nie zamierzał zbliżyć rąk do jej ponętnego tyłeczka.

- W porządku, w takim razie chodź! - ustąpił, siłąc się na uprzejmy ton, i pierwszy pokonał parapet.

Znowu znalazł się w jej pokoju, był z nią sam na sam, a właśnie tego pragnął uniknąć. Dotąd uważał, że nie ma takiego bólu czy tortury, jakich by nie potrafił wytrzymać, ani pragnienia, któremu nie umiałby się oprzeć. Tak myślał, dopóki jej nie poznał. Chryste, przecież nawet ten sadystyczny siepacz Ramsay nie dał rady go złamać. Tymczasem uczyniła to ta mała rudowłosa, nawet o tym nie wiedząc. Nie mógł jej za to winić. Wiedział, że przyczyna tkwi w jego spodniach.

Żądza stroiła sobie żarty z siły woli, depcząc jego dumę i poczucie godności. Nigdy dotąd

niczego takiego nie doświadczył, więc jak miał sobie z tym poradzić? Wiedział jedynie, że nigdy niczego nie pragnął tak bardzo jak tej kobiety. I za każdym razem, kiedy ją widział, to pragnienie się wzmagало. Już sama świadomość czegoś takiego wystarczała, aby mężczyzna miał ochotę poderżnąć sobie gardło.

Pełen odrazy do samego siebie, chwycił ją za nadgarstki i wciągnął na parapet na tyle głęboko, by samodzielnie mogła z niego zejść. Potem odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi, zdecydowany opuścić pokój, dopóki ona jest na parapecie.

- Colt! - zawołała, nie mając ochoty tkwić w połowie w pokoju, a w połowie za oknem.

Nie zatrzymał się.

- Duchess, jeśli dotknę cię jeszcze raz, będziesz tego gorzko żałować.

- Skoro ciebie nie kosztowało to najmniejszego wysiłku, nie oznacza jeszcze ... Ach, mniejsza z tym!

Jocelyn zczołgała się z parapetu i gruchnąwszy nogami o podłogę, wylądowała na niej w niezbyt godnej pozie. Pozbierała się w mig, wcale nie przejęta swym pozbawionym gracji "wejściem". Nie patrzył na nią, więc nie widział upadku, ale wcale to nie zmniejszyło jej zdenerwowania, a właściwie jeszcze bardziej ją rozjątrzyło, bo on już trzymał rękę na klamce.

- Niewątpliwie jesteś najpod ... Dobry Boże! - jęknęła na widok bałaganu panującego w pokoju. - Co tu się działo? Czy oni myśleli, że siedzę w którymś z kufrów?!

Przystanął pod wpływem tego okrzyku. Ten temat był bezpieczny, a ona miała prawo wiedzieć. W dodatku dzieliła ich przestrzeń pokoju. Nadal jednak nie zamierzał ryzykować i spojrzeć na nią, ponieważ teraz nie krył jej cień. Wbił wzrok w rzeczy skłębione na podłodze, jakby ich tam wcześniej nie widział.

- Duchess, oni nie przyszli po ciebie.

- Jak to nie?• Nikt poza Długonosym ...

- Nie tym razem. Twój Długonosy jeszcze nas nie dogonił. Jeśli zaczniesz nam deptać po piętach, będę o tym wiedział.

Wierzyła mu, ponieważ wiedziała, że każdego dnia na szlaku udawał się na zwiad, zataczając szerokie koła wokół kawalkady. - W takim razie kto to był?

- Dwu drobnych rabusiów, prawdopodobnie miejscowe szumowiny. Zapewne zwabił ich widok straży przed drzwiami. W dziewięciu przypadkach na dziesięć ludzie zakładają, że w pokoju musi znajdować się coś szczególnie cennego, jeżeli nie wystarcza zamek i klucz.

- A Robbie? Czy on ... - Zawisła na nim spojrzeniem, przypominając sobie odgłos uderzenia, który doszedł ją z holu. Bała się dokończyć pytanie, sądziła, iż Colt ucieka przed nią wzrokiem dlatego, że potężny Szkot nie przeżył. Uciszył jej obawy, ale nadal na nią nie spojrzął. Pochylił się, podniósł z podłogi niebieską jedwabną wstążkę i wpatrywał się w nią, jakby pierwszy raz w życiu widział kawałek jedwabiu.

- Zaszli go od tyłu. Za taki brak czujności czeka go rano kara w postaci potężnego bólu głowy. Poza tym nic mu nie będzie. Podejrzewam, że jeden z napastników ściągnął na siebie jego uwagę, a drugi go zaatakował. Taka strategia dobrze się sprawdza w proporcji dwóch na jednego.

- A ci dwaj rabusie?

- Chcesz poznać krwawe szczegóły?

- Colt!

Pobladła, ale nie mógł tego widzieć. Do wyjaśnień skłoniła go cisza po jej dramatycznym okrzyku.

- Spotkało ich to samo, co Robbiego. Nic więcej. Niestety, musiałem podrzeć jedną z twoich halek, żeby ich związać i dorzucić Robbiemu do towarzystwa. Uznałem, że nie będziesz mieć o to pretensji. Prawdopodobnie do rana ani drgną, a ponieważ i tak potrzebujesz pod drzwiami nowego wartownika, dobrze, by miał na nich oko, dopóki nie zostaną przekazani w ręce

tutejszego szeryfa. - Zamyślił się. - Powinnaś mieć silniejszą ochronę - dodał po chwili.

Zazwyczaj ją miała, lecz tego wieczoru okoliczności były szczególne, oczekiwała wizyty, którą życzyła sobie zachować w tajemnicy. Zgodziła się na obecność Robbiego z tego prostego powodu, że według słów Vanessy był dyskretny i zachowałby dla siebie to, co by zobaczył. A potem żadna z nich nie pomyślała o wzmocnieniu straży.

Doznała olśnienia, przypominając sobie tamten plan, bo właśnie udało się go zrealizować. Colt jest u niej w pokoju. Są sami. Nie przyszedł ściągnięty wezwaniem, nie może więc żywić najmniejszych podejrzeń co do jej motywów. Co prawda nadal miała na sobie ten negliz, ale już nie dręczyło jej poczucie winy i zapomniała o lęku. Cokolwiek się zdarzy ...

Zanim serce zdążyło jej mocniej bić na tę myśl, uświadomiła sobie, że do niczego nie dojdzie. Colt ani razu na nią nie spojrział, odkąd znaleźli się w dyskretnie oświetlonym pokoju. I przeczuwała, że nie ma zamiaru. Omal się nie roześmiała. W tej sytuacji jakikolwiek krok z jej strony, zmuszający Colta do spojrzenia na nią, byłby przez niego odczytany jako celowa prowokacja. Musiała to sobie jasno powiedzieć. A więc dzisiejsza noc nie była im przeznaczona.

- Colt, pośrednio to twoja wina, że postawiłam pod drzwiami tylko jednego strażnika. - Rozbawiła ją dwuznaczność tego stwierdzenia, której on nie mógł się domyślić. Jednakże widząc, jak zastyga pod ciężarem oskarżenia, szybko wyjaśniła: - Powiedziałam "pośrednio". Ponieważ czuję się znacznie bezpieczniej, odkąd nam towarzyszysz, zaniedbałam trochę środki ostrożności. Poza tym uznałam, że moim ludziom przyda się godziwy wypoczynek.

- Po cholerę ta cała armia, skoro nie potrafią cię upilnować, chociażby wbrew twoim życzeniom? Teraz z kolei ona zamarła.

- Wzięłam sobie do serca twoją uwagę. Jakież to nierozsądne polegać na twym talencie do ratowania mnie z opresji tylko dlatego, że tyle razy udowodniłeś swe umiejętności.

- Diabelnie nierozsądne!

No właśnie! Nawet na nią nie spojrzysz!

- Dobranoc, panie Thunder.

Kipiąc z gniewu, patrzyła, jak ponownie sięga do klamki, a potem zamyka za sobą drzwi.

## Rozdział 23

Gdy tylko wyszedł, zerwała z siebie peniuar, zmięła go i cisnęła na podłogę. Zamierzała go jeszcze podeptać. Ten podły, nędzny ...

- Do diabła, kiedy zamierzasz zamknąć na klucz te przeklęte ... drzwi? - warknął na nią Colt, stając w owych "przeklętych drzwiach". Jocelyn nie odpowiedziała. Zachłysnęła się powietrzem, zaskoczona jego niespodziewanym wtargnięciem, a kiedy skrzyżowały się ich spojrzenia, tak zaparło jej dech w piersiach, że nie mogła wykrztusić słowa.

Najwyraźniej Colt miał ten sam problem, bo również oniemiał. Z jedną ręką zaciśniętą na klamce, a drugą opartą o framugę, pochylił się, aby zajrzeć w głąb pokoju, i zastygł w tej pozycji, kiedy ją zobaczył. Pochłaniał ją wzrokiem od płomiennorudych, teraz wzburzonych włosów aż po czubki palców widoczne spod rąbka zielonego, opływającego ciała negligiu. A co kryło się pod tą połyskliwą materią? Boże wielki! Dziw, że od tego widoku jeszcze nie zamienił się w popiół.

- Często ... zastanawiałem się ... w czym śpisz.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, nawet gdyby była w stanie. Stopniowo powracał jej oddech. Ale nie miała siły ani się odezwać, ani poruszyć się ze strachu, że gdyby uczyniła choć krok, nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa. Nie tylko to napawało ją lękiem. Jego oczy, zazwyczaj spokojne i nieodgadnione, płonęły takim blaskiem, że parzył ją spojrzeniem, co podniecało, ale zarazem przerażało. Nie potrafiła wyzbyć się tego strachu, bo przypomniawszy sobie tamte momenty, kiedy obszedł się z nią brutalnie, a przecież i w tej chwili w wyrazie jego twarzy nie było ani śladu czułości.

Nie odrywając od niej wzroku, wsunął się do pokoju, zamknął za sobą drzwi i natychmiast przekręcił klucz w zamku.

Gdyby miała jeszcze chociaż cień wątpliwości, ten gest utwierdziłby ją, że czekanie dobiegło końca. Ale ona już wcześniej wiedziała. Weźmie ją. Teraz nie mogłaby mu się oprzeć, nawet gdyby chciała. Lecz ona wcale nie chciała. Pragnęła go mimo strachu, wbrew świadomości, że nie znajdzie w nim czulego kochanka. Dlaczego nie zmieni decyzji i nie ucieknie przez okno, dopóki nie jest za późno? Ponieważ wie, że właśnie on ma być tym pierwszym, bo nie wyobraża sobie, aby pozwoliła któremukolwiek innemu mężczyźnie na to, na co za chwilę jemu pozwoli.

Wzbierające w niej podniecenie i nerwowa determinacja nie były tak oczywiste jak strach, o którym mówiła Coltowi jej zastygła poza i szeroko rozwarte oczy. W prymitywny sposób ów jej lęk jeszcze bardziej rozpałał jego zmysły. Na szczęście resztką świadomości podpowiadała mu, że znalazł się tutaj wbrew jej woli i że jeśli go potem zlinczują, może mieć pretensję wyłącznie do siebie o własną słabość. Okazałby się prawdziwym draniem, gdyby użył teraz tej samej taktyki jak wtedy, gdy usiłował ją przestraszyć. Przegrał tamtą bitwę i nie pragnął następnej. Natomiast pragnął zachować się wobec niej uczciwie, szczególnie że sama i pozbawiona pomocy z zewnątrz nie miała możliwości się przed nim obronić. Więc zmagając się z żądzą, postanowił dać jej wybór, zanim do reszty straci kontrolę nad sobą.

- Krzycz, duchess, dopóki masz taką możliwość. Bo potem będzie za późno.

Po co to powiedział? - pomyślała. Jego słowa zabrzmiały tak złowieszczo, jakby miał zamiar targnąć się na nią. Czyżby błędnie odczytała jego zamiary?

- Dla ... czego?

Głos Jocelyn podziałał na niego jak magnes.

- Bo zamierzam rzucić cię na to łóżko i posiąść - oznajmił z brutalną szczerością, zbliżając się do niej.

Boże, miała taką nadzieję. Już od samych jego słów krew burzyła się w żyłach, a serce trzepotało o żebra. Nie ma zamiaru krzyczeć. Jęczeć - być może. Właściwie już wzbierał w niej jęk, ale go

stłumiła w obawie, że Colt źle go zinterpretuje i zatrzyma się w pół drogi.

Nie zatrzymał się. Ujął jej głowę, wplatając palce we włosy, i przechylił, udaremniając ucieczkę przed swymi wargami. Tak jak tego się obawiała, boleśnie miażdżył jej usta tym zawziętym pocałunkiem, przepelnionym długo wstrzymywanym pragnieniem i gniewem.

Jocelyn rozumiała targające nim emocje, a przynajmniej tak jej się zdawało. O ile Vanessa trafnie przewidywała, Colt prawdopodobnie był zły na nią, bo przełamała jego opór i wściekły na siebie, że do tego dopuścił. Mogła okiełznać jego gniew, zanim wymknie się spod kontroli.

Zaczęła go z całej siły odpychać, dopóki nie uniósł głowy.

Opuścił nawet jedną rękę, pozwalając jej nieco się odsunąć. Lecz nie za daleko, bo drugą ręką nadal trzymał jej włosy. Przeczuwała, że lada chwila przyciągnie ją z powrotem, ponieważ dawał im obojgu tylko szansę na zaczerpnięcie powietrza.

Jej spazmatyczny oddech, zamiast się wyrównać, coraz bardziej się rwał, kiedy patrzyła, jak chłonie wzrokiem jej ciało. Chciała coś powiedzieć, żeby przerwać narastające napięcie, lecz odgadł jej zamiar i powstrzymał ją, ani na chwilę nie odrywając od niej oczu.

- Nie teraz, duchess - w jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie. - Dałem ci szansę.

Przełknęła głośno ślinę.

- W takim razie mów mi Jocelyn - wydobyła z siebie z trudem.

Teraz już wiedział, że jest mu przychylna. Spojrzał jej w twarz, by tam szukać potwierdzenia. W jej oczach nie widział strachu, przerażenia ani odrazy, a jedynie niepewność i budzące się pragnienie. Ta świadomość rozpałała go jak whisky wylana w ogień. Z gardłowym pomrukiem przyciągnął ją do siebie i drżącą dłonią dotknął policzka, pogładził po szyi i zatrzymał ją na piersi unoszonej raptownym biciem serca.

Jocelyn, nabrawszy pewności, że nic złego jej nie grozi, wydała z siebie ciche westchnienie ulgi. Uniosła ku niemu głowę, a on zawładnął jej ustami w wyrafinowanym pocałunku, który nie budził lęku ani nie sprawiał bólu, a jedynie potęgował jej podniecenie. A jednak gdy przyłgnęła do niego, chcąc opasać go ramionami, wyczuła, że choć nie było już w nim dzikości, pozostała niecierpliwość.

Pragnął wszystkiego naraz - patrzeć na nią, dotykać jej, kosztować jej smak. Tęsknił, aby ją wziąć. A jednocześnie nie potrafił oderwać się od jej ust. Więc trwając w pocałunku, badającym dotyk i smak jej ust, wsunął kciuki w dekolt negliżu i gładząc jej ramiona, zsunął śliską szatkę do tali. Odchylił się, by spojrzeć na nią, a to, co zobaczył, jeszcze spotęgowało jego niecierpliwość. Drobne, krągłe piersi o sterczących sutkach. A przecież nawet ich jeszcze nie dotknął.

Zdumiony spojrział jej w twarz. Niepewność gdzieś znikła.

W jej oczach czytał wyłącznie pożądanie.

- Ty mnie chcesz - stwierdził z zachwytem, i dopiero kiedy usłyszał jej ciche "tak" i poczuł na piersi dotyk palców szukających guzików koszuli, uświadomił sobie, że wymówił te słowa na głos.

Jego dłonie zbłądziły na talię Jocelyn. Próba wyłuskania jej z negliżu przyniosła równie słaby skutek jak jej zmagania z koszulą. Jedwab owinął się wokół bioder, a Jocelyn była zbyt pochłonięta swym zajęciem, żeby służyć mu pomocą.

- Z tyłu są szarfy - odpowiedziała.

- Zależy ci?

- Nie.

Szarpnięciem uwolnił ją z negliżu, jedwabna materia opadła wokół jej stóp. Odsunął się, by zdzierając z siebie ubranie, móc patrzeć na nią, przez co jego ruchy nabrały niezwyklej zwinności i tempa.

Ona też pragnęła patrzeć na niego, chłonąć każdy szczegół ciała, które tyle razy widziała w swych fantazjach. Dzieląca ich przestrzeń była tak mała, że niespodziewanie ogarnęło ją

onieśmienie i speszyła świadomość braku doświadczenia. Nie wiedziała, czego w takiej chwili może od niej oczekiwać, jeśli w ogóle czegoś oczekuje. Czy patrząc na niego, zachowuje się niegrzecznie? Czy powinna go rozebrać, tak jak on ją? A może raczej powinna położyć się na łóżku i tam go oczekiwać? Ogarnęły ją zażenowanie, gdyby musiał jej mówić, co ma robić.

Niepewnie skierowała się w stronę łoża, lecz zatrzymał ją jego chrapliwy szept.

- Sam chcę cię położyć. Tak jak powiedziałem.

Przywołała jego słowa i na ich wspomnienie zmiękły jej nogi w kolanach. Z zadowoleniem oddała się studiowaniu jego ciała, chcąc zaspokoić ciekawość, licząc, że podejrzy pewien szczegół męskiej anatomii, który budził jej największe zainteresowanie.

Vanessa udzieliła jej pewnych wyjaśnień, zrobiła nawet takie zabawne szkice, ale to chyba nie mogło tak wyglądać? A może? Te myśli wprawiły jej zmysły w opętańczy płas, więc lepiej, jeżeli szybko je odpędzi, zanim zrobi coś naprawdę niemądrego, na przykład rzuci się na niego.

Dopiero teraz, gdy na podłogę spadały kolejne części garderoby, zauważyła, że dziś był ubrany zwyczajnie - w ciemną koszulę i takie same spodnie. Z kowbojskim pasem i chustką na szyi, którą właśnie przeciął, zamiast rozwiązać, wyglądał jak typowy mieszkaniec Dzikiego Zachodu. Brakowało mu jedynie ostróg przy butach, no i nie miał kapelusza. Teraz dostrzegła dwa cienkie warkoczyki splecione przy skroniach. W słabym świetle lampy nie odcinały się od rozpuszczonych włosów.

Billy wspominał o tym dziwactwie swego brata, że zawsze nosi się tak, aby rozwiać wszelkie wątpliwości co do swego pochodzenia. Nie wyjaśnił, dlaczego Colt tak postępuje, lecz ona podejrzewała, że to raczej musi mieć jakiś związek z rozgoryczeniem, które od pierwszej chwili w nim wyczuwała, niż z dumą-ze swego dziedzictwa. Żałowała, że nie zna przyczyny tej goryczy, i z zaskoczeniem stwierdziła, że chciałaby uwolnić go od niej i widzieć go szczęśliwym. Tak pochłonęły ją te myśli, że przeoczyła moment jego pełnej nagości. Zdała sobie z tego sprawę, gdy porwał ją na ręce.

- Poczekaj! - wyrwało się jej bezwiednie.

- Co takiego? - zapytał ochryple.

Idiotko! Przecież mu nie powiesz, że chcesz zobaczyć jego ..

- Już nic.

- To dobrze, bo już dłużej nie mogę czekać.

Zaniósł ją na łożo, położył i opadł na nią. Zanim miała czas przywyknąć do jego ciężaru, nogami rozsunął jej kolana. Zszokowała ją świadomość, że on naprawdę nie ma zamiaru czekać ani minuty dłużej. Czują go, to już się miało stać.

Próbowała go powstrzymać, odepchnąć, ale pochwycił ją za ręce i przytrzymał, co wprawiło ją w jeszcze większe przerażenie, dopóki głębokim pocałunkiem świadczącym o mocy pożądania nie rozwał jej oporu.

Zahipnotyzowana jego żarliwym spojrzeniem, poczuła, że spróbował w nią wnikać, dopiero kiedy się wycofał i ponowił próbę.

- Chryste, ależ ty jesteś ciasna! - syknął przez zęby, jakby z bólu. - Myślałem, że mógłbym pozostać w tobie do końca moich dni, ale teraz za bardzo cię pragnę. Otwórz się dla mnie, duchess, zanim eksploduję.

Powiedział to, muskając wargami jej usta, i chociaż nazwał ją księżną, tym razem zabrzmiało to pieszczotliwie. Odpowiedziała jękiem na jego gardłowy pomruk, kiedy spełniła jego prośbę. Posunął się trochę, lecz wciąż za mało. Z drżenia jego napiętych mięśni odgadywała, ile go musi kosztować ta powściągana ze względu na nią gwałtowność.

- To będzie ostra jazda. Wytrzymasz?

Była jak zahipnotyzowana pod jego płonącym wzrokiem. Przełknęła nerwowo ślinę, ale kiwnęła głową. W odpowiedzi spotkał ją uśmiech pełen samczego zadowolenia.

- Tak myślałem - powiedział zdławionym głosem. - To ponad trzy lata, prawda?

Wiedziała, o co pyta. Mężczyźni, których awanse odrzucała, niezmiennie uważali, że jako wdowa powinna być "wyposzczona". Colt już wkrótce pozna odpowiedź.

- Nie moja sprawa, tak? - Nie dał jej szansy na odpowiedź. - Mniejsza z tym. Nie chcę wiedzieć.

Nie dosłyszała szorstkiej nuty w jego głosie, nie mogła wiedzieć, że myśl o niej z innym mężczyzną odebrała mu chęć do panowania nad sobą. Zamknął oczy i wbił się w nią. Usłyszał jej głośne westchnienie i zamarł, gdy poczuł, jaką przeszkodę pokonał.

Jocelyn zastygła w oczekiwaniu na nieuniknione pytania.

Nie padły. Zamiast tego po długiej, pełnej napięcia chwili zaczął ją znowu całować, otworzył językiem jej wargi, smakował wewnątrz ust, przyprawiając ją o dreszcz rozkoszy. A jego dłonie pieściły ją tak delikatnie, że aż bliska była płaczu.

Muskał policzek, szyję i piersi ledwo wyczuwalnymi dotknięciami, a potem odbył tę samą drogę wargami i drażnił językiem sutki. Oblała ją fala gorąca. Gdy zamknął na sutku usta, jęknęła z rozkoszy.

Łzy zakręciły się w jej oczach, przycisnęła do piersi jego głowę. Była hołubiona, jedyna, piękna i godna pożądania. Wśród tych wyrafinowanych, niekończących się pieszczot czuła go w sobie; nieruchomego, cierpliwego, pulsującego z pożądania, które za wszelką cenę pragnęła zaspokoić.

Nie było bólu, kiedy zaczął się w niej poruszać. Ból wcześniej znieczulił tamten oszałamiający pocałunek. Namietność wzbierała w niej, rozpalala się jak ogień. Zatracona w rozkoszy, ledwo słyszała, kiedy wydał z siebie jęk spełnienia, i zasnęła, zanim jej ciałem wstrząsnął ostatni dreszcz.

## Rozdział 24

- Jego siostra, Maura, jest naprawdę urocza - stwierdziła Vanessa, odkładając zielony atłasek i sięgając po czerwony do haftu, nad którym właśnie pracowała. - Sądzę, że ją polubisz. Jest mniej więcej w twoim wieku i wręcz marzy, żeby przejrzeć żurnale, które przywiozłyśmy z Nowego Jorku. Czy wspominałam ci, skąd oni pochodzą? Nawet znają Charlesa, a w każdym razie słyszeli o Abingtonach.

- Jesteś pewna, że z Robbiem wszystko w porządku?

Nie podnosząc głowy znad robótki, Vanessa zerknęła dyskretnie na Jocelyn i w zamyśleniu ściągnęła brwi. Już dwukrotnie padło to pytanie i za każdym razem dostała na nie odpowiedź.

- W przeciwieństwie do brata pannie nieco brakuje ogłady.

- To miłe.

Hrabina westchnęła z rezygnacją i upuściła tamborek na kolana.

- Jocelyn, czy dotarło do ciebie chociaż jedno słowo z tego, co powiedziałam? Jocelyn? He-ej, Jo-ce-Iyn? - wyskandowała śpiewnie.

- Mówiłaś coś do mnie, Vana? - Jocelyn odwróciła się od okna, w które wpatrywała się od dobrej godziny.

- Opowiadałam ci o Drydenach - wyjaśniła hrabina, siłąc się na spokój.

- O kim?

- Jocelyn Fleming! Jesteś dziś rozkojarzona, a powinnaś promieniować szczęściem. Co się z tobą dzieje?

Jocelyn znowu zerknęła za okno, ignorując wyrzut w pytaniu Vanessy. Rzeczywiście, co się z nią dzieje? Dlaczego nie może oderwać myśli od ostatniej nocy i czemu ciągle się zastanawia, gdzie podziewa się Colt? Znowu nigdzie nie można go znaleźć. Przed świtem zmienił go zastępca Robbiego, tak ją przynajmniej poinformowano. W takim razie to on czuwał nad nią przez resztę nocy. Ale gdzie? W jej pokoju czy przed jej drzwiami?

Kiedy się obudziła, już go nie było, jedynie dwa długie, czarne włosy na poduszce świadczyły o tym, że naprawdę tu był. Hmm, miała jeszcze jeden dowód - smugi zaschniętej krwi na udach. Kiedy wyszedł? Dlaczego zniknął bez jednego słowa?

Zaniepokojona Vanessa zajrzała do niej z samego rana, potem gdy dwóch przerażonych rabusiów odstawiono do szeryfa. Zażądała od Jocelyn szczegółowej relacji z jej nocnej przygody ze skakaniem przez okno, a także z późniejszych wydarzeń. Ulżyło jej ogromnie, kiedy się dowiedziała, że mimo wszystko zamiar ich dwojga się powiodł.

- Więc nie ma potrzeby jechać do Wyoming ani korzystać dłużej z usług pana Thundera, prawda? Na myśl o pustce, jaka by po nim została, Jocelyn zapewniła ją skwapliwie, że dalsza obecność Colta jest nieodzowna, chociażby dla zapewnienia jej bezpieczeństwa. Bo czyż mało to razy przyszedł jej na ratunek? W dodatku zgubił Długonosego. A na koniec oznajmiła, że właśnie w Wyoming zamierza założyć swoją stadninę ogierów.

Vanessa przezornie wstrzymała się od komentarzy, chociaż Jocelyn wyczuwała jej dezaprobatę. Rozumiała ją, wiedząc, że obawia się, iż ona może zanadto przywiązać się do Colta, a to byłoby wielce niewłaściwe.

Ten pierwszy mężczyzna zajmuje szczególne miejsce - uprzedzała ją Vanessa parę miesięcy wcześniej, kiedy zdecydowały, że powinna sobie znaleźć kochanka. Należy jedynie pamiętać, że on jest po prostu pierwszy, aby nie wziąć za miłość czegoś, co jest zwykłym zadurzeniem.

Wspominając tamte słowa, Jocelyn usiłowała analizować, co właściwie czuje. Dominowało wrażenie zagubienia, niepokój wiążący się z następnym spotkaniem z Coltem, a przede wszystkim zdumienie, że kochanie się jest czymś o wiele przyjemniejszym, niż się spodziewała.

Obejrzała się przez ramię na przyjaciółkę:



- Przepraszam, Vana, Ale to było coś ... to było .. - szukała odpowiednich słów.
- Wiem, wiem - prychnęła Vanessa, wchodząc jej w słowo. - To było tak cudowne, że nie potrafisz opisać.
- Bo było - nadąsała się Jocelyn.
- W takim razie jesteśmy winne naszemu przewodnikowi dozgonną wdzięczność, prawda? - Vanessa przybrała jeden ze swych najbardziej cierpkich tonów. - Szczególnie, że z kimś o tak nieprzewidywalnym temperamencie sprawy mogły przybrać zupełnie inny obrót, co nadal niewykluczone, jeżeli nie przestaniesz go kokietować. - Jej głos złagodniał, była wyraźnie zatroskana. - Moja droga, to, co z nim przeżyłaś, możesz mieć z każdym innym mężczyzną. Lepiej by było, a także i bezpieczniej, nie mówiąc już o tym, że czułabym się znacznie spokojniejsza, gdyby twój wybranek nie miał tak burzliwej natury. Więc uważam, że powinnaś szybko znaleźć sobie kogoś nowego i sprawdzić moje słowa, zanim ten pierwszy stanie się dzięki twojej wyobraźni kimś, kim w rzeczywistości nie jest.
- Jocelyn zazwyczaj nadstawiała uszu dla rad Vanessy, ale ta była nieprzydatna. Szukała kochanka wyłącznie w jednym celu i już go odnalazła. Nie potrzebuje kolejnego mężczyzny do swego łóżka, nawet nie chce Colta. Vanessa zanadto się przejęła. Lecz nie ma co jej tego mówić, bo i tak nie uwierzy.
- Wspominałaś o jakichś Bradenach? - uprzejmie, aczkolwiek stanowczo zmieniła temat.
- Drydenach - poprawiła Vanessa, pojmując w lot jej zamiar. - Mówiłam ci, że rano spotkałam tę parę w holu przy recepcji. - Bardzo interesujące rodzeństwo. Można by ich określić jako zubożałą arystokrację w amerykańskim wydaniu. Powiem ci, że w porównaniu z przeciwnościami losu, jakie ich spotykają od śmierci ich rodziców, mamy szczęście, że musimy się jedynie przejmować tropiącym nas zabójcą.
- Vana, to nie jest zabawne.
- Nie jest. Wiem. Ale bardzo mi ich żal.
- Opowiedzieli ci historię życia, stojąc w holu?
- Dokładniej: siedząc. I to - jak podejrzewam - opowiedzieli w wielkim skrócie. Kilka chybionych inwestycji i majątek się rozplątał, coś mniej więcej w tym stylu. Postanowili zabrać, co jeszcze im zostało, i zacząć życie na nowo tutaj, na Zachodzie. O ile się nie mylę, Miles wspominał o zakupie rancza.
- Miles? Rozumiem, że masz na 'myśli pana Drydena? Mówisz o nim Miles po zaledwie jednym spotkaniu, natomiast Colta uparcie nazywasz panem Thunderem?
- Nie zmieniaj tematu, moja droga - odparła zupełnie niezmiészana. - Jak już wspominałam, mieli pecha, bo w Nowym Meksyku jakieś zbiry, czyli jak to się tutaj mówi "wyjęci spod prawa", napadli na ich dylizans i doszczętnie obrabowali, a jednego pasażera nawet zabili. I wyobraź sobie, że jeszcze tego samego dnia dylizans wpadł w zasadzkę zastawioną przez Indian. Oboje zostaliby oskalpowani ...
- Oskalpowani?
- To zdaje się coś nieprzyjemnego, co robią Indianie, ale zjawiała się kawaleria, która ścigała tych Indian, no i uratowała Drydenów. W każdym razie stracili serce do pomysłu osiedlenia się w tej części kraju, a jednocześnie bali się kolejnych podróży powozem, więc utknęli tutaj. Naturalnie, poczułam się zobowiązana zaproponować im, by do nas dołączyli.
- Sądzisz, że to rozsądne? Nic o tych ludziach nie wiemy poza tym, co sami powiedzieli. Brat może być ...
- Niech ci się wydaje, że tracę rozum na stare lata - oburzyła się Vanessa. - Sir Parker sprawdził ich historię i wszystko się zgadza. Od trzech miesięcy mieszkają w tym hotelu. A Miles Dryden ma siostrę, moja droga. Siostrę! Przecież Długonosy nie ciągałby siostry ze sobą, prawda?
- Nie chciałam powiedzieć, że on sam jest Długonosym, tylko że mógł zostać wynajęty ... ach,

zresztą mniejsza o to. - Jocelyn spojrzała czujnie na Vanessę. - Czy ten Miles przypadkiem nie jest przystojny?

- Nie patrz tak na mnie. Trzeba przyznać, że rzuca się w oczy. Ale to wcale nie znaczy, że chcę przy jego pomocy odwrócić twoją uwagę od tego mieszańca.

- Nie, oczywiście, że nie - odparła z rozdrażnieniem Jocelyn, bo motywy działania Vanessy były aż nadto oczywiste.

Vanessa, podobnie jak: ona, nie potrafiła udawać, więc zawsze ją przejrzała. Należało jej wreszcie powiedzieć, że niepotrzebne te wszystkie machinacje, lecz oby tylko Vanessa jej uwierzyła. - Vana, nie zamierzam powtórzyć zeszłej nocy.

- Czy on o tym wie?

- On właściwie został zgwałcony ...

- Co?!

Jocelyn lekceważąco machnęła ręką.

- Zasadniczo nie ma różnicy. Miałam go zmusić, tak? Uwieść? Sprowokować, żeby stracił panowanie nad sobą tak, by górę wzięły zmysły i nie miał siły stawiać oporu? Zdajesz się zapominać, że to on stronił ode mnie i że to ja go goniłam, a nie on mnie. Więc on także nie będzie miał ochoty powtórzyć tej nocy. Prawdę mówiąc, zdziwiłabym się ogromnie, gdyby nie chodził dzisiaj wściekły, przysięgając sobie, że nie dopuści, aby tamta sytuacja się powtórzyła.

- Moja droga, trudno to przewidzieć, kości zostały rzucone. Jak raz się zakosztuje zakazanego owocu, ma się ochotę na więcej, zanim przyjdą myśli o pokucie.

- Wątpię, czy to akurat dotyczy Colta. Poza tym powiedziałam już, że nie mam zamiaru pozwolić sobie na więcej. Mój problem zniknął. Nie potrzebuję kochanka.

I to mówi kobieta, która parę godzin temu przeżywała miłosne uniesienia - pomyślała Vanessa. Lecz nie wspomniała Jocelyn, że prędzej czy później będzie go "potrzebować", bo jeśli się raz zakosztuje cielesnych rozkoszy, to potem ciało samo zaczyna się ich domagać.

- Moja droga, lecz jeśli on ciebie zechce, obawiam się, że niewiele będziesz miała do powiedzenia - ostrzegła ją jedynie.

Na tę przepowiednię żołądek Jocelyn zareagował lekkim drżeniem.

- A więc dopilnuję, by więcej nie znaleźć się z nim sam na sam - odrzekła, tłumiąc niepokój. - Możesz przestać się martwić ...

- Madame! - podniecona Babette bez pukania wtargnęła do pokoju. - Alonzo kazał mi powiedzieć, że monsieur Thunder będzie się pojedykował na ulicy! On mówi, że pani zapewne wolałaby o tym wiedzieć.

- Będzie co?

Vanessa syknęła przez zęby.

- Zdaje się, że ona ma na myśli to, co modystka w Tombstone nazwała strzelaniną. Pamiętaj, byliśmy świadkami ... Jocelyn, ani mi się waź!

Lecz księżna już zdążyła wybiec z pokoju.

## Rozdział 25

Stojąc przy barze, Colt wysączył resztkę whisky ze szklanki i nalał kolejną porcję z butelki, którą wcześniej niemal wyrwał barmanowi z ręki. To był trzeci saloon, który odwiedzał, odkąd rano opuścił hotel, i na dobrą sprawę powinien być już porządnie zamroczony. Niestety, nie był. Palący wewnętrzności gniew neutralizował działanie alkoholu.

Chęć wywołania awantury również ma wpływ na utrzymanie trzeźwości, a nie mógł zaprzeczyć, że od rana szukał zaczepki. W pierwszych dwóch saloonach spotkał się jedynie z niechętnymi spojrzeniami. Dopiero tutaj trafiła się okazja, chociaż nie do końca taka, jakiej potrzebował. Miał ochotę pogruchotać przeciwnikowi kości, a nie naszpikować go ołowiem. Ot, parszywe szczęście Colta - obraźliwe uwagi pod jego adresem padły z ust młodzika, który chełpił się, że jest szybkim strzelcem. Był nim czy nie, i tak go najpewniej dostanie. Bardziej niebezpieczni zazwyczaj byli ci, co siedzieli cicho, niż zawadiaki robiące wokół siebie dużo szumu.

Już byłoby po wszystkim, gdyby nie opór barmana, który machając pistoletem, kazał im rozstrzygnąć spór na zewnątrz.

Colt oświadczył, że najpierw zamierza dokończyć drinka, natomiast Riley, jak wołali na niego kompani, wspaniałomyślnie zgodził się zaczekać na dworze, gdy Colt przyjął jego wyzwanie.

Młodzik był tak zwanym zawodowcem. Jeszcze mleko pod nosem, a już chętny do mokrej roboty. Pracował dla właściciela miejscowej kopalni, który miał wcześniej pewne kłopoty z ludźmi uzurpującymi sobie do niej prawo. Nie minęło pół roku od jego przyjazdu do miasteczka, a już zdążył położyć trupem dwóch ludzi, kilku innych zmasakrować kolbą rewolweru i wzbudzić ogólny respekt. Wieść głosiła, że właściciel kopalni chętnie by się go pozbył, kiedy przestał mu być przydatny, tylko nie wiedział, jak to zrobić.

Colt wyłowił te informacje z urywków przyciszonych rozmów, które toczyły się za jego plecami. Usłyszał też sporo wrogich komentarzy pod swoim adresem, ale to nic nowego. Znał już na pamięć te wszystkie wyzwiska, więc tylko w szczególnie podłym nastroju brał sobie do serca zniewagi, które cisnęły się na usta białym, gdy w ich pobliżu pojawiał się Indianin.

Dzisiaj wręcz na nie czekał. Był w zdecydowanie podłym nastroju. Ale ludzie tutaj, tak daleko na południu, nie bardzo wiedzieli, co o nim myśleć. Brali go za mieszańca, a z drugiej strony onieśmiał ich jego wzrost, butna postawa i kolt w kaburze na biodrze. Takie rzeczy każą człowiekowi dwa razy się zastanowić, nim otworzy usta - no, chyba, że jest się bezmyślnym młodzikiem, któremu parę wygranych pojedynków uderzyło do głowy.

Colt od mniej więcej dziesięciu minut trzymał swego przeciwnika na dworze. Bywalcy saloonu popatrywali na Colta z coraz mniejszą obawą.

- Na co czekasz, kundlu?! - wrzasnął Riley. - A może twoja czerwona skóra żółkła ze strachu?

Zawtórowały mu stłumione parsknięcia. Dwaj kowboje, kompani Rileya, którzy wcześniej go podjudzali, a potem wyszli za nim na zewnątrz, wybuchnęli gromkim śmiechem.

Barman, wycierając powoli szklankę brudną szmatą, skrzyżował spojrzenie z Coltem. W jego zaczerwienionych oczach malowała się pogarda, pomieszana z ironią. Nie taił, po czyjej jest stronie. Był pewien, że Colta obleciał strach i jeszcze chwila, a zacznie błagać, aby go wypuścić tylnym wyjściem. Według niego żaden mieszaniec nie ma odwagi stanąć do otwartej walki, to nie ich styl. Oni potrafią tylko wbijać nóż w plecy, atakując z ukrycia.

Niech mu będzie. Co, do diabła, jego, Colta, obchodzi, co myśli jakiś tam barman albo którykolwiek z tych łapserdaków? Oni wszyscy czekali na jego śmierć, mieli nadzieję zobaczyć, jak umiera. Być może zgodnie nienawidzą i boją się pyszałkowego Rileya, ale dziś okrzykną go bohaterem, jeśli zastrzeli bezczelnego Metysa.

Colt wysączył ostatnią kroplę whisky i rzucił szklankę barmanowi. Ten, nieprzygotowany, chcąc ją pochwycić, upuścił tamtą, którą wycierał. Colt wstał zza baru, z satysfakcją przyjmując dźwięk

tłukącego się szkła i przekleństwa barmana. Zastukały odsuwane krzesła, gdy klienci saloonu zerwali się z miejsc i ruszyli za nim, i zaszurały buty, kiedy zahamowali nagle, bo Colt zatrzymał się tuż za drzwiami, rozglądając się za swoim przeciwnikiem.

Riley wraz ze swymi dwoma kompanami stał w cieniu po drugiej stronie ulicy, niedbale oparty o koniowiąż. Na obu chodnikach gromadzili się gapie, zwabieni jego wcześniejszymi obelgami. Zauważył Colta, dopiero gdy jeden z jego towarzyszy pociągnął go za rękaw. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i prostując się, rzucił jakąś uwagę, która rozbawiła kompanów. A potem pewnym siebie, powolnym krokiem wyszedł na środek ulicy.

Colt z odrazą zacisnął szczęki, aż zadrżały mu mięśnie żuchwy. Zastanawiał się, czy ci dobrzy ludzie wokół będą domagać się linczu, jeśli przypadkiem zabije tego dupka, ich ziomka. Prawdopodobnie tak. Nieważne, że walka jest uczciwa; biali nie lubią, kiedy ich człowiek przegrywa z mieszkańcem.

W tej chwili nie bardzo się tym przejmował. Nie zamierzał zabić smarkacza, ponieważ nie widział w nim godnego przeciwnika. Nie zasługiwał na taki zaszczyt. Naturalnie, jeśli ten zarozumiał się pętać sam wepchnie się pod jego kule ...

Colt zsunął kapelusz z czoła, pozwalając mu zawisnąć na plecach. Raz w życiu rondo kapelusza na skutek podmuchu wiatru zasłoniło mu oczy w bardzo nieodpowiednim momencie. Byłoby po nim, gdyby przeciwnik nie okazał się wyjątkowo marnym strzelcem.

- No, na co czekasz?! - zawołał zniecierpliwiony Riley ze swego miejsca na środku ulicy.

- Tak ci śpieszno umrzeć?

Riley uznał to za dobry żart. Podobnie jak jego kompani, a także część gapiów.

- Czyżbyś nie zauważył, że zapomniałeś łuku i strzał? Riley związał się ze śmiechu, rozbawiony własnym żartem.

Po obu stronach ulicy ludziska klepali się po plecach, ocierali łzy z oczu i zapanowała ogólna wesołość - jeden tylko Hiszpan był poważny.

Wychodząc na ulicę, Colt dostrzegł Alonza i stojącego przy nim Szkota. A więc jej ludzie też tu byli. Bez różnicy. Tacy sami gapie jak cała reszta. Przebiegł wzrokiem po gawiedzi i wtedy zauważył Jocelyn. Biegła, kierując się do Alonza. Trudno byłoby przeoczyć tę burzę rudych włosów.

Cholera! Teraz dopiero rozżołościł się na dobre, wściekł się do granic możliwości! Ciekawe, komu zawdzięcza jej obecność? Kiedy zatrzymała się przy Hiszpanie, nie miał najmniejszych wątpliwości. Posłał śniademu kucharzowi spojrzenie obiecujące zemstę, a on, choć odczytał je zgodnie z intencją, w odpowiedzi jedynie wzruszył ramionami.

Nie ma mowy, by mógł teraz spojrzeć na księżną, więc skupił całą uwagę na Rileyu. Znikła gdzieś obojętność, ledwo trzymał gniew w ryzach. Jeśli ona spróbuje interweniować ...

Jocelyn właśnie zamierzała to zrobić. Ogarnąwszy jednym spojrzeniem sytuację, zrozumiała, że ci dwaj mężczyźni za chwilę zaczną do siebie strzelać. Nie mogła na to pozwolić. Znała już umiejętności Colta, ale co będzie, jeśli ten drugi okaże się równie dobrym strzelcem? Nie mogła dopuścić do tak ryzykownej sytuacji.

Lecz kiedy uniosła spódnicę i zamierzała wybiec na ulicę, Alonzo przytrzymał ją za ramię.

- Pani, jeśli teraz go rozproszysz, zginie - wyszeptał tuż przy jej uchu. - W tej samej chwili, gdy spojrzy na ciebie, a na pewno to zrobi, Riley wyciągnie broń. Gdybyś przyszła wcześniej, mogłabyś go powstrzymać, teraz już za późno.

- Ale ... - nie do końca przekonana przygryzła usta, patrząc na Colta. Ma stać beczynnym, kiedy mogą go zranić albo jeszcze gorzej?

Lecz rzeczywiście było za późno na jakikolwiek ruch. Dokładnie w chwili, gdy przeniosła spojrzenie na jego przeciwnika, chcąc sprawdzić jego gotowość, tamten sięgał po broń.

Wszystko wydarzyło się tak błyskawicznie, że widzowie chórem wydali z siebie pełne podziwu

westchnienie. Colt już mierzył w Rileyę, a on tymczasem nie zdążył nawet wyciągnąć rewolweru z kabury i z ręką zaciśniętą na kolbie wytrzeszczał oczy, niezdolny uczynić najmniejszego ruchu. Wydawał się przerażony. Najwyraźniej nie był pewien, jak powinien postąpić. Poddać się czy podjąć walkę. Cisza rewolweru Colta zupełnie zbiła go z tropu.

Colt nie czekał, aż się zdecyduje. Powoli, długimi, starannie odmierzonymi krokami zbliżył się do Rileyę i przytknął lufę swego kolta do jego trzęsącego się brzucha. Złany potem Riley nie miał odwagi zerknąć w dół, by czasem nie zobaczyć, że Colt odwodzi kurek; szczerze mówiąc, bał się zerknąć gdziekolwiek, unieruchomiony twardym spojrzeniem niebieskich oczu, które ani na moment się od niego nie odrywały.

Colt wyczuwał jego strach, widział przerażenie, lecz w tej chwili nie miał dla niego krzty litości.

- Spróbowaliśmy na twój sposób, ty wyszczekany skurwysynu - wysyczał tak, by tylko on go słyszał. - A teraz będziesz tańczył, jak ci zagram ...

Cofnął rękę z rewolwerem, zamachnął się i na odlew trzasnął Rileyę kolbą w twarz. Młodzik zatoczył się, a kiedy dotknął policzka, krew poplamiła dłoń. Nic nie rozumiał. Colt schował rewolwer i czekał, zginając i prostując palce, a on nadal niczego nie rozumiał.

Kompani Rileyę też nie potrafili odgadnąć jego intencji, lecz wykazali większe zdecydowanie. Jeden z nich sięgnął do broni. W tej samej chwili Alonzo wyciągnął nóż, a Robbie wysunął się krok do przodu. Lecz Colt nie potrzebował pomocy i nawet nie zauważył, że zamierzają go wesprzeć. Przez cały czas miał koleżków Rileyę na oku, więc błyskawicznie wyciągnął rewolwer jeszcze raz.

Tym razem padł strzał. Kula szczęknęła o metal. Kowboj z okrzykiem bólu wypuścił rewolwer ze zdrętwiałych palców. Drugi z kompanów wycofał się z rękami uniesionymi nad głową. Nie miał zamiaru samotnie przeciw niemu stanąć.

Colt ponownie wsunął rewolwer do kabury i wbił wzrok w Rileyę, który nie śmiał drgnąć, nawet kiedy Colt zajął się jego towarzyszem.

- No chodź, nie będę tracił całego dnia!

- Ch-o-dź ... Do-ką-d?

- No, dalej. Przecież chciałeś mnie wdeptać w ziemię.

Riley cofnął się o krok z przerażeniem w oczach.

- Znaczy mam z tobą walczyć? Przecież jesteś wyższy ode mnie.

- Mój wzrost jakoś ci nie przeszkadzał mnie lżyć.

. - To był błąd, proszę pana. Czy nie można by tego puścić w niepamięć?

Colt powoli pokręcił głową.

- Najpierw zrobię z ciebie mokrą plamę.

Riley cofnął się jeszcze o krok, oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki.

- Czy ... czy strzeliłby mi pan w plecy?

- Nie - skrzywił się z odrazą Colt.

- To dobrze - wyrzucił z siebie Riley i rzucił się pędem w dół ulicy.

Przez chwilę Colt wpatrywał się w oddalającą się postać z wyrazem niedowierzania i obrzydzenia zarazem. Bywało, że przeciwnicy wycofywali się z pojedynku zanim wyciągnął broń, ale żaden dotąd nie zrejterował, gdy proponował inne wyjście, bo każdemu mężczyźnie zależy na zachowaniu twarzy, szczególnie kiedy wokół kłębią się gapie. Obecność widzów zazwyczaj wpływa na zachowanie walczących i czasem nawet tchórza potrafi zmienić w bohatera, choćby miało się to dla niego tragicznie skończyć.

Mógłby wpakować kilka kul w piach, Rileyowi pod nogi, ale nie sądził, że go tym zatrzyma, szkoda więc zachodu. Odwrócił się z pogardą, nie zwracając najmniejszej uwagi na rozdyskutowanych gapiów, którymi wstrząsnęła cała gama emocji - od szczerzego zdumienia, poprzez gorzkie rozczarowanie aż po otwarte potępienie dla tchórzostwa Rileyę i podziw dla

Colta.

Kim on jest? Jego osoba stanie się źródłem frustracji dla miejscowych gawędziarzy, którzy nie mieli okazji poznać chociażby jego imienia, bo któż by się ośmielił go o cokolwiek zapytać po tym, co tu widzieli, a nikt poza nim nie kwapił się do udzielania jakichkolwiek informacji.

Jocelyn zdecydowanie nie miała takiego zamiaru, mimo że w drodze do hotelu wielokrotnie słyszała to samo powtarzane pytanie. Jej służący, przyzwyczajeni do dyskrecji, również trzymali język za zębami.

Lecz kiedy w odpowiedzi wyłowiła pogardliwą uwagę: "To dzikus. Co tu więcej mówić?", nie wytrzymała. Roztrzęsiona po niedawnych przeżyciach i rozdrażniona tym, że Colt wmieszał się w tłum, zanim zdążyła z nim porozmawiać, wylała całą frustrację na elegancko ubranego młodego człowieka, który tym komentarzem dopiekl jej do żywego.

- Sir, jak pan śmie! - zaatakowała go bez wstępów, wprawiając w zdumienie towarzyszącą mu damę, a także Alonza i Robbiego, którzy podążali tuż za swoją panią. - Oni wyszli na tę ulicę, żeby się pozabijać. To, że nie poląła się krew, dowodzi jedynie, że mamy do czynienia z człowiekiem cywilizowanym, a nie dzikusiem.

Wyładowała gniew na nieznanym niefortunniaku, chociaż to Colta miała ochotę zwymyślać za narażanie się na bezsensowne ryzyko, po czym - czując się już znacznie lepiej - spokojnie ruszyła przed siebie.

- Wspaniale, Miles, a może jeszcze do ciebie nie dotarło, że, sądząc po akcencie, właśnie obraziłeś samą lady Fleming?!

- Skąd miałem wiedzieć?! - postawił się Dryden w odpowiedzi na sarkastyczną uwagę swej towarzyszki. - Z tego, co mówiła hrabina, spodziewałem się ujrzeć prawdziwą piękność. - Jęknął.

- Jaka ona chuda, a w dodatku ruda! Nigdy się nie przemogę ...

Na Maurę uwieszoną jego ramienia spłynęło uczucie ulgi.

Osobiście uważała, że księżna jest kobietą wyjątkowej urody, i nawet zapomniała na chwilę, że Miles może myśleć inaczej, chociaż od dawna wiedziała, że on gustuje w pulchnych blondynkach, takich jak ona. Więcej powodów do zmartwień może jej przysporzyć hrabina.

- Postarasz się, kochanie, ponieważ trafia nam się okazja, o jakiej od dawna marzyliśmy. Prawdziwa angielska księżna podróżująca dla przyjemności. I to w jakim stylu! Musi być niesamowicie bogata!

- To samo mówiłaś ostatnim razem - przypomniał jej, naburmuszony.

Maura nie przejęła się tą uwagą.

- Wdowa Ames nie skłamała, mówiąc, że jej dzieci nie żyją. Zapomniała jedynie dodać, iż siedemnaścioro wnuków czeka cierpliwie, żeby rozdrapać po niej schedę. Dlatego przekupili cię tą nic niewartą kopalnią srebra i w rezultacie ugrzęźliśmy w tym zakazanym miejscu. Ale przynajmniej żaden z wnuków nie zainteresował się okolicznościami śmierci babki.

- Była stara. A ta jest młoda.

- Tym razem nie użyjemy trucizny, żeby zrobić z ciebie wdowca. Tu raczej w grę wchodzi wypadek.

- Jak rozumiem, ja mam go spowodować? Jego niechętna postawa zaczynała ją nużyć.

- Kochanie, to ja się zajęłam dwiema ostatnimi żonami. Teraz kolej na ciebie. Chyba że wolisz znaleźć mi męża ...

- Suka! - warknął tonem pełnym zazdrości, tak jak się spodziewała. - Spróbuj tylko spojrzeć na innego, a skręcę ci ten twój powabny kark!

- No już, już. Tylko się droczę. - Uśmiechnęła się zalotnie. - Wiesz dobrze, że jestem ci wierna. Poza tym nie potrafiłabym tak dobrze grać. Nawet udawanie twojej siostry sprawia mi trudność. - Ty to wymyśliłaś, nie ja. Ty wpadłaś na ten parszywy pomysł. Ożeń się z bogatą wdową, kochanie, a będziesz mógł skończyć z hazardem - przedrzeźniał ją falsetem.

Maura zmrużyła oczy na znak zniecierpliwienia.

- Masz na myśli te drobne oszustwa, z powodu których byliśmy zmuszeni co rusz uciekać z kolejnych miast? Ty pierwszy wpadłeś na ten pomysł, o ile sobie przypominam.

- Wtedy gdy pierwsza żona okazała się niewystarczająco zamożna, by zaspokoić twoje potrzeby, i doszłaś do wniosku, że powinna umrzeć, byśmy mogli znowu szukać szczęścia.

- Dobrze już, dobrze! - ucięła. - Wszystkie cztery okazały się kiepskimi wyborami. Ale tym razem będzie inaczej. Czuję to.

- Już jest inaczej, Mauro, a może zapomniałaś, jaka ta wdowa jest młoda? Będę musiał dwa razy więcej się nad nią napracować, a i tak nie wiadomo, czy moje wysiłki zakończą się sukcesem. To wszystko może okazać się zwykłą stratą czasu i energii.

- Nie całkiem, kochanie. Mamy inne wyjście w zanadrzu, jeśli dama nie ulegnie twojemu czarowi. Ale stawiam na ciebie. Przecież wiem, jak trudno ci się oprzeć, kiedy naprawdę się starasz. Czyż nie zawojowałaś mej duszy i serca?

## Rozdział 26

- Dzień dobry, wasza wysokość!

Jocelyn odwróciła się i obdarzyła uśmiechem młodego mężczyznę, który podczas prezentacji poprzedniego wieczoru stał się powodem jej zaambarasowania. Teraz cała sytuacja wydawała się zabawna, lecz Jocelyn przeżyła katusze, gdy się okazało, że para, którą praktycznie zwymyślała na ulicy, jest rodzeństwem wziętym pod skrzydła przez Vanessę. Ponieważ zaproszono ich do udziału we wspólnym posiłku, nie było ucieczki od krępującej ją sytuacji.

Na szczęście Miles Dryden swymi przeprosinami bardzo szybko rozładował napięcie i - nie dopuszczając do jakichkolwiek wyjaśnień z jej strony - sprawił, że cały incydent szybko poszedł w niepamięć. Był niewątpliwie czarującym człowiekiem. Jak wcześniej podejrzewała, okazał się również przystojny. Miał krótko przycięte, ciemnoblonde włosy oraz piwne oczy. Był szczupłej budowy i średniego wzrostu. W policzkach miał urocze dołeczki, które pojawiały się przy każdym uśmiechu, a ponieważ nie brakowało mu poczucia humoru, śmiał się często, zabawiając dowcipami całe towarzystwo.

Maura Dryden okazała się nie mniej interesująca od brata, chociaż podobieństwo między rodzeństwem było raczej niewielkie, gdyż ona z kolei miała popielate włosy, duże, ciemnozielone oczy, była znacznie niższa i dość krągła. Jednego nie dało się zaprzeczyć: oboje natura obdarzyła wyjątkową urodą. Atrakcyjność Milesa podnosił jego urok osobisty, natomiast Maura roztaczała wokół siebie zmysłową aurę, która, sądząc z zachowania sir Parkera, bardzo działała na mężczyzn. On także uczestniczył w kolacji i ku rozbawieniu Jocelyn prawie nie odrywał oczu od dziewczyny.

Vanessa była zachwycona atmosferą podczas kolacji i niewątpliwie poszła spać uspokojona. Tak jak liczyła, Miles oderwał myśli Jocelyn od Colta, co ta otwarcie przyznała, udając się na spoczynek. I nawet z tego powodu odczuła pewną ulgę, dopóki nie uprzytomniła sobie, że plan Vanessy może okazać się obosieczną bronią. Niewykluczone, że Colt - podobnie jak sir Parker - znajdzie się pod urokiem Maury Dryden. Ta myśl wzbudziła w niej niepokój i zburzyła całą jej kruchą równowagę. Czyżby czuła się zazdrosna? Niewykluczone, że bierze za zazdrość zwykłą zaborczość, do której się ma prawo, płacąc tyle pieniędzy, więc postanowiła na razie się tym nie przejmować.

Postanowiła, lecz nawet teraz, gdy patrzyła na rozpromienionego Milesa Drydena, nurtowało ją, gdzie podziewa się jego siostra i jak Colt zachowa się na jej widok. Zastanawiała się, czy istnieje jeszcze jakaś szansa, aby wycofać się z obietnicy wspólnej podróży, lecz doszła do wniosku, że już jest za późno. Zapewne właśnie w tej chwili rzeczy rodzeństwa ładowano na któryś z wozów przed wejściem do hotelu.

- Panie Dryden! - Skinęła głową w odpowiedzi na powitanie. - Mam nadzieję, że ta wczesna pora nie okazała się dla państwa dużą niedogodnością. Jesteśmy zdani na łaskę naszego przewodnika, który, jak powiada, nie lubi marnować dnia.

- Znam ten typ. Ten stary zrzęda, woźnica naszego dyliżansu, przeganiał nas od gospody do gospody, strasząc, że jeśli nie będziemy postępować według jego widzimisię, to nas zostawi.

Uśmiechnęła się, słysząc ten opis. Wypisz wymaluj Colt, z wyjątkiem wieku. On też często bywał kłótniwy, łatwo się irytował i wpadał w gniew. W jakim humorze będzie dzisiaj? Czy zaczeka na nich, czy jak zazwyczaj już wysforował się naprzód, zostawiając instrukcje Billy'emu?

Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo pragnie go zobaczyć.

Nadal nie wiedziała, co on myśli o darze, jaki mu złożyła. Nie miała złudzeń, musiał się zorientować. Dowodziła tego jego delikatność.

- Panie Dryden, choć nie zawsze towarzyszy nam taki pośpiech, codziennie jesteśmy zrywani ze



snu o barbarzyńskiej porze. - Miała nadzieję, że w jej głosie nie słyhać zniecierpliwienia, które właśnie ją ogarnęło, bo chciała zobaczyć się z Coltem i być może zamienić z nim parę słów, zanim ruszą w drogę. - Jestem pewna, że szybko pan do tego przywyknie. Gdyby był pan teraz łaskaw sprowadzić siostrę ...

- Maura czeka na dworze, wasza wysokość. Pozwoli pani? Zawahała się, przyjmując jego ramię. Nie musiał jej towarzyszyć, bo otaczały ją strażę. Poza tym nie chciała, żeby Colt zobaczył, jak wychodzi z Milesem z hotelu, choć właściwie nie wiedziała, dlaczego. Jednak odrzucając ten kurtuazyjny gest, zachowałyby się nietaktownie.

Orszak był gotowy do drogi. Jocelyn pojawiła się ostatnia.

Panna Dryden czekała na nią wraz z Vanessą i dwiema pokojówkami w cieniu na werandzie, ale nie uczestniczyła w rozmowie, zapatrzona na przód kawalkady - na Colta.

Siedział na koniu, podobnie jak Billy, na którym w tej chwili skupił uwagę, co wcale nie musiało oznaczać, że nie zauważył taksującego spojrzenia panny Dryden. Zazwyczaj doskonale wiedział, co się wokół niego dzieje; najlepszy dowód, że skierował wzrok na werandę w tej samej sekundzie, gdy Jocelyn wyszła z hotelu. Na jej widok spiął konia.

- Colt, jedną chwilę, jeśli łaska!

Zaczerwieniła się, ponieważ tym nieprzemyślanym okrzykiem ściągnęła na siebie wszystkie oczy. Słyszała władczą nutę w swoim podniesionym głosie. Nie mogłaby mieć pretensji, gdyby zignorował wezwanie, pogłębiając jeszcze jej zawstyżenie. Jednak usłuchał. Zawrócił i czekał wyraźnie zniecierpliwiony. Nie zsiadł z konia, jak należałoby oczekiwać po służącym, co ubodło zarówno strażę, jak i Milesa; odgadła to z napięcia mięśni jego ramienia. Nie zamierzała przeciągać struny. Przeprosiła go i zeszła z werandy.

Kiedy znalazła się przy Colcie, zrozumiała, że uczyniła kolejne nierozważne posunięcie. Billy oddalił się dyskretnie, lecz to nie miało znaczenia. Wystarczyło jedno spojrzenie na Colta, by wiedzieć, że popełniła błąd. Chociaż zazwyczaj maskował swoje emocje, tak aby nikt nie poznał jego myśli, tym razem mogła w nich czytać jak w otwartej księdze. Cofnęła się o krok pod wrażeniem zaciętego wyrazu jego twarzy.

Nie ustąpi, przynajmniej takie powzięła postanowienie. Jednak powinna była dać mu więcej czasu. Ale trudno, stało się. Nie miała najmniejszego pojęcia, co zamierza mu powiedzieć, może przyjdzie jej na myśl coś, co choć trochę złagodziłoby jego gniew?

- Czy mógłbyś zsiąść? - zapytała. - Chcę z tobą porozmawiać.

- Nie, nie chcesz.

- Ja ...

- Nie, duchess ... Nie chcesz.

Nie bardzo wiedziała, co daje jej do zrozumienia. Czy po prostu nie chce usłyszeć tego, co mu zamierza powiedzieć, czy raczej ostrzega ją, że lepiej, aby się nie dowiedziała, co jej na to odpowie. Prawdopodobnie w grę wchodziła ta druga możliwość, nie próbowała go więc ponownie zatrzymać, kiedy spiął konia i odjechał.

Gdy się odwróciła, wszyscy byli pochłonięci jakimiś mało istotnymi zajęciami lub pogrążeni w rozmowach, co niewątpliwie świadczyło o tym, że wcześniej obserwowali ją i Colta z wielkim zainteresowaniem. Jednak tym razem nie poczuła zażenowania, tylko gniew, który dodatkowo podsyciła wyzywająca mina panny Dryden. Nie mogła słyszeć odpowiedzi Colta, lecz Jocelyn wystarczyła niechęć i pogarda malujące się na jej twarzy. Niemal czytała jej myśli: "Mnie żaden mężczyzna nie odważyłby się tak poniżyć.

- Och, nie ... Nie wiedziałem, że on należy do pani straży! Towarzystwo Milesa Drydena w drodze do karety nie podziało kojąco na kipiący w niej gniew. Poza tym nie życzyła sobie, by jej przypominał o wczorajszym zajściu.

Jednak za żadne skarby nie pokaże po sobie, jak łatwo Colt potrafi wyprowadzić ją z równowagi,

toteż wygięła napięte boleśnie wargi w wymuszonym uśmiechu.

- Nie należy. Jest naszym przewodnikiem.

- Rewolwerowiec przewodnikiem?

Jeszcze chwila, a wyładuje złość na Milesie, choć tego nie chce. To Colt zasłużył sobie na jej gniew.

- Panie Dryden, różnorodność jego umiejętności czyni go niezastąpionym przewodnikiem, pomimo braku dobrych manier i trudnego charakteru. Jednak gdy niepokoi pana jego obecność w trakcie przeprawy przez te dzikie tereny ...

- Ależ nie - zapewnił ją skwapliwie.

- W takim razie do zobaczenia później, sir.

Weszła do karety, niecierpliwie rozglądając się za Vanessą. Jeżeli Miles sądził, że zaprosi go do swego powozu, to właśnie rozwiła jego złudzenia. Nawet gdyby wcześniej była gotowa zrezygnować ze swej prywatności, w tej chwili zmieniła zdanie. Nie zamierzała silić się na gładkie rozmowy o niczym. Doprowadziłaby się tym do szaleństwa.

Vanessa, wyczuwając jej nastrój, milczała przezornie. Lecz w ciszy gniew jeszcze bardziej się w niej rozpałał. Wcześniej tłumaczyła sobie emocje Colta, teraz jego niechęć budziła w niej sprzeciw. Nie żałuje tego, co między nimi zaszło. Nie ma poczucia winy, że go pragnęła. To prawda, unikał jej na każdym kroku, ale czy zaciągnęła go do łoża pod groźbą rewolweru? Nie! A więc nie ma prawa złościć się na nią i zamierza mu to powiedzieć przy pierwszej lepszej sposobności.

## Rozdział 27

Instynkt podpowiadał Coltowi, że tej nocy powinien trzymać się z daleka od obozu. Poznał już upór księżnej i nie wątpił, że skoro dąży do konfrontacji, nie spocznie, póki do niej nie doprowadzi. A jeszcze nie był na nią w najmniejszym stopniu gotowy. Wnioski, do jakich doszedł na jej temat, mogłyby go popchnąć do szukania kłopotów, potwierdzenie tych konkluzji mogłoby się okazać dziesięć razy gorsze. A skoro zaledwie domysły tak na niego podziały - jak zareaguje, gdy pozna prawdę?

Oczywiście, jeżeli się co do Jocelyn pomylił, to pojawia się inny problem, być może pod pewnymi względami nawet poważniejszy. Poprzysiął sobie, że nie dotknie więcej białej kobiety, a jednak sięgnął po to, co ofiarowała. I dojdzie do tego ponownie, jeśli myli się co do jej intencji. A jeśli tak się stanie, to bardzo łatwo może obudzić się w nim pragnienie, aby posiadać ją na zawsze, co, jak doskonale wiedział, było niemożliwe.

Tak czy owak lepiej, by nie dochodził prawdy, dopóki nie jest pewny swojej reakcji. I wiedząc to wszystko, a także mając świadomość, że Rudowłosa jak zawsze zechce postawić na swoim, mimo wszystko skierował się do obozu.

Po części to była również jej wina, bo pozwoliła, aby w orszaku znalazł się obcy człowiek, akurat w czasie gdy on, zaślepiony złością, niezbyt czujnie przyglądał się ludziom, którzy po nich wjechali do miasta. Pomimo środków ostrożności, jakie wcześniej podjął, jej wróg mógł ich dogonić w ciągu tych dwóch dni, które zmarudzili w Silver City. Przy jej szczęściu do popadania w niebezpieczne sytuacje obcy mógł się okazać jednym z ludzi Anglika. Taka możliwość, choć mało prawdopodobna, wystarczyła, by wzbudzić jego niepokój. Pomimo deklaracji, że nie zamierza jej strzec, nie zniósłby, gdyby przydarzyło jej się coś złego jedynie z tego powodu, że nie znalazł się w pobliżu, bo bał się z nią spotkać.

Do spotkania jednak doszło, i to w dość zaskakujących okolicznościach.

Gdy Colt wjechał do obozu, pomimo późnej pory ponad połowa ludzi jeszcze nie spała i naturalnie, przy jego parszywym szczęściu, księżna też była wśród nich. Czuł na sobie jej wzrok, kiedy odprowadziwszy konia, skierował się do ogniska, przy którym siedział Billy. Księżna wraz z grupą swoich ludzi, pokojówką i nieznanym skupili się przy innym ognisku.

Kiedy Billy zobaczył Colta przy koniach, odłączył od swoich towarzyszy, by podać mu jedzenie, które na wszelki wypadek zawsze trzymał dla niego nad ogniskiem. Colt już dawno przestał narzekać, że musi jadać potrawy francuskiego kucharza. Często bywał zbyt zmęczony, by w ogóle zwracać uwagę na to, co je.

- Nie sądziłem, że dzisiaj będziesz spać w obozie.

- Wygląda na to, że dziś nikt nie ma ochoty na spanie - zauważył Colt, zerkając na sąsiednie ogniska.

- Ten nowy naopowiadał im ponurych historii - wrzusił ramionami Billy. - Pewnie niektórych nieźle nastraszył. - A wiedząc, że treść tych krwawych opowiadań na pewno nie przypadłaby Coltowi do gustu, czym prędzej zmienił temat. Widziałeś dziś rano tamtą blondynkę? To jego siostra.

Colt nie odpowiedział, zatrzymując spojrzenie na przybyszu. Obok niego siedziała księżna, jego zdaniem zdecydowanie za blisko.

- Kim jest ten nowy?

- Nazywa się Dryden. Miles Dryden.

Colt zamyślił się, ściągając brwi. - Czy on ci kogoś przypomina?

- Chyba nie. Dlaczego pytasz?

- Mam wrażenie, że już go gdzieś widziałem.

- Może się na niego natknąłeś na Wschodnim Wybrzeżu, kiedy podróżowałaś z Jessie i

Chase'em? Twierdzi, że stamtąd pochodzi.

- Nie - Colt z namysłem pokręcił głową. - To musiało być całkiem niedawno. Jesteś pewien, że nie wydaje ci się znajomy?

- Czy ty go z kimś nie mylisz?

Colt jeszcze raz przypatrzył się mężczyźnie.

- Na pewno sobie przypomnę. Jakie historie opowiadał? i przeniósł wzrok na brata.

Billy, któremu już się wydawało, że sprytnie odwrócił jego uwagę od tego tematu, oblał się rumieńcem. - A, takie tam.

- Słucham? - nie ustąpił Colt.

- On jest ze Wschodu, Colt - Billy starał się usprawiedliwić Milesa. - Dobrze wiesz, że byłe napad Indian nie robi wrażenia na ludziach z Zachodu, ale ci, co przebywają tutaj od niedawna, robią z tego wielką historię.

- Został zaatakowany?

- Razem z siostrą.

- I opowiadanie o tym zdarzeniu zajęło mu cały wieczór?

- Wiesz, jak to jest. - Billy uśmiechnął się, zadowolony, że Colt wcale nie poczuł się dotknięty, jak się tego wcześniej obawiał. - Facet przyjeżdża do miasta, opowiada, że o mało go nie oskalpowano, i wtedy każdy, komu przytrafiło się coś podobnego albo przynajmniej obilo się o uszy, dokłada swoją historię. Dryden tyle się tego nasłuchiwał w Silver City, że wystarczyłoby na książkę.

- Więc kiedy przyjechaliśmy, on już tam był?

- Od kilku miesięcy. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie.

Przynajmniej pod tym względem się uspokoił. Dryden nie pracował dla Długonosego. Niemniej nadal nie był zachwycony pomysłem księżnej, żeby zapraszać obcych do orszaku. Powinna mieć więcej rozumu.

- Cholera jasna, co ja właściwie jem? - zapytał po kilku kęsach.

- To jedna ze specjalności Philippe'a - zachichotał Billy. Dobre, nie?

- Przez ten sos w ogóle nie czuć smaku mięsa - Colt z obrzydzeniem odepchnął talerz. - A temu o co chodzi?

Billy podążył za spojrzeniem Colta, chcąc sprawdzić, kto tym razem przyciągnął jego uwagę. Parker Grahame wpatrywał się w niego w sposób, który trudno byłoby określić jako przyjazny.

- On, hmm ... jakby to powiedzieć ... on nie czuje się zbyt szczęśliwy od tamtej nocy, kiedy zająłeś się złodziejami, którzy próbowali okraść księżną.

- Więc miałem im na to pozwolić?

Billy błysnął zębami w uśmiechu.

- Chyba ma ci za złe, że to ty przychodzisz jej na ratunek, kiedy to jego zadanie. Nie stawia go to w korzystnym świetle.

- Czy to wystarczy, żeby go zabić?

Billy znieruchomiał.

- O czym ty mówisz?

- Ten człowiek myśli o tym, żeby tu podejść, i to wcale nie dla rozrywki.

- Chryste! Tylko nie zrób mu krzywdy! On jest kimś w rodzaju wyrazieli opinii wszystkich, dowodzi nimi, a oni mają już dość twego grubiańskiego zachowania w stosunku do ich pani. Ja wiem, że postępujesz tak celowo, lecz ani ona, ani jej poddani nie mają o tym pojęcia. Uważam, że cokolwiek powiedzisz, dziś rano przebrałeś miarę.

- Święta racja, panie Ewing - usłyszał za plecami głos Parkera.

Billy obejrzał się na Anglika. Wpatrywał się w Colta, bojąc się jego reakcji. Colt od początku

podróży z orszakiem księżnej był w niezmiennie podłym nastroju. Lepiej go nie prowokować, gdy ma napady złego humoru.

Colt siedział niedbale, oparty o siodło, i wcale się nie przejął, że człowiek, który stoi nad nim, ma ochotę się na niego rzucić.

- Masz coś do powiedzenia, Grahame, to wyrzuć to z siebie.

- Twój brat zrobił to za mnie. Jeśli nie potrafisz zachować się jak należy ...

- To co zrobisz? - przerwał mu Colt, wyginając kąciki ust w ironicznym uśmiechu. - Wyzwiesz mnie na pojedynek?

- Colt, przestań! - Billy usiłował interweniować, ale było już za późno.

Parker, któremu wściekłość odebrała trzeźwość myślenia, zdążył Colta obejść i szarpnięciem za koszulę podciągnął go z ziemi. Nie zdziwił się, że Colt mu na to pozwolił ani że nie zasłonił się przed podniesioną pięścią, ponieważ kierując się odruchem, nadal nie myślał racjonalnie. W ostatniej chwili dobre wychowanie kazało mu zawahać się przed zadaniem ciosu.

Na nieszczęście dla niego w tej właśnie sekundzie skrzyżowały się ich spojrzenia i Parkera w mgnieniu oka opuściła pewność siebie. Doznał wrażenia, że patrzy śmierci w oczy. Nigdy w życiu nie wycofał się z walki, nigdy nie musiał tego zrobić i nigdy żadnej nie przegrał. Jednak tym razem zapomniał, z kim ma do czynienia. Ten człowiek był niepodobny do innych i bardzo przypominał dzikusów, o których nasłuchał się od Drydena, dzikusów znających takie sposoby zabijania, które jemu, Grahame'owi, nie mieściły się w wyobraźni. I takiego człowieka wyzwał na pojedynek?

- Sir Parkerze, proszę go natychmiast puścić!

Władczy głos, głos rozwagi, jego wybawienie. Posłuchał go z uczuciem wielkiej ulgi.

Natomiast reakcja Colta była zupełnie inna.

- Cholera! - Zmierzył Jocelyn gniewnym spojrzeniem. - Ten człowiek ma ze mną sprawę. Do diabła, po co się w to mieszasz, kobieto?!

Nawet gdyby atak Colta nie odebrał jej na chwilę mowy, i tak nie zdążyłaby odpowiedzieć.

Parker, na nowo zaślepiony gniewem po tym bezczelnym zachowaniu, zamachnął się pięścią.

Trafił Colta w policzek, ale jego głowa zaledwie drgnęła.

Cios padł, kiedy stał odwrócony od przeciwnika, i wszyscy obserwujący tę scenę wstrzymali oddech, czekając teraz na jego reakcję. Parker poczuł się fatalnie, bo dotąd nigdy nie zaatakował nikogo zniechęca. Zdziwił się więc, gdy Colt powoli odwrócił się ku niemu z uśmiechem na twarzy.

- Dość tej zabawy, Angliku - powiedział i uderzeniem na odlew powalił go na ziemię.

Billy wyłapał rewolwer i nóż, które Colt cisnął w jego stronę, i czym prędzej usunął się z drogi. Jocelyn też była zmuszona się cofnąć, gdyż walczący przetoczyli się przez ognisko, wzbijając snopy iskier.

- Kochanie, odejdz stąd - powiedziała półgłosem stojąca w pobliżu Vanessa. - Nie powstrzymasz ich i nawet nie powinnaś próbować.

- Nie powinnam? Ale oni ...

- Tak, wiem. Zachowują się jak barbarzyńcy. Twój Thunder najwyraźniej musi wyładować agresję. I lepiej niech wyżywa się na Parkerze, a nie na tobie: No, chodź już!

Jocelyn przygryzła wargę, obserwując zaciekle Colta; przypomniała sobie jego wrogie zachowanie z rana. Vanessa może sobie mówić, co chce, ale ona nie wierzy, że mógłby ją skrzywdzić, obojętnie jak bardzo byłby zły. Jej też jeszcze nie przeszła złość. Nie jest jakąś tam omdlewającą mimożą, żeby się chować przed gniewem mężczyzny.

- Vana, ja zostaję - oznajmiła głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Nie będę ich powstrzymywać, ale kiedy skończą, powiem, co o tym myślę.

## Rozdział 28

Colt czuł się wspaniale. Był piekielnie obolały, ale dał upust emocjom, wyładował gniew i odzyskał równowagę. Teraz pewnie dałby radę odbyć rozmowę z księżną i zrzucić kamień z serca, tak przynajmniej uważał, dopóki nie spostrzegł, że ona stoi, obserwując go.

Na nowo ogarnęła go irytacja, przede wszystkim dlatego, że nie słyszał, kiedy się zbliżyła. Od ciosów Grahame'a dzwoniło mu w uszach. Potrząsnął głową, lecz dzwonienie nie ustąpiło. Obejrzał się, by sprawdzić, czy przypadkiem ktoś jeszcze za nim nie idzie, ale byli sami. Uczucie irytacji jeszcze się nasiliło. Ta kobieta nigdy nie nabierze rozumu. Unikał jej, zniechęcał do siebie. Jak dobitniej mógł dać jej to do zrozumienia? Znając jej upór, należało się jednak tego spodziewać, więc czemu się irytuje? Nadal nie potrafił się uspokoić.

- I co tak patrzysz?

Jocelyn westchnęła, słysząc jego butny ton. I pomyśleć, że szczerze się przejęła, kiedy zataczając się, opuścił obóz. Sir Parker stracił przytomność, ale Vanessa, która się nim zajęła, zapewniła ją, że nic mu nie będzie. Colt do końca walki utrzymał się na nogach i zniknął, zanim ktokolwiek zdążył opatrywać mu rany. Zanurzył głowę w sadzawce za ich obozem i właśnie kończył ocierać twarz chustką, kiedy ją zauważył. Ktoś, kto wieczorem nabierał tu wodę, wbił w ziemię pochodnię. W jej świetle Jocelyn widziała obrzmienie na lewym policzku i krew spływającą po skroni z rozciętej brwi. Ubranie miał brudne, spodnie podarte na kolanach. Reszta ran nie była widoczna, bo większość ciosów Parkera trafiła w korpus. Musi mieć sporo obrażeń, walka trwała dobre piętnaście minut.

- Wyglądasz okropnie. Boli cię?

- A czy pies sika?

Wyprostowała się.

- Byłabym wdzięczna za bardziej cywilizowaną odpowiedź.

- W takim razie znajdź sobie innego rozmówcę. Bo tutaj narażasz się na ryzyko.

- A byłabym gotowa przysiąc, że uleciał z ciebie gniew po tej wieczornej gimnastyce.

- Też tak mi się zdawało - skrzywił się. - To tylko dowodzi, jak bardzo może się mylić głupi Indianin.

- Nie rób tego! - uniosła się.

- Czego?

- Nie poniżaj się w ten sposób. Colcie Thunderze, może nie otrzymałeś edukacji w tradycyjnym sensie, ale oboje dobrze wiemy, że nie jesteś głupi.

- To dyskusyjne, złotko. Nadal tu jestem, prawda? Głośno zaczerpnęła powietrza.

- To znaczy, że co? Że nie powinieneś tu być?

- Cholerna racja!

- Więc odejdz. Nikt cię nie zatrzymuje!

- Nie? - Dwoma długimi susami znalazł się przy niej i potrząsnął ją za ramiona. - Nie? - wyszczał z furją.

- Jeżeli o mnie chodzi ... Jestem zadowolona - powiedziała i w tej samej chwili pożałowała, że te słowa padły, akurat kiedy jest taki zacietrzewiony, ale ulżyło jej nieco, gdy ich nie podchwycił.

- Przecież jesteś potrzebny.

Odwrócił się od niej, pokonany tym stwierdzeniem. Ilekroć to mówiła, działo się z nim coś dziwnego. Przede wszystkim rozpalalo się w nim pożądanie, mimo że był świadomy, iż nie prowokuje go rozmyślnie. A z drugiej strony bardzo by tego chciał.

- Dotrzymanie słowa w niedogodnej sytuacji świadczy o honorze i prawości - zauważyła cicho za jego plecami.

- A to co? - warknął, oglądając się przez ramię z twarzą wykrzywioną wściekłym grymasem. -

Oblaskawiasz dziką bestię pochlebstwem?

- Nie - powiedziała przez zaciśnięte zęby. Miała ochotę wykrzyknąć to swoje "nie", ale bała się, że jeśli teraz pozwoli sobie na upust gniewu, da mu pretekst do odejścia. - Usiłuję jedynie powiedzieć, że jest mi przykro, iż nie lubisz tej pracy ... a jednocześnie - że nie jest mi aż tak przykro, by cię od niej uwolnić.

Odrzucił się do niej powoli.

- Do diabła z pracą! - oznajmił niemal lekkim tonem. - To żaden problem i dobrze o tym wiesz~ To ty jesteś problemem i ten twój niespodziewany prezent, którym obdarzyłaś mnie bez najmniejszego uprzedzenia.

Spróbowała uciec spojrzeniem w bok, czując, na co się zanosi, ale Colt przytrzymał ją za podbródek.

- Nie zrozum mnie źle, duchess. Czuję się zaszczycony. - Sarkazm w jego głosie mówił zupełnie co innego. - Należałoby jednak wyjaśnić pewną tajemnicę. Dlaczego ja?

Wiedziała dokładnie, do czego zmierza, lecz udała, że nie rozumie, o co ją pyta.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Dlaczego ja?! - wykrzyknął w odpowiedzi, potrząsając nią.

- Bo ... bo miałam na ciebie ochotę. Po prostu.

- Nieprawda. Dziewica może mieć ochotę na każdego, kto się koło niej kręci, ale nie posunie się do czegokolwiek, dopóki nie ma obrączki na palcu albo miłość nie zaćmi jej rozsądku. Ponieważ żadna z tych okoliczności ciebie nie dotyczy, posłuchajmy, jaki jest prawdziwy powód.

Jego przekonanie, że nie kierowała się żadnym z tych motywów, odebrało jej pewność siebie. Skąd mógł to wiedzieć, dlaczego uważał, że kryło się pod tym coś jeszcze?

- Nie uważam, że to akurat ma jakieś znaczenie, ale ja nie byłam zwykłą dziewczyną. Byłam owdowiałą dziewczyną. I dlatego nie musiałam, jak to ująłeś, czekać na miłość ani na obrączkę, kiedy zapragnęłam mężczyzny. Któż ma prawo zabronić mi robić to, na co mam ochotę, albo sięgnąć po to, czego chcę?

Wpatrywał się w nią z uwagą, analizując jej słowa, po czym potrząsnął głową.

- Niewątpliwie brzmi to jak filozofia wdowy, ale ty nie byłaś zwykłą dziewczyną, tak samo jak nie jesteś zwyczajną wdową. Nie wnikam w okoliczności twego położenia, bo mnie nie interesują. Niemniej byłaś dziewczyną, a dziewczycie muszą mieć powód. Nadal nie wiem, co nim było.

- Już ci mówiłam! - krzyknęła. - Nie wiem, co jeszcze chcesz usłyszeć ...

- Prawdę!

- Dlaczego mi nie wierzysz?

- Bo czytam w twoich oczach, kobieto.

- Co? - Zbladła.

- Że coś ukrywasz. W tej chwili potwierdza to wyraz twojej twarzy. Tamtej nocy, gdy się dobrze nad tym wszystkim zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że musiałaś mieć jakiś szczególny powód, by wpuścić mnie do swego łóżka.

- Naprawdę cię pragnęłam - zapewniała go. - To musiałeś być ty, nie rozumiesz?

- Nie. Ale zrozumiem, choćbym miał to z ciebie wytrząsnąć.

Jocelyn zeszytniała. Gniew ratował ją przed paniką, jaką wzbudziły jego podejrzenia.

- Dość już mną natrząsałeś, bardzo ci dziękuję. A teraz mnie puść.

- Nie sądzę - powiedział cicho, przyciągając ją do siebie. Zastraszaniem jej niczego nie osiągnie. Znał jej upór. Mógłby ją udusić, a i tak nie wycisnąłby z niej niczego poza tym, co powiedziała. Lecz takim czy innym sposobem musi poznać prawdę.

- Co ty wyrabiasz? - obruszyła się, gdy poczuła dotyk jego ust na szyi.

- Pytasz o to po tym wszystkim, co mi mówiłaś o swoim pragnieniu?

- Ale ...

- Ale co, duchess? - Jego usta znalazły się tuż przy jej uchu, kiedy przycisnął ją do siebie, obejmując ramionami. - Pożądanie musiało być potężne, skoro zrezygnowałaś z niewinności, żeby je zaspokoić. Coś takiego nie mija tak po prostu ... czy może mija?

- Nie ... nie mija. - Usłyszała swoją odpowiedź, nie mniej zaskoczona niż on.

Tak rzeczywiście było, poczuła to w chwili, gdy ją objął. Jej pożądanie narastało. Pachniał ziemią, potem i mężczyzną. Znowu go pragnęła, tak samo jak tamtym razem, chociaż teraz jedynym powodem, aby ulec pokusie, była chęć doznania przyjemności, którą - jak już wiedziała - potrafi jej dać.

Kiedy odpowiedziała, oderwał usta od jej skóry. Woda z jego włosów kapała jej na ramię i szyję, przyprawiając o ciarki. A może dreszcze wywołał jego ciepły oddech w okolicy ucha?

- Dlaczego?

Na dźwięk jego głosu przyłgnęła do niego.

- Co? Och, proszę cię, dość tych pytań. - Westchnęła. - Pocałuj mnie.

Usłuchał. Skubiącymi ruchami warg muskał jej usta, odrywając się od nich, kiedy na niego napierała. Bawił się tak z nią, aż była gotowa uczynić wszystko, byle tylko stopić się z nim w pocałunku.

- Colt!

- Dlaczego?

Rozkołysane emocje uczyniły odpowiedź łatwiejszą.

- Bo istniała przeszkoda.

- Dlaczego? - zapytał nieustępliwym, chrapliwym szeptem, wodząc dłońmi po jej ciele.

- Nie mogłabym wyjść ponownie ... za mąż, gdybym znalazła kogoś ... odpowiedniego.

- Dlaczego?

- Bo wyszłaby na jaw przypadłość diuka.

- Ale nie liczyło się, że ja się o niej dowiem?

- Nie znałeś go ... mało prawdopodobne, byś kiedykolwiek spotkał kogoś, kto go znał.

Odepchnął ją, znikła gdzieś jego czułość i miała ochotę krzyczeć z rozczarowania, dopóki nie usłyszała, jak pomstuje.

- Idiota! Okazałem się odpowiedni?! Czy chociaż raz nie mógłbym się mylić?!

- Co do czego? - Wyciągnęła do niego rękę, ale ją odtrącił.

- Posłużyłaś się mną!

Jocelyn zamrugła, otrząsnąwszy się na tyle, by pojąć, co z nią zrobił. Wykorzystał jej podniecenie przeciwko niej, tak samo jak ona wykorzystała jego pożądanie tamtej nocy. Dostrzegła ironię tej sytuacji i zapewne sobie na to wszystko zasłużyła. Lecz ich postępowanie dzieliła zasadnicza różnica i to właśnie budziło jej gniew. W przeciwieństwie do niego nie odrzuciła go, gdy tylko dostała to, czego chciała. Nie zostawiła go w potrzebie.

- A więc stąd ten twój podły nastrój w ostatnich dniach? - natarła na niego z furią. - Poczujesz się obrażony, ponieważ cię wybrałam?

- Wykorzystałaś, kobieto - poprawił ją chłodno. - Mogłaś sobie upatrzeć do tego innego mężczyznę.

- A ty mnie nie wykorzystałaś? Nie leżałam pod tobą tamtej nocy? Nie byłeś we mnie?

Miał ochotę ją uderzyć, te słowa przywołały obrazy, które rozpały go bardziej niż wcześniejsze pieszczoty. Tymczasem ona jeszcze nie skończyła.

- Czy starasz się mi powiedzieć, Colcie Thunderze, że nie zaznałeś przyjemności w moim łóżu?

- Zamilcz, do pioruna!

- Więc co dokładnie budzi w tobie taką niechęć? Że to ciebie właśnie wybrałam na pierwszego kochanka? Czy że wykorzystałam chwilę twojej słabości? - Trafiła go w najczulszy punkt. - To cię najbardziej boli, prawda? Wiem, że mnie nie chciałeś. Bez ogródek dawałeś mi to do



zrozumienia, ilekroć się przy tobie znalazłam. Ale udało mi się ciebie uwieść, doprowadzić do tego, że straciłeś kontrolę nad sobą, a tego nie znosisz, prawda?

Zamachnął się, lecz kiedy nawet nie drgnęła, zacisnął dłoń w pięść i opuścił.

- Duchess, odpowiedz mi na jedno pytanie. Kiedy postanowiłaś mnie wykorzystać: zanim zmusiłaś mnie do tej cholernej pracy czy dopiero potem? - Ponieważ nie odpowiedziała od razu, dodał z ironicznym grymasem: - Tak myślałem. Kiedy mężczyzna kupuje dziwkę, chce dostać za swoje pieniądze to, co mu się należy. Tak było?

Rozjuszył ją tak bardzo, że się nie zawahała:

- Oczywiście. Cokolwiek by mówić, jesteś doskonałym okazem, najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego spotkałam. - Sarkazm w jej głosie kazał mu wątpić w prawdziwość tych słów. A potem, na złość jemu, jeszcze dodała: - Poza tym dowiedz się, że to dla mnie mało znacząca kwota. Więc nie musisz się martwić, że drogo mnie kosztowałeś. Bo to nieprawda. Przy twojej wszechstronności, zrobiłam dobry interes, nie uważasz?

- Spodziewałem się, że jesteś zepsutą dziwką! - warknął.

- A ja wiedziałam, jaki z ciebie arogancki sukinsyn. Więc czego to dowodzi? Że żądza jest ślepa? To była ostatnia prowokacja, jaką był w stanie zniesć. W tej chwili miał ochotę uciąć ten jej ostry jak brzytwa język. Więc najrozsądniej postąpi, jeśli odejdzie.

- Nie zrozum mnie źle, Thunder! - krzyknęła za nim, błędnie odczytując jego zachowanie. - Nie zamierzam zwolnić cię ze służby, dopóki nie doprowadzisz do końca, czego się podjąłeś! Słyszysz?! Nie waż się odejść!

Zatrzymał się dopiero, kiedy dzieliła ich spora przestrzeń.

Na tle jasno oświetlonego obozowiska widziała jedynie jego sylwetkę, ale nie miało to większego znaczenia, bo musiał mieć minę mordercy.

- Nie odchodzę, ale uczciwie cię ostrzegam, kobieto. Po raz ostatni uprzedzam, trzymaj się ode mnie z daleka.

- Z przyjemnością! - odkrzyknęła, ale nie była pewna, czy ją usłyszał, bo oddalał się sprężystymi, długimi krokami.

Odprowadzała go spojrzeniem, aż zniknął za jednym z wozów, a potem odwróciła się, kierując niewidzące oczy na góry, które rysowały się na horyzoncie.

- Nikczemny łajdak! - wymamrotała pod nosem i wybuchnęła płaczem.

## Rozdział 29

Jocelyn odsunęła talerz, przeciągnęła się i opadła na poduszki rozrzucone pod jedwabną markizą, którą każdego dnia ustawiano dla niej na czas obiadu. Ten luksus stawał się teraz zbyt cenny. Pod koniec listopada dni pochłodziły i zacienienie miejsca na południowy posiłek nie było już konieczne, lecz nadal ustawiano markizę, bo Vanessa, jako osoba konserwatywna, uważała, że słońce nigdy nie powinno mieć dostępu do skóry damy, nawet wtedy, jeśli już nie opala. Vanessa cmokała z dezaprobatą na widok złocistej tonacji skóry Jocelyn, której nabrała ona podczas codziennych konnych przejazdów, gdy przed zbliżającą się zimą zelżały charakterystyczne dla południowych terenów upały.

Upłynęły dwa tygodnie, odkąd opuścili Silver City. Przez krótki czas jechali na południe, aby ominąć góry, potem skierowali się na wschód, a teraz, kiedy dotarli do rzeki Rio Grande, jechali wzdłuż niej na północ. Podróż stała się o wiele łatwiejsza, ponieważ natrafili na stary El Camino Real, czyli Królewski Szlak, który ciągnął się od Santa Fe, dokąd właśnie zmierzali, aż po Mexico City. Gdyby z początku nie planowali udać się do Kalifornii, mogliby przez cały czas trzymać się tego starego gościńca, który pierwotnie, przed trzystu laty, służył jako szlak handlowy.

Według słów Billy'ego El Camino Real schodził się z Santa Fe Trail, kolejnym popularnym szlakiem kupieckim, który powstał jakieś sześćdziesiąt lat temu. Posuwając się wzdłuż niego na wschód, mieli wyjechać z gór na wielkie równiny, które ciągnęły się aż po Kanadę. Również od Billy'ego dowiedzieli się, jaka odległość dzieli ich od Wyoming. Gdyby od początku mieli świadomość, że potrzeba będzie aż dwóch miesięcy ... Lecz teraz nie było o czym mówić, skoro przemierzali taki kawał świata.

Droga stała się mniej wyboista, a sceneria urocza. Po prawej stronie mieli Góry św. Andrzeja, a po lewej rzekę, za którą ciągnęły się kolejne górskie łańcuchy. Obficie zadrzewiony teren mienił się kolorami jesieni, a w dolinie Jornada del Muerto nie brakowało przestrzeni, na której można było ćwiczyć konie.

Nadal tu i ówdzie trafiali na pustynne krajobrazy: splekaną od słońca ziemię, łachy białego piachu, na których rosły kaktusy, białe i fioletowo kwitnąca szalwia, suche krzaki i kępy trawy. Po długiej podróży przez południowe tereny zdążyli przywyknąć do tych widoków.

Kiedy zbliżyli się do Gór Skalistych i od Santa Fe dzieliły ich zaledwie trzy dni podróży, po obu stronach drogi pojawiało się coraz więcej łańcuchów górskich, a także uroczych dolinek, odpowiednich na konne wycieczki. Lecz dzisiaj Jocelyn nie miała ochoty ich objeżdżać. Vanessa odgadła to z jej głośniego westchnienia.

- Nie jest gorąco, a posiłek był lekki - zauważyła, siedząc obok Jocelyn w karecie. - Czyżbyś źle spała w nocy?

- Tak samo jak zazwyczaj - odparła Jocelyn, co niewiele wyjaśniało, bo Vanessa nie miała pojęcia, że od wielu dni Jocelyn ma kłopoty ze snem.

Niewiele jej pomagało, że знаła powód swej bezsenności.

Nadal dręczył ją wstyd po ostatnim spotkaniu z Coltem.

Przeklęta kłótnia! Nie potrafiła wyrzucić jej z myśli, mimo że minęły dwa tygodnie.

Następnego dnia po tamtej awanturze zaczęła się jej miesięczna przypadłość i to w niej upatrywała przyczynę zarówno mimowolnego potoku łez tamtego wieczoru, jak i swego koszmarnego zachowania. Nadal płonęła ze wstydu za każdym razem, gdy przypominała sobie, że sprowokowana przez Colta, zmieniła się w swarliwą, złośliwą, ciskającą pogrożki jędzę. Nie przypuszczała, że drzemią w niej takie skłonności. Skąd mogła wiedzieć, skoro nigdy dotąd tak się nie zachowywała? Na Boga, nigdy więcej do tego nie dopuści! Przysięgła to sobie i dotrzyma słowa, obojętne do czego posunie się ten pozbawiony serca człowiek, by ją sprowokować -

oczywiście, jeśli się jeszcze kiedykolwiek do niej odezwie.

Widziała go od tamtego czasu może ze dwa razy i zawsze z daleka, kiedy trenowała Sir George'a. Colt przestał przychodzić do obozu, nawet na noc do nich nie wracał. Gdzie spał, nikt nie wiedział, chociaż ona przypuszczała, że musiał trzymać się w pobliżu, ponieważ Billy, który codziennie przed świtem udawał się do niego po instrukcje na dany dzień, nigdy nie znikał na długo.

- Proszę? - Nie dosłyszała następnego pytania Vanessy.

- Pytałam, czy czujesz się dzisiaj zanadto zmęczona na przejażdżkę. Zdaje się, osiodłano już Sir George'a.

- Vano, nie jestem zmęczona, po prostu nie mam ochoty - wyjaśniła z zamkniętymi oczami, nie unosząc głowy znad poduszki. - Niech go dosiądzie któryś z forysiów.

- A co z Milesem? Wiesz, jak bardzo lubi wasze wspólne przejażdżki.

Podirytowana, zastanawiała się, kiedy jej przyjaciółka przestanie wreszcie bawić się w swatkę. I tak nic z tego nie wyjdzie.

Jeszcze niedawno mężczyzna pokroju Milesa mógłby wzbudzić jej zainteresowanie. Był znacznie przystojniejszy i o wiele bardziej atrakcyjny od Charlesa Abingtona, którego przecież całkiem poważnie brała pod uwagę jako kandydata na męża. Ale teraz pojawił się inny mężczyzna i nie mogła powstrzymać się od porównań, w których Miles Dryden wypadał niekorzystnie. Za błady, zbyt czarujący, nadmiernie nadskakujący. A jak się lepiej zastanowić, nawet jego przykre wypadki życiowe świadczyły o tchórzostwie. Colt nie uciekłby po klęsce, żeby zacząć wszystko na nowo w innym miejscu. Nie tkwiłby tygodniami w jakimś mieście ze strachu przed śmiercią. No i nie stałby, patrząc biernie, jak go rabują. Na pewno nie!

Ach, niech to diabli! Musi coś zrobić, żeby przestać o nim myśleć, ale nadal nie ma ochoty na przejażdżkę, chociażby dla zabicia czasu.

- Vano, Miles się nie załamie z powodu jednodniowej przerwy.

- Nie byłabym taka: pewna. Zdaje się, że kompletnie go zauroczyłaś. Maura tak uważa, a ktoś może lepiej wiedzieć niż siostra, której zapewne się zwierza.

Jocelyn o mało nie prychnęła. Jak na jej gust ta para wydawała się zanadto zżyta. Jeżeli Miles jest kimkolwiek zauroczony, to zapewne tym kimś jest jego zmysłowa siostrzyczka. Uniosła się i spojrzała przez okno karety. Teraz też szli razem wysokim skalistym nadbrzeżem, pogrążeni w rozmowie.

- Jak sądzę, ona ci to powiedziała? - zapytała, odwracając się do hrabiny.

- W rzeczy samej.

- Hmm, nie dawałabym wiary wszystkiemu, co mówi ta dziewczyna. Zdążyłam ją przyłapać na kłamstwie.

- Co?

- Któregoś dnia powiedziała mi, że jej ojciec hodował najlepsze konie wyścigowe na Wschodnim Wybrzeżu i że strasznie bolała nad ich utratą, kiedy musieli się ze wszystkiego wyprzedać, mimo że sama konno nie jeździ.

- I co z tego?

- A to, że kiedy pierwszy raz pozwoliłam Milesowi dosiąść Sir George'a, stwierdził, że zawsze marzył o własnym koniu pełnej krwi, lecz ich rodzina trzymała jedynie konie zaprzęgowe, bo przydawały się w mieście.

Vanessa musiała uznać całą tę sytuację za ledwie zabawną, bo tylko się roześmiała.

- Moja droga, ta chęć zaimponowania komuś z twoją pozycją jest bardzo typowa. Powinnaś już o tym wiedzieć. Dziewczyna ma po prostu wybujałą ambicję i trochę ci zazdrości. Nie ma się czym przejmować.

- Toteż się nie przejmuję. Tyle, że nie wierzyłabym we wszystko, co mówi.

- Bardzo słusznie. Lecz akurat w tym wypadku, gdy mowa o zaangażowaniu Milesa, byłabym skłonna się z nią zgodzić. Widzę, jak ci nadskakuje. Nie byłabym zdziwiona, gdyby ci się oświadczył, zanim jeszcze dojedziemy do kolei, którą powrócą na Wschodnie Wybrzeże.

- Też nie byłabym zaskoczona.

- A więc wiesz, że on jest pod twoim urokiem - nachmurzyła się Vanessa. - O co w takim razie ta sprzeczka?

- Vano, nie nazwałabym tej dyskusji sprzeczką - uśmiechnęła się Jocelyn. - I wcale nie uważam, że on jest pod moim urokiem.

- Przecież powiedziałas ...

- Że nie byłabym zaskoczona, gdyby się oświadczył. Ile miałam takich propozycji w ciągu ostatnich trzech lat?

- Zbyt wiele, żeby je zliczyć - westchnęła Vanessa. - Więc uważasz, że jest zwyczajnym łowcą posagów?

- Obawiam się, że tak.

- Wiesz, możesz się mylić. Zobacz, z jaką atencją cię traktuje. I jest nieziemsko przystojny, a w dodatku nie brakuje mu ogłady.

Ta ostatnia uwaga ubodła Jocelyn.

- Trudno, by mnie ignorował, mając na względzie mój majątek - zareplikowała.

- Moja droga, skąd to twoje przekonanie?

- Oczy.

- Oczy?

- Tak, sposób, w jaki na mnie patrzy. Vano, nic w nich nie ma. Nawet iskiereki zainteresowania. Och, oczywiście mówi gładko, ale jego oczy przeczą słowom. Nie podobam mu się. Niewielu mężczyznom się podobam.

Bo są głupcami - podsumowała w myślach Vanessa, a głośno dodała:

- Kochanie, nie ma się czym przejmować. Nie brałyśmy go pod uwagę jako kandydata na męża, a jedynie jako miłą odmianę i kogoś do towarzystwa, więc nie zaprzataj sobie tym głowy.

- Nie będę - Jocelyn zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Jesteś pewna? - Vanessa po chwili wróciła do tematu, bo opinia Jocelyn nie przestawała jej nurtować.

- Vana! - Tym razem Jocelyn szczerze się uśmiechnęła. - On patrzy cieplej na ciebie niż na mnie.

- I widząc, jak rumieniec wypływa na twarz hrabiny, dodała: - Więc wreszcie też to zauważyłaś?

- Cóż, uznałam, że na ciebie spogląda z większym uwielbieniem - broniła się Vanessa.

- No więc teraz już wszystko jasne. Ale nie przejmuj się. Jest zabawny i wesoły, a przecież o to ci głównie chodziło, prawda?

- Kochanie, ja naprawdę chciałam jak najlepiej - Vanessa znowu się zaczerwieniła.

Jocelyn przechyliła się, żeby ją uściskać.

- Wiem i ubóstwiam cię za to. Nie musisz się dłużej zamartwiać z powodu naszego porywczego przewodnika. Z pewnością zauważyłaś, że unika mnie jak ognia. To skończone.

- Naprawdę?

- Tak - zapewniła ją jedynie, bo nie miała ochoty wracać do tamtej kłótni po tak długim czasie. Wiedziała jednak, że ta odpowiedź Vanessy nie zadowoli i że za chwilę zaczną drażnić temat, aby nabrać pewności, więc z tchórzostwa przed nią zmieniła zdanie:

- Myślę, że jednak wybiorę się na tę przejażdżkę.

## Rozdział 30

Skierowali się ku górcom Manzano. Jocelyn puściła konia galopem i szybko znalazła się u ich podnóża, jak zwykle wysforowując się przed swego towarzysza. Zeskoczyła z siodła i czekając na Milesa, prowadziła Sir George'a pomiędzy złotymi osikami i monumentalnymi sosnami, które tu i ówdzie znaczyły polanę.

Rozgrzała się podczas jazdy, lecz chłodny wiatr powstrzymywał ją przed zdjęciem podbitego futerkiem żakietu amazonki. Po ostatniej zmianie pogody byli zmuszeni wyciągnąć z kufrów zimowe ubrania, które na szczęście zabrali ze sobą; bardzo możliwe, że zanim dotrą na miejsce, zdąży spaść śnieg.

Mieli szczęście, bo jak dotąd w ich licznych orszaku zaledwie kilku osobom przytrafiły się katar i niegroźne przeziębienia.

Zbliżając się do księżnej, Miles puścił swego wypożyczonego wierzchowca stępa. Z niechęcią myślał o tym, co go czeka, lecz Maura domagała się od niego zdecydowanych działań i naturalnie miała rację. Czas uciekał, odległość do kolei kurczyła się z każdym dniem i jeśli nie padnie wyraźne zaproszenie ze strony księżnej, nie będą mieli pretekstu, by dalej trzymać się jej orszaku. Z drugim, przygotowanym na wszelki wypadek rozwiązaniem też nie może zwlekać bez końca.

Zakładali, że będzie więcej czasu, że cała świta pojedzie pociągiem z Santa Fe. Okazało się, iż nastąpiła zmiana planu. Tabor księżnej nie zmieściłby się w jednym składzie pociągu, pomimo że na nowej linii do Santa Fe doczepiano towarowe platformy. Jocelyn już postanowiła wstrzymać się z decyzją do chwili, gdy dojadą do jakiejś większej stacji jak Denver, ponieważ ten mieszaniec zapewnił ją, że do Wyoming można spokojnie dojechać przez płaskie tereny równinne.

Po raz pierwszy Milesa opuściła tak ważna dla ich rodzinnego planu pewność siebie, ponieważ nie potrafił rozszyfrować, jakie uczucia księżna żywi wobec niego. Jej śmiałe spojrzenie wprawiało go w zdenerwowanie; widział w nim tylko rozbawienie. Czasami wręcz odnosił wrażenie, że przejrzała na wylot jego zamiary i naigrawa się z niego.

Od początku za mało serca wkładał w te zaloty. Tamte podstarzałe paniusie stanowiły łatwą zdobycz. Łase komplementów, samotne i spragnione miłości, szybko dawały się omotać i zaprowadzić do ołtarza. W tym wypadku błyskawiczne, wolne od wysiłku zaloty nie wchodziły w grę. W dodatku, mimo swego młodego wieku, księżna go w ogóle nie pociągała, co niewątpliwie pogłębiało obawę przed dzisiejszym spotkaniem.

Czując niechęć do samego siebie, zmusił się do uśmiechu, gdy zsiadał z konia.

- Znowu wygrałaś, Jocelyn.

Pozwalała mu zwracać się do siebie po imieniu, ale ilekroć to robił, dziwnie na niego patrzyła. Przy tych wszystkich tytułach musiała nie być do tego przyzwyczajona. Nawet hrabina unikała jej imienia i zwracała się do niej przez "moja droga".

- Miles, my się nie ścigaliśmy. Jedyne moje klacze mogą dogonić Sir George'a, ale ich stan wyklucza taki wysiłek.

Zacisnął zęby. Od początku odnosił wrażenie, że traktuje go protekcjonalnie - i tak chyba rzeczywiście było. Biedny obdartus z Missouri nie był partnerem dla arystokratki, od urodzenia opływającej w bogactwa. Zapewne same jej konie, zwłaszcza że klacze miały się ożrebić na wiosnę - były więcej warte od tego, co zdobył dzięki czterem swoim małżeństwom.

- Czy on biegał na wyścigach w Anglii? - zapytał. Rozmowa o koniach zawsze wprawiała ją w dobry humor, a dziś szczególnie zależało mu na jej przychylności.

- Och, nie! Był bardzo młody, kiedy wyjeżdżaliśmy. Ale jego potomstwo ... Miles, co ty robisz?! Kiedy zaczęli spacerować, otoczył ją ramieniem, a teraz obrócił ku sobie.

- Nie bądź taka nieśmiała - powiedział przymilnie. - To naturalne, że mężczyzna pragnie dotykać kobiety, którą darzy uczuciem.

- Zapewne.

Odpowiedź zbiła go z tropu, bo nie było w niej śladu emocji.

- Słyszałaś? Zakochałem się w tobie.

- Przykro mi.

Przykro? Dlaczego przykro? Bo nie dosłyszała, co powiedział, czy też dlatego, że go nie kocha? Jezu, już i tak czuł się paskudnie z powodu czekających go oświadczeń! Czy musiała dodatkowo je utrudniać?

- Pewnie wielu mężczyzn wyznawało ci miłość?

Nie zdawał sobie sprawy z sarkazmu, z jakim wymówił to pytanie, ale Jocelyn go usłyszała i ogarnęło ją zniecierpliwienie. Spodziewała się miłosnych deklaracji i zamierzała odmówić mu delikatnie, nie dając do zrozumienia, że wie, iż zależy mu wyłącznie na jej pieniądzech. Nadal powstrzymywała się przed nazwaniem go kłamcą, lecz po tej pogardliwej uwadze postanowiła dać mu nauczkę.

- Miles, byłbyś zdumiony, jak wielu jest łowców posagów, którzy w najśłodszym słowach wyznają dozągoną miłość. Oświadczyły, propozycje małżeństwa ... tyle tego było, że dawno straciłam rachubę.

- Oskarżasz mnie ...

- Absolutnie nie - przerwała mu, udając oburzenie. - Ktoś tak szlachetny jak ty nigdy nie posunąłby się do takiego niskiego czynu. Ani na chwilę nie przyszło mi to na myśl zapewniła go i poklepała po ramieniu. - Moja mało entuzjastyczna reakcja wynikała stąd, że to ciągle tłumaczenie, dlaczego nie zamierzam ponownie wyjść za mąż, bardzo mnie nuży. Ale ty nie proponowałeś mi małżeństwa, prawda? Pewnie, że nie! Przecież znamy się zaledwie od paru tygodni.

Musiała się odwrócić, żeby nie dostrzegł, jak jej blade policzki zaróżowiły się pod wpływem rozbawienia. Nie mogła się od niego odsunąć, ponieważ ciągle trzymał rękę na jej ramieniu.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nigdy nie wyjdiesz za mąż? - zapytał raczej szorstko.

- Co? Ach tak. - Westchnęła głęboko, szykując się do wygłoszenia tego wierutnego kłamstwa. - Nic nie mogę na to poradzić. Mój mąż znalazł sposób, żebym do końca czciła jego pamięć. Bo, widzisz, jeśli wyjdę ponownie za mąż, stracę wszystko, co mam. Przecież nie mogę tak ryzykować, prawda?

- Wszystko? - był zupełnie zdruzgotany.

- Tak, wszystko.

- Przecież jesteś taka młoda! A jeśli zechcesz mieć dzieci? Albo się zakochasz?

- Ostatnia wola mojego męża nie zakazuje mi posiadania dzieci ani brania sobie kochanków, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota. Och, czyżbym cię zszokowała?!

Najwyraźniej tak, widziała to po jego minie. Nie powiedziała nic więcej, bo z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

- Musisz przeklinać jego pamięć - stwierdził z goryczą.

- Dlaczego tak uważasz? On po prostu starał się ochronić moje interesy, zabezpieczyć tak, żeby nikt nie mógł kontrolować ani mnie, ani pieniędzy, które mi zostawił. Nie widzę w tym nic złego.

- Ty nie widzisz - wymamrotał.

- Słucham?

- Nic, nic. - Z ogromnym wysiłkiem przywołał z powrotem uśmiech na twarz. - Tak jak powiedziałaś, zbyt wcześnie jest mówić o małżeństwie. Słuchaj, nieraz mnie zastanawiało, że masz taką liczną eskortę, a żaden z twoich ludzi nie towarzyszy ci podczas przejazdów.

Jocelyn zareagowała śmiechem na tę nagłą zmianę tematu, udając, że powodem rozbawienia jest

jego pytanie.

- A jak mieliby mi dotrzymać kroku? Celem tych eskapad jest rozruszanie Sir George' a. Moja przyjemność jest na drugim planie. Poza tym nigdy nie oddalam się na tyle, by nie usłyszeli wystrzału. - Wskazała na strzelbę w olstrach przy siodle. - No i mam ciebie do obrony. Gdybym była sama, poruszałabym się w zasięgu wzroku mojej straży. No cóż, będziemy wracać?

- Oczywiście, jeżeli jesteś zmęczona - powiedział pogodnie, starannie ukrywając wściekłość. - Jest tu w pobliżu śliczna łąka. Pomyślałem, że może miałabyś ochotę ją zobaczyć. Mijaliśmy ją, no, krótko przed obiadem, więc to naprawdę niedaleko.

Wydawał się mieć szczere chęci. Uznała, iż należy mu się rekompensata za zduszenie nadziei w zarodku. Prawdę mówiąc, dręczyły ją trochę wyrzuty sumienia za te wszystkie kłamstwa, jakich mu naopowiadała, żeby uniknąć niesmaku w przypadku jego ewentualnych pretensji i żalów.

- Chętnie się przejadę - zgodziła się z uśmiechem. - Brzmi to zachęcająco.

## Rozdział 31

- Jakby mnie kto pytał, uważam, że tracimy czas.

- A kto cię pyta?

Pete Saunders spojrział z ukosa na nowego. Dziwny jakiś. Kazał na siebie mówić Angel, po prostu Angel<sup>5</sup>. Niby tak się nazywał, może rzeczywiście to było jego nazwisko? Bo kto by się zgodził na takie imię? Nie wyglądał na anioła, absolutnie nie. Ale dbał o wygląd. Golił się co rano, przystrygał włosy i był taki schludny, że nawet sam prał swoje rzeczy, jeśli w pobliżu nie było pralki, do której mógłby je zanieść. Pedant. Taki sam jak ich szef.

Z początku trudno to było zauważyć. Najpierw rzucała się w oczy blizna biegnąca wzdłuż zuchwy od policzka aż po ucho, jakby komuś, kto próbował podciąć mu gardło, nieco obsunęła się ręka. Potem uwagę przyciągały oczy, czarne jak piekło, zimne i bezzwzględne. Strach było w nie dłużej patrzeć, bo na ich dnie czała się śmierć.

Nie był zbyt wysoki, co z początku też umykało uwadze. Zawsze chodził w długim skórzanym płaszczu, niemal zamiatając nim ziemię. Błyskały spod niego masywne srebrne ostrogi, które pobrzękiwały ostrzegawczo, kiedy się zbliżał. Zapewne nie zawahałby się rozorać boków konia, gdyby mu się przypadkiem spieszyło. Lecz on się nigdy nie spieszył. Ruchy miał zręczne, ale powolne. Wydawał się pozbawiony nerwów. Nigdy nie było wiadomo, co właściwie myśli, bo rzadko się odzywał i nigdy nie uśmiechał. Nawet temu zimnemu Anglikowi o stalowych oczach czasami zdrząły usta. Natomiast Angel zachowywał kamienną twarz.

Dokooptowali go w Benson wraz z dwoma ludźmi z bandy Clantona, którzy nie mieli ochoty na dalsze zwady z Earpami, szczególnie że po strzelaninie w Tombstone rozeszły się pogłoski o zemście planowanej przez braci. Dewane wrócił do Benson po tropiciela, bo zgubili orszak księżnej na trasie do Tucson. Zorientowali się, że wyprowadzono ich w pole, dopiero gdy wjechali do miasta. Stracili cztery dni, a szef tak się wściekł, że walnął Pete'a pięścią na odlew, aż zleciał z konia, jakby to była jego wina!

Pete tego nie zapomniał... o nie! Bolała go stłuczona kość ogonowa, bo całe dni spędzali w siodle, a nad wargą, w miejscu, gdzie dopiero co odpadł strup, skóra nadal była różowa i wrażliwa. Myślał nawet, żeby z miejsca rzucić tę robotę, ale Dewane stwierdził, że wszystkiemu winien ten mieszaniec, którego wynajęła księżna. Chętnie dorwałby Indiańca, bo przez niego został oszpecony, postanowił więc trzymać się Anglika jeszcze przez jakiś czas, widząc w tym jedyną szansę, żeby dostać go w swoje ręce. Ale sprawy nie układały się po jego myśli, zemsta na razie nie wchodziła w grę, bo szef miał nowy plan i siedzieli beczynnienie. Wyglądało na to, że nigdy się nie doczeka.

Cierpliwość i chęć odwetu nie chodziły w parze, przynajmniej nie w jego przypadku. Dwukrotnie miał Indiańca na muszce, ale zabronili mu strzelać. Najpierw trzeba było wypróbować ten nowy plan. Pete uważał, że prędzej gruszki wyrosną na wierzbie, niż cokolwiek z tego wyjdzie.

Zemsta nie była warta tyle zachodu. Już żałował, że się od nich nie odłączył, kiedy była ku temu okazja. Teraz tkwili w Nowym Meksyku; nie znał tu nikogo, a do Arizony - szmat drogi. Angel, z którym miał pecha dziś jechać na rekonesans, zrobił się jakiś podminowany. Jeżeli nawet on traci cierpliwość, to Pete ma prawo sądzić, że nie dożyje wieczora, a jego trupa wilki zjedzą na kolację.

- Saunders zatrzymaj się! - warknął niespodziewanie Angel. Serce mu zamarło, bo Angel zaskoczył go akurat podczas tych myśli. Lecz gdy podążył za jego wzrokiem, zobaczył to samo, co on - hen, daleko, dwa zbliżające się punkty w obłoku kurzu.

---

<sup>5</sup> Dosł. Anioł (przyp. tłum.)



- Nie wierzę - odezwał się Pete. - Myślisz, że w końcu się udało?

Angel nie raczył odpowiedzieć, a Pete wolał nie naciskać.

Wkrótce się przekonają. Skryli się obaj za kępą szalwii, żeby przypadkiem za wcześniej ich nie zauważono.

Według umowy dzień i noc mieli czekać z pieniędzmi, trzymając się kilometr na wschód od szlaku i dobre sześć kilometrów za orszakiem księżnej, żeby nie wytropił ich ktoś, kto przypadkiem odbiłby od kawalkady, na przykład ten ich mieszaniec, który miał zwyczaj krążyć po okolicy. Szef postanowił utrzymywać nawet większą odległość, tak aby dzielił ich przynajmniej dzień drogi.

Każdego dnia dwóch ludzi udawało się na rekonesans. I każdego dnia wracali z pustymi rękami. Minęły dwa tygodnie, ale Anglik nie dawał za wygraną, bo uczeplił się myśli, że przywiodą mu tę kobietę i zabiją na jego oczach. Pomyślał, żeby zabić mieszańca i podstawić jednego z ich ludzi na jego miejsce, nie przemawiał do niego, dopóki w grę wchodziła ta pierwsza ewentualność. Poza tym raczej wątpliwe, czy udałoby mu się zmylić czujność straży i porwać księżną. Musiałby raczej spróbować ją zabić w obozie.

Po dziesięciu minutach wpatrywania się Pete doszedł w końcu do wniosku, że to, co z początku brał za rozwiane połę płaszcza podróżnego u jednego z jeźdźców, jest w rzeczywistości zieloną damską spódnicą.

- To naprawdę ona, nie?

Właściwie nie tyle szukał potwierdzenia u Angela, ile głośno dał wyraz swemu zdumieniu. Naprawdę uważał, że marnują czas.

- Te rude włosy pod dziwnym kapeluszem - przytaknął Angel.

Pete jeszcze bardziej wyteżył wzrok.

- Jezu, ale ty masz oczy! Ja nie widzę nawet kapelusza, a co dopiero mówić o włosach. - Lecz po chwili on też go dostrzegł.

Jocelyn zaczynała niepokoić ta krótka przejażdżka, podczas której oddalała się coraz bardziej od swoich ludzi. Przejechali kilkanaście kilometrów, a tu wciąż ani śladu łąki, doliny lub czegokolwiek godnego uwagi. Przyszło jej na myśl, niestety dość późno, że w propozycji Milesa mógł kryć się zamiar odcięcia jej od orszaku, na przykład po to, aby zażądać za nią okupu. Przecież jego plan legalnego zdobycia majątku spalił na panewce. Czyżby zamierzał dobrać się do niego nielegalnie? A ona z powodu głupiego poczucia winy sama mu to ułatwiła.

Wraz z pojawieniem się wątpliwości przyszły jej do głowy najróżniejsze myśli. A jeśli nie wierzył, że wychodząc za mąż, straci majątek? Czy uwozi ją, żeby zmusić do małżeństwa? Zadrżała, bojąc się nawet pomyśleć, do czego mógłby się w takim wypadku posunąć. Wymuszeń dokonywano różnymi sposobami i żaden z nich nie był przyjemny.

Ściągnęła wodze, aż Sir George zarył w miejscu, przysiadając na zadzie. Miles na swym mniej rączym koniu spokojnie zatrzymał się przy niej.

- Co się stało?

To niewinne pytanie wypowiedziane z zatroskaną miną sprawiło, że poczuła się jak głuptaska, lecz mimo to nie zamierzała jechać dalej.

- Dokucza mi ból głowy, obawiam się, że muszę zrezygnować z oglądania tych twoich widoków.

- Ale to już niedaleko! - zaprotestował.

Gdzie znikła jego troskliwość? - pomyślała z odrazą.

- Naprawdę? - Rzuciła mu spojrzenie spod ściągniętych brwi. - Nie widzę nic, poza ... - W tej samej chwili dwóch ludzi wyłoniło się zza krzaków jakieś dziesięć metrów od nich. - To twoi przyjaciele? - dokończyła przerwaną myśl.

Jednocześnie sięgnęła po strzelbę. Miles złapał ją za rękę i przycisnął palce do kolby. Spojrzała na niego rozwścieczona i wtedy zobaczyła, że trzyma rewolwer wycelowany w jej pierś.

- Nie zrób żadnego głupstwa, duchess - ostrzegł ją, a jednocześnie wyciągnął strzelbę z olster i rzucił na ziemię.

- Większego niż to, które już zrobiłam? - wyrzuciła z siebie z furią.

Dwaj mężczyźni zbliżali się. Gdyby nie ten cholerny rewolwer tuż przy jej piersi, poderwałaby Sir George'a do galopu.

Dała się wmanewrować w zasadzkę. I pomyśleć, że taka sytuacja nawet nie przeszła jej przez myśl. Jak to możliwe, że Miles był w to zamieszany? Jakim sposobem Długonosy do niego dotarł? Kiedy? Jak? Niemniej nie miała wątpliwości, kim byli ci mężczyźni i że Miles świadomie ją do nich doprowadził.

- Duchess, wyjawiając swoje położenie, nie pozostawiłaś mi wyboru - oznajmił półgłosem, zanim mężczyźni się z nimi zrównali. - Wolałbym zagarnąć cały twój majątek, ale w tej sytuacji muszę się zadowolić pięcioma tysiącami, które mi obiecano.

- Czy mam ci współczuć, że przystałaś na tak małą sumę? Mój Boże, jesteś skończonym durniem, Miles!

Spurpurowiał na twarzy.

- Nie wiem, czego od ciebie chcą, ale oddaję cię w ich ręce. Wierzyła, że nie orientuje się, czemu miały posłużyć te judaszowe srebrniki, lecz nie sądziła, że ta wiedza mogłaby wpłynąć na zmianę jej sytuacji. Nie miała wątpliwości, co ją czeka, na szczęście w tej chwili złość na niego za chciwość, a na siebie - za głupotę przesłoniła myśli o przyszłości. Poza tym była prawie pewna, że nie zginie od razu, z ręki któregoś z tych mężczyzn. Logika nakazywała sądzić, że Długonosy życzy sobie być świadkiem jej egzekucji. Zbyt dużo wysiłku włożył w jej pojmanie, by nie zobaczyć jej śmierci.

- Więc oddajesz mnie w ich ręce, tak? A jak zamierzasz wytłumaczyć strażom moje zniknięcie? Powiesz, że mnie zgubiłeś czy też że przytrafił mi się jakiś straszny wypadek?

- Wpadłaś do rzeki - oświadczył ponuro.

- Bardzo sprytnie. Tylko postaraj się grać bardziej przekonująco niż podczas tych dwóch tygodni. Jeżeli twoja historyjka wzbudzi najmniejsze podejrzenia chociażby u jednego z mych ludzi, możesz być pewien, że ani ty, ani twoja siostra nie odjedziecie ze swoim łupem.

Uśmiechnął się z satysfakcją.

- A więc uwierzyłaś, że Maura jest moją siostrą? W takim razie dowiedz się, że to moja kochanka.

Ta informacja zbiła ją z tropu, ale tylko na chwilę.

- Bardzo sprytnie, panie Dryden, niemniej przejrzałam cię na wylot.

- Bzdura! - warknął. - Wierzyłaś we wszystko!

- Tak jak ty? - Posłała mu tryumfalny uśmiech. - Muszę cię rozczarować, ty polująca na posagi kreaturo. Oszukałam cię. Naprawdę sądziłeś, że wysłałabym za kogoś tak łatwego do rozszyfrowania jak ty?

Z satysfakcją stwierdziła, że zbladł, pojmując znaczenie jej słów, i skupiła uwagę na jeźdźcach, którzy zdążyli usłyszeć ostatnie zdanie i dobrze je zrozumieli. Nie przejęła się. Dryden nie odjedzie zadowolony z zysku. Niech wie, że z własnej winy poniósł klęskę.

- Słyszałeś, Angel? - młodszy mężczyzna zwrócił się do swego towarzysza. - Kazał nam czekać tyle czasu, bo się do niej zalecał. Nie zasłużył na te pieniądze, jakby mnie kto pytał.

- A kto cię pyta? - odezwał się ten drugi, czarniawy i groźniej wyglądający. - Wcale nie zamierzałem mu ich dać.

Zanim jego kompan zdążył się zorientować, do czego zmierza, wyciągnął colta czterdziestkępiątkę i strzelił Milesowi Drydenowi między oczy, po czym flegmatycznie schował rewolwer do kabury.

W tej chwili Jocelyn miała szansę uciec, bo nikt jej nie trzymał na muszce, lecz była zbyt

zszokowana, żeby z niej skorzystać. Wystarczył jeden rzut oka na Milesa, aby nabrać pewności, że jest trupem.

Nie patrzyła, jak powoli osuwa się z konia i spada na ziemię, bo nie mogła oderwać oczu od jego zabójcy, który nie wykazywał ani cienia emocji. Nie zauważyła, że jego towarzysz jest nie mniej zszokowany niż ona ani że bryzgi krwi poplamiły jej amazonkę z zielonego aksamitu. Zamarła wpatrzona w tego człowieka, wiedząc, że jest teraz zdana na jego łaskę, świadoma, że nie ma co na nią liczyć. Może to sam Długonosy?

## Rozdział 32

Nie, niemożliwe, to nie jest John Długonosy! Przecież kiedy się odezwał, rozpoznała zachodni akcent. Ten jego gadatliwy kompan z głupkowskim uśmiechem nazywa go Angelem, no i wspomina o jakimś szefie. Zapewne ma na myśli Długonosego. A może jednak zabójca Milesa jest Anglikiem? Dryden twierdził, że oddaje ją Anglikowi?

Dopiero po paru godzinach jazdy umysł Jocelyn zaczął się budzić z odrętwienia i powoli odzyskiwała zdolność rozumowania. Naturalnie w pierwszej chwili, gdy się zorientowała, że ten człowiek wiezie ją przed sobą na swoim koniu, ogarnęło ją przerażenie. Po mniej więcej godzinie wsłuchiwania się w paplaninę Saundersa i nieodgadnione pomruki Angela jej strach, przynajmniej przed tymi dwoma, nieco osłabł.

Saunders był młokosem, a przez ten swój uśmiech wydawał się niegroźny. Brutalność wyglądu Angela nie budziła niepokoju, dopóki siedział za nią i nie musiała na niego patrzeć. Ani na chwilę jednak nie zapomniała, dokąd ją wiozą i co ją tam czeka.

Świadomość, że musi umrzeć, nie była przyjemna. Tylko dzięki swemu wrodzonemu optymizmowi nie zmieniła się jeszcze w rozhisteryzowaną idiotkę. Ale póki żyje, zawsze trwa nadzieja, iż może wydarzyć się coś, co pozwoli jej wywinąć się śmierci. Może uciec, walczyć, może zjawi się odsiecz. Strzelbę straciła, ale nie była całkiem bezbronna. We włosach miała długie szpilki, które można wbić w oko, na nogach twarde buty do jazdy, no i ostre paznokcie. A odwagi dodawała jej pamięć o wszystkich dotychczasowych porażkach Długonosego.

Mimo całego swego optymizmu długo zbierała się na odwagę, zanim przemówiła do siedzącego za nią mężczyzny.

- Ile mi jeszcze zostało? - zadała bardzo konkretne pytanie, gdy wreszcie się przemogła.

- Czego?

- Życia.

- Nie zaprzętałbym sobie tym głowy - odpowiedział obojętnie, leniwie przeciągając samogłoski.

Na moment odebrało jej mowę.

- Nie zaprzętam - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- Więc po co pytać?

- To oczywiste, chcę wiedzieć, kiedy zrzucić cię z konia i uciec.- poddała go próbie.

- Podobasz mi się, pani - roześmiał się, zupełnie ją tym zaskakując. - Podejrzewałem, że musisz być niezwykłą osobą, skoro poproszono mnie o tę przysługę.

- To przysługa? - niemal się zakrztusiła.

- Zapłata też jest nie do pogardzenia.

Co mogła na to odpowiedzieć? Ten człowiek najwyraźniej był pozbawiony sumienia. A może dług, który musiał spłacić, był tak poważny, że nie mógł odmówić przysługi, jakiej zażądano od niego w rewanżu? Nie, coś jej mówiło, że nie istniała taka siła, która zmusiłaby go do zrobienia czegoś, czego sam nie chciał. A więc to jednak brak sumienia.

Ta myśl na jakiś czas zniechęciła ją do dalszej rozmowy.

Z drugiej strony tylko z nim mogła wiązać nadzieję. Z dwóch mężczyzn eskortujących ją do Długonosego - on był silniejszy i bardziej niebezpieczny. Gdyby udało się go przekonać, żeby, zamiast oddać ją Anglikowi, odwiózł ją z powrotem do jej ludzi, Saunders na pewno by go nie powstrzymał. Ale jak, na Boga, miała dotrzeć do kogoś, kto kazał jej nie zaprzętać sobie głowy resztką czasu, która jej pozostała, i spłacał dług wdzięczności, wioząc ją na pewną śmierć? Żaden pomysł nie przychodził jej do głowy, chyba że ...

- Wiesz, że Anglik chce mnie zabić, prawda?

- Nie robi z tego tajemnicy.

Prysła nadzieja, że być może nie wie, w jakim celu ją eskortuje. - A wiesz, dlaczego?

- Czy to ma znaczenie?

- Niewątpliwie dla ciebie żadnego.

Znowu usłyszała ten jego śmiech i ponownie zacisnęła zęby, tym razem żeby powstrzymać się od obrzucenia go najgorszymi, najpotworniejszymi epitetami, jakie przychodziły jej na myśl. Pozbawiony sumienia? Raczej zwyrodnialec. I pomyśleć, że to Indian nazywano tutaj dzikusami!

- Skoro tak wszystko wiesz, czy mógłbyś mi powiedzieć, jak Długonosy dotarł do Milesa Drydena? - Długonosy?

- Anglik.

- A, więc tak się nazywa. - Wydawał się zaskoczony. - Nic dziwnego, że nie chciał wyjawić nazwiska.

Jocelyn westchnęła zniecierpliwiona.

- Podobnie jak ty nie mam pojęcia, jak się nazywa ten przeklęty Anglik, ale co to ma za znaczenie? Pytałam cię, jak się zwał z Drydenem. Pamiętasz? To ten, którego dzisiaj zabiłeś.

- O, i ma temperament! - padło stwierdzenie.

- O, i rozumie po angielsku! - odcięła się.

Znowu się roześmiał. On dzięki niej dobrze się bawił, a tymczasem ona przez niego miała ochotę krzyczeć z frustracji. Ale nic z tego, ani piśnie, nie jęknie i na pewno nie będzie płakać czy błagać, bo niczego w ten sposób nie osiągnie.

- Dryden - przypomniała mu.

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

- Wiele mógł mieć na sumieniu, ale nie wyglądał jak ktoś z waszej bandy. Nie był typowym obwiesiem, jakich Długonosy najmuje ... Bez obrazy, oczywiście.

- No, oczywiście.

Zignorowała jego uwagę, stwierdzając przy tym z zadowoleniem, że pomimo grubej skóry można go było trafić w czułe miejsce.

- On był jedynie nieszkodliwym łowcą posagów, a nie mordercą - zauważyła.

- Stary Dewane, zdaje się, miał inne zdanie i dlatego wszedł z nim w konszachty, gdy tylko go rozpoznał, zanim nawet ustalił to z szefem. I najwyraźniej przecucie go nie zawiodło. Ten twój niewinny łowca posagów był z nami w zмовie, zgadzasz się?

- Dogadał się z wami, zanim dołączył do naszej grupy czy dopiero później?

- Później. Dogoniliśmy was w Silver City następnego dnia rano po waszym przyjeździe. Dewane wraz z bratem zajrzeli do hotelu, żeby sprawdzić, czy można się do ciebie dostać, i wtedy właśnie zauważył Drydena, jak rozmawia w holu z twoją przyjaciółką. Reszty domyśli się sama.

Domyśliła się, co nie miało większego znaczenia, poza tym, że zaspokoiła ciekawość. Trzeba mieć możliwość uczenia się na własnych błędach, a ci mężczyźni byli zdecydowani nie dać jej tej szansy. Ale czy na pewno? Czy są bezgranicznie lojalni, czy też można ich kupić?

Postanowiła to niezwłocznie sprawdzić. - Mogę zapłacić .ci więcej niż Anglik.

- Wiem.

- Mówię o fortunie. - Brak odpowiedzi. - Nie zależy ci?

- Nie.

- A to ciekawe! - Nie dowierzała własnym uszom. - Dopiero co zabiłeś człowieka dla pieniędzy.

- Za dużo mówisz.

- Ale to fakt, więc pieniądze coś dla ciebie znaczą.

- Niewiele.

- W takim razie dlaczego go zabiłeś?

- Za dużo mówisz - powtórzył.

- A ty za mało! - replikowała.

- Posłuchaj, to jest tak. Ten człowiek zasługiwał na śmierć. Przyprowadził cię nam, prawda?

- Nie wiedział, w jakim celu.

- Nie oszukaj się - powiedział z odrazą. - Obiecano mu, że po tym wszystkim znikniesz i nie wskażesz go palcem. Po prostu najpierw spróbował przeprowadzić własny plan, a wiecie, że trudnił się tym zawodowo.

- Co masz na myśli?

- Według Dewane'a był szulerem. Kiedy na zachodnim brzegu Missouri zabrakło miast, z których by go nie przegoniono, kilkakrotnie żenił się dla pieniędzy ze starymi wdowami, a potem, gdy pieniądze się skończyły, pozbywał się ich.

- Rozwodził się?

- Nie.

- Och!

- Czy teraz wreszcie zamilknie?

Od zgrzytania zębami rozboleła ją szczęka.

- Sir, jeżeli nie masz ochoty ze mną rozmawiać, to przesadź mnie na mojego konia.

- Sprytny wybieg, pani - zakończył temat.

Zrezygnowała z dalszych prób. Żałowała, że nie puścili wolno Sir George'a, tak jak to uczynili z wierzchowcem Milesa. Bała się myśleć, co się z nim stanie, jeśli rzeczywiście tym razem nie dopisze jej szczęście. Już miała zapytać Angela, czy nie zatrzymałby Sir George'a, ale doszła do wniosku, że w tych rękach los jej pięknego ogiera byłby równie parszywy jak u Długonosego.

Saunders, któremu najwyraźniej spieszyło się tam, dokąd zmierzali, i od początku trzymał się o parę długości konia przed nimi, wjechał teraz na małe wzniesienie, po czym wydał głośny okrzyk. Jocelyn wstrząsnął zimny dreszcz, domyślała się, co ujrzy po drugiej stronie wzgórza. Nie pomyliła się. W niecce u stóp stromego zbocza sześciu mężczyzn krzątało się przy rozbijaniu obozowiska.

Krzątało się, dopóki Saunders swoim okrzykiem nie ściągnął ich uwagi. Znieruchomieli wpatrzeni we wzgórze, a gdy na szczycie pojawił się Angel, wszystkie oczy, jak na komendę, skierowały się na jego zdobycz.

Jocelyn mimowolnie odchyliła się i oparła o pierś Angela.

Opuściły ją wszelkie nierealne myśli o ucieczce. Pozostawały jedynie spekulacje, w jaki sposób Długonosy zamierza ją zabić. Zastrzelili ją od razu czy zgotuje powolną śmierć?

Natychmiast go zauważyła. Stał nieco z boku, wysoki, smukły, prosty jak struna, wsparty obiema dłońmi na lasce ze srebrną gałką. Najwyraźniej nie uczestniczył w rozbijaniu obozu; fizyczna praca nie licowała z jego pozycją. Wyróżniał się również strojem. Miał na sobie gołębio popielaty, trzyczęściowy garnitur i narzucony na ramiona elegancki wełniany płaszcz. Musiał być dobre dziesięć lat starszy od swoich towarzyszy. Oceniała go na jakieś czterdzieści kilka lat.

A więc to jest jej prześladowca. W przeciwieństwie do swoich ludzi nie wyglądał na bezwzględного mordercę. Jak na ironię wydawał się całkiem nieszkodliwy i zupełnie nie pasował do otoczenia.

Zapewne normalnie rozbawiłoby ją to spostrzeżenie, bo ona w swojej amazonce z mięsistego aksamitu, bluzce z koronkowym żabotem i w wysokim kapeluszu do jazdy też nie pasowała, ale nie było jej do śmiechu. Być może Długonosy nie wyglądał tak, jak go sobie wyobrażała, niemniej był tym właśnie człowiekiem, który z maniackim uporem ścigał ją od trzech lat - po to, żeby zabić.

Jocelyn zeszywniała, gdy Angel skierował się ze wzgórza do swych kompanów, którzy zdążyli już otrząsnąć się z niemego podziwu. Niektóre z ich uwag przedarły się do jej świadomości, oderwała więc wzrok od Długonosego i prześliznęła się spojrzeniem po twarzach mężczyzn. Wszyscy byli jej wrogami, nie zaszkodzi więc ich zapamiętać.

Ich widok jeszcze bardziej ją przygnębił. Miała przed sobą bandę bezwzględnych, budzących

grozę obwiesiów, bardzo odpowiednich do brudnej roboty. Zrozumiała, że nie ma co liczyć na pomoc, której tak bardzo potrzebowała. Nie spodziewała się, że będzie ich aż tylu. W dodatku część z nich patrzyła na nią z nieukrywaną żądzą. Dobry Boże, w jednej chwili opuściła ją cała odwaga i prysła nadzieja na ucieczkę.

- O cholera, nie myślałam, że tak wygląda!

- A co, spodziewałeś się starej baby'?

- Właściwie ...

- Szefie, pamiętasz, co mi obiecałeś?! - wrzasnął któryś.- Biorę konia!

Rechoty wywołane tym okrzykiem nie zakończyły komentarzy, które tak bardzo ją przerażały. Bezwiednie mocnej oparła się o Angela, kiedy zbliżali się do Długonosego.

- Jak rany! Pierwszy raz widzę takie rude włosy!

- Za chuda!

- Co za różnica?

- Zabawimy się z nią po kolei? Tylko tyle chcę wiedzieć.

Najwyraźniej nie tylko jeden z nich chciał poznać odpowiedź na to pytanie, bo wiele par oczu skierowało się na Anglika. Lecz on nie raczył dotąd odezwać się ani słowem. Wpatrywał się w Jocelyn, wyginając usta w uśmiechu.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. A więc napawa się swoim zwycięstwem. I zastanawia się, czy nie oddać jej w ręce tym bydlakom.

Była gotowa na wszystko, kiedy Angel zatrzymał konia i pomógł jej zsiąść. Gdyby Długonosy stał odrobinę bliżej, kopnęłaby go w podbródek, zmuszając tym do gwałtownej reakcji. Niewątpliwie musi go jakoś sprowokować, żeby zabił ją natychmiast, nim żądania tych ludzi staną się bardziej natarchywe. Nie zamierzała się nacierpieć przed śmiercią.

W tej samej chwili, gdy zdecydowanym krokiem ruszyła ku swemu rodakowi, Angel szarpnięciem za ramię odwrócił ją ku sobie. Zdążył zeskoczyć z konia i ze zdziwieniem stwierdziła, że jest niższy, aniżeli wydawał się w siodle. Pierwszy raz miała okazję przyjrzeć się mu z bliska, nie mógł być o wiele starszy od niej. Z jego zwartej sylwetki, ukrytej pod sięgającym butów, skórzanym płaszczem, emanowała bezwzględna siła. Czowała ją w stalowym uścisku na ramieniu. Widziała w spojrzeniu zimnych, czarnych oczu.

- Nie rób tego! - syknął cicho z wściekłością, wprawiając ją w przerażenie.

- Czego? - zapytała ostrożnie.

- Zamierzałeś się na niego rzucić, prawda?

- Jakim cudem odgadłeś? - szeroko otworzyła oczy.

- Czuję, że się szykujesz do walki.

Wyprostowała się.

- Puść mnie! - zażądała szeptem.

- Widzę, że się myliłem, sądząc, że masz więcej rozumu. Wydawało mi się, iż będziesz grać na zwłokę, licząc na ratunek ze strony swych straży, a nie dążyć do samobójstwa.

Wyrwała ramię.

- Zależy, co dla kogo najważniejsze, co się bardziej liczy.

- Czyżbyś stawiała dumę ponad życie?

Zarumieniła się, słysząc to sformułowanie wypowiedziane z pogardą. A niech go, ma rację! Powinna za wszelką cenę odwlec to, co ją czeka. Może jest szansa, że zdążą ją odnaleźć?

Angel zdawał się czytać w jej myślach.

- Nie przejmuj się. Dzisiaj nie jest ci pisane umrzeć, skarbie.

Otwierała usta, żeby zażądać wyjaśnień w związku z tą tajemniczą uwagą, lecz przeszkodził jej w tym głos Długonosego.

- Wasza wysokość, miło ją widzieć w naszym gronie. Odwróciła się powoli i czekała, aż się do

niej zbliży. Patrząc na niego, musiała unieść głowę, ale obecność Angela za plecami dodawała jej odwagi, mimo że nie rozumiała, co właściwie miał na myśli.

- Drobnostka, Długonosy - skłoniła lekko głowę z miną godną królowej. - To ja dziękuję za zaproszenie. Byłabym zdruzgotana, gdyby ominęła mnie okazja spotkania w tym miłym gronie.

Z jakichś powodów jego ludzie uznali tę odpowiedź za wielce zabawną. On nie. Rumieńce wystąpiły mu na policzki, a wyraz zimnych, szarych oczu obiecywał jej śmierć w męczarniach. Sprovokowała go, nie podnosząc na niego ręki. Zanim zdążył się zdecydować na jakikolwiek ruch, Jocelyn poczuła, jak Angel, mamrocząc pod nosem przekleństwo, odsuwa ją na bok.

Elliota ogarnęła przemożna chęć zacisnąć dłonie na jej szyi, ale nie zaślepiła go na tyle, by nie dostrzegł manewru Angela. Stał teraz, częściowo zasłaniając sobą księżnę, niby mimochodem odwinąwszy połę płaszcza, tak aby w razie konieczności szybko wyciągnąć broń.

Ten sygnał nie uszedł uwagi Elliota, ale też go nie zaniepokoił. Angel był jednym z ośmiu jego ludzi.

Przed wszystkim nie powinien był go nająć, ale teraz za późno na te rozważania. Od początku, jak tylko go zobaczył, przeczuwał, że ten człowiek może sprawiać problemy, bo różnił się od pozostałych. Był tropicielem. Owen sprowadził go z Benson i rzeczywiście momentalnie natrafił na ślad księżnej, dzięki czemu po kilku dniach ostrej jazdy zrównali z orszakiem.

Nie potrzeba mu teraz kłopotów. Właściwie był wdzięczny Angelowi za to, że rozproszył jego uwagę. Nie powinien dać się ponieść złości, nie tak wyobrażał sobie zakończenie tej historii. Duchess zasługiwała na coś więcej. Więc jeśli Angel miał na nią ochotę, jeżeli to właśnie dawał mu do zrozumienia swoją postawą, niech się z nią zabawi. Niech wszyscy po kolei się zabawią. A na koniec on powoli wycisnie z niej ostatnie tchnienie.

Uśmiechnął się, delektując się swoją wizją, i ku swemu zadowoleniu stwierdził, że pod wpływem tego uśmiechu Jocelyn traci pewność siebie. Dobrze. Jej butne zachowanie było niepożądane i co najmniej nie na miejscu. Życzył sobie widzieć jej strach, potrzebował go widzieć.

- Wasza wysokość, masz dziwne poczucie humoru. Ufam, że ono zbyt szybko cię nie opuści. - Przeniósł wzrok na Angela. - Czy Dryden sprawiał jakieś kłopoty? - spytał.

- Nic takiego, o czym warto by mówić.

- Doskonale. Zaczynał mnie niepokoić, lecz w rezultacie idealnie wywiązał się ze swojej roli, więc teraz pomoże nam zyskać na czasie.

- To znaczy?

- Zmyli jej ludzi, kierując ich w inną stronę. Podobnie jak nam, powinno mu zależeć, aby jej nie znaleźli.

- To już nie ma dla niego znaczenia - wtrącił się Pete. - Angel go zastrzelił.

Po długiej ciszy Długonosy skwitował wiadomość krótkim: "Ach tak". Po chwili dodał:

- Więc nie ma mowy o zyskaniu na czasie. Rozumiem, że nie zmarudziłeś po drodze?

- Nie - przeciągle odpowiedział Angel. - Mam pytanie. Dlaczego pan nigdy nie wspomniał, że to taka ładna kobieta?

- Bo to nieistotne.

- Bardzo istotne. Szkoda nie wykorzystać takiej urody.

Jocelyn uderzeniem odepchnęła jego rękę, gdy mówiąc te słowa, pogładził palcem jej policzek. A więc to miał na myśli, zapewniając ją, że dzisiaj nie umrze. Zapadał zmrok. Nikt nie odnajdzie jej tu. po ciemku. Ci mężczyźni mają przed sobą całą noc, a Angel zapewne zamierza być pierwszy. Długonosy musiał pomyśleć to samo, bo znowu się uśmiechnął.

- Naturalnie, wystarczy czasu. Sam zamierzałem to zaproponować. Tylko obejdz się z nią delikatnie, bo osobiście zamierzam ją zabić.

Gdyby Jocelyn miała skłonność do omdleń, po tych słowach osunęłaby się na ziemię. Ogarnęła ją panika. Cała nadzieja w Sir George'u. Gdyby udało jej się go dosiąść, spotkałaby ją szybka



śmierć od kuli w plecy, bo tylko w ten sposób mogliby ją zatrzymać.

I tym razem Angel musiał czytać w jej myślach. Bolesnym chwytem za ramię przytrzymał ją przy sobie. Zabiłaby go w tej chwili, gdyby miała taką możliwość. Właściwie już sięgała do włosów po szpilkę, ale sparaliżował ją cichy głos Angela.

- Chyba mnie nie zrozumiałeś - odezwał się do Długonosego. - Postanowiłem ją zatrzymać ... aż się nią znudzę.

- To absolutnie nie wchodzi w grę!

- Nie pytam cię o pozwolenie, Angliku. - W głosie Angela pobrzmiewała groźba.

Twarc starszego mężczyzny pokryła się szkarłatem. Zamierzył się na niego laską.

I tu popełnił błąd. To, co nastąpiło, nie było dla Jocelyn nowością. Widziała już błyskawicznie wyciąganą broń. Drgnęła lekko, gdy padł strzał, lecz ku jej rozczarowaniu Długonosy nadal trzymał się na nogach. Angel jedynie wybił mu laskę z dłoni.

- Panie Owen! - bezrozumnie zagrzmiął Długonosy, zamiast się opanować.

Wywołany dżentelmen okazał zdecydowanie więcej rozsądku.

- Nic z tego, szefie. Nie zadzieram z takimi jak on. Długonosy powiódł spojrzeniem po reszcie mężczyzn; wszyscy zdawali się podzielać zdanie Owena. Pasy z rewolwerami jeden za drugim spadały na ziemię. Jocelyn zrozumiała dlaczego, gdy zobaczyła, jak Angel po kolei do nich celuje. On jeden, a ich siedmiu, lecz żaden z nich nie miał ochoty kusić losu i z nim się zmierzyć. Nie do wiary! Widocznie nie tylko ona prawidłowo oceniła jego szybkość i celność.

- Saunders, przyprowadź mi tego konia! - rozkazał Angel, wskazując na Sir George'a.

Chłopak bez ociągania spełnił polecenie. W pierwszej chwili Jocelyn pod wpływem ogromnej ulgi niemal się uśmiechnęła, lecz zaraz uświadomiła sobie, że wcale nie jest uratowana, że po prostu jedno niebezpieczeństwo zmieniło się w inne. Ale szanse na ratunek wzrosły, bo nie groziła jej natychmiastowa śmierć, więc zapewne powinna odczuwać wdzięczność dla swego niespodziewanego wybawcy.

Jednak zmieniła zdanie, gdy usłyszała pożegnalne słowa Angela.

- Możecie uważać ją za martwą. Tam, dokąd ją zabieram, jej ludzie nigdy jej nie odnajdą. A kiedy z nią skończę ...

- Zabijesz ją?

- Dlaczego by nie? - Angel wzruszył ramionami. - Jako zaliczkę zatrzymam pieniądze Drydena.

## Rozdział 33

Jocelyn sądziła, że pozwoli jej wsiąść na Sir George'a, a sam pojedzie z tyłu, żeby uniemożliwić jej próbę ucieczki. Powinno mu zależeć na szybkim opuszczeniu tej okolicy.

Wprowadziła oba konie na wzniesienie, bo Angel trzymał bandę na muszce. Jednak on wciągnął ją przed siebie na siodło i, tak jak wcześniej Saunders, tak teraz sam prowadził Sir George'a za wodze.

- Ta twoja strzelba, potrafisz jej użyć? - zaskoczył ją pytaniem.

Ponieważ nie miała ochoty z nim rozmawiać, jedynie skinęła głową.

- Strzelaj, jak tylko dostrzeżesz cokolwiek ponad linią wzgórza - polecił i wcisnął jej strzelbę do ręki, wprawiając ją tym w zdumienie.

- Najchętniej zastrzelę ciebie.

- Naprawdę? Odłóż tę przemożną chęć na później, złotko.

Ponieważ dostrzegła w tym pewną logikę, oparła strzelbę o ramię i oddała kilka strzałów. Nie wiedziała, czy widzi ludzkie głowy, czy może tylko skały. Czerwona poświata zachodzącego słońca była bardzo zwodnicza. A jednak w odpowiedzi usłyszeli wystrzały; ich przeciwnicy nie rezygnowali, mimo że dawno znaleźli się poza zasięgiem ich kul.

Nabrała pewności, że niebezpieczeństwo minęło, dopiero gdy Angel wyjął jej z rąk strzelbę. I zaraz śmiertelnie się wystraszyła, bo bez uprzedzenia poderwał ją do góry i przesadził za siebie. Przyspieszyli teraz i musiała trzymać się go ze wszystkich sił, żeby nie spaść z konia. Wielokrotnie nachodziła ją myśl, aby oderwać dłonie od skózanego płaszcza. Oparła się jej, bo choć może udałoby się jej ukryć w ciemnościach, przy jej dzisiejszym szczęściu, kto wie, czy nie skręciłaby karku podczas upadku.

Angel zwolnił, gdy zapadła noc, i nie przyspieszył nawet wtedy, gdy na niebo wypłynął księżyc, oświetlając im drogę na tyle, by mogli omijać krzaki i głązy. Dziwiła się nieco, dopóki nie przyszło jej na myśl, że ten, kto próbowałby ich ścigać, przynajmniej do świtu nie zaryzykowałby szybszej jazdy.

Nie miała najmniejszego pojęcia, dokąd zmierzają. Zanim przesadził ją za siebie, kierował się ku łańcuchowi gór na wschodzie, potem zdawał się kluczyć, nie trzymając się żadnego konkretnego kierunku. Po zmroku straciła orientację. Nawet jeśli mieli przed sobą góry, i tak ich nie widziała.

- Jak sądzisz, ile czasu te twoje strażę mogą cię dziś szukać? Po długiej jeździe w całkowitej ciszy zaskoczył ją tym pytaniem. Niepokoił się? Miała taką nadzieję. Z pewnością nie będzie mu pomagać, udzielając konkretnych informacji.

- Na twoim miejscu bardziej przejmowałabym się Anglikiem - oznajmiła. - Chyba nie sądzisz, iż go przekonałeś, że nie puścisz mnie wolno? Nie, nie, on na pewno ruszy za nami, tym razem żeby zabić nas oboje.

Nie odpowiedział ani nie ponowił pytania, poczuła się więc rozczarowana brakiem okazji do dalszej demonstracji swojej niechęci. Dopiero jakieś dwadzieścia minut później odezwał się ponownie, kiedy pociągnął ją za rękę, chcąc w ten sposób zmusić, by ciaśniej opasała go ramionami. Stawiła zdecydowany opór, czym - sądząc po jego tonie - wyraźnie go rozzłościła.

- Na twoim miejscu byłbym miłszy - warknął przez ramię.

- Nie przestraszysz mnie - odparła bez cienia lęku. - Równie dobrze możesz mnie już teraz zabić, bo nie zostanę twoją kochanką ani dziwką.

- A żoną?

- Chcesz się ze mną ożenić?! - Podskoczyła. - O ile pamiętam, pieniądze nic dla ciebie nie znaczą?

- A co pieniądze mają z tym wspólnego?

Co za głupie pytanie!

- W takim razie skąd ten pomysł z małżeństwem?!
- Poza oczywistym powodem jest jeszcze jeden, dodatkowy: mężczyzna ma prawo bić swoją żonę - roześmiał się.
- To wcale nie jest zabawne! - obruszyła się, widząc, że tylko się z nią droczy. - Potwór - mruknęła pod nosem.
- Gdzie się podziało twoje poczucie humoru, którym tak rozzłościłaś Anglika?
- Najwyraźniej śpi i ja też chętnie bym się przespała. Zamierzasz jechać przez całą noc?
- Chcesz, żebym stanął i poczekał na twoich przyjaciół?
- Jego humor działał jej na nerwy.
- Nie zapominaj o moich ludziach.
- Złotko, te twoje straże prawdopodobnie pogubiły się w górach. Nie ma wśród nich tropicieli. Oczywiście, jest ten przewodnik, półindianin. - Zawiesił głos. - Sądysz, że chciałoby mu się ciebie szukać? - rzucił badawczo.

Skoro ostatnio ział do niej nienawiścią?

- Nie - odparła bez namysłu, po czym zdała sobie sprawę, że należało skłamać. - Ale nie lekceważyłabym moich straży.

Jego parsknięcie do reszty wyprowadziło ją z równowagi.

Zbierała się, żeby wygarnąć, co o nim myśli, gdy usłyszała zbliżający się tętent. Wstrzymując oddech, obejrzała się za siebie i zobaczyła tuman szarego pyłu zbliżający się do nich w zawrotnym tempie. Serce uwięzło jej w gardle.

- Doganiają nas!

- Wiem.

- Więc zrób coś!

Zrobił. Zawrócił i zatrzymał konia. A potem z niego zsiadł i ją też zestawił na ziemię. Ale nie wyciągnął rewolweru ani nie sięgnął po jej strzelbę. Patrzyła na niego, jakby nagle stracił rozum. Nie miała zamiaru czekać, by sprawdzić, czy rzeczywiście zwariował. Rzuciła się do ucieczki i zdołała przebiec z piętnaście metrów, zanim ktoś poderwał ją z ziemi. Jej przerażony krzyk wypełnił powietrze i zamarł, gdy z impetem wylądowała na koniu.

- Nic ci się nie stało?

Zamrugła, nie wierząc własnym uszom, lecz to naprawdę był jego głos. Podniosła oczy, by się upewnić, i zobaczyła surowe, piękne rysy.

- Och, Colt! - załkała.

Nie wiedzieć czemu, wybuchnęła łzami, tuląc twarz do jego piersi. Zatrzymał konia i mocniej otoczył ją ramionami. Objął ją tak mocno, że na chwilę zaparło jej dech w piersi. Ten człowiek naprawdę nie zdaje sobie sprawy ze swej siły.

- Nic ci się nie stało? - upewnił się.

- Nie.

- Więc dlaczego płaczesz?

- Nie wiem! - I rozszlochała się na dobre, dopóki z daleka nie dobiegł jej śmiech Angela. - Daj mi rewolwer! - zażądała, prostując się.

- Po co?

- Zastrzelę tego niegodziwca!

- Nie zastrzelisz - oznajmił krótko Colt. - Ja mogę, ty nie. - Po tych słowach zawrócił konia i zbliżył się do Angela, który nie przestawał rechotać. Jocelyn nie rozumiała, co go tak bawi, a jego śmiech doprowadzał ją do furii. Czy jeszcze do niego nie dotarło, że była uratowana, tym razem naprawdę uratowana? Sama też dopiero teraz w pełni to sobie uświadomiła. Niebezpieczeństwo minęło, Colt był przy niej. Nie dopuści, żeby coś jej się stało. Może już jej nie lubi ... kogo stara się oszukać? Przecież nigdy jej nie lubił. No dobrze, nie lubi jej, ale i tak

będzie jej bronił. A pod jego opieką można się czuć naprawdę bezpiecznie.

Ogarnęło ją coś w rodzaju współczucia dla Angela, który chyba nie zdawał sobie sprawy, co go czeka. Nawet opuściła ją złość na niego. Właściwie nic złego jej nie zrobił, a nawet zapobiegł nieszczęściu. Być może Colt przybyłby w porę, żeby uratować ją od śmierci z rąk Długonosego, ale nie zdążyłby zapobiec ...

Musiła mu o tym powiedzieć szczególnie, że przed chwilą chciała Angela zastrzelić: - Ach, Colt...

- Nie teraz, duchess.

- Ale, Colt...

Spóźniła się. Zeskoczył z konia, jeszcze zanim się zatrzymał.

Dopiero teraz spostrzegła, że kipi ze złości. Angel też musiał to zauważyć. Miała okazję widzieć, jak wyciągają broń, trudno powiedzieć, który z nich był szybszy.

- Gdybyś był wyższy, sukinsynu, wytrząsnąłbym z ciebie flaki! - Nagle stopy Angela znalazły się dobre trzydzieści centymetrów nad ziemią.

- Uspokój się, Colt, zrobiłem, co chciałeś.

- Tak? - Potrząsnął nim. - Miałeś tam być na wszelki wypadek, gdyby ją uprowadzono, a nie sam ją do nich zawozić!

- Czuwałem nad wszystkim!

- Cholerne szczęście, że ja czuwałem nad tobą! - warknął Colt, zanim gwałtownie postawił go na ziemi.

- Domyśliłem się, że to ty ściągnąłeś strzały na siebie. Kiedy nas dogoniłeś?

- Za późno, żeby zapobiec waszemu zjazdowi w dolinę - wyjaśnił z niechęcią Colt i dodał przygnębiony: - Cholera, Angel, gdybym po fakcie dowiedział się o tym fortelu, prawdopodobnie bym cię teraz zastrzelił. Narazić ją na takie niebezpieczeństwo ... Mam ochotę pogruchotać ci kości!

- No, już dobrze - odezwał się Angel pojednawczo. Może to nie najmądrzejsze posunięcie, ale niebezpieczeństwa nie było. Tkwiłem tam dostatecznie długo, by wiedzieć, czego się po tej bandzie spodziewać. Połowa z nich to tchórze, a reszta nie odróżnia własnego tyłka od dziury w ziemi.

- Po co to zrobiłeś?

- Żeby poznała swego wroga. Każdy ma do tego prawo, Colt. Miał nad nią przewagę, mogłaby go minąć na ulicy, nie wiedząc, kim jest. Teraz go zna.

- Powinieneś być zabić tego łajdaka i oszczędzić mi zachodu - mruknął Colt.

- O tym nie było mowy - uśmiechnął się, szczerząc zęby. - Poza tym według mnie to też jest jej prawo.

Gniew Colta rozgorzał na nowo.

- Czy ty, do diabła, myślisz, że masz przed sobą drugą Jessie?! To cholerna księżna, Angel! Takie jak ona nie załatwiają spraw same, wynajmują do tego ludzi.

- Nie byłabym taka pewna, Colcie Thunderze - wtrąciła się Jocelyn, kontrolując głos. - Dasz mi swój rewolwer, żeby się przekonać?

Ich zaskoczone miny wyraźnie mówiły, że obaj o niej zapomnieli w trakcie tej zażartej dyskusji. Angel drgnął. Colt odwrócił się gwałtownie, z twarzą wykrzywioną grymasem. Trudno, rzucił jej rewolwer. Będzie miał szczęście, jeśli celując do niego, poprzestanie na odciążeniu kurka.

- Należy ci się, wiesz! - Kipiła z gniewu. Może nie była gotowa go zabić, ale na pewno musiała się wykrzyzczyć. - Do diabła, dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że masz swojego człowieka w tym gnieździe zmij?! Czy wiesz, że ten twój cholerny przyjaciel najmniejszym gestem nie dał mi do zrozumienia, że działa na twoje polecenie?! Wspomniał o przysłudze, lecz byłam pewna, że ma na myśli Długonosego! A wiesz, co mu powiedział?! Że będzie się ze mną tak długo zabawiał, aż

się mną znudzi, a potem oczywiście mnie zabije.

- No taak - Angel wydał z siebie niewinne westchnienie, kiedy Colt znowu wbił w niego złe spojrzenie. - Musiałem mu coś powiedzieć, zniechęcić go do pogoni za nami. Skąd mogłem wiedzieć, że ich przytrzymasz?

- Więc dlaczego nie powiedziałeś jej prawdy, kiedy się stamtąd wydostaliście?

- O rany, Colt! Myślałem, że wie, iż nagadałem mu bzdur. Chyba dostatecznie dałem jej to do zrozumienia. Uprzedziłem, że nie ma się czego bać. Naprawdę wystraszyła się tylko raz, kiedy posłałem Drydena do Stwórcy. Flaki mi się przewracały, kiedy nam ją przekazywał.

Colt przeniósł spojrzenie na Jocelyn, czuła, że teraz z jakichś niezrozumiałych powodów jego gniew obróci się przeciwko niej.

- No, pięknie - sapnęła. - Okazuje się, że to wszystko to moja wina, tak? Może zechcesz mi to wyjaśnić?

- Jeszcze pytasz? Pozwoliłaś, by ten bydlak cię oszukał, a potem jeszcze przejęłaś się jego śmiercią. Nie przypominam sobie, by ci choć powieka drgnęła, kiedy zabiłem przy tobie jednego z tamtych bandziorów.

Nadal nie rozumiała, o co właściwie ma pretensje.

- Tamtego nie znałam, spotkałam go pierwszy raz w życiu. Poza tym zastrzeliłeś go w mojej obronie. Angel zabił z zimną krwią. Mam nadzieję, że widzisz różnicę.

Zacisnęła usta, dając do zrozumienia, że to wyjaśnienie go nie zadowalała. Angel poczuł się urażony jej zarzutem, ale nie miał ochoty wdawać się w dyskusję przy Colcie. Był nad wyraz drażliwy, jeśli o nią chodzi. Jednocześnie nie zamierzał tego tak zostawić. Z zimną krwią ... A niech ją!

- Colt, znasz historię Drydena? - zapytał, odwracając jego uwagę od księżnej.

- Nie do końca - odwarknął. - Kiedy go skaperowali?

- Gdy zatrzymaliście się w Silver City. Zgodził się sprowadzić księżną, więc mogliśmy się trzymać w bezpiecznej odległości, tak żebyś nas nie wytropił. Podobno żenił się z podstarzałymi wdowami, a potem ... je wykańczał. Masz pretensję, że kropnąłem kogoś takiego?

- Sam bym go zabił za to, że ci ją przekazał. Chryste, tego się nie spodziewałem. W końcu przypomniałem sobie, gdzie widziałem go wcześniej. Kilka lat temu wyrzucili go z Cheyenne za oszukiwanie przy kartach. I chyba była tam wdowa, którą bardzo zmartwiło jego nagłe zniknięcie.

- I nie raczyłeś mi o tym wspomnieć? - Oczy Jocelyn zapłonęły z oburzenia.

- Żeby zepsuć ci flirt? Sądziłem, że nie byłabyś z tego zadowolona.

Czyżby przemawiała przez niego zazdrość? Ta myśl wydała jej się tak niewiarygodna, że czym prędzej ją odrzuciła. Niemożliwe. Już prędzej rozjuszyło go, że nie do końca poznał się na Drydenie. Była zbyt zmęczona wyczerpującym dniem, by dłużej znosić jego humory i rozbawienie Angela. Ten szubrawiec znowu szczerzył zęby!

- Łap!

Odrzuciła Coltowi rewolwer, żeby przypadkiem nie ulec pokusie. Nie zwracając dłużej na niego uwagi, zwróciła się do Angela:

- Sir, protokół wymaga, aby podziękować ci za pomoc, nawet jeśli sposób, w jaki została udzielona, był godny pożałowania. - Angel skrzywił się, lecz ona jeszcze nie skończyła. - Więc proszę przyjąć najlepsze życzenia długiego, pozbawionego wydarzeń życia - i obyś w końcu zdechł z nudów! Dobranoc, panowie!

Nie zaszczyciwszy ich choćby jednym spojrzeniem, chwyciła się lęku i wskoczyła na konia Colta. Nawet nie próbowała wsunąć stopy w strzemień dopasowane do jego długości nóg, po czym odjechała, nie zważając na swą niezbyt stabilną pozycję.

Colt nawet nie drgnął, a Angel rzucił mimochodem: - Spadnie i skręci kark, jeśli będzie siedzieć bokiem.

- Ona tak jeździ.

- Ale nie na kowbojskim siodle.

Colt zaklął pod nosem.

- Duchess, wracaj! - zawołał.

Naturalnie, udała, że nie słyszy. Nie ruszył za nią. Wydał z siebie szczekliwy, indiański okrzyk i czekał, kiedy usłyszy jej przekleństwa, gdy koń zawróci. Koń rzeczywiście zatrzymał się i zawrócił, lecz księżna bez słowa ześliznęła się z siodła. Potem doszedł go przenikliwy gwizd, który miał już kiedyś okazję słyszeć, o czym zupełnie zapomniał, i o mało nie został stratowany przez ogiera Jocelyn, pędzącego do swojej pani.

Klnąc na czym świat stoi, pobiegł na spotkanie swego wierzchowca, wiedząc doskonale, że ona pierwsza wskoczy na swego konia i nigdy nie dogoni jej, pędzącej na tej błyskawicy, która wabiła się Sir George.

Angel podążył za nimi, śmiejąc się do rozpuku.

## Rozdział 34

- Możesz mi wierzyć, postarzałam się o dziesięć lat.
- Mnie najprawdopodobniej też kilka przybyło - odpowiedziała Jocelyn, zanurzając się głębiej w cebrzyku, który służba wniosła do ich wspólnego pokoju.
- Gdybym wiedziała ...
- Och, Vana, proszę cię, przestań się obwiniać! Któż mógł przypuszczać, że pod tą gładką powierzchownością kryje się taka kreatura. Nawet Colt nie podejrzewał, na co go stać, mimo że nie miał o nim dobrego zdania.
- No cóż, cieszę się, że ten sympatyczny człowiek, Angel, wyprawił go na tamten świat. Szczerze się cieszę. Zasłużył na to'.
- Sympatyczny? Angel?! - Jocelyn zakrztusiła się ze śmiechu. - Ten człowiek ...
- Uratował ci życie!
- Szarpiąc mi nerwy na strzępy!

Hrabina zacmokała.

- Mniejsza o sposób. Liczy się wynik.
  - Colt też tam był - przypomniała Jocelyn, pochmurniejąc. - Nie pozwoliłby nikomu mnie tknąć.
  - Lecz jego przyjaciel o tym nie wiedział. Ryzykował życie, żeby cię stamtąd wyciągnąć.
  - Przede wszystkim sam mnie tam zaprowadził! - odparowała Jocelyn, mając dość tej rozmowy. - I pozwolę sobie zauważyć, że ten jego przyjaciel ani słowem nie wspomniał, że jest przyjacielem. Ale dość już rozmowy o tym szubrawcu. Colt miał rację. Należało wytrząsnąć z niego flaki.
- Vanessa uniosła brwi, zaskoczona nie tyle wybuchem złości Jocelyn, ile jej językiem.

- Flaki?
  - Zdaje się, chciał przez to powiedzieć, że Angel nie wyszedłby z walki żywy. Wiesz, kiszki na ziemi i takie tam rzeczy.
- Vanessa uspokoiła się nieco, zakładając, że Jocelyn tylko ironizuje.
- Kochanie, to nie było śmieszne.
  - Ja wcale nie żartowałam.
  - Och ... w takim razie ...

Jocelyn czekała na dalszy ciąg, lecz jej ostatnia uwaga, zdaje się, odebrała Vanessie ochotę do rozmowy. Wróciła do pracy nad robótką. Wbijając igłę ostrymi ruchami i wyciągała, szarpiąc nitkę; zapewne później będzie musiała haftować ten motyw jeszcze raz. Jocelyn wyciągnęła się w cebrzyku, na ile to było możliwe, i przymknęła powieki. Po raz pierwszy od chwili, kiedy dopadł ją Długonosy, no ... prawie dopadł, mogła się naprawdę odprężyć.

Wolała nie myśleć, jak mało tym razem dzieliło ją od nieszczęścia. Cały czas miała przed oczami twarz Długonosego. Musiała przyznać, że pod jednym względem Angel miał rację. Obojętnie jak bardzo drażniło ją wspomnienie Anglika, dobrze, że jego twarz wryła się jej w pamięć.

W nocy natrafiła na swoich ludzi wkrótce potem, jak uciekła Coltowi na Sir George'u. Właściwie spodziewała się ich spotkać, gdy tylko - nie bez zdziwienia - stwierdziła, że wyjechała na główny trakt. A więc Angel wioził ją do obozu.

Colt przygalopował tuż za nią. Podejrzewała, że, wściekły, zrobi jej scenę, ale on stwierdził jedynie: "Ktoś wreszcie powinien cię utemperować".

Dopiero później się dowiedziała, że on jeden usłyszał strzał, od którego zginął Dryden, dzięki czemu udało mu się tak szybko natrafić na ich ślad. Jej ludzie udali się na poszukiwania, gdy nie wróciła do obozu o zwykłej porze, i najpierw skierowali się na wzgórze. Pod tym względem Angel również miał rację - brakowało wśród nich tropiciela.

Maura Dryden, czy jak jej tam, zdążyła zniknąć, zanim wrócili do obozu. Vanessa przypuszczała, że ukradła konia i zniknęła jeszcze za dnia, ale nie była tego pewna. Wszystkie kobiety były za

bardzo roztrzęsione, żeby zwracać na nią uwagę. Prawdopodobnie wpadła w panikę, kiedy Miles nie wrócił z wieścią o "wypadku" Jocelyn, tak jak byli umówieni. Musiała założyć, że albo ją porzucił, albo ich plan się nie powiódł. Miała na tyle rozumu, by nie czekać, żeby to sprawdzić.

Jocelyn wcale nie byłaby zdumiona, gdyby się okazało, że przyczaiła się gdzieś w Santa Fe lub wróciła do miasta, które po drodze ominęli. Nie sądziła, aby Maura zdecydowała się opuścić tę okolicę, dopóki się nie dowie, co stało się z jej kochankiem. Jocelyn nie zamierzała zaprzętać sobie nią głowy, pod warunkiem, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

Zgodnie z radą Colta skierowali się prosto do Santa Fe, zatrzymując się w drodze tylko na krótkie postoje ze względu na konie. Spędzanie nocy w karecie nie należało do przyjemności, lecz w ten sposób dwa razy szybciej dotarli do starego miasta, zostawiając w tyle Anglika, który zapewne nadal szukał Jocelyn i Angela w górach. Być może pośpiech wcale nie był konieczny. Długonosy raczej nie zaatakowałyby ich ze swą garstką ludzi. Ale w ten sposób udało im się ponownie go zgubić. Mogli teraz zjechać ze szlaku, zdecydować się na kontynuowanie podróży kolejną, albo nawet puścić Anglika przodem.

Na razie nie podjęli żadnej decyzji. Jocelyn miała nadzieję przedyskutować plany z Coltem, lecz przygoda z Długonosym nie wpłynęła na zmianę jego zwyczajów. Od tamtej pamiętnej nocy nie widziała go.

- Wiesz, chyba muszę przyznać, że nasz przewodnik dobrze się spisał podczas tych przykrych wydarzeń.

Oczy Jocelyn rozwarły się szeroko ze zdziwienia. Dobry Boże, czyżby Vanessa przez cały ten czas o tym myślała? Jeżeli tak, to prawdopodobnie doszła do jakichś wniosków, które jej zapewne wcale nie będą się podobać.

- Też tak uważam - odparła z wahaniem, a w myśli dodała: „Przynajmniej do chwili, kiedy się na mnie wściekł bez wyraźnego powodu”.

- Jestem pod wrażeniem pościgu - ciągnęła Vanessa. Nie tracił czasu, żeby wrócić po wsparcie, a przecież nie miał pojęcia, co go może czekać, kiedy cię odnajdzie.

- Wiedział, że Angel jest w bandzie.

- Nie całkiem, o ile sobie przypominasz. Tamtego wieczoru, gdy rozbiliśmy obóz pod Benson, a on wrócił do miasta i przypadkiem natknął się na Angela, poprosił go jedynie, żeby najął się u Anglika, jeśli nadarzy się okazja. Nie miał możliwości sprawdzić, czy jego przyjaciel dokooptował do zbirów ani też iloma ludźmi dysponuje Długonosy.

Vanessa broni Colta? Woląca nie wiedzieć, do czego to wszystko zmierza. A jednak odczuwała przyjemność, słuchając tych pochwał zwłaszcza, że padały z ust przyjaciółki.

- No cóż, od początku nie sprawiał na mnie wrażenia człowieka, który boi się ryzyka. - W oczach Jocelyn zamigotały wesołe iskierki. - Czy nie uważasz, że to może mieć związek z jego pochodzeniem? Przecież nasłuchałyśmy się tyle historii o garstkach Indian atakujących duże grupy osadników.

Z trudem opanowała śmiech na widok skupionej miny przyjaciółki.

- Uważam, że to zwyczajna odwaga - stwierdziła Vanessa.

Coraz lepiej! Jeżeli hrabina dalej pójdzie tym tropem, za chwilę Colt stanie się odpowiednim materiałem na męża. Gdyby miał szósty zmysł, powinien zmykać, gdzie pieprz rośnie.

- Ciekawe, co zatrzymało Babette z tą dolewką ciepłej wody?

- Nie zmieniaj tematu.

- Nie zmieniam, Vano. Nigdy nie wątpiłam w odwagę Colta. Być może - w jego pocztytalność, ale nie w odwagę.

- Więc dlaczego nie poprosisz go, żeby schwytał Długonosego?

Aaa, więc o to chodzi! Z góry wiedziała, że nie będzie zachwycona. Po ich kłótni tamtej nocy, gdy zachowała się tak podle w stosunku do Colta, nie mogła go o nic więcej prosić, a już na



pewno nie o to, by dodatkowo narażał dla niej życie.

- Więc wreszcie widzisz jakiś pożytek z Colta,?

Vanessie starczyło przyzwoitości, żeby wyglądać na zmieszaną.

- Moja droga, nigdy nie mówiłam, że nie okazał się pożyteczny. Skoro jednak nie masz zamiaru wykorzystać jego innych ...

- Nie podoba mi się sformułowanie "wykorzystać". A on go nienawidzi.

- Co takiego?

- Vano, zbyt często był wykorzystywany.

- Ale to zupełnie inna sprawa.

- Wątpię, czy on też tak uważa. Poza tym podczas naszego pierwszego spotkania spytałam go, czy nie mogłabym mu zapłacić za pochwycenie i sprowadzenie Długonosego. Odmówił.

- To się działo, zanim rozbudziłaś jego zainteresowanie - zauważyła Vanessa.

Na twarz Jocelyn wystąpiły rumieńce, zrobiło jej się gorąco w wystygłej wodzie.

- Nigdy nie użyłabym naszej intymnej znajomości jako argumentu!

- Nie sugerowałam, abyś ...

- Nie?

Obie zamilkły na chwilę, Jocelyn zła, a Vanessa urażona.

- Wybacz - pierwsza odezwała się Vanessa. - To wszystko dlatego, że tak bardzo się o ciebie boję. Nigdy dotąd Długonosy nie był tak bliski osiągnięcia celu. Ten człowiek tyle razy okazał taką niekompetencję, że w pewnym momencie uznałam go za niegroźnego nieudacznika, a jego knowania za ledwie za utrapienie. Ale to wszystko się zmieniło, odkąd zanosło nas na ten dziki kontynent, który zdaje się wyzwać w tubylcach najgorsze instynkty.

- Albo najlepsze.

- No tak ... hmm. Jeśli nie chcesz stawiać wymagań Coltowi, potrafię to zrozumieć. W głowach niektórych mężczyzn rodzi się absurdalne przekonanie, że jeśli się o coś ich prosi, mają prawo w zamian stawiać żądania, i nie muszą ci mówić, na co większość ich najczęściej liczy.

- Wiem. - Jocelyn pokiwała głową z powagą. - Na kolację.

- Nie, kochana ... - zaczęła Vanessa, a kpiące iskierki w rozbawionych zielonych oczach podpowiedziały jej, że Jocelyn puściła urazę w niepamięć. - Na kolację? Rzeczywiście dla niektórych panów to najbardziej istotne. Zauważyłaś, w ilu restauracjach tu, na Zachodzie, wisi reklama: "Obiady domowe"? Zdaje się, tutaj to bardzo ważna sprawa.

Obie wybuchnęły śmiechem, zanim Vanessa dokończyła swoją tyradę, i śmiały się tak jeszcze, gdy Babette wbiegła do pokoju bez pukania. Vanessa pierwsza się opanowała, mając w pamięci tamten raz, gdy Babette tak samo wtargnęła do pokoju i wyglądała tak samo jak w tej chwili - niebieskie oczy szeroko otwarte, drżące ręce ... Tylko nie to - jęknęła w duszy Vanessa, lecz po pierwszych słowach pokojówki wiedziała, że zanosi się na powtórzenie tamtej kwestii.

- Monsieur Thunder! Postrzelili go!

Vanessa z westchnieniem przymknęła oczy i otworzyła je zaraz, słysząc plusk wody. Przypomniała sobie, co się zdarzyło ostatnim razem po rewelacjach Babette, więc zerwała się z fotela i rzuciła do drzwi. Znalazła się przy nich o ułamek sekundy przed księżną.

- Nigdzie nie ...

- Vano!

Hrabina nie ustąpiła.

- Ona powiedziała, że go postrzelili, a nie zabili. Żyje, prawda, Babette?

- Oui, madame.

- No widzisz? Nie pobiegiesz tam roztrzęsiona, bez ubrania ... A może nie zauważyłaś, że jesteś kompletnie naga?

Jocelyn cofnęła się po szlafrok. Babette już go jej podawała.

Vanessa wiedziała, że nie ma sensu jej przekonywać, by narzuciła coś bardziej stosownego. Wybiegła z pokoju, po drodze zbierając poły szlafroka.

Vanessa kolejny raz ciężko westchnęła, patrząc przy tym z potępieniem na pokojówkę.

- Babette, musimy poważnie porozmawiać o tej twojej skłonności do melodramatycznych zachowań.

## Rozdział 35

Nie wiedziała, w którym pokoju mieszka Colt, lecz odnalazła go bez trudu, bo w otwartych drzwiach stała grupka jej ludzi. Przecisnąwszy się do środka, zobaczyła resztę swego orszaku łącznie z Angelem, Billym i Alonzem. Colt siedział na krześle obnażony do pasa, a spod mokrego okładu na ramieniu sączyła się krew.

Jej serce, które biło jak oszalałe, odkąd wybiegła z pokoju, zamarło na widok krwi, lecz po chwili przerażenie ustąpiło.

Colt siedział, rozmawiał i gdyby nie ta krew, wyglądałby całkiem normalnie. Rana nie była śmiertelna.

Colt miał świadomość, że wszyscy mężczyźni w pokoju wpatrują się w nią tak samo jak on. Na chwilę zapomniał o ich obecności. Pochłaniał ją wzrokiem - wilgotny aksamitny szlafrok przylegał do ciała, rozpuszczone włosy wiły się po całej głowie, mokre pasma przylgnęły do aksamitu na piersi, kropelki wody toczyły się po policzkach, szyi i bosych stopach.

Jej widok w tym swobodnym stroju sprawił, że niewiele brakowało, a byłby wstał i porwał ją w ramiona. To pragnienie obezwładniło go na podobieństwo ciosu w żołądek. Oprzytomniał, dopiero gdy usłyszał czyjeś chrząknięcie i uzmysłowił sobie, że nie są sami, że nie ma prawa jej dotknąć, że nie może zlizać kropelek wody z jej szyi, choć umiera z pragnienia, i że nawet nie wolno mu się do niej zbliżyć. Mógł jedynie chłonąć ją oczyma i patrzeć, jak jej blada skóra różowieje, bo ona też dopiero teraz uprzytomniła sobie, że nie są sami i że pokazując się w tym stroju, złamała zasady przyzwoitości. Colta naszała nieodparta ochota pozabijać tych wszystkich mężczyzn tylko za to, że ją taką widzą.

Dobrze, że Jocelyn otrząsnęła się pierwsza. Jeszcze sekunda, a Colt przerzuciłby ją przez ramię i zaniósł do jej pokoju, tam gdzie jej miejsce, o czym na szczęście nie wiedziała, bo gdyby się tego domyśliła, sparaliżowana wstydem, straciłaby rezon i nie potrafiła zgrabnie wybrnąć z tej sytuacji.

Czasami tupet się przydaje; pozostawało jedynie udawać, iż nie stało się nic nadzwyczajnego i że jej ludziom zdarzało się wcześniej widywać ją w niekompletnym stroju, co oczywiście było nieprawdą. Należało jeszcze usprawiedliwić wtargnięcie do jego pokoju. Naturalnie, byłoby lepiej, gdyby okazał się poważniej ranny ...

- Czy już posłano po doktora? - zapytała, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

- Nie. - Nie wiedziała, kto jej odpowiedział.

- W takim razie trzeba go sprowadzić. Rob ...

- Nie potrzebuję lekarza - przerwał jej Colt.

- Może i nie. Ale lepiej, żeby ...

- Pani, nie życzę sobie lekarza. Chcę, by mnie zostawiono w spokoju.

Nie podniósł głosu, lecz pod wpływem jego gniewnego tonu wszyscy posłusznie opuścili pokój. Jedynie Angel dalej siedział na łóżku, oparty o wezglowie. Zjawił się też Billy z wyżętą szmatką do obmycia rany, no i wciąż stała na środku pokoju Jocelyn.

Colt postanowił ją ignorować w nadziei, że to jedyny sposób, aby skłonić ją do wyjścia.

- Mały, ruszaj się zwawiej, zanim zdążę się wykrwawić na śmierć!

Nic gorszego nie mógł wymyślić. Jocelyn już miała wyjść. Przecież mogła później się dowiedzieć, jak doszło do tego postrzału. W ogóle nie powinna była tu przychodzić.

- A jednak potrzebujesz doktora! - stwierdziła teraz.

- Nie, do jasnej cholery! - warknął zły na siebie, widząc, że popełnił błąd. - Ja tylko ... co ty wyprawiasz?!

W mgnieniu oka znalazła się przy nim i już zaglądała pod opatrunek.

- Chcę sprawdzić, czy rzeczywiście ...

- Zostaw, duchess. To tylko draśnięcie.

- Jak rany, Colt, ale z ciebie uparty osioł! - skomentował Angel ze swego miejsca na łożku. - Dlaczego nie pozwolisz lady opatrzyć rany, skoro tego chce? Wiadomo, że kobiety mają delikatniejsze ręce.

- Pamiętam, jak się darłeś, kiedy Jessie wyjmowała ci kulę.

- Twoja siostra to wyjątek - Angel wyszczerzył zęby.- Chodź, Billy, zostawiamy go w dobrych rękach.

- Billy, wracaj tu zaraz! - rozkazał Colt, widząc, że chłopak idzie za Angelem do drzwi.

- Colt, Angel ma rację. Lady Jocelyn na pewno lepiej ode mnie potrafi opatrzyć ranę Przecież nie o to mu chodziło, potrzebował Billy'ego jako przyzwoitki. Czy żaden z nich tego nie widzi?! Najwyraźniej nie, bo wyszli i zamknęli za sobą drzwi, zostawiając go sam na sam z księżną.

- Wydaje mi się, że ostrzegłem cię kilka tygodni temu - powiedział półgłosem, uważając, by przypadkiem na nią nie spojrzeć. - Czyżbyś zapomniała?

- Nie, ale to wyjątkowa sytuacja, nie sądzisz?

- Duchess, to zwykle draśnięcie ...

- Niemniej należy je opatrzyć. Jeśli zarówno twoi przyjaciele, jak i rodzina zostawili cię w moich czułych rękach, pozwól sobie pomóc i przestań się zachowywać jak ... uparty osioł! Zadrzały mu kąciki ust. Być może przydałoby się utemperować nieco jej tupet, lecz imponowała mu jej nieustępliwość. Z ulgą stwierdził, że o ile będzie patrzył wyłącznie przed siebie, jest w stanie wytrzymać jej bliską obecność, przynajmniej przez jakiś czas. Odkrył również, ku swemu niezadowoleniu, że jej troska sprawia mu przyjemność. Naturalnie, otoczenie opieką rannego mężczyzny należy do obowiązków kobiety, ale ona nie musiała tego robić. Mogła kogoś wyznaczyć. Więc czemu tego nie zrobiła? I dlaczego, gdy weszła, wyglądała na śmiertelnie przerażoną?

- Co ci takiego powiedziano, że przybiegłaś prosto z kąpieli, nawet się przedtem nie wycierając? Jocelyn zarumieniła się aż po nasadę włosów. - Tego nie miałaś zauważyć.

- Cholera, nikomu to nie umknęło - stwierdził ponuro. - Auu! - jęknął, gdy bez ostrzeżenia przyłożyła świeży okład na ranę. Nie omieszka oświecić Angela, że ma tu jeszcze jeden wyjątek od swej teorii na temat kobiecej delikatności.

- Mówiłeś, że kto uczył cię angielskiego?

- Moja siostra - odparł, nabierając czujności.

- Więc jej angielszczyzna pozostawia wiele do życzenia.

- Parę słów złapałem sam.

- No to mi ulżyło. Jednak ktoś powinien cię uprzedzić, w jakich sytuacjach można ich używać, a na pewno nie należy do nich towarzystwo damy.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie ... pani.

- Zawiadomiono mnie, że zostałeś postrzelony.

- Bałaś się, że stracisz przewodnika?

- Coś w tym rodzaju - odparła wymijająco.

- Czy mogłabyś się z tym pospieszyć? - skrzywił się, osuwając niżej na krześle.

- Rana wygląda dość paskudnie jak na zadrapanie. - Kula poszarpała tkankę i uszkodziła mięsień ramienia. Jak bez narzekań wytrzymywał ból, nie miała pojęcia. - Przydałoby się parę szwów, aby po zabliźnieniu szrama nie była tak szeroka.

Czy ona żartuje?

- Mężczyzna nie przejmuje się paroma bliznami.

- Zauważyłam.

Rzucił jej niechętnie spojrzenie, ale ona patrzyła na blizny na piersi. Nie mogła widzieć pleców,

bo siedział odchylony na oparcie krzesła.

- Nie zapytasz?

- Chyba wiem - odparła, z powrotem skupiając się na ranie. - To się nazywa Taniec Słońca, tak?

- Skąd wiesz? - Nie ukrywał zdumienia.

- Od Milesa. Sugerował, że możesz mieć takie blizny. Naturalnie mu nie wierzyłam. To, co opowiadał, zakrawało na barbarzyństwo ... W ciało na piersi wprowadza się drewniane szpikulce, przywiązuje do nich sznury, zaczepia o gałąź i mężczyzna wisi tak długo, dopóki szpikulce nie przerwą tkanki. Czy tak się to robi?

- Mniej więcej.

- Po co robić coś takiego, celowo zadawać sobie ból?

- Jestem tylko głupim Indiańcem, czyżbyś zapomniała? Na nic więcej nas nie stać.

Pierwszy raz, odkąd zajęła się raną, spojrzała mu prosto w oczy.

- Wydawało mi się, że już cię prosiłam, żebyś tego nie robił - upomniała go łagodnie. - Zapytałam z czystej ciekawości, mając nadzieję, że choć trochę zrozumie obyczaje kultury, która jest mi zupełnie nieznaną. Ale jeśli nie masz ochoty odpowiedzieć, zapomnij, że w ogóle zapytałam.

Dlaczego poczuł się tak, jakby nagle skarłał?

- To religijny rytuał - wyjaśnił po chwili, patrząc prosto przed siebie. - Rodzaj obrzędu odnowy i prośby o przychylność bogów. Nie wszyscy wojownicy w nim uczestniczą, a ci, co przez niego przejdą, z dumą obnoszą blizny jako świadectwo błogosławieństwa.

- Religia - powiedziała zadumana. - Powinłam się była domyślić, że może to mieć coś wspólnego z wiarą. - Tak bardzo pragnęła dotknąć tych blizn, że aż drżały jej palce. - To musiało potwornie boleć. Czy było warto? Czujesz, że spłynęło na ciebie błogosławieństwo?

- Przez krótki czas.

- Tak mi przykro.

- Dlaczego? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Jeżeli ktoś decyduje się na taką torturę dla błogosławieństwa, to ono powinno długo trwać, prawda? Bo inaczej - po co się poświęcać?

- Nie zastanawiałem się nad tym.

Widziała, że rozbawiła go swoim rozumowaniem. Co prawda nie uśmiechnął się, ale wyraźnie poprawił mu się humor. Powstrzymała się od komentarza. Przecież był ranny.

- No, mniejsza z tym. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, jak do tego doszło? - spytała, wskazując na ramię.

W jednej chwili nastrój Colta uległ zmianie.

- Byłem nieostrożny - odparł chłodno.

Zdenerwował ją tą lakoniczną odpowiedzią, więc udała, że go nie rozumie.

- Postrzeliłeś się? Jak można być takim niezręcznym?!

- Strzał padł w ciemnej uliczce - zirytował się. - Zanim zdążyłem z niej wyjechać, ten zbir był już na rogatkach.

- Więc nie wiesz, kto to?

- Twarzy nie widziałem, ale rozpoznałem konia. Lepiej zapamiętuję konie niż ludzi. Ten należał do tego szczeniaka, który z Anielem eskortował cię do Anglika. Zdaje się Angel wspominał, że on się nazywa Pete Saunders.

- A ja sądziłam, że ich wyprzedziliśmy!

- Duchess, widać z tego, że nie chcą cię ponownie zgubić. Wiedzieli, dokąd się kierujemy. A twoje wozy bardzo spowalniają przemieszczanie się, nawet jeżeli rezygnujemy z postojów. Mogli nas wyprzedzić.

- W takim razie po co się tak spieszyliśmy?

- Istniała szansa, że wybieg Angela się powiedzie i że stracą sporo czasu, szukając was w górach. Ale najwyraźniej im się poszczęściło, musieli trafić na miejsce, gdzie Angel zawrócił.

- Więc co mam robić? - spytała. Zdenerwowana, nie zdawała sobie sprawy, że za mocno zaciska bandaż. - Pewnie będą obserwować stację, kręcić się w okolicy ... Zaraz, dlaczego właściwie strzelali do ciebie?

- Z tego samego powodu, co zawsze - odparł tonem pozbawionym emocji. - Żeby zabić. Teraz z kolei ona się zirytowała.

- Długonosy nigdy nie nastawał na moich ludzi. Bo niby po co miałyby to robić? Musiało dojść do jakiejś pomyłki.

Poruszona, zaczęła bezwiednie przechadzać się po pokoju.

Colt starał się nie patrzeć na dół szlafroka, który rozchyłał się niebezpiecznie przy każdym kroku.

- Nie było żadnej pomyłki, duchess. Jak poradziłabyś sobie bez przewodnika?

- Wynajęłabym innego na jego ... - Nie dokończyła. Zrozumiała, co ma na myśli, choć wydawało się to niewiarygodne. - Przecież ja ich wszystkich widziałam. Jak mogli sądzić, że ...

- To nie byłby żaden z nich. Twój Długonosy poszukałby kogoś nowego, a może nawet już znalazł. Czy Angel mówił ci, że taki właśnie był jego plan, zanim natknął się na Drydena?

- Twój Angel jest tajemniczy jak sfinks. Nic mi nie mówił. Ale skoro powiedział tobie, dlaczego nie zrezygnowałeś? - Była taka rozgorączkowana, że o mało się nie uśmiechnął. - Racja, ty nie rezygnujesz - przypomniała sobie z ulgą. - Widzisz, od początku wiedziałam, jak bardzo cię potrzebuję. Gdyby coś ci się stało, nie mogłabym cię nikim zastąpić. Bałabym się, że to człowiek Długonosiego.

Do Colta dotarło jedynie "bardzo cię potrzebuję". Jeżeli zaraz nie skłoni jej do wyjścia, to długo stąd nie wyjdzie.

- Duchess, w tej chwili nie ma zbyt wielu możliwości. O podróży koleją nie ma mowy. Jak sama powiedziałaś, będą obserwować stację i twój tabor. Jeżeli rozdzielisz ludzi, tak by część tropiła Długonosiego, a reszta pilnowała ciebie, tylko ułatwisz mu zadanie.

Myślała intensywnie, marszcząc przy tym brwi.

- Wiem, że nie zgodziłeś się ruszyć za Długonosym, ale jest jeszcze Angel. Sądzisz, że byłby zainteresowany?

Pokręcił głową.

- Ma w Teksasie sprawy do załatwienia. I tak już jest spóźniony. Jutro rano rusza w swoją stronę.

- Więc co mam robić?

- Możesz tu zostać i czekać, aż twój wróg zgromadzi dość ludzi, żeby cię zaatakować, albo ...

Urwał, jakby zmienił decyzję lub zastanawiał się nad tym drugim rozwiązaniem.

- Albo? - przynagliła go, zniecierpliwiona.

Wpatrywał się w nią jakiś czas, jakby rozważał coś w myślach.

- Możesz uciec sama - oznajmił po chwili, wzruszając ramionami.

Przez moment miała wrażenie, że on żartuje. Bo jak to inaczej rozumieć? Lecz czuła, że jego nonszalancja jest zaledwie maską, pod którą skrywa niepokój i napięcie.

- Bez ochrony?

- Ze mną. Potrafię dowieźć cię bezpiecznie do Wyoming - pod warunkiem, że będziemy tylko my dwoje i nasze konie. I czeka nas ostra jazda. A twoi ludzie pojedą osobno w normalnym tempie.

- Tylko my dwoje ... - powtórzyła, nadal analizując w myślach wszystkie możliwości. - Przecież ostrzegałeś mnie, bym trzymała się od ciebie z daleka - przypomniała mu. - W takim razie dlaczego proponujesz ...

- Duchess, nie zrozum mnie źle - przerwał jej cichym, wręcz magnetycznie brzmiącym głosem. - Gwarantuję bezpiecznie dowieźć cię do Wyoming. Niczego ponadto nie obiecuję. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Kiwnęła głową i czując, że się rumieni, pomknęła do drzwi.

- Muszę ... muszę to przemyśleć - wyjąkała z ręką na klamce, stojąc plecami do niego. - Kiedy chciałbyś wyruszyć?

- Dziś wieczorem ...

Nie odwracając się do niego, po raz drugi skinęła głową.

- Wkrótce dam ci znać, co postanowiłam.

## Rozdział 36

To absolutnie nie wchodzi w grę. Taka sytuacja wykracza poza wszelkie przyjęte normy, nie ma więc nawet co o tym myśleć. Poza tym Colt wyraźnie dał do zrozumienia, że nie gwarantuje jej nietykalności.

Tę kwestię pominęła milczeniem, kiedy oświadczyła hrabinie, że wyjeżdża, o co kłóciły się przez następne dwie godziny. W końcu to do niej należy decyzja. Wreszcie Vanessa ustąpiła, twierdząc, że mimo wszystko ten plan nie jest do końca pozbawiony sensu. Jeżeli Jocelyn wyjedzie niezauważona, Długonosy nie opuści miasta, sądząc, że ona nadal tu jest.

Gdzieś pod koniec tygodnia orszak rozdzieli się na dwie grupy: jedna pojedzie koleją i spotka się z nią w Cheyenne, a druga, tak jak wcześniej planowali, skieruje się na szlak Santa Fe Trail. Nie widząc jej w żadnej z tych grup, Długonosy uzna zapewne, że dobrze się ukryła i, być może, również rozdzieli swoich ludzi, co ułatwiłoby zadanie szeryfowi w Wyoming, którego Jocelyn zamierzała uprzedzić o ewentualnym pojawieniu się Anglika w jego stanie.

Jocelyn nie wiedziała, jak Colt przyjął jej decyzję o wspólnym wyjeździe, bo przekazała ją przez służącego. Istniało duże prawdopodobieństwo, że nie miał szczyrych intencji, składając tę propozycję, i był teraz zły, że znowu go podeszła. Na dobrą sprawę nie rozumiała, dlaczego w ogóle to zaproponował, skoro tak skwapliwie unikał jej towarzystwa. Gdy jednak mówił poważnie, należało założyć, iż tak bardzo ciąży mu ta narzucona siłą rola przewodnika, która w dodatku okazała się niebezpieczna i uciążliwa, że postanowił jak najszybciej wywiązać się z umowy. Poruszając się bez taboru, przynajmniej o połowę skrócą czas podróży do Wyoming.

Kiedy przyszedł po nią o północy, czekała gotowa do drogi, ubrana w jedną ze swych cieplejszych amazonek, w zarzuconej na ramiona długiej pelerynie podbitej futerkiem, ze strzelbą w jednej ręce i małym kuferkiem w drugiej. Colt nie skomentował stroju, zamienił tylko jej kapelusz do jazdy z małym rondkiem na taki sam jak jego - kowbojski, o szerokim rondzie. Przyniósł go ze sobą i, o dziwo, idealnie na nią pasował. Nie oponowała. Nie starczyło jej odwagi. Od tej chwili będzie musiała przywyknąć do podporządkowania się jego decyzjom, gdyż w przeciwnym razie trudno przewidzieć konsekwencje. Ta myśl nie bardzo przypadła jej do gustu, ale uznała, że i z tym powoli się pogodzi.

Chociaż nie zamienili ani słowa, od razu zauważyła, że Colt wcale nie wydawał się zły. Niestety, przeważnie trudno było odgadnąć, co naprawdę czuje. Tym razem jednak sprawiał wrażenie odprężonego. Nakładając jej nowy kapelusz, żartobliwie nasunął go na oczy - taki gest bardziej pasowałby do psotnego krewniaka czy przyjaciółki niż do jej ponurego przewodnika.

Colt nie zamierzał marnować czasu, więc nie miała okazji zbyt długo zastanawiać się nad jego zachowaniem. Opuścili hotel tylnym wyjściem i szli płataniną uliczek, kierując się nie do stajni, lecz w ustronną alejkę, gdzie Billy już czekał na nich z końmi.

- Zauważyłeś kogoś? - zapytał Billy'ego.

- Ani żywej duszy.

Billy cofnął się, a Colt dopomógł Jocelyn dosiąść konia i przytroczył kuferki do siodła. Trochę czasu zajęło jej ugłaskanie Sir George'a, którego zdenerwowało bliskie sąsiedztwo ogiera Colta.

- Mały, nie zapomnij, co ci mówiłem. - Colt udzielał ostatnich wskazówek Billy'emu. - Trzymaj się równiny, tak by cały czas mieć góry po lewej ręce, a bez problemu doprowadzisz ich do Cheyenne. Wierzę, że sam zjawisz się w Rocky Valley. Wolę nie wspominać, co by było, gdybym znowu musiał cię szukać.

- Przyjadę do Rocky Valley, ale do szkoły nie wrócę - odpowiedział naburmuszony Billy.

- Porozmawiasz o tym ze swoją mamą, kiedy znajdziesz się w Chicago, bo przede wszystkim powinieneś wrócić do domu. - Mama nie myślała, że mówiłem poważnie, iż nie zostanę prawnikiem - rozpromienił się. - Teraz wie, że nie żartowałem.



- W porządku, postawiłeś na swoim, ale porozmawiać nie zaszkodzi.

Na pożegnanie Colt przyciągnął Billy'ego do siebie i na moment zamknął w miażdżącym uścisku, czym zaskoczył tak jego, jak i Jocelyn, która przyglądała się tej scenie. Byłaby gotowa przysiąc, że Colta Thundera nie stać na żadne ludzkie odruchy. Widocznie jakieś uczucia jednak drzemały w nim, głęboko ukryte.

Kiedy Billy zawrócił do hotelu, a Colt dosiadł swojego wierzchowca, wreszcie olśniło ją czego im brakuje.

- A gdzie juczne konie?

- Duchess, podróżujesz z Indianinem. - Tym razem w jego słowach nie było autoironii. - Gdybym nie umiał wyżywić się tym, co daje natura, oznaczałoby to, że coś ze mną jest nie w porządku.

Oboje w tej samej chwili pomyśleli o Philippie Marivaux; Colt z satysfakcją, że więcej nie będzie musiał jeść posiłków tonących we francuskim winie, a Jocelyn z żalem.

- Już jestem za chuda. Po tej podróży zostanie ze mnie tylko skóra i kości - nie omieszkała ponarzekać.

Miał czelność się roześmiać! Ale gdy dłużej się nad tym zastanowiła, myśli, że będzie dla niej zdobywać pożywienie, zaczęła jej się podobać. Będzie jej bronił, będzie chronił przed głodem i dbał o wszystkie potrzeby. Brzmiało to nie najgorzej.

## Rozdział 37

Jechali przez całą noc. Ze względu na konie trzymali się drogi, nie ryzykując w ciemności jazdy po wertepach. W pewnej chwili Jocelyn zapytała, czy nie mogliby zatrzymać się na drzemkę, by usłyszeć, że będą jechać bez przerwy aż do następnego wieczora. Zaczynała odczuwać znużenie, a tu nawet do świtu daleko, była więc gotowa zaprotestować.

Już otwierała usta, gdy przyszło jej na myśl, że Colt prawdopodobnie chce ją wypróbować. Może nawet zakłada się sam ze sobą, ile czasu minie, nim księżna zacznie utyskiwać. Naturalnie, nigdy nie twierdziła, że nie będzie narzekać. Gdyby złożyła tak absurdalną obietnicę, nie mogłaby pisać ani słowa, niezależnie od uciążliwości podróży. Niemniej uznała, że robienie mu na złość będzie jedyną rozrywką, na jaką może liczyć w nadchodzących dniach, nie usłyszy więc z jej ust ani jednej skargi, choćby miała paść trupem.

O świcie zatrzymali się na chwilę, aby pozwolić odpocząć koniom. Sądziła, że zjedzą jakiś posiłek, ale Colt wygrzebał z sakwy przy siodle tylko cienkie plastry suszonej wołowiny i kazał je żuć. Usiłowała. Naprawdę się starała. Widocznie ludzie na Zachodzie mają mocniejsze zęby niż księżniczki. Trzymała więc zwitek wołowiny w ustach na podobieństwo cygara i ssała przez cały ranek.

Około południa musiała zdjąć pelerynę. Co prawda powietrze zbyt mocno się nie nagrzało, ale ciągła jazda w tempie narzuconym przez Colta dawała się we znaki, od wiatru zaś osłaniały ich wzgórza.

Zatrzymali się znów, tym razem też wyłącznie ze względu na konie. Sir George znosił wysiłek znacznie lepiej niż ona. Piekły ją pośladki, zeszywniały mięśnie. Kilkakrotnie traciła czucie w nodze, którą dla równowagi zarzuciła na łęk. Zazdrościła własnej nodze. Ze zmęczenia była bliska zaśnięcia w czasie jazdy. Gdyby Sir George poruszał się mniej sprężysto, prawdopodobnie by się zdrzemnęła.

On nie wyglądał jak ktoś, kto przez całą noc nie zmrużył oka. Nie garbił się, nie przeciągał, żeby rozluźnić mięśnie, nawet głowa mu nie opadała. I jemu, w przeciwieństwie do niej, na pewno nie burczało w brzuchu.

Krótko po południu wydzielił jej kilka sucharów i podał manierkę z wodą. Przynajmniej na pewien czas oszuka żołądek, jeśli nie sucharami, to wodą. Colt zmieniał tempo: puszczał konie kłusem, potem na jakiś czas zmuszał je do galopu, zwalniał do stępa, aby po kilku kilometrach znowu wrócić do kłusa. Na jednym z takich odcinków, kiedy jechali stępa, Jocelyn przysnęła.

Obudziło ją dzwoniące w uszach przekleństwo i żelazny ucisk w pasie.

- Chryste! Kobieto, chcesz się zabić?!

To ramię Colta otaczało jej talię, a jego tors stanowił oparcie niczym poduszka. Wykorzystała okazję i odgięła tułów, nie zastanawiając się nawet; jakim cudem znalazła się przed nim na koniu.

- Czy coś się stało? - wymamrotała ziewając.

- Zsuwałaś się z konia.

- Przepraszam. Widocznie się zdrzemnęłam - stwierdziła na wpół śpiąc.

- Przepraszam? Nie masz dość rozsądku, żeby się przyznać, że morzy cię sen?

- No dobrze, morzy mnie sen - wymruczała półprzyciemnie, zastanawiając się, dlaczego on tak krzyczy.

- Upór, zwykły upór. - Usłyszała, jak burknął. - Nic, tylko upór.

Nie obchodziło jej, co ma na myśli. Zwolnił uścisk w pasie, przełożył jej nogę ponad siodłem, tak że teraz jechała okrakiem i oparta o niego siedziała jak w fotelu. Nawet jej nogi spoczywały na jego udach, więc mogła spokojnie rozluźnić mięśnie. Odprężona, nawet nie poczuła, kiedy zdjął jej kapelusz i ostrożnie powyciągał szpilki z włosów, bo ponownie zapadła w sen.

Ocknęła się z płytkiego snu, gdy konie przyspieszyły. - Nie zatrzymamy się?

- Po co?

- To oczywiste, żeby się przespać.

- Myślałem, że śpisz.

- Mam na myśli nas oboje. Przez całą noc ani na chwilę nie zmrużyłeś oka.

- Nie muszę, ale zapomniałem, że ty potrzebujesz snu. Więc śpij, nie dam ci spaść.

Jocelyn nie potrzebowała dodatkowej zachęty, szczególnie, że na twardej ziemi nie byłoby jej wygodnie.

Colt co do sekundy wyczuł, kiedy zapadła w głęboki sen. Całym ciałem odebrał sygnał, że teraz może jej dotykać. Ale nie posunął się do tego. Świadomość, że może w każdej chwili zrobić, co tylko zechce, przynajmniej chwilowo uzbrajała go w cierpliwość. Przez co najmniej tydzień należeć będzie do niego. Postarał się o to.

Zdumiewał go spokój, jaki spłynął na niego wraz z podjęciem tej decyzji. Tak długo zwalczał instynkt i zmagał się ze swymi pragnieniami, że napięcie wynikające z wewnętrznego rozdarcia zaczął traktować jak normalny stan. Powinien był wcześniej się poddać. Po co przechodził te piekielne męki? I tak w końcu był zmuszony przyznać się przed sobą, że pożąda Jocelyn Fleming. Nadal zamierzał trzymać się z daleka od białych kobiet, a księżna stanowiła tylko wyjątek.

Burzył się na myśl, że posłużyła się nim, by otworzyć sobie drogę do innych mężczyzn, lecz on już zadba, żeby pomogła mu odzyskać spokój. Nurtowało go, że tak szybko przeniosła swoje zainteresowanie na Drydena. Jednak zanim ten tydzień dobiegnie końca, ona nie będzie pamiętać nawet, jak temu bydlakowi było na imię.

## Rozdział 38

Miała orgazm we śnie. Obudziło ją pulsowanie w błogo odrętwiałym ciele. Nie pamiętała, co jej się przyśniło, lecz nietrudno było odgadnąć.

Przeciągnęła się rozkosznie, ziewnęła i... zorientowała się, że siedzi na koniu. Oszołomiona otworzyła szeroko oczy, w jednej chwili bowiem jej świadomość opanował natłok spostrzeżeń. Słońce chyliło się ku zachodowi. Koń szedł stępa, z wodzami owiniętymi na łąku siodła. Poły żakietu miała rozchylone, bluzkę rozpiętą. Prawa pierś, wyłuskana z koronkowego stanika, jaśniała różowo w poświęcie zachodzącego słońca. Lecz nie to było najgorsze. Siedziała na siodle po męsku, a spod uniesionej po uda spódnicy widać było obnażone, nieelegancko rozsunięte nogi. Pomiędzy nimi ...

- Colcie Thunderze!

- Najwyższy czas się obudzić.

- Natychmiast zabierz rękę!

- Ale tak jest dobrze.

- Nie obchodzi mnie, co ...

- Duchess, przestań piszczeć, bo przez ciebie nie zjemy kolacji. Wypłoszysz zwierzynę z całej okolicy.

Pieniła się ze złości, a on leniwie przeciągał sylaby!

- Do diabła z kolacją! Nie możesz ...

- Za późno - wszedł jej w słowo. - I zostaw bluzkę w spokoju. Namęczyłem się przy tych guzikach i podoba mi się tak, jak jest.

Kiedy go nie usłuchała, wsunął palce głębiej. Wydała z siebie cichy jęk ... protestu, rozkoszy? Nie był pewien. Ona też nie, lecz zostawiła bluzkę i zacisnęła dłonie na jego udach.

- Tak lepiej - wyszeptał, nachylając się do jej ucha. - Nadal chcesz, bym zabrał rękę? - Nie odpowiedziała. - Przyjemnie, prawda?

Milcząc, wyprężyła się, odchyliła głowę do tyłu i konwulsyjnie wpiła palce w jego uda. Całował jej szyję, a skubiące dotknięcia warg przyprawiały ją o dreszcze podniecenia kumulujące się w podbrzuszu. Ręką, którą dotąd otaczał ją w talii, odsłonił jej drugą pierś. Sutek już stwardniał i błagał o dotyk. Drażnił go jeszcze chwilę, zanim objął pierś i masował kolistymi ruchami. Zaraz też jej druga pierś zatęskniła za tak samo oszalamiającą pieśczęcią. .. A palce cały czas poruszały się w niej powoli ...

- Duchess, wybac, że dłużej nie czekałem, lecz uczciwie cię ostrzegłem, pamiętasz? - Gorący, wilgotny oddech owionął jej ucho, wywołując zawrót głowy.

- Nie spodziewałam się ... ataku ... gdy nie będę patrzeć ... -wydobyła z siebie wreszcie, słysząc w odpowiedzi jego cichy śmiech.

- Nieważne, jak i kiedy, jeśli nie możesz przeciwdziałać. Zrezygnowałaś z prawa wyboru, gdy zgodziłaś się na tę podróż. Na dobrą sprawę już wcześniej z niego zrezygnowałaś. Tyle, że nie byłaś tego świadoma.

- O czym ty mówisz?

- Jeżeli dziewczyna z plemienia Czejenów pozwoli wojownikowi w intymny sposób dotykać swego ciała, nikt nie ma prawa go potępiać, jeśli zacznie traktować ją jak osobistą własność. Co więcej, byłoby dość dziwne, gdyby nie uznał, że do niego należy. A ty, duchess, pozwoliłaś mi na znacznie więcej, nieprawdaż?

Własność? Należy? Dlaczego nie odczuwa oburzenia? I czemu zdławiony głos, jakim wypowiadał te słowa, wprawiał ją w oszołomienie? A palce ... och, ledwo mogła zaczerpnąć tchu, żeby zdobyć się na odpowiedź.

- Nie jestem Czejenką.

- Nie ... ale ja jestem Czejenem.
- Tylko w połowie.
- Ostatnio ta biała połowa przeszła piekło, zmagając się ze zwyczajami i wierzeniami, jakimi się kierowałem przez dwadzieścia dwa lata. A teraz się odwróć.
- Co?
- Odwróć się. Chcę, byś usiadła przodem do mnie.
- Ale ... po co?
- Jak myślisz?

Znała odpowiedź. A on, nie ustając w pieszczotach, dopilnował, by długo się nie opierała. Nie wierzyła, że naprawdę chce to zrobić w taki sposób, jaki miał na myśli.

- Dlaczego nie zatrzymasz konia?

- Żeby tracić czas na rozściełanie derki? Musiałbym oderwać od ciebie rękę, a nie sądzę, że w tej chwili jest to możliwe. Poza tym, duchess, poniosła mnie wyobraźnia, gdy wydawałaś przez sen te zabawne, zmysłowe pomruki. Poruszałaś się w rytm biegu konia. Teraz chcę, żebyś mnie ujeżdżała.

Zanim skończył mówić, przerzuciła jedną nogę nad końskim łbem, Colt pomógł jej przełożyć drugą. Trochę kłopotu sprawiła fałdzista spódnica, lecz szybko się z nią uporali. Nie zdążyła nawet pomyśleć, jak mają to zrobić, gdy ją uniósł, posadził na sobie, popędzając jednocześnie konia.

To była niezwykła jazda. Uwieszona u jego szyi, opasując go nogami, galopowała na nim, podrzucana przez cwałującego wierzchowca. Potem Colt puścił konia swobodnie i podrywając ją za biodra, sprawiał, że opadała na niego całym ciężarem, wychodząc naprzeciw jego ruchom. Jeden po drugim wstrząsnęły nią trzy potężne orgazmy, zanim koń zatrzymał się na dobre. Nieco oszołomiona, potrzebowała czasu, aby to zauważyć, a także poczuć, że Colt obsypuje ją niesłychanie delikatnymi pocałunkami.

- Wszystko w porządku?

- Nie mam pojęcia.

Zaśmiał się cicho. Czują go, nadal w niej był. Ciągle przywierała do niego, obejmując za szyję. Powiodła dłońmi po jego ramionach, odchylając się od niego. Na szczęście w tym świetle nie mógł widzieć jej rumieńców. Lecz chyba się ich domyślał. Uniósł jej twarz za podbródek i delikatnie pocałował w usta.

- Duchess, przywykniesz do tego. Już moja w tym głowa. Przywyknie do kochania się z nim? Czy do jego nowego sposobu bycia? Dotąd był szorstki i zgorzkniały, zrażał ją do siebie słowami i gestami. Zmienił się po wyjeździe z Santa Fe i nie bardzo wiedziała, co ma myśleć o tym nowym Colcie Thunderze. Nadal trudno było nazwać go czarującym. Przyszło jej na myśl określenie "władczy" i z miejsca przypomniała sobie, jak wcześniej nazwał ją swoją własnością. Chyba nie mówił tego poważnie?

- Zdaje się, wspomniałaś coś o kolacji? Mam wrażenie, że za chwilę umrę z głodu.

Znowu odpowiedział cichym śmiechem, a to w jego wypadku było co najmniej dziwne.

- Muszę wykorzystać resztę światła, jaka jeszcze została - powiedział, zsadzając ją na ziemię. - Rozejrzę się trochę po okolicy, a ty tymczasem się odśwież, no i jeśli potrafisz, mogłabyś rozpalić ogień. Zapałki są w sakwie przy moim siodle. - Rzucił jej pod nogi sakwę i zwinięte w rulon derki, po czym sięgnął po kapelusz zahaczony o łęk i nasadził jej na głowę.

- Duchess, lepiej się ubierz, bo jeszcze się przeziębisz.

Z rozchylonymi ze zdumienia ustami patrzyła, jak oddała się w stronę rzeczki. Tak, w pobliżu płynęła struga, dlatego koń się zatrzymał. Zobaczyła Sir George'a, szczypał trawę na skarpie. Zupełnie o nim zapomniała, podobnie jak o całej reszcie, gdy Colt przesadził ją na swego wierzchowca. Na szczęście ogier podążał za nimi.

Przywołała go, by sięgnąć po pelerynę i kuferek. Odkryła kolejne derki przytroczone do siodła, a także torbę z przyborami kuchennymi i sztucami. Dzięki Bogu i za to. Już widziała siebie, jak szarpie mięso nadziane na patyk, niczym jakiś barbarzyńca z głuszy. Ani namiotu, ani poduszek, ani nocnika ... O, właśnie! Powinna wykorzystać moment, że Colta nie ma. Podejrzewała, że w najbliższych dniach nieczęsto będzie jej dane przebywać w samotności. Powiedział, że się może przeziębic. Phi, nawet nie spostrzegła, że nastąpiło ochłodzenie!

## Rozdział 39

Colt wrócił z bażantem, dwiema kuropatkami, kilkoma dużymi jajkami, które musiały znieść jakieś większe ptaki, mieszkiem zieleniny, najprawdopodobniej dzikiej cebuli, oraz z woreczkiem najróżniejszych jagód. Kieszenie miał wypchane orzechami, które nie wiedzieć czemu z wielką radością wysypał jej na podolek, kiedy koło niej przykucnął.

Zdziwiła ją ta różnorodność zdobyczy. Obawiała się, że przyciągnie jakieś martwe zwierzę i będzie je przy niej obdzierał ze skóry. Denerwowała ją jego przedłużająca się nieobecność, nachodziły myśli o najróżniejszych niebezpieczeństwach.

- I co, nie wytropiłeś sarny?

- Wystraszyłaś całą zwierzynę swymi piskami - odpowiedział, udając, że nie wyczuwa ironii w jej pytaniu. - Ostrzegałem, że może się tak stać.

- To było wiele kilometrów stąd.

- Mówię o tym, co było podczas ...

- Zamilcz! - sapnęła, przypominając sobie jak przez mgłę, że rzeczywiście zachowywała się dość głośno na niektórych odcinkach ich szalonej jazdy. Wbiła wzrok w orzechy na swoim podoleku, bo zdała sobie sprawę, że to przez nią poszukiwanie jedzenia zabrało mu tyle czasu.

- Przepraszam, że na ciebie warknęłam. Już myślałam, że nie wrócisz.

Pogładził ją po włosach i przy okazji wyciągnął szpilkę, pozwalając, by złoty pukiel opadł na jej pierś.

- Widzę, że zabrałaś ich cały zapas - zauważył. - Czy mam je wszystkie ukraść, żebyś uwolniła swoje słońce?

- Moje słońce? - zapytała zmieszana.

- Twoje włosy, duchess. Czejenowie powiedzieliby, że uwięziłaś w nich słońce.

- Jakie to poetyczne - uśmiechnęła się, kiedy wyjął następną szpilkę, uwalniając kolejny lok. Ta jego fascynacja włosami sprawiała jej ogromną przyjemność. - Nie jesteś zły, że wypłoszyłam zwierzęta? - spytała.

- Nie wypłoszyłaś. - Spojrzał w jej zielone oczy. - Nie lubię marnować żywności i niepotrzebnie zabijać duże zwierzę, jeśli nie mam czasu zakonserwować mięsa.

Zdumiewało ją, jak szybko wpada w gniew, ale jeszcze bardziej dziwiło, jak on łatwo potrafi ją udobruchać. Wystarczyło, że pytająco uniósł brew. I roześmiał się, widząc, że ominął go wybuch złości.

- Duchess, ty ciągle się boisz, że mogę cię zostawić? - odgadł jej obawy.

- Nie, nie opuścisz mnie, przynajmniej tak obiecałeś. Pewnie zasłużyłam sobie na to niewinne kłamstwo o zwierzętach. Powinnam cię była inaczej powitać, skoro zadałeś sobie tyle trudu, żeby zdobyć te trofea.

- A jednak się niepokoiłaś - stwierdził, ścigając brwi. - Nie odszedłbym tak daleko, by nie usłyszeć twego wołania, gdybyś mnie potrzebowała. Więc nie miałaś się czego obawiać. I skąd ci przyszło na myśl, że mógłbym nie wrócić?

Znowu opuściła oczy.

- Pamiętam, jak bardzo nie lubisz białych kobiet.

- A ty jesteś bielsza od większości z nich, tak? - Pogładził ją wierzchem dłoni po policzku.

- Nigdy nie starałaś się ukryć, co czujesz.

- Rozumiem. No cóż, strasznie cię dziś nie lubię, prawda?

Zaczepnie podniosła głowę.

- Straciłaś kontrolę, podobnie jak wtedy. To całkiem zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że śpiąc, praktycznie na tobie leżałam.

Policzki jej płonęły, gdy usprawiedliwiała przed nim jego zachowanie. Lecz Colt pokręcił

przecząco głową; czuła, choć nie miała pewności, że teraz w nim z kolei wzbiera gniew. Ten jego pokerowy wyraz twarzy bywał nie do zniesienia!

- Kobieto, tylko raz straciłem kontrolę, kiedy się zniecierpliwilem. A gdybym cię nie lubił, za żadne skarby nie rozpalilibyś we mnie krwi.

- A rozpalam?

- Dobrze wiesz, że tak.

Choć te słowa ujęły ją, ton, jakim je wymówił, wytrąciły ją z równowagi.

- Ale nie jesteś z tego powodu zadowolony, prawda?

- Jeśli tego jeszcze nie zauważyłaś, przestałem ze sobą walczyć. - Nachylił się i mocno pocałował ją w usta, jakby na dowód, że mówi prawdę. - Duchess, jeżeli nie dotarło to jeszcze do twojej pięknej główki, to cię zapewniam, że aż do Cheyenne będziesz ze mną dzielić derkę, co ogromnie mnie cieszy - dodał znacznie już łagodniejszym tonem. - Więc nie miej wątpliwości, że będę wracał każdego dnia. Nie ma takiej rzeczy, która potrafiłaby mnie od ciebie oderwać.

Jocelyn nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź. Zażenowała ją taka bezpośredniość i zaskoczyła fala gorąca, która rozlała się jej w żyłach. Powinna zaprotestować, że zbyt wiele sobie obiecywał. Nigdy nie dała do zrozumienia, że na czas podróży zostaną kochankami. Już sam pomysł... był taki podniecający, że zaparło jej dech w piersiach. A poza tym co właściwie miała do powiedzenia? Jak wcześniej oznajmił, teraz wszystko zależało od niego.

Jakby czytając w myślach Jocelyn, posłał jej najwdzięczniejszy z uśmiechów, jakie u niego kiedykolwiek widziała, i oddalił się, by przyrządzić posiłek. To zachowanie również uznała za aroganckie, ale powstrzymała się od komentarza. Jaki by to miało sens? Nawet gdyby ze względu na przyzwoitość zaprotestowała przeciw wspólnemu posłaniu, całym sercem była za tym. Nie okazała się taką hipokrytką. Wcześniej naprawdę myślała, że nigdy więcej go nie zapragnie, lecz udowodnił jej pomyłkę.

Leniwie wodziła spojrzeniem po jego sylwetce, gdy kopał dołek w pobliżu ogniska, które rozpałała. Słyszała wcześniej, że można upiec mięso, wkładając je do ziemi, zapewne więc to właśnie zamierzał zrobić z ptakami. Nie tyle zainteresowała ją jedzenie, ile rzeźba mięśni jego nóg, kiedy przykucał. Uświadomiła sobie, że jeszcze nie widziała go bez ubrania i że być może już wkrótce, może nawet dziś, zobaczy go nagiego. Boże drogi, już sama myśl o tym wywoływała drżenie w okolicy żołądka. Zdecydowanie musiała skupić myśli na bezpieczniejszym temacie.

- Jak widzę, nie zamierzasz mnie spytać, czy potrafię gotować.

Pokręcił głową, nie oglądając się na nią.

- Gdybyś odpowiedziała: tak, musiałbym wypróbować twoje umiejętności, nawet gdybyś skłamała. Już wolę raczej mieć pełen brzuch.

Roześmiała się, widząc, że się z nią droczy.

- Ja też, więc dobrze, że choć jedno z nas potrafi gotować.

Nigdy nie dopuszczano mnie do kuchni, bo jak wiesz, jest to domena służby. Wcale mi nie zależało, żeby nauczyć się gotować, kiedy dorastałam. Wołałam siedzieć w stajni, na szczęście nikomu nie przyszło do głowy, żeby mnie stamtąd wyganiać. Ale nawet moja matka potrafiła co nieco ugotować. Tak mi przynajmniej mówiono. Chyba powinnam nauczyć się przyrządzać jakieś jedno danie, moją specjalność. Każda kobieta powinna mieć taką jedną rzecz, którą potrafi dobrze robić, nie uważasz?

- Duchess, nie brakuje ci talentu ... w pewnych sprawach. Zaczerwieniła się:

- Miałam na myśli kuchnię.

- A ja twoje obchodzenie się z końmi.

- Colcie Thunderze, straszny z ciebie złośliwiec. - Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

On też się uśmiechnął.



- No i nieźle radzisz sobie z bronią - dodał.  
- Cóż, skoro już mówimy o umiejętnościach, muszę ci wyznać, że jestem ogólnie uzdolniona - potrafię żeglować, strzelać z łuku, grać w tenisa i jeździć na rowerze.

- I co?

- Jeździć na rowerze. Wiesz, to taki pojazd z dwoma kołami i ...

- Wiem, co to jest. Cholerny dwunogi koń. Widziałem ich mnóstwo na ulicach Chicago, płoszyły prawdziwe konie i wpadały na budynki. I ty dobrze na tym jeździsz?

- Potrafię wsiąść i zejść bez upadku, ale strach policzyć te wszystkie zadrapania i siniaki, jakich się dorobiłam, kiedy uczyłam się utrzymywać równowagę. Masz rację, w mieście rowery stwarzają zagrożenie, natomiast na otwartych terenach bardzo przyjemnie się na nich jeździ. Powinieneś spróbować.

- Dzięki. Zostanę przy koniach.

Wyobraziła sobie Colta na rowerze i omal nie wybuchnęła śmiechem. Nie, nie sądziła, by odpowiadało mu coś, nad czym tak trudno utrzymać kontrolę.

Posiłek upłynął w przyjemnej atmosferze, jedzenie okazało się wyśmienite. Ptaki nie wyglądały na zbyt apetyczne, bo ich nie wypatroszył, ale mięso było bardzo miękkie i smaczne. Jocelyn zażartowała, że z Colta byłaby dobra żona, ale nie zachwycił go ten dowcip.

Niestety, dobre samopoczucie szybko ją opuściło. Kiedy opłukała naczynia w strumyku, uznając, że powinna choć trochę pomóc, skoro wcześniej nie przyłożyła ręki do gotowania, ogarnęło ją wielkie onieśmienie, szczególnie gdy Colt ze spokojem zabrał swoje derki z miejsca, gdzie je wcześniej dla niego położyła, i rozwinął obok jej pośłania.

Siedziała na pośłaniu całkowicie ubrana, nie wiedząc, co ma robić i czego się po niej spodziewa. Bywali już wcześniej w podobnych sytuacjach, ale wtedy jej pomagał, podpowiadał, prowadził ją. W dodatku byli podnieceni i niecierpliwi. Zachowywali się spontanicznie. Teraz było inaczej. Ocknięcie się w jego ramionach to co innego. Nawet myślenie o dzieleniu z nim pośłania było czymś zupełnie innym od spania razem.

W tej chwili nie odczuwała pożądania, lecz zdenerwowanie, które jeszcze się spotęgowało, kiedy zaczął zdejmować kurtkę.

- Nie powinieneś tego zostawić ... ze względu na ziąb? - wyjąkała.

- Nie będzie mi potrzebna.

- Aha.

Tą drogą nic nie osiągnie. Musi grać na zwłokę, by mieć czas się uspokoić. Jak on może zachowywać się tak nonszalancko i rozbierać się na jej oczach, jakby to robił każdego dnia?

Gdy odpiął pas z rewolwerem, zaczęła gorączkowo szukać jakiegoś tematu, którym mogłaby zaprzętnąć jego uwagę, i pomyślała o Angelu.

- Opowiedz mi co nieco o swoim przyjacielu Angelu.

Zastygł na moment.

- Co chcesz wiedzieć? - spytał, marszcząc brwi.

- Zastanawiałam się, dlaczego się zgodził przystać na twoją prośbę. To duże poświęcenie związać się z bandą opryszków tylko po to, żeby mi pomóc, gdyby przypadkiem mnie pojмали. A jednak zrobił to dla ciebie.

Colt przyglądał jej się przez chwilę i widocznie uznał, że jej ciekawość nie wynika z zainteresowania osobą Angela, bo wzruszył ramionami:

- Chyba uznał, że jest mi to winien.

- Dlaczego?

- Kilka lat temu pomogłem mu w kłopotach. Najął się u mojej siostry do pracy na ranczu i mniej więcej po tygodniu czy dwóch natrafił na małą bandę złodziei bydła, którzy podkradali sztuki z jej stada. Było ich zaledwie czterech, a przynajmniej tak mu się wydawało. Uznał, że sam sobie z

nimi poradzi, i pewnie by mu się udało, gdyby tak naprawdę nie było ich w bandzie pięciu. Właśnie ten piąty strzelił mu w plecy.

- To tę kulę wyjęła mu twoja siostra?

- Tak.

- Więc znalazłeś go i pomogłeś mu wrócić na ranczo?

- Zrobiłem nieco więcej. Kiedy znalazłem się na pastwisku, rewolwer był już w niego wycelowany. Zabrakło paru sekund. - Czyli uratowałeś mu życie - podsumowała. - Cóż, to chyba jest warte rewanzu. A złodzieje?

- Uratowałem ich przed powieszeniem.

- Nie ... musisz wdawać się w szczegóły.

- Nie zamierzam - odparł ze znaczącym uśmiechem, obserwując, jak Jocelyn cały czas śledzi ruchy jego rąk. - Nie masz zamiaru się rozebrać?

- Ziąb ...

- Duchess, nie poczujesz chłodu. Obiecuję ci.

- Ale ...

- Tak?

- Ta sytuacja ... jest taka niezręczna - przemogła się wreszcie. - Nawet mnie nie pocałowałeś.

- Bo pomyślałem, że nam się przyda trochę snu. Czyżbyś zapomniała, że poprzedniej nocy w ogóle nie spaliśmy? Jeżeli cię pocałuję, czeka nas kolejna nieprzespana noc.

Roześmiała się.

- Więc to dlatego rozbierasz się z takim spokojem.

- Jeżeli masz jakieś propozycje ...

- Nie, nie, trochę snu to bardzo dobry pomysł - zaprzeczyła czym prędzej i podniosła się, żeby sięgnąć po kuferek. - Przebiorę się w nocną koszulę.

- Nago będzie nam cieplej - powiedział, gdy skierowała się w pobliskie zarośla.

- Ale czy wtedy się wyśpimy? - zdobyła się na pytanie.

- W takim razie lepiej się przebierz.

## Rozdział 40

Po trzech latach wojaży i zwiedzania świata Jocelyn wreszcie poczuła się jak na wakacjach. Bawiła się świetnie i czuła się jak prawdziwa podróżniczka. Wszystko, co oglądała, wydawało jej się piękne i godne zapamiętania - od przemierzonych w szybkim tempie równin po góry, w które właśnie wjechali. Niebo było tak śliczne i takie błękitne, często świeciło słońce. Skrzyła się krystalicznie czysta woda w rzekach i strumieniach. Nawet chłód jej nie przeszkadzał. Miała tylko jedno zastrzeżenie: czas płynął za szybko.

Od czterech dni podróżowali przez Colorado. Przejechali przez góry wąską przełęczą Raton Pass. To miejsce przed kilku laty mogło się stać zarzewiem wojny między kompaniami kolejowymi Denver & Rio Grande oraz Atchison, Topeka & Santa Fe. Obie kompanie rościły sobie prawo do przeprowadzenia tamtędy linii kolejowej, w końcu wygrała Santa Fe, przy czym - o dziwo - obyło się bez rozlewu krwi.

Podróż nieopodal torów kolejowych dawała Jocelyn poczucie powrotu do cywilizacji. Od 1858 roku, gdy w Colorado zostało znalezione złoto, te dziewicze wtedy tereny przyciągnęły tysiące osadników i poszukiwaczy złota. Teraz cały ten obszar był dość gęsto zaludniony, a w roku 1876 uzyskał nawet prawa stanowe. Jocelyn nie miała okazji oglądać zbyt wielu skupisk ludzkich tylko dlatego, że Colt szerokim łukiem omijał farmy, rancza i miasta.

Dzisiaj było inaczej. Około południa zbliżyli się do Colorado Springs, małego miasteczka u podnóża Gór Skalistych, które otaczały je na podobieństwo solidnego muru, z górującym nad nim masywem Pikes Peak. Colt powiedział, że stamtąd mogą kontynuować podróż koleją. Jocelyn nie miała nic przeciwko temu, bo wizja kochania się w luksusowym pulmanowskim slipingu i przyglądania się zmiennemu krajobrazowi za oknem wydała jej bardzo kusząca. Colt i tak zamierzał wsiąść do pociągu w Denver i przejechać koleją ostatni odcinek drogi, a biorąc pod uwagę prędkość, z jaką podróżowali, Denver znajdowało się zaledwie dwa dni drogi na północ.

Przed wjazdem do miasta Colt zatrzymał się na postój i Jocelyn musiała poczekać, aż zaplecie włosy w warkoczyki. Wcześniej tego ranka zdjął gruby podróżny płaszcz, który chronił go przed chłodem na górskich ścieżkach, i pozostał w koszuli z irchy ozdobionej frędzlami, w obcisłych czarnych spodniach i w mokasynach.

- Po co to robisz? - Jocelyn kręciła głową z niezadowoleniem. - Dlaczego tak ostentacyjnie podkreślasz swoje pochodzenie? Wiem, że to sprządza na ciebie kłopoty. Przez to doszło do pojedynku w Silver City, prawda?

- Więc?

- Więc gdybyś obciął włosy, ubrał się nieco inaczej, nie wyróżniałbyś się wśród innych - no, może poza atrakcyjnością wyglądu. A tak nie przedstawiasz się zwyczajnie.

Błysnął zębami w uśmiechu, zaskoczony, że swym pytaniem nie rozbudziła w nim gniewu. Być może sprawiło to jej pełne podziwu spojrzenie. Czuł się cholernie dobrze, gdy tak na niego patrzyła.

- Duchess, ty postępujesz po swojemu, ja też będę postępował po swojemu. Gorsze rzeczy mogą się wydarzyć, gdy ludziska wezmą cię za kogoś innego.

- Gorsze od strzelaniny? - prychnęła. - Jeżeli mam postępować po swojemu, musisz mi oddać moje szpilki.

Wyciągnęła rękę, lecz teraz on pokręcił głową. Dopiero w Cheyenne stanesz się na powrót "jej wysokością".

Już zamierzała się nadąsać, gdy wpadła na pomysł, że właśnie nadarza się wspaniała okazja, by spróbować rzeczy, których nie mogła robić jako księżna w otoczeniu swego dworu.

- W takim razie, kiedy będziemy czekać na przyjazd pociągu, chcę zająć do burdelu, żeby ...

- Nie ma mowy!
- Tylko żeby zobaczyć, jak tam jest. Colt, zawsze mnie ciekawiło ...
- Wybij to sobie z głowy, mówię poważnie.

Naburmuszyła się, urażona jego stanowczą odmową.

- W takim razie zajrzemy do saloonu - poszła na kompromis. - Temu nie możesz się sprzeciwić.

- Nie mogę?

- Proszę cię, Colt. Kiedy drugi raz trafi mi się podobna okazja? - zaczęła go przekonywać, nim zdążył zdecydowanie odmówić. - Być w Ameryce i nie widzieć jednej z tutejszych osobliwości? Kiedy moi ludzie do nas dołączają, nie będą mogła zachowywać się tak ... swobodnie.

- Zgodzisz się włożyć moje spodnie i płaszcz?

W pierwszej chwili usłyszała tylko, że nie powiedział "nie".

- Twoje spodnie? Chyba żartujesz.
- Duchess, a kto mówi, że muszą pasować?

Uśmiechnęła się:

- Chcesz, żebym zmieniła zdanie, prawda?

- A zmieniłaś?

- Nie.

- Więc miejmy nadzieję, że pociąg będzie czekał gotowy do odjazdu, kiedy znajdziemy się na stacji.

Niestety, nie czekał. Do przyjazdu pociągu kierującego się na północ pozostały dwie godziny. Jocelyn bardzo się z tego powodu ucieszyła, choć jednocześnie ogromnie rozczarowała ją wiadomość, że w składzie nie ma sypialnego wagonu. Rozpromieniła się na nowo, gdy na bocznicy zobaczyła małą prywatną salonkę. Dowiedziała się, że od niedawna stanowi ona własność jednego z bogatszych mieszkańców Colorado Springs i że nie jest ani na wynajem, ani na sprzedaż. Naturalnie, ta wiadomość jej nie zniechęciła. W ciągu pół godziny wyszukała adres właściciela, wymieniła z nim listy, a na koniec przesłała niewielki mieśk złotych, dzięki czemu uzyskała wyłączne prawo korzystania z salonki aż do samego Cheyenne.

Colt, który stał nieco z tyłu, kręcił głową z niedowierzaniem, obserwując, jak jej pieniądze i sposób bycia wpływają na ludzi, choć nawet nie przedstawiła się jako księżna. Następnie przeniósł ich rzeczy do wagonu i czekał w salonie, podczas gdy ona przebierała się w małej sypialni. Ten salon, ze ścianami obitymi aksamitem i z pluszowymi kanapami, przywoził mu na myśl jej karetę, tyle, że przepych był tu jeszcze większy - w oknach wisiały jedwabne zasłony, ściany między oknami zdobiły wąskie lustra w złożonych ramach, na podłodze leżał puszysty dywan, a sufit z białego dębu zdobiły motywy winorośli i kwiatów. Mieli do dyspozycji kuchenkę, łazienkę z umywalką i wanną oraz dobrze zaopatrzone barek. A w narożniku salonu stało pianino.

Colt rozglądał się wokół siebie, rozważając, co on, do diabła, tu robi. To miejsce pasowało do księżnej, lecz rozkosze bogactwa nie były dla niego. W swojej chatce na jednym ze wzgórz ponad ranczem Jessie nie miał nawet łóżka. Jessie uparła się, żeby powstawić tam trochę sprzętów, ale na łóżko się nie

zgodził, wołał dalej spać na podłodze. Czy poważnie myślał, żeby zostać z duchess? Chyba oszalał, jeśli coś takiego przyszło mu do głowy.

Musi jak najszybciej uwolnić się od niej i odzyskać spokój umysłu. To dlatego znaleźli się w pociągu. Możliwość przebywania z nią, dbania o nią, świadomość, że jest od niego zależna, sprawiała mu zbyt wielką radość. Istniało niebezpieczeństwo, że tydzień z nią go nie zadowoli, że zapragnie zostać z nią na zawsze. Sądził, że stanie się inaczej, ale niestety pomylił się. Nie przypuszczał, że jej osoba obudzi w nim tyle emocji.

Myśli te przywołały zadawniony żal i gniew. Bez względu na to, czego pragnął, i tak nie może jej

mieć. Była biała, on nie. Białe kobiety nie wychodzą za mieszańców, bo spotkałby je ostracyzm. Zapomniał o tym na chwilę, ona zapewne nie. Zabawia się z nim, a potem odejdzie, nawet nie oglądając się za siebie. Czyż nie wykorzystała go, żeby pozbyć się przeszkody stojącej na drodze do poślubienia kogoś "odpowiedniego"? Kogoś odpowiedniego!

- Jestem gotowa!

Chryste, podobała mu się nawet w tym idiotycznym przebraniu.

- Nie jesteś. Ukryj włosy pod kapeluszem. Wykonała polecenie, niemile zaskoczona jego tonem.

- Czy coś się stało?

- A powinno?

- Nie chcesz mnie wziąć do saloonu, tak?

- Duchess, nieważne, czego ... ja chcę.

Zdenerwowała się, bo jego słowa zdawały się mieć podwójne znaczenie, a ona nie rozumiała aluzji. Do tego jeszcze ten opryskliwy ton. Sądziła, że już więcej nie będzie musiała go znosić.

- Skoro nieważne, to czy możemy już iść?

Nie czekając na odpowiedź ani na niego, gniewnie wymaszerowała z salonki, kierując się na główną ulicę. Zanim zdążyła opuścić stację, szarpnięciem za ramię obrócił ją ku sobie.

- Jeżeli rzeczywiście upierasz się przy tym szalonym pomysle, rób dokładnie, co ci powiem. Nie zdejmuj kapelusza i trzymaj oczy spuszczone. Zagapisz się w końcu na podobnego sobie i jeszcze gotów pomyśleć, że prowokujesz go do pojedynku. I nie odzywaj się. Poza tym za żadne skarby nie wieszaj się na mnie, jeśli coś cię przestraszy. Pamiętaj, że udajesz mężczyznę, zachowuj się więc jak mężczyzna.

- Jak ty? Nie wiem, czy potrafię zrobić taką samą minę, jaką masz w tej chwili, ale znam wiele twoich grymasów. Któryś na pewno mi wyjdzie. A co powiesz na ten?

Rozbroiła go swoją miną. Odwrócił ją i pchnął lekko przed siebie, zanim zdążyła zauważyć, że nie potrafi zapanować nad uśmiechem.

Znalezienie saloonu nie zajęło im dużo czasu.

- Czy oni tu warzą złoto? - chciała wiedzieć, kiedy zobaczyła szyld: "Warzelnia pod Złotym Samorodkiem".

W tej chwili nie bawiło go jej poczucie humoru.

- W takich miejscach waży się głównie kłopoty, Dutch. Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

- Dutch?<sup>6</sup> - roześmiała się. - To niby moje męskie imię, bo chyba nie masz na myśli narodowości \*? Czy wyglądam na Holendra?

- Wyglądasz jak nie z tego świata - zareplikował i nasadził jej głębiej kapelusz na głowę, żeby zasłonić małe muszelki jej uszu.

- Chryste, to się nie może udać. Wystarczy jedno spojrzenie na twoją twarz.

- A co się może stać, gdyby odkryli, że jestem kobietą?

- Wszystko, do jasnej cholery!

Widziała, że gotów jest zmienić zdanie.

- Colt, proszę, tylko pięć minut - błagała, cofając się ku wahadłowym drzwiom. - Nic się nie może wydarzyć w ciągu pięciu minut.

Pchnęła drzwi, zanim zdążył ją powstrzymać.

---

<sup>6</sup> Dos/. Holender (przyp. tłum.).

## Rozdział 41

Sądząc po gwarze dochodzącym na zewnątrz, "Złoty Samorodek" nie wydawał się tak zatłoczony, jak był w rzeczywistości. Jocelyn przystanęła tuż za drzwiami. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie ma w tym dniu jakiegoś święta, skoro tylu mężczyzn znalazło się tutaj w środku dnia. Po chwili zauważyła, że większość okupujących bar pochyła się nad talerzami z jedzeniem, i wtedy dopiero uzmysłowiła sobie, że jest pora obiadu i że sama też chętnie by coś zjadła.

- Nie uprzedziłeś mnie, że to jest także restauracja - wyszeptła do Colta, czując jego obecność za plecami.

- Do kogo mówisz, dzieciaku?

Obejrzała się i z przerażeniem stwierdziła, że stoi za nią starszawy mężczyzna w samym tylko flanelowym podkoszulku i szelkach podtrzymujących spodnie podobne do tych, jakie sama miała na sobie. Na szczęście wpatrywał się nie tyle w nią, ile w bar, przeczesując przy tym palcami długą, siwą brodę.

- Pan wybaczy, ja ...

- Pan wybaczy! - zaśmiał się skrzekliwie, zanim zdążyła dokończyć.

Niespokojnie zerkała przez ramię, usiłując sprawdzić, gdzie podział się Colt. Nie było go.

- Nie masz przypadkiem zbędnej pięciocentówki, synku? zwrócił się do niej starszy mężczyzna, świdrując ją wzrokiem. - Dają jeść za darmo, ale pod warunkiem, że się kupi szklaneczkę.

Sięgnęła do kieszeni płaszcza, gdzie przed wyjściem wrzuciła garść monet, i podała mu jedną. Zrozumiała swój błąd, gdy z wybałuszonymi oczyma wyrwał jej z ręki złotą dwudziestodolarówkę, zanim zdążyła ją schować.

- Synku, chyba dopiero musiałeś zjechać ze złotodajnych działek. Chodź, postawię ci drinka. O diabli, ale jestem bogaty!

Ruszył do baru z radosnym rechem. Nie zamierzała pójść za nim. Właściwie zaczęła się wycofywać do drzwi, gdy Colt pociągnął ją za ramię. Minę miał niezadowoloną, musiał stać za nią i obserwować całą scenę.

- Zdaje się, mówiłem ci, że masz się nie odzywać.

- On wziął mnie za chłopca - czym prędzej wyjaśniła. - Skoro wyglądam jak chłopiec, czy nie moglibyśmy tu zostać na obiad?

- Nie, nie moglibyśmy - warknął z irytacją. - Już się napatrzyłaś?

- Właściwie niczego nie zdążyłam zobaczyć, ale ... Zaniemówiła, bo akurat w tej chwili jej wzrok zawisł na obrazie w złoczonej ramie, wiszącym nad lustrem za barem. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w portret nagiej kobiety półleżącej na sofie. Cichy śmiech Colta uprzytomnił jej, że na obraz gapi się z płonącymi policzkami.

- Chodź, Dutch, stamtąd będziesz miał lepszy widok. Pięć minut i wychodzimy.

Kiwnęła głową i podreptała za nim do baru. Na długiej rzeźbionej ladzie z orzecha co dwa i pół metra od siebie leżały rozłożone ręczniki, które - jak się domyślała - służyły klientom do wytarcia rąk po jedzeniu. Wzdłuż baru nad podłogą biegł metalowy pręt, o który można było zahaczyć obcasy kowbojskich butów, tuż przy nim stały sopluczeki, każda przypadała na mniej więcej czterech gości. Podłoga wokół sopluczek była wysypana trocinami. Pech chciał, że już za chwilę zobaczyła, po co te trociny, bo akurat jeden z kowbojów strzyknął prymką tytoniu w kierunku sopluczeki i nie trafił.

Kiedy usiedli przy barze, mężczyzna stojący za kontuarem podszedł do nich, stał z lady resztki darmowego obiadu i zapytał: - Co ci podać, chłopcze?

- Poproszę koniak.

- Dwie whisky - warknął siedzący obok niej Colt i rzucił na ladę pięciocentówkę.

Jego mina była wymowniejsza od tysiąca słów. Znow popęła błąd. W tych okolicach zapewne

nikt nigdy nie słyszał o koniaku.

- Przepraszam - wyszeptała speszona.

- Trzymaj i nie pij - powiedział jedynie, gdy barman postawił przed nią szklaneczkę whisky.

Zamknęła ją w dłoni, odwróciła się bokiem do baru i oparła o niego łokciem, tak jak robili to inni mężczyźni. Colt siedział tyłem do sali, bo w ten sposób mógł obserwować wnętrze w lustrze wiszącym nad barem. Jocelyn wolała oglądać je bezpośrednio.

Cały saloon musiał być mniej więcej wielkości bawialni we Fleming Hall. Prócz obscenicznego obrazu, który konsekwentnie omijała wzrokiem, ściany zdobiło niewiele interesujących przedmiotów - głowa jelenia, zbielała czaszka jakiegoś grubego zwierza, stare strzelby oraz zad bizona. Na jego widok aż zamrugowała ze zdziwienia.

Na środku stało parę stołów do gry w karty i ruletka, lecz zdecydowanie główną atrakcją tego przybytku stanowiło picie. W ciągu paru minut usłyszała, jak klienci wykrzykują do barmana takie osobliwe nazwy, jak: "jad węża", "politura do trumny", "czerwony dynamit", "sok tarantuli" czy "siki pantery". Domyśliła się, że mają na myśli whisky. Kusiło ją, żeby pociągnąć łyżeczek ze szklaneczki i sprawdzić, jak smakuje ten tak malowniczo określany napitek, ale jedno spojrzenie na wpatrującego się w lustro Colta zniechęciło ją do eksperymentów.

Sądząc po strojach, gośćmi tego przybytku byli ludzie wszelkiego autoramentu - poszukiwacze złota, hazardziści, kupcy, kowboje, a także włóczędzy. Ku swemu zdziwieniu przy niektórych stolikach dostrzegła również kobiety.

Wesołe dziewczynki - tak o nich mówiono. Słyszała też inne, mniej sympatyczne epitety. Najwyraźniej w ich przypadku można było liczyć na coś więcej niż na towarzystwo przy szklaneczce czy taniec, lecz jedyną rzeczą, która według Jocelyn odróżniała je od kobiet widzianych na ulicach, był strój. Nie nosiły bezbarwnych czy perkalowych sukien, no i były umalowane.

Właściwie ubrane były zgodnie z najnowszą francuską modą. Widziała takie stroje na rycinach w żurnalach, chociaż o ile pamiętała - tam staniki nie miały aż tak głębokich dekoltów. Dopiero gdy jedna z tych dam uniosła się od stolika, Jocelyn przekonała się, gdzie kończy się zgodność z najnowszą modą. Spódnica sięgała zaledwie połowy ud, ukazując długie nogi obleczone w jedwabne pasiaste pończochy.

Jocelyn zorientowała się, że patrzy na tę kobietę z otwartymi ustami, czym prędsiej więc je zamknęła. Przychodząc tutaj, naprawdę liczyła się z tym, że może przeżyć szok. Mój Boże, jeżeli te kobiety chodziły tak skąpo ubrane, co w takim razie nosiły rezydentki burdeli? Nic dziwnego, że Colt tak się oburzył, gdy zapragnęła zajrzeć do domu publicznego.

- Masz jakiś problem?

Jęknęła w duchu. Colt ostrzegał ją, by nie ważyła się gapić na kogokolwiek, a tego mężczyznę o posturze niedźwiedzia wyraźnie coś rozzłościło. Nie przypominała sobie, by mu się przyglądała. Właściwie dopiero teraz go zauważyła. Być może wcale nie mówił do niej.

- Zapytałem cię o coś.

Teraz się zorientowała, że rzeczywiście nie zwrócił się do niej, tylko do Colta. Zerknęła na niego i zobaczyła, że obserwuje mężczyznę w lustrze, że robi dokładnie to, czego jej zakazał, czyli wpatruje się w niedźwiedzia, co musiało go rozjuszyć, bo on też widział Colta w lustrze.

Colt nie odwrócił się, ani też nie odpowiedział. Zastygł, siedział jak sparaliżowany. Ani jeden mięsień mu nie drgnął.

- Cholera, jesteś mieszańcem! - usłyszała i też zamarła. - Do diabła, kto cię tu wpuścił?

Czekała, że Colt się odwróci, że pošle tę kreaturę tam, gdzie jego miejsce. Po co on zaplata te włosy, a w dodatku nosi irchową koszulę oraz mokasyny?! Jedna z tych rzeczy nie przyciągałaby uwagi. Niektórzy mężczyźni w saloonie mieli dłuższe włosy niż Colt. Widziała też kogoś w irchowej koszuli. Co prawda nikt nie nosił mokasynów, ale dopiero te trzy elementy razem były

jak transparent wypisany ogromnymi literami. Sam napraszał się o kłopoty, dlaczego więc nie odwróci się teraz i nie stawi im czoła?

- Mówię do ciebie, kundlu! - mężczyzna podniósł się po tych słowach.

Był naprawdę zwalisty. A z rozczochraną, brunatną grzywą i zarośniętą twarzą rzeczywiście przypominał niedźwiedzia. Wprawdzie nie miał broni, ale wydawał się przejęty widokiem rewolweru Colta. Zapewne był pastuchem, świadczył o tym zwinięty bykowiec przytroczony do paska. Albo może zaganiaczem, do którego zadań należało pędzenie bydła po górskich ścieżkach. Jocelyn zrobiło się żal biednych zwierząt, bo mężczyzna wydawał się nie tylko podły, ale i okrutny.

Colt nadal nie reagował.

- Może w jakiś inny sposób muszę przyciągnąć twoją uwagę? - zasugerował gbur.

Jocelyn zaparło dech, gdy bat rozwinął się na podłodze. Nie odważy się! A jednak wszyscy klienci stojący przy barze musieli myśleć inaczej, bo rozproszyli się i wycofali pod ściany. Opustoszały również stoliki w pobliżu kontuaru. Ktoś szarpnął ją za rękaw i odciągnął od lady. A Colt dalej trwał w bezruchu.

Zanim zdołała wyrwać się swemu obrońcy, rozległ się trzask.

Ujrzała ciemną pręgę na plecach Colta, w miejscu, gdzie bat przeciął irchę. Ta bestia naprawdę to zrobiła. Uderzył Colta, chcąc go sprowokować. Ku jej zdumieniu i zaskoczeniu Colt jednak nie zareagował. Trwał nieporuszony, nawet nie skulił się pod uderzeniem. A przecież musiało zboleć. Trzask bata przypominał wystrzał z pistoletu.

Niedźwiedzia też zaskoczył brak reakcji ze strony ofiary, ale tylko na chwilę. Wpatrując się przymrużonymi oczami w plecy Colta, podszedł bliżej lustra, by móc spojrzeć mu w twarz, i wtedy jego oczy zwięzły się w szparki.

- Wydajesz mi się znajomy, kundlu. Czyżbyś już wcześniej sprawił mi kłopoty? A może byłem zanadto pijany, żeby zapamiętać? Odpowiedz, psie! - wrzasnął i zamachnął się batem.

- Nie! - krzyknęła Jocelyn, kiedy drugi raz uderzył Colta, i rzuciła się do przodu.

- Trzymaj się od tego z daleka, chłopcze! - Jakaś ręka stanowczo przytrzymała ją za ramię. - To tylko mieszaniec.

Straciła jasność myślenia. Nic z tego nie rozumiała. Ani uprzedzeń, które sprawiły, że mężczyzna wypowiedział te słowa, ani obojętności pozostałych klientów saloonu, którzy stali i patrzyli, zamiast interweniować, by zapobiec temu okrucieństwu. A przede wszystkim nie rozumiała samego Colta. Dlaczego w milczeniu przyjmował razy? Nie potrafiła tego zrozumieć!

Odwróciła się do mężczyzny trzymającego ją za ramię i wyrwała mu broń, zanim zorientował się w jej zamierzeniu. To był nieporęczny rewolwer, o długiej lufie. Musiała oprzeć go o przedramię, ale i tak wątpiła, czy potrafi zrobić z niego użytek. Nie miała zbyt wiele doświadczenia z krótką bronią.

Jednak niedźwiedź tego nie wiedział.

- Sir, uderz go jeszcze raz, a będę zmuszony cię zastrzelić. Ludzie zaczęli się wycofywać, usunęli się z drogi zarówno ci, co stali za nią, jak i za pastuchem. Ściągnęła na siebie jego uwagę i zapewne gniew, co było dla niej niezmiernie denerwujące. Spojrzała kątem oka na Colta, lecz niech go diabli porwą! Nawet teraz, kiedy się wtrąciła, siedział jak skamieniały! Czy naprawdę uważał, że sam da radę wyciągnąć ich z opresji?

- Do mnie mówisz, chłopcze? - zapytał niedźwiedź. - Chyba nie jesteś aż tak głupi?

Drgnęła, gdy poderwał bat. Zagrożenie było wyraźne, a wymowa tego gestu jasna. Jeżeli nie odłoży rewolweru, użyje go przeciw niej.

Pociły się jej ręce. Dopiero za drugim razem udało się jej odwieść kurek. W zupełnej ciszy szcęk metalu wydał się przeraźliwie głośny. Niedźwiedź, w najmniejszym stopniu nieprzejęty widokiem wycelowanej w siebie broni, kipiał z gniewu.



- Ty gówniarzu! - wycharczał. - Zejdź mi z drogi, bo inaczej potnę cię na pasy!

- Pratt, daj spokój! - krzyknął ktoś. - To jeszcze dzieciak!

- Też masz ochotę oberwać? - padła odpowiedź niedźwiedzia.

- Pratt, dość pokazałeś jak na jeden dzień! - rozległ się głos w drugim końcu sali.

W Jocelyn zaczęła wstępować otucha, dopóki się nie zorientowała, że brak pełnego poparcia tylko jeszcze bardziej rozwścieczył Pratta i że teraz całą złość wyładowuje na niej.

- Jak chcesz uratować skórę, to albo odłóż broń, albo jej użyj!

Nie dał jej wyboru, bo ręka z batem już uniosła się do góry. Pociągnęła za spust i ... zamarła z przerażenia. Strzał nie padł. Rewolwer nie był nabity.

Wyraz dzikiego triumfu na twarzy Pratta nie pozostawiał wątpliwości. Za to, że miała czelność mu się przeciwstawić, pozna teraz, co to ból. Sparaliżował ją taki strach, że nawet nie krzyknęła ani nie uskokzyła, gdy serpentyna bykowca śmignęła prosto na nią.

Huk był gorszy od uderzenia. Właściwie nic nie poczuła.

Być może serce jej zamarło, ale bólu nie czuła. Dopiero po chwili, gdy jej nozdrza wypełnił zapach prochu i zobaczyła, jak Pratt osuwa się na podłogę, zrozumiała, że ktoś ją ocalił, że usłyszała wystrzał, a nie śmignięcie bata.

Całkiem zrozumiała, że nie założyła z góry, iż jej wybawcą jest Colt, skoro wcześniej nie uczynił nic, aby zapobiec rozwojowi wypadków. Ale to właśnie z lufy jego rewolweru wydobywała się smużka dymu i jego wzrok napotkała, gdy opuściło ją napięcie. Niemal natychmiast uczucie ulgi zastąpił niewysłowiony gniew.

Nie straciła kontroli nad sobą. Odwróciła się wolno i oddała bezużyteczną broń właścicielowi, po czym miarowym krokiem wyszła z saloonu. Nigdy więcej nie odezwie się do Colta Thundera. Z jakichś sobie tylko znanych, piekielnych powodów do ostatniej chwili zwlekał z działaniem. Zapewne chciał dać jej nauczkę. Nie wybaczy mu, że dopuścił, aby się śmiertelnie przeraziła.

## Rozdział 42

Colt odprowadził księżną spojrzeniem, ale nie poszedł za nią. Nie był w stanie. Czuł się słaby jak dziecko. Serce nadal waliło mu o żebra, skóra lepiała się od zimnego potu. Nigdy dotąd nie przydarzyło mu się coś takiego, właściwie nie był pewien, co się z nim stało.

Spostrzegł, że Ramsay Pratt przygląda mu się w lustrze, a kiedy go rozpoznał, ogarnięty prymitywną satysfakcją omal nie wydał z siebie wojennego okrzyku. Tyle razy wyobrażał sobie ponowne spotkanie z tym człowiekiem, wyzywał go w myślach na pojedynek i łądował w niego cały magazynek, tak jednak, by go nie zabić, a jedynie okaleczyć. Pragnął, aby Pratt poznał ból i rozgoryczenie, jakie stały się jego udziałem, odkąd po raz pierwszy skrzyżowały się ich drogi.

Celowo rozbudził jego gniew, nie reagując na zaczepki.

Chciał, żeby się wściekł na dobre. A kiedy osiągnął zamierzony cel, okazało się, że nie może się odwrócić. Na widok bata jego ciało odmówiło posłuszeństwa, tak jakby część mózgu odpowiedzialna za ruch postanowiła nie uczestniczyć w konfrontacji z siepaczem, jakby się bał przejść przez to wszystko Jeszcze raz.

Nawet kiedy Ramsay go uderzył, nie był w stanie otrząsnąć się z odrętwienia. Nie doznał bólu, który wyrwałby go z niemocy. Z powodu głębokich blizn i uszkodzonych nerwów nie poczułby na plecach nawet rozżarzonych węgli. Nie wiedział nawet, czy tym razem bat Ramsaya go zranił. Dowie się dopiero, gdy obejrzy plecy.

Jeśli wcześniej sparaliżował go podświadomy strach, to prawdziwe przerażenie ogarnęło go, kiedy księżna znalazła się w niebezpieczeństwie, a on nadal pozostawał bezwolny. Dopiero wściekłość na widok bata śmigającego w powietrzu przywróciła mu zdolność ruchów.

Patrzył, jak wyrzucają zwłoki Pratta z saloonu. Słyszał jakieś uwagi, lecz nie były skierowane pod jego adresem. Większość gości powróciła do swych zajęć sprzed awantury. Ich zachowanie było typowe dla ludzi, którzy na co dzień mieli do czynienia z agresją.

Nie czuł nic, ani żalu, ani satysfakcji, ani żadnych emocji, jakie ogarniają człowieka, który przed chwilą zabił. Jedynie pełne pogardy spojrzenie księżnej, rzucone mu, gdy odchodziła, nie dawało mu spokoju. Wcale jej się nie dziwił. Co ma jej powiedzieć? Że uległ podświadomemu lękowi? Że chciał stanąć w jej obronie, usiłował, ale po prostu nie mógł się poruszyć? Nie mógł się poruszyć! Akurat mu uwierzy!

Wrócił na stację do zbytkowej salonki, którą z taką łatwością wynajęła. Była w środku, zamknęła się w sypialnej części. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zapukać do drzwi, ale zdecydował, że tego nie zrobi. Tak będzie lepiej. Pozbawi się jej towarzystwa na te kilka dni, a przecież niedługo i tak się rozstaną, więc jakie to ma znaczenie?

Pozbierał swoje rzeczy i ruszył ku drzwiom. Kupił bilet i przez konduktora powiadomił księżną, w którym wagonie można go znaleźć. Nie ma powodu, by się widzieli, zanim dotrą do Cheyenne. W drodze do wyjścia Colt zatrzymał wzrok na jednym z luster: przypomniał sobie o plecach. Rzucił rzeczy i ściągnął koszulę, by na nie spojrzeć. Prattowi z latami ubyło wprawy - pomyślał. Nie zauważył świeżych śladów.

- Boże jedyny w niebiosach!

- Co się dzieje?! - Odwrócił się gwałtownie, sięgając do rewolweru.

Poznał z wyrazu jej twarzy. Nie znosił litości, a już na pewno nie życzył sobie, aby ona się nad nim litowała.

Jocelyn upuściła strzelbę i nakryła usta dłonią. Zrobiło jej się niedobrze. W czasie ubiegłej godziny dość się napatrzyła na przemoc, ale teraz widziała jej skutki na nim, na Colcie! Rzuciła się do toalety.

Colt z siarczystym przekleństwem cisnął koszulę, ruszył za nią i pochwycił, zanim zdążyła dobiec do drzwi.

- Nie waż się! Nic się nie stało, słyszysz! Nic! Trzeba było wymiotować, kiedy wylały się flaki z tego siepacza, a nie teraz!

Kręcąc głową, przełknęła żółć, która podeszła jej do gardła.

Łzy trysnęły z oczu. Nie rozumiała, co go tak rozzłościło. Nie potrafiła stłumić targających nią emocji.

- Przestań! - warknął na widok łez, lecz zmiękł, kiedy ze szlochem rzuciła mu się na szyję.

Próbował wyzwolić się z jej objęć, lecz nie mógł tego uczynić, nie sprawiając jej bólu. Przywarła do niego, zaciskając ramiona tak mocno, że z trudem oddychał.

- Cholera! - westchnął po chwili, po czym zaniósł ją do najbliższego fotela i usiadł, sadowiac ją sobie na kolanach. - Nie wolno ci tego robić, kobieto. Czemu ty płaczesz? Przecież powiedziałem, że to nic.

- Twierdzisz ... że.; to ... jest nic? - zaszlochała na jego ramieniu.

- Nie powinno cię to obchodzić. To się stało dawno temu. Myślisz, że mnie to boli, czy co? Zapewniam cię, że nie.

- Ale bolało! - załkała jeszcze głośniejsze. - Nie w mówisz mi, że nie bolało! O Boże, twoje biedne plecy!

Ogarnęło go wzburzenie. Nic nie mógł na to poradzić.

- Posłuchaj mnie, księżno, posłuchaj uważnie. Wojownik nie uznaje litości. Woli zginąć.

- Ale ja się nie lituję nad tobą. - Odchyliła się nieco zdziwiona.

- W takim razie dlaczego płaczesz?

- To przez ten ból, który musiałeś znieść. Nie mogę myśleć spokojnie o tym, co przeszedłeś.

Pokręcił głową.

- Kobieto, patrzysz na to z niewłaściwej strony. On bił, żeby zabić. Niewielu mężczyzn przeżyłoby taką chłostę, ja przetrwałem. Te blizny są symbolem tryumfu nad wrogami. Pokonałem ich, bo przeżyłem.

- Skoro jesteś tak samo dumny z tych blizn jak ze znaków na piersi - przesunęła palcami po skórze nad brodawką, przyprowadzając go o dreszcz - dlaczego je przede mną ukrywałeś? Bo ukrywałeś, prawda?

Stanęły jej w oczach te wszystkie momenty, kiedy kochali się nago. Gdy jej ręce już miały zbłądzić na jego plecy, zawsze wtedy przenosił je nad jej głowę albo na boki. Przypomniała sobie, jak raz stwierdziła, że powinna go kazać wybatożyć. Dobry Boże, jak bardzo była nietaktowna! Ale przecież nic nie wiedziała.

- Duchess, nie powiedziałem, że jestem z nich dumny. Przypomnij sobie, jak zareagowałaś na te ślady - powiedział z goryczą, przyciskając jej dłonie do piersi. - A twoje zachowanie przed chwilą? Kobiety wymiotują na widok moich pleców.

- A wiesz, dlaczego? - uniosła się. - Te rany sam sobie zadałeś, sam skazałeś się na cierpienie i szcycisz się tym. A tamte zadał ktoś inny. Zmasakrował twoje piękne ciało, a to niewybaczalne okrucieństwo. Colt, kto ci to zrobił?

Nie był do końca pewien, czy usłyszał wyrzut, czy komplement.

- Właśnie byłeś świadkiem jego śmierci.

Potrzebowała chwili, by zrozumieć znaczenie jego słów.

- Boże, nic dziwnego, że zamarłeś na jego widok! - stwierdziła pobladła. - Ja też stałam jak wryta, kiedy się na mnie zamierzył, a przecież nie wiedziałam, jaki to ból. Ty go poznałeś ... O mój Boże! - jęknęła i znowu objęła go za szyję, jakby w ten sposób mogła zatrzeć jego złe wspomnienia. - Dobrze wiedziałeś, co poczujesz, kiedy cię uderzy. I on to zrobił! Na nowo przeżyłeś cały ten koszmar ...

- Dość już, duchess - przerwał jej szorstko. - Dramatyzujesz. Nic nie poczułem. Ciało musi być unerwione, żeby czuć ból. Mnie niewiele nerwów zostało.

- Mój Boże! - rozplakała się na nowo.

- Co z tobą?

Potrząsnęła głową, świadoma, że nie chciałby usłyszeć, jak mówi, że to jest jeszcze potworniejsze. Ale odgadywał jej myśli. I wiedział, co za chwilę zrobi, żeby dać mu ukojenie, jakie tylko kobieta potrafi ofiarować. Przytuli jego głowę do piersi, jeśli tylko na to pozwoli, a cały kłopot w tym, że ta myśl wydała mu się wielce kusząca.

Musiał zająć umysł czymś innym.

- Dokąd się wybierałaś z tą strzelbą? - zapytał, wskazując na broń na podłodze.

- Nie słyszałam, jak wszedłeś - wyznała, pociągając nosem. - Przyszło mi na myśl, że spotkały cię jakieś kłopoty po moim wyjściu z saloonu.

- Więc zamierzałaś wrócić, żeby mnie z nich wyciągnąć?

- Coś w tym rodzaju.

Spodziewała się wybuchu śmiechu. A tymczasem on wplótł palce w jej włosy i odchylił głowę, szukając jej ust. Nie zaskoczyła jej żarliwość tego pocałunku, być może bowiem była bardziej rozgorączkowana niż on. Ich czas razem dobiegał końca; oboje dobrze o tym wiedzieli.

## Rozdział 43

Kiedy pociąg wtoczył się na stację w Cheyenne, za oknami salonki wirowały płatki śniegu. Jocelyn, która przed przyjazdem do Ameryki niemal rok podróżowała w okolicach Morza Śródziemnego, od dawna nie widziała śniegu.

- Nie uważasz, że jest za zimno dla koni? - zwróciła się do Colta, opuszczając zasłonę. Colt, otulony płaszczem, wzruszył ramionami.

- Duchess, dzikie konie żyją tutaj od setek lat. Nie sądzisz chyba, że ludzie przetrwaliby tu bez koni?

Uśmiechnęła się trochę niepewnie. Oznajmiła Vanessie, że właśnie tu zamierza ulokować swoją stadninę, lecz podjęła tę decyzję spontanicznie, pod wpływem tego mężczyzny, który oto pakował spokojnie ich rzeczy, żeby opuścić i pociąg, i ją. Gdyby nie ten szczególny powód, być może rozejrzałaby się za bardziej odpowiednim miejscem dla swych koni pełnej krwi.

- Ale czy można hodować tu konie? - chciała wiedzieć.

- Zamierzam się tym zająć dzięki tej małej klaczce, którą jesteś mi winna. Jeżeli się martwisz, czy zdoła przeżyć, to porzuć obawy. W gruncie rzeczy pogoda tu jest bardzo odpowiednia dla zwierząt. Lata nie są zbyt gorące, a zimy nie za ostre.

- Mam na myśli moją własną stadninę. Czy nie wspominałam ci, że rozważam możliwość osiedlenia się tutaj?

- Dlaczego akurat tutaj?

Odwróciła się ze ściśniętym sercem, nie chcąc patrzeć na jego przerażoną minę. Zabolęło ją to - szczerze zabolęło i miała ochotę go zapewnić, że nie musi się przejmować, bo jeśli zdecyduje się założyć stadninę w Wyoming, wybierze miejsce daleko od niego.

Stał za nią i położył jej ręce na ramionach.

- Zapomnij o tym, co powiedziałem. Rób, jak uważasz, moja praca dla ciebie dobiegła końca.

Do pioruna, jak on przeżyje każdy kolejny dzień, wiedząc, że ona jest blisko? Sądził, że ona pobędzie tu jakiś czas, załatwi, co ma do załatwienia, a potem wsiądzie do pociągu i wróci na Wschodnie Wybrzeże. Mógłby o niej zapomnieć. Lecz jeśli tu zostanie ...

Strząsnęła jego ręce. Wyczuł sztywność jej karku, zanim to zrobiła.

- Nie wiem, dlaczego ciągle zapominam, jak bardzo pragniesz zakończyć naszą znajomość. Kiedy odeskortujesz mnie do hotelu, możesz ruszać w swoją stronę. Zapłatę dostarczę na rancho twojej siostry, gdy tylko spłyną pieniądze.

- Nie dostarczysz.

- Ależ tak, ja ...

- Nie dostarczysz, duchess.

Zacisnęła usta. Pamiętała podobną sytuację, ale wtedy pragnęła zaledwie z nim porozmawiać. Teraz nie onieśmiał jej nieugięty wyraz jego twarzy. Gniew zajął miejsce rozżalenia. A więc nie ma zamiaru poczekać? Chce natychmiast zerwać wszelkie więzy? Po tym tygodniu spędzonym razem wydawało się jej, że go trochę lepiej rozumie. Zaczęła nawet żywić nadzieję, iż ...

- Jeśli się obawiasz, że osobiście przywiozę pieniądze, przestań się tym przejmować. Zapewniam cię, że więcej mnie nie zobaczysz. Przecież nie noszę takiej kwoty w walizce. Jeżeli nie chcesz poczekać na nadejście mojego taboru, mogę zatelegrafować do najbliższego banku i zlecić przesłanie pieniędzy ... O co ci teraz z kolei chodzi? - natarła na niego, widząc, że cały czas kręci głową.

- Spróbuj tylko dać mi pieniądze, a spalę je. Nigdy ich nie chciałem, dobrze o tym wiesz. Przyślesz mi klaczkę, kiedy będzie ją można odstawić od matki, i będziemy kwita.

- Więc za darmo wykonywałeś pracę, której serdecznie nie znośiłeś. Pozwól przynajmniej, że

zapłacę ci według obowiązujących stawek.

- Nie.

Patrzyła na niego oczyma płonącymi gniewem.

- Więc chcesz wywołać we mnie poczucie winy za to, że cię wykorzystałam, tak? W takim razie muszę cię rozczarować. To, co czuję, jest dalekie od poczucia winy.

Po tych słowach złapała kuferek i wymaszerowała z wagonu.

Colt zazgrzytał zębami, gotów pluć z gniewu. Gdyby jego sakwy nie leżały w sypialnym przedziale, z miejsca wybiegłby za nią. Przeklęta kobieta! Czy chciała wzbudzić w nim poczucie winy za to, że nie zgodził się przyjąć pieniędzy? Pragnął znaleźć się od niej daleko, zanim zrobi coś bez sensu, na przykład wyzna, co do niej czuje. Już widział jej reakcję. Z miejsca wzięłaby nogi za pas, jeśli najpierw by go nie wyśmiała.

Przypomniał sobie jej słowa sprzed wyprawy do saloonu.

Powiedziała, że nigdy więcej nie trafi się jej taka okazja, gdy dołączą do niej jej ludzie, bo nie będzie mogła zachowywać się tak swobodnie. To samo dotyczyło jego i dobrze o tym wiedział. Mogła mieć ochotę na dzielenie z nim posłania, dopóki byli sami, i utrzymywała to w tajemnicy. Lecz część jej ludzi powinna już tu na nią czekać. Obudziłby w niej odrazę, gdyby się dowiedzieli, że wzięła sobie na kochanka i przewodnika - mieszańca. I najprawdopodobniej, dlatego się rozłościła, że uświadomił jej, iż odchodzi, zanim sama zdążyła go odprawić. Wtedy właśnie poczuła się dotknięta.

Colt zatrzasnął drzwi salonki i ruszył biegiem za księżną.

Najpierw powinna była skierować się do bydłęcego wagonu po konie, tymczasem ona oddalała się szybkim krokiem w stronę miasta. Nic jej nie grozi. Lecz czuwanie nad nią weszło mu w krew. Dopóki nie ma pewności, że jej ludzie znaleźli się tu przed nią, dopóki nie odda jej pod ich opiekę, jest uwiązany.

Jocelyn była zanadto wzburzona, by zwracać uwagę, dokąd idzie, kogo mija po drodze, co widzi. Czowała się ... wykorzystana. Dobry Boże, czyżby potrzebował tego tygodnia na wyrównanie rachunków? Wcześniej on czuł się wykorzystany, więc dopilnował, żeby ona poczuła się tak samo. Jakież to niskie i niegodne! Bo cóż innego ma myśleć? Jeszcze dziś rano kochał się z nią namiętnie, a potem tak czule trzymał w ramionach. A teraz nie mógł się doczekać, żeby ją opuścić i nigdy więcej jej nie oglądać. Nigdy więcej? O Boże, nie zobaczy go więcej, nie poczuje jego dotyku. Jak ona to zniesie?

Zwolniła kroku, ból rozsadał piersi. Ze wszystkich sił powtarzała sobie, że jest na ulicy, że nie wypada płakać przy ludziach, lecz łzy same cisnęły się do oczu. Nagle poczuła szarpnięcie za nadgarstek i ktoś odciągnął ją na bok. Jeszcze nie. Jeszcze mnie nie opuścił - przemknęło jej przez myśl, lecz już w następnej sekundzie pojęła, że to nie on, gdy czyjaś ręka zacisnęła się na jej ustach, a ostry przedmiot dźgnął ją w szyję.

- Masz szczęście, że szef najpierw chce cię zobaczyć, bo inaczej z miejsca poderznięłbym ci gardło. Ale jeden głupi ruch, a będę musiał go rozczarować.

Zrozumiała ostrzeżenie. Nie była pewna, czy ma ochotę się do niego dostosować. Po co czekać? Dlaczego znosić poniżenie przed śmiercią, skoro może umrzeć od razu?

Zobaczyła jeszcze jednego mężczyznę, oprócz tego, który nie uczynił nic poza przyłożeniem jej noża do gardła i zakryciem ust dłonią. Stał przyczajony za węglem domu, z ręką w kieszeni grubego płaszcza. Nie miała wątpliwości, że ukrywa broń, aby nie było jej widać z ulicy. Jej napastnik odciągnął ją w cień pomiędzy dwoma domami, dostrzec ją mógł wyłącznie ktoś, kto jak ona zabłądziłby w ten wąski pasaż.

Nie rozumiała, na co czekają. Na pewno ukryli konie gdzieś za budynkami. Tymczasem dawali jej czas na utwierdzenie się w postanowieniu, że nie pójdzie z nimi. Jeżeli natychmiast nie poderzną jej gardła, być może uda się jej uciec albo przynajmniej krzyknąć.

- Dewane, idzie! - odezwał się drugi mężczyzna, dokładnie w chwili, gdy zamierzała kopnąć swego napastnika.

Kto idzie? Przecież nie Colt. Rozładowuje teraz konie z wagonu, a kto wie, czy nie ruszył już w drogę. A jednak była pewna, że on ma na myśli Colta, i wiedziała, że nie czekaliby na niego, gdyby nie planowali go zabić. Sparaliżowało ją przerażenie, pobladła ze strachu, czując nagle dojmujące zimno. I wtedy go zobaczyła, wyszedł zza narożnika prosto na wycelowany w siebie rewolwer.

- Nawet nie próbuj odetchnąć - usłyszał.

Nie próbował, bo ze złości zaparło mu dech. Jak głupio postąpił, dlaczego nie zastanowiło go, że księżna ni stąd, ni zowąd zmieniła kierunek i uskoczyła pomiędzy te dwa budynki? Odniósł wrażenie, że usiłuje go zgubić, lecz to go nie usprawiedliwia. Jedno spojrzenie na nią wystarczyło, żeby się przekonać, jak bardzo się boi, nawet miała łzy w oczach. Te łzy wystarczyły, by rozbudzić w nim instynkt zabójcy. Żaden z tych bydlaków nie ujdzie z życiem, już jego w tym głowa!

- Wyluzuj się, Clint. Nic nie robi, dopóki trzymam nóż na tej pięknej szyjce. Mam rację, Indiańcu? - zarechotał Dewane. - Nie pamiętasz mnie, co? Pewnie wystrzelałeś tyłu kowboi, że straciłeś rachubę?

- Owen, tak?

- Hmm, jestem zaszczycony. Role się odwróciły, co? Myślałeś, że nas przechytrzysz, odjeżdżając z damulką? Ale widzisz, Miles powiedział nam, dokąd ona jedzie. Nie musieliśmy cię tropić, mieszańcu, skoro mogliśmy tu siedzieć i czekać.

- A więc Anglik jest w mieście?

- Lepiej zapytaj, czy jest wściekły, a nie gdzie jest, bo to ważniejsze.

Clinta bardzo to rozbawiło, bo choć wtedy jeszcze nie należał do bandy, znał historię tamtego spotkania Anglika z damą z opowieści. Jednak Dewane'owi nie udzieliła się jego wesołość. On miał pecha i tam był.

- O mało nie zagonił nas na śmierć, ścigając Angla tylko po to, żeby się przekonać, iż oddał kobietę - ciągnął Dewane. - A potem jeszcze bardziej się wściekł, gdy w Colorado mojego głupiego brata i Saundersa ogarnęła gorączka złota i obaj przysnęli, by go szukać. - Wyszczerył zęby. - Możesz być pewien, że zanim ona wyzionie ducha, zapłaci za wszystkie kłopoty, jakie mu sprawiła. A ty jesteś gotowy zapłacić za swój udział?

- Mój udział?

- Sądzisz, że nie wiem, kto otworzył do nas ogień, Grzmocie?

- To twoje indiańskie imię, nie? - miał czelność zapytać Clint. - Jeżeli masz jeszcze jakiś przydomek, to go lepiej teraz wykrztuś - skrzywił się ironicznie. - Chcemy mieć pewność, że całe twoje imię znajdzie się na nagrobku.

- Nazywam się Biały Grzmot - odpowiedział flegmatycznie Colt.

- Biały Grzmot - prychnął Dewane. - Kapujesz?

- Jak to możliwe? - zdziwił się Clint. - Myślałem o czymś bardziej bajernym, jak na przykład Wściekły Pies albo Szalony Koń<sup>7\*</sup>.

- Zapominasz, że to mieszaniec, durniu - stwierdził z odrazą Dewane. - Biały Grzmot, bo jest w połowie biały.

- Nie, to ze względu na błyskawice, jakie towarzyszą grzmotom - wyjaśnił Colt i w tej samej chwili strzelił, trafiając Dewane'a w sam środek czoła.

---

<sup>7</sup> Crazy Horse - wódz Siuksów, który przyczynił się do porażki generała Custer'a pod Little Bighom w 1876 roku (przyp. tłum.).

Zszokowany Clint zupełnie zapomniał o rewolwerze, który trzymał w ręce. Jocelyn krzyknęła przeraźliwie, pociągnięta na ziemię ciężarem Dewane'a. Clint spojrział na Colta i wtedy dosięgła go kula przeznaczona dla niego. Odpowiedział strzałem, lecz jego kula wbiła się w ziemię, na którą ułamek sekundy później sam upadł.

Colt upewnił się, że nie żyje, bo co do Owena nie miał wątpliwości, i dopiero wtedy pomógł się podnieść Jocelyn. Ledwo zdążył uskokczyć, gdy się na niego zamierzyła. Jednakże przed atakiem jej furii nie było ucieczki.

- Mogłeś mnie zabić! - krzyknęła. - On mógł mnie zabić!

Pochwycił ją, kiedy po raz drugi doskoczyła do niego, i mocno przytulił do siebie.

- Już po wszystkim, duchess - powiedział łagodnie. - Nie strzelam, dopóki nie mam pewności, że trafię.

Czuł, jak jej ciałem wstrząsnął spazm, zanim oparła się o niego.

- Chyba ostatnio zbyt wielu ludzi padło trupem na moich oczach. Colt, zabierz mnie stąd.

Niczego bardziej nie pragnął, lecz widząc nadbiegających mieszkańców, których zwabiły odgłosy strzelaniny, wiedział, że musi z tym poczekać. W gromadzie dostrzegł Smitha, zastępcę szeryfa, którego na szczęście znał, więc śledztwo nie powinno zająć zbyt wiele czasu.

- Duchess, zawiozę cię do Rocky Valley, gdy tylko uporam się z tym bałaganem. A potem wrócę i sprawdzę, czy twoje straże dotarły przed nami. Tak długo, jak Anglik kręci się po okolicy, ranczo będzie dla ciebie najbezpieczniejszym miejscem, tym bardziej że nie wiemy, czy oprócz Clint'a nie najął więcej nowych zbirów.

Nie sprzeciwiła się. Najważniejsze, że na razie nie zamierza jej opuścić.



## Rozdział 44

- Colt, o ile Billy nie zmienił płci, to nie jego przywiozłeś do domu  
To były pierwsze słowa tej kobiety. A potem objęła go i zlustrowała.

- Nigdy bym nie sądziła, że zajmie ci to aż tyle czasu - zauważyła, ściągając brwi. - Nie mogłeś znaleźć tego dupka?

Jocelyn stała z boku, słuchając najpierw lakonicznego wyjaśnienia Colta, a potem odpowiedzi na pytania, którymi go zasypała. Chyba nigdy dotąd nie słyszała, aby Colt wypowiedział aż tyle słów naraz. Naturalnie, od razu odgadła, że czarnowłosa piękność o turkusowych oczach jest jego siostrą Jessie, tą Jessie, która wymyśliła dla niego imię, no i nauczyła go angielskiego; słuchając ich rozmowy, nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Gdy wreszcie doszło do prezentacji, Colt nazwał ją jak zwykle "duchess". Jocelyn zastanawiała się, czy on jeszcze pamięta, jak jej na imię, ale nie wyprowadziła Jessie z błędu, gdy ta uznała, że na imię ma Duchess.

Potem poznała Chase'a, męża Jessie, niezwykle przystojnego mężczyznę o oczach tak ciemnych, że wydawały się całkiem czarne. Chociaż Jessie nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia jeden lat, w rzeczywistości musiała być trochę starsza, bo miała siedmioletniego syna, który był dokładną kopią swego ojca, pięcioletnią córeczkę i jeszcze jednego, czteroletniego chłopczyka. Widok tych uroczych dzieciaków oblegających "wujka Colta" przyprawił Jocelyn o ucisk w piersi.

Dotarli na ranczo w Rocky Valley krótko po zmierzchu i Jocelyn szybko przeprosiła towarzystwo, aby rodzina mogła spokojnie porozmawiać. Natomiast rano odkryła, że Colt jeszcze wieczorem wrócił do miasta. Kiedy w jadalni tego przestronnego domu dołączyła do jego siostry, spotkała się ze zdecydowaną niechęcią z jej strony.

- Coś ty zrobiła mojemu bratu? - to były pierwsze słowa do niej skierowane.

- Słucham?

- Duchess, nie przybieraj tego górnego tonu w rozmowie ze mną i nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Ten Colt, który wczoraj przyjechał do domu, i tamten, który kilka miesięcy wcześniej udał się na poszukiwanie Billy'ego - to dwaj różni ludzie.

Jocelyn doznała olśnienia - tutaj nareszcie może się dowiedzieć czegoś o Colcie Thunderze! Wiedziała, że wrogość Jessie wynika z obawy i niepokoju o ukochaną osobę, nie poczuła się więc urażona, ani też nie miała jej tego za złe.

- A jaki on był przed wyjazdem? - zaryzykowała pytanie.

- Szczęśliwy i zadowolony z życia. Cholernie dużo czasu mnie kosztowało, żeby to osiągnąć. Tutaj on może być sobą i powiem ci, duchess, że nigdy nie spotkasz równie wrażliwego i dobrego człowieka. A wczoraj? Niech to szlag trafi! Wczoraj był zamknięty w sobie, zdenerwowany i niecierpliwy, a zniknął stąd, jak tylko poszłaś spać. Chcę wiedzieć, o co tu chodzi!

- Obawiam się, że nie mam najmniejszego pojęcia. Colt, jakiego ja znam, od początku, czyli od dnia, kiedy uratował mi życie, jest gwałtowny i arogancki. Nie, przepraszam, to nie do końca prawda. Był... powiedzmy ... bardziej rozluźniony podczas ostatniego tygodnia, dokładnie mówiąc: aż do wczoraj.

- Co takiego stało się wczoraj?

- Przyjechaliśmy do Cheyenne i okazało się, że nie może się mnie pozbyć tak szybko, jak by tego chciał. Niestety, mój wróg wymyślił nowy plan, stąd moja obecność tutaj, i być może dlatego Colt wydał ci się inny niż zawsze. Po prostu nie może się uwolnić od mego towarzystwa.

- Uwolnić od towarzystwa? - zachichotała Jessie. - Duchess, jakie ty masz wyszukane słownictwo! Następnym razem, gdy mój mąż się ze mną pokłóci, uwolnię się od jego

towarzystwa.

- Mądra decyzja, jeśli jest podobny do Colta - Jocelyn zawtórowała jej śmiechem.

- Colt jest skory do kłótni? Od kiedy?

- Od zawsze, przynajmniej tak mi się wydaje. Chcesz powiedzieć, że normalnie tak się nie zachowuje?

- Na pewno nie. Niewielu ludzi ma ochotę na kłótnię z nim, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ale kiedy ja robię mu awanturę, siedzi jak trusia, dopóki się nie wyładuję, a potem stara się mnie rozśmieszyć.

- Aż trudno uwierzyć, że mówimy o tej samej osobie - Jocelyn pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Mnie również, duchess.

- Czy mogłabyś nazywać mnie Jocelyn?

- A więc "Duchess" to imię wymyślone przez Colta, tak?

- Coś w tym rodzaju - odparła Jocelyn, nie chcąc tracić czasu na błahostki, skoro miała ważniejsze sprawy na głowie. - Często się zastanawiałam, skąd w nim tyle goryczy. Mogłabyś mi to wyjaśnić?

- Chyba żartujesz?! To oczywiste, nie? Ludzie nie akceptują go takim, jaki jest.

- Ale mówiłaś, że jest tu szczęśliwy, zadowolony.

- Jest, ale u nas, na ranczu. Znają go też i lubią w Cheyenne, ale od czasu do czasu spotykają go kłopoty ze strony obcych. Dużo czasu upłynie, może mu nawet życia nie starczy, zanim ludzie, patrząc na niego, przestaną widzieć Indianina, kogoś, kogo z natury rzeczy trzeba nienawidzić.

- To jego wina, po co tak się ubiera, ostentacyjnie podkreślając swoje pochodzenie?! - uniosła się Jocelyn, zbulwersowana tą niesprawiedliwością.

- Czy on nie wie, jak mało przypomina z wyglądu Indianina? Gdyby obciął włosy ...

- Spróbował - przerwała jej ostro Jessie tonem, w którym pobrzmiwało rozgoryczenie. - Chcesz wiedzieć, do czego to doprowadziło? Jeden z moich sąsiadów tak się wściekł, kiedy poznał prawdę, że napuścił na niego swoich parobków, kazał go przywiązać do koniowiązu i zachłostać na śmierć.

- O Boże! - wyszeptała Jocelyn, zaciskając powieki jak pod wpływem bólu.

- Brakowało mu skóry na plecach, żeby ją połatać - opowiadała bezbarwnym głosem Jessie, wspominając tamten dzień. - A po stu uderzeniach batem z jego mięśni też niewiele zostało. Ale wiesz, kiedy się tam zjawiliśmy, żeby położyć temu kres, nadal trzymał się na nogach. I nie udało się tym bydlakom wydobyć z niego ani jednego jęku, chociaż usilnie nad tym pracowali. Już myśleliśmy, że go stracimy, bo gorączkował prawie przez trzy tygodnie. Upłynęło dobre osiem miesięcy, zanim odzyskał siły. Po tym, co mu zrobili, zostały paskudne blizny.

- Wiem - powiedziała cicho Jocelyn.

- Wiesz? Jakim cudem? Nie pozwala nikomu oglądać pleców.

- Przypadkiem go zaskoczyłam.

- Uhm. - Jessie zawstydzila się z powodu myśli, jaka przyszła jej do głowy. - Musiałaś przeżyć ... szok.

- To nawet w połowie nie oddaje tego, co czułam. Zrobiło mi się niedobrze.

- Jego plecy nie wyglądają aż tak obrzydliwie - zaprotestowała Jessie.

- Oczywiście, że nie - wzdrygnęła się Jocelyn. - Zrobiło mi się niedobrze na myśl, że ktoś mógł mu coś takiego zrobić. Do dziś tego nie potrafię zrozumieć. Ten twój sąsiad musiał być szaleńcem. Bo niczym innym nie można wytłumaczyć takiego okrutnego postępku.

- Był przy najzupełniej zdrowych zmysłach. Więcej nawet: uważał, że postępuje zgodnie z prawem. Widzisz, Colt zalecał się do jego białej jak lilia córunki, zresztą z jego przyzwoleniem. A potem on uznał, że wolno mu tak postąpić, bo Colt ośmielił się pomyśleć o ożenku z tą dziwką.

Czy wiesz, że ona stała tam cały czas i bez jednego słowa patrzyła, jak go katuja? - Jessie zmarszczyła brwi, widząc przygnębienie na twarzy Jocelyn. - Przepraszam. Nie powinnam ci była tego wszystkiego opowiadać. Po prostu tracę panowanie nad sobą, ilekroć to sobie przypomnę.

- Rozumiem.

Jocelyn pojęła teraz znacznie więcej. Wiedziała już, dlaczego Colt z taką niechęcią odnosi się do białych kobiet, i poczuła się przegrana.

- Coś jej tak "wysokościował"? - Jessie zapytała męża, kiedy patrzyli, jak Jocelyn oddała się w towarzystwie sześćosobowej eskorty, która przyjechała po nią na ranczo.

- Bo, zdaje się, ta duchess jest naprawdę księżną.

- Jeśli to prawda - uśmiechnęła się Jessie - to mój braciszek mierzy wysoko, nie?

- Co to niby ma znaczyć? - Chase spojrział na nią spod zmarszczonych brwi.

- Tylko mi nie mów, że nie zauważyłeś, jak on na nią wczoraj patrzył. Już myślałam, że zacznie się kopcić kanapa, na której siedziała.

- Rany, Jessie, chyba nie zamierzasz się bawić w swatkę?! To angielska arystokratka!

- Chcesz powiedzieć, że mój brat nie jest dla niej wystarczająco dobry? - Zmrużyła gniewnie oczy.

- Ależ nie - zachnął się, zniecierpliwiony. - Chcę jedynie powiedzieć, że arystokraci pobierają się z równymi sobie.

- O ile mi wiadomo, takie małżeństwo ma za sobą - prychnęła Jessie. - Według mnie teraz może wyjść, za kogo chce.

- I uważasz, że ona chce wyjść za Colta?

- Widziałam, jak wczoraj na niego patrzyła. - W kącikach jej ust błąkał się przewrotny uśmieszek. - No i powinieneś słyszeć, w jaki sposób o nim dzisiaj mówiła. Nie muszę ich swatać, skarbie. Między nimi już coś jest.

- Wydajesz się z tego powodu bardzo zadowolona.

- To prawda. Ona jest miła, a co więcej - myślę, że potrafiłaby wyleczyć rany na jego duszy.

- Rany na jego duszy? Chryste, kobieto, skąd ci przychodzą do głowy takie określenia?

- Chasie Summers, czy ty się ze mnie wyśmiewasz?

- Ależ, skąd, nie śmiałbym.

Przez chwilę wpatrywała się czujnie w jego niewinną minę.

- No bo jeśli ze mnie kpisz, będę zmuszona uwolnić się od twego towarzystwa - wyrecytowała.

- Będiesz co ... ?! - krzyknął za nią, lecz w odpowiedzi usłyszał jedynie jej śmiech w głębi domu.

## Rozdział 45

- Wiesz, Chase, czas ucieka. Zima przeminie, zanim się obejrzymy, i oni stracą okazję, żeby powygrzewać się razem w ciepłe kominka tak jak my teraz.
  - O kim mówisz? - zapytał, jakby się nie domyślał. Jego żona ostatnio prawie o niczym innym nie mówiła.
  - O Colcie i duchess. Naprawdę powinnam coś z tym zrobić.
  - Myślałem, iż ustaliliśmy, że sami powinni dojść do porozumienia.
  - Nie sądziłam, że oboje będą aż tak uparci. Ona od ponad trzech tygodni mieszka na ranczu po Callanie. Wyremontowała dom. Codziennie ze Wschodniego Wybrzeża jadą transporty mebli. Nawet postawiła stajnię.
  - Nie powiedziałaś jej jeszcze, czyje ranczo kupiła?
  - Zdążyła wydać tyle pieniędzy, zanim się o tym dowiedziałam, że nie miałam serca jej tego powiedzieć. Obawiam się, iż może z tego powodu Colt tam nie zagłąda.
  - Skarbie, czy nie sądzisz, że gdyby była zainteresowana, znalazłaby jakiś pretekst, żeby nas czasem odwiedzić, licząc, że prędzej czy później wpadnie tu na Colta przypadkiem? Czy to nie daje ci do myślenia?
  - Jedyne, że jest uparta i, być może, potrzebuje jakiejś zachęty. Wiesz, on się nawet z nią nie pożegnał. Ostatni raz widziała go tamtego wieczoru, kiedy ją do nas przywiózł. I odniosła wrażenie, że on jest szczęśliwy, mogąc jej się pozbyć.
  - Może i jest.
  - Jeśli chcesz wiedzieć, on przechodzi tortury z powodu tego samego wrażenia co do niej - prychnęła Jessie.
  - Przechodzi tortury? Widzę, że znowu byłaś z wizytą u księżnej. Uśmiechając się do własnych myśli, Jessie przesunęła opuszkami palców po bujnie obrośniętym torsie Chase'a. Nie zawsze reagowała gwałtownie na jego kpiny.
  - Napraszasz się, żeby cię uszczypnąć, czy tak? Ponieważ wiedział, że nie jest zła, a po tych wszystkich latach potrafił już rozróżniać jej nastroje, podciągnął ją na siebie i leniwie zaproponował:
  - Jeśli mnie potem pocałujesz, żeby uśmierzyć ból, to możesz mnie uszczypnąć, gdzie ci się żywnie podoba.
  - Wiem, że tylko na to czekasz.
- Jednak gdy jej ręka zbłądziła między uda, stał się trochę niespokojny.
- Skarbie, a to co? - zachichotała. - Nie ufasz swojej słodkiej żoneczce?
  - Słodkiej jak diabli - wymamrotał w odpowiedzi na tę prowokację. - Czasami mam wrażenie, że jesteś tak samo szalona i nieokiełznana jak tamtego dnia, kiedy cię poznałem. Przekręciła głowę na bok i wodziła językiem wokół brodawki jego piersi. Zerknęła przy tym w górę turkusowymi oczyma, by sprawdzić jego reakcję.
  - Czy chciałbyś, abym się zmieniła?
  - Na pewno nie.

Jeszcze tego samego dnia po południu pojechała na wzgórze, do chaty Colta. Za każdym razem, gdy mijała miejsce pośród pagórków nad ich doliną, gdzie pierwszy raz kochała się z Chase'em, uśmiechała się do swych wspomnień. Ten pierwszy raz był cudowny, chociaż źle się skończył. Chase uważał, że jeszcze nie jest gotowy do małżeństwa i że nie pragnie się ustatkować. A potem zmienił zdanie. Kiedy wrócili do Wyoming, przyprowadził ją tu ponownie, aby - jak to ujął - tym razem wszystko odbyło się jak należy.

Dobrze im się układało, nadzwyczaj dobrze. Czasami skakała mu do oczu - ciężko się wyzbyć

starych nawyków, no i z natury była krewka - lecz wiedziała, że on kocha ją tak samo mocno jak ona jego, a to przecież najważniejsze.

Chata Colta stała w wyższej partii wzgórz, skąd roztaczał się widok nie tylko na dolinę, ale na płaskowyż poza nią, a w jej pobliżu płynął strumyk, w którym pływała jako mała dziewczynka.

Mimo że stoki pokrywała kilkunastocentymetrowa warstwa śniegu, Jessie znalazła Colta na zewnątrz; obnażony do pasa, w znoszonych bryczesach z irchy rąbał drewno. Za nim piętrzył się stos polan. Z zawziętą miną machał siekierą. Pomimo chłodu skóra lśniła mu od potu.

Powstrzymała się od komentarzy co do sposobu walki z frustracją, której przyczyny się domyślała.

- Została odrobina kawy na kuchni?

Skinął głową, nie podnosząc głowy, bo poznał, kto nadjeżdża, na długo przedtem, zanim wyłoniła się zza wzgórz.

- Poczęstuj się.

Nalała sobie kawy, odnotowując przy okazji potworny bałagan w chacie, a w kącie zauważyła skrzynkę z mniej więcej dwunastoma butelkami po whisky. Wyszła na zewnątrz i przystanęła w drzwiach z kubkiem kawy w ręku. Colt rąbał dalej.

- Złapałeś ostatnio jakieś konie?

Ponieważ corral był pusty, zadała to pytanie wyłącznie po to, żeby go sprowokować. Nie udało się.

- Nie - odpowiedział.

- Billy wyjeżdża do Chicago w przyszłym tygodniu. Wydaje mi się, że moja matka naprawdę zamierza ustąpić co do tej szkoły, do której planowała go posłać. A swoją drogą nie zaszkodziłoby mu jeszcze się trochę pouczyć. Może wspólnie moglibyśmy go przekonać do zmiany decyzji?

- Jessie, chłopak jest na tyle dorosły, by sam podejmował decyzje - odpowiedział po kolejnym uderzeniu siekierą.

- Nie widziałeś się z nim, odkąd przyprowadził tych obcych do miasta. Czy zjawisz się, by przynajmniej się z nim pożegnać? Widzę, że ostatnio twoje maniery pozostawiają wiele do życzenia.

Tym razem zdobyła jego uwagę.

- Co to niby ma znaczyć?

Wzruszyła ramionami.

- A to, że twoja duchess skomentowała twe zniknięcie tamtego ranka, gdy od nas wyjeżdżała. Nie przypuszczała, że więcej się z tobą nie zobaczy.

- Ona nie jest moją duchess - poprawił ją i ponownie zamachnął się toporkiem.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Jessie. - Nie mówiłam tego w tym sensie. - Wyszła za próg i przycupnęła na pieńku w pobliżu stosu drewna. - Ta dama nieźle sobie radzi. Słyszałam, że po prostu zajrzała do banku i pół godziny później wyszła stamtąd z aktem własności w ręce.

- Na ranczo Callana.

A więc wiedział. Tego nie była pewna.

- Cóż, to było jedyne miejsce w całej okolicy nadające się do zamieszkania. Odnowiła dom, tak, że trudno go poznać, ale wydaje mi się, że nie jest z niego zadowolona. Kupiła spory pas ziemi aż do gór i wiosną planuje budowę posiadłości u ich podnóża. Nad projektem pracuje jakiś sławny architekt z Nowego Jorku i stamtąd też ma ściągnąć fachowców ...

- Jessie, skąd ty to wszystko wiesz?

- Odwiedziłam ją raz czy dwa. Cokolwiek by mówić, jest moją sąsiadką, mam do niej niedaleko.

-

- Wiem.

Skrzywiła się, zdeglustowana jego tonem.

- O co ci chodzi?

- O nic.

- Przecież widzę, że jesteś niezadowolony.

- A powinienem się cieszyć?

- Hmm... tak. Wydaje mi się, że tak. Czyż nie byliście przyjaciółmi?

- Wynajęła mnie do konkretnej pracy. A ja ją wykonałem.

- I więcej między wami nic nie ma?

- Jessie ... - zaczął ostrzegawczym tonem, lecz mu przerwała.

- Biały Grzmocie, nie zapominaj, że to ze mną rozmawiasz. Widziałam, jak na nią patrzyłeś, więc nie mów mi, że jej nie pragniesz. Dlaczego nie zakręcisz się koło niej? Mój rządca zaleca się do niej przy każdej okazji.

- Emmett Harwell? - warknął. - Jest taki stary, że mógłby być jej ojcem!

- No i co z tego? Słyszałam, że diuk był jeszcze starszy.

Patrzył na nią przez chwilę błyszczącymi z gniewu oczyma, po czym znowu złapał za toporek.

Jessie westchnęła z irytacją. Próba szczerzej rozmowy okazała się nieskuteczna. Upiła łyk kawy.

- Kiedy się nasłuchiwałam tyle o tym Angliku, który ją prześladowuje - zaczęła - myślałam, że w pierwszej kolejności wzniesie solidny mur wokół rancza, ale tego nie zrobiła. Nawet ją o to zapytałam i wiesz, co mi odpowiedziała?

Zamilkła. Minęło dwadzieścia sekund, zanim spojrział na nią.

- No, co? - zapytał.

- Że nie zamierza się przed nim kryć. Twierdzi, że czuje się na ranczu bezpiecznie i czeka, by tam po nią przyszedł. Coś mi się wydaje, że ty jej to zasugerowałeś.

- Być może.

- Tak sądziłam, ale nie rozumiem, dlaczego nie czekasz razem z nią.

- Ma dość ludzi...

- Tylko, że nie zamierza skorzystać z ich pomocy. Planuje sama zabić Anglika i dlatego stara się go zwabić.

Colt odrzucił toporek.

- Skąd jej przyszedł do głowy taki szalony pomysł?

Jessie wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Może chciała wyrzucić na mnie wrażenie swoją odwagą, bo ja pewnie postąpiłabym podobnie. Tak jak mówisz, ma mnóstwo ludzi wokół siebie. Należy mieć nadzieję, że ktoś akurat przy niej będzie, gdy Anglik przyjdzie po nią.

Colt nie odpowiedział. Był już w drodze do chaty. Jessie podążała za nim, starając się zachować poważną minę.

- Zamierzasz tam pojechać?! - zawołała.

- Jessie, ta kobieta nie rzuca słów na wiatr - krzyknął przez ramię. - Jeżeli powiedziała, że go zastrzeli, to naprawdę ma zamiar to zrobić. Ktoś powinien ją przekonać, że to cholernie głupi pomysł.

- Słuchaj, jak już tam będziesz, czy nie mógłbyś poprosić jej o rękę i skończyć z tym upijaniem się do nieprzytomności każdego wieczoru?

Odwrócił się do niej ze wściekłą miną.

- Pilnuj swego nosa, Jessie!

- Chciałbyś to zrobić, prawda?

- Jakie to ma znaczenie? Ona jest biała, jeśli przypadkiem nie zauważyłaś.

Otworzyła szeroko oczy, udając zdziwienie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ona ma uprzedzenia rasowe?

- Oszalałaś? Ona nawet nie wie, co to znaczy.
  - Zachowywała się arogancko wobec ciebie? Powinam się była domyślić. Przecież to księżna i w ogóle.
  - Nie jest bardziej arogancka niż ty - odparował.
  - Ja wcale nie jestem arogancka. A więc musi być perfidna. Nigdy bym się tego nie spodziewała.
  - Jessie, skończ z tym - wysyczał. - Nie ma w sobie za grosz przewrotności.
  - W takim razie nie odpowiada ci jej uroda. A myślałam, że nie przeszkadzają ci te jej okropne rude włosy.
  - Chase naprawdę powinien był skrócić ci kark ostatnim razem, kiedy się odgrażał.
  - Co ja takiego powiedziałam? - zapytała niewinnie.
- Roześmiał się i złapał ją w pasie, żeby ją serdecznie uściskać.
- Dopięłaś swego, siostrzyczko. Chyba nic się nie stanie, jeśli ją zapytam.
- Jessie cofnęła się od niego o krok, marszcząc nos i ocierając ręce o spodnie.
- Lepiej się przedtem wykąp. Chyba nie chcesz, żeby zemdląła, zanim zdąży ci odpowiedzieć - poradziła, po czym z piskiem rzuciła się do ucieczki.

## Rozdział 46

- Kochana, tobie pierwszej to mówię. Postanowiłam wyjść za mąż.

Jocelyn odwróciła się gwałtownie, o mało nie strącając przy tym lampy ze stojącego obok stolika.

- Vano! Przecież ty ledwo znasz pana Harwella. Odwiedza cię od tygodnia!

Hrabina roześmiała się perliście.

- Dziwię się, że w ogóle to zauważyłaś, chodzisz taka przygnębiona.

- Wcale nie!

- No to już nie wiem, jak określić twój stan. Ale mniejsza o to. Nie wychodzę za tego sympatycznego Emrnetta Harwella, chociaż jestem mu wdzięczna, bo dzięki niemu mój drogi Robbie zrobił się tak zazdrosny, że wreszcie poprosił mnie o rękę.

- Robbie?!

- A dlaczego nie? - postawiła się hrabina, widząc zdumienie w oczach Jocelyn.

- Jeżeli ty mogłaś się zakochać w kimś zupełnie nieodpowiednim dla twojego stanu ...

- Diabli niech porwą ten mój stan! A poza tym wcale go nie kocham!

- Oczywiście, że nie, moja droga.

Jocelyn wpatrywała się w Vanessę zaczepnie, ale ta pozostała nieporuszona, po chwili, więc odwróciła się z ciężkim westchnieniem.

- Byłabym nierozsądna, kochając mężczyznę, który nie darzy mnie miłością, prawda? - powiedziała żalonym głosem.

- Zdecydowanie tak.

Jocelyn rzuciła jej przez ramię kolejne zaczepne spojrzenie.

- Dlaczego mi nie powiesz, że jest on grubiański, porywczy, niebezpieczny ...

- Ponieważ gdyby był aż tak zły, to byś go nie pokochała.

- Rzeczywiście, nie jest taki, ale zauważ, że on dotąd nie złożył mi wizyty.

- Może ty powinnaś udać się z wizytą do niego? Zdaje się, ma awersję do tego rancza. Jego siostra zdradziła mi w tajemnicy, że o mało tu nie zginął kilka lat temu. Boże drogi, usiądź! Co ja takiego powiedziałam?!

Jocelyn machnięciem ręki powstrzymała księżną przed próbą zaciągnięcia jej na fotel.

- Nic mi nie jest. Byłoby jednak miło, gdyby mnie ktoś o tym poinformował. Co za ironia losu!

- O czym mówisz?

- Że kupiłam akurat to ranczo.

- Długo tu nie pomieszkasz, bo zaledwie do wiosny. A poza tym on zapewne by sobie życzył, byś ty zamieszkała z nim w tej wiejskiej chatynce w górach.

- Nie miałabym nic przeciwko temu.

- Hrabina skrzywiła się zniesmaczona, bo zamierzała jedynie skierować rozmowę na inny tor.

- Nie przesadzajmy z tym staroświeckim poglądem, że miłość wymaga poświęceń. Niech to on się poświęci i przyzwyczai do luksusów.

- Bardzo bym chciała, ale zdajesz się nie zauważać, że go tu nie ma. Nie próbuje się ze mną zobaczyć, bo nie ma na to ochoty.

- Nie byłabym tego taka pewna, moja droga. Według jego siostry ...

- Och, proszę cię, Vano, żadnego więcej wchodzenia w konfidencje z siostrami. Myślałam, że dostałaś nauczkę ...

- Nie bądź niemądra - weszła jej w słowo hrabina. - Jessica Summers nie jest krętaczką jak Maura.

- Może i nie, ale na pewno nie jest bezstronna i ...

Jocelyn przerwała, słysząc krzyki na zewnątrz. Podeszła prędko do okna. Na widok dymu



buchającego z nowej stajni jej serce załomotało ze strachu.

- Co tam się dzieje? - spytała Vanessa.

- Pali się stajnia! - rzuciła Jocelyn, biegnąc do drzwi.

- Boże drogi, zaczekaj! - Hrabina pobiegła za nią. - Nie wolno ci tam iść. Może to Długonosy podłożył ogień, żeby cię zwabić!

- Vano, nie bądź śmieszna! Jest jeszcze widno. Jeżeli się zjawi ze swoimi zbirami, to spróbuje się wśliznąć, korzystając z ciemności.

- Nie wiadomo ...

- Vano, tam są moje konie!

Po tym argumente hrabina w milczeniu podążyła na dwór za Jocelyn. Na dworze szarzało, a dym buchający ze stajni pogłębiał mrok. Część mężczyzn prowadziła konie, inni wyjeżdżali ze stajni. Dookoła rozlegały się trwożne okrzyki.

- Sir George? - Jocelyn zwróciła się do służącego, który akurat ukazał się w szeroko otwartych wrotach.

- Wasza wysokość, Red Robb usiłuje go wyprowadzić.

- Jak wygląda sytuacja?

- Straszek już się zajął.

Przeraziła ją ta informacja. Spłoszony Sir George nie pozwoli nikomu się wyprowadzić.

Wbiegła do środka, zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać. Kłęby dymu przetaczały się nad jej głową, chustka przyłożona do nosa nie chroniła przed ich gryzącym zapachem. Krztusząc się i kaszłając, dotarła do obszernego boksu Sir George'a.

Robbie rzeczywiście tam był i bezskutecznie próbował pochwycić Sir George'a za grzywę, żeby go wyprowadzić. Na jej oczach koń z głośnym rzeniem stanął dęba i kopnięciem powalił Szkota. Robbie nie podniósł się od razu. Potężne uderzenie w bark nieco go oszołomiło.

- Robbie, nic ci nie jest?

- Boże drogi, kobieto, co ty ...

- Nie teraz! - krzyknęła, zdzierając z siebie bluzkę, jedyną rzecz, jaka nadawała się do zasłonięcia koniowi oczu.

- Robbie, jeżeli natychmiast się pozbierasz i wskoczysz na niego, w mig nas stąd wydostanę - powiedziała, wdrapując się na grzbiet Sir George'a, który nieco się uspokoił pod wpływem jej głosu. Robbie bez wahania poszedł w jej ślady. Parę sekund później Sir George niemal w pełnym galopie wybiegł ze stajni. Jocelyn panowała nad koniem, używając bluzki jako cugli, co było sztuką nie lada, bo przy braku wędzidla zwierzę odbierało jej sygnały nie pyskiem, lecz czubkiem głowy.

- Co z resztą zwierząt? - Jocelyn zatrzymała się przy sir Dudleyu.

- Wszystkie uratowane, wasza wysokość.

Z ulgą opadła na szeroką pierś Reda Robbiego, lecz zaraz się opamiętała i usiadła prosto. W tej samej chwili oboje przypomnieli sobie daleki od konwenansu sposób, w jaki Robbie zwrócił się do niej w stajni. Kiedy hrabina dobiegła do nich, zobaczyła, jak zaśmiewają się do łez.

- To ja umieram ze strachu, a wy się tu dobrze bawicie! Jocelyn nieco ochłonęła po tej uwadze.

- Przepraszam, Vano - usprawiedliwiła się, nie do końca panując nad śmiechem. - Nie pomyliłam się, ta narowista bestia rzeczywiście nikogo nie dopuściłaby do siebie. Zdaje się, będziesz musiała zająć się barkiem swego narzeczonego. Wiesz, że z Sir George'em nie ma żartów.

Gniew hrabiny przeszedł w niepokój. - Kochanie, czy coś sobie złamałeś?

- Nie, to tylko zwichnięcie.

W Jocelyn wzbierał krzyk, gdy patrzyła na tę rozswiergotaną parę.

- Vano, podwożę go do domu, a ty poszukaj kogoś, kto nastawi ten bark. Robi mi się zimno.

- Nic dziwnego ...

Nie czekała na dalsze wyrzuty, skrzępowana swym skąpym strojem, bo jedynie krótki, cienki stanik osłaniał jej piersi. Skierowała Sir George'a na dziedziniec przed domem, zostawiła go pod opieką Robbiego, a sama pobiegła na górę, żeby się ubrać, bo zamierzała obejrzeć pozostałe konie i sprawdzić, czy przypadkiem nie odniosły ran. Nie wyszła jednak z domu. W sypialni rozparty na jej łożu jak na swoim własnym czekał na nią Długonosy.

Jego widok tak ją zaskoczył, że w pierwszej chwili krzyk zamarł jej na ustach, potem rozum nakazał jej zachować milczenie, ponieważ dostrzegła wycelowaną w siebie broń. Ten straszny człowiek uśmiechał się z satysfakcją. No cóż. Dlaczego nie? Przecież w końcu wygrał. Vanessa miała rację. To on podłożył ogień w stajni, żeby wyciągnąć wszystkich z domu i potajemnie wśliznąć się do środka. Temu bydlakowi było obojętne, że część zwierząt mogła spłonąć żywcem. Gniew Jocelyn wziął górę nad strachem.

- Niech wasza wysokość zamknie drzwi - wymruczał Długonosy. - Nie chcę, by nam przeszkadzano.

- Sam je sobie zamknij!

Usiadł, a jego szare oczy pociemniały ze złości, bo nie udało mu się jej zastraszyć.

- Chyba nie zdajesz sobie sprawy ...

- Nie, to ty nie rozumiesz, że mam ciebie potąd! - Przesunęła wierzchem dłoni po podbródku, żeby pokazać, dokąd. - Więc dalej, zastrzel mnie, ty gadzino. Ale, ostrzegam, nie wyjdiesz z tego domu żywy!

- Nie zamierzam cię zastrzelić - warknął gniewnie.

- Nie? To daj mi swoją broń. Ja się nie zawaham.

- Ty cholerna dziwko! - Spurpurowiał ze złości, bo zrujnowała jego marzenia o przebiegu tego spotkania. - Pamiętaj, żebyś to powtórzyła, gdy zacisnę palce na twojej szyi!

- Podejdz tylko i spróbuj, a wydrapię ci oczy!

Kiedy jednak podniósł się ze wściekłym pomrukiem, zdała sobie sprawę, że zapomniała już, jaki jest wysoki. Co prawda był chudy, ale wolała nie ryzykować szarpaniny. Nie była głupia.

Rzuciła się do drzwi i wybiegła na podest, kierując się na schody. Czuła na karku jego gorący oddech, lecz miała nadzieję, że to tylko gra jej rozszalałej wyobraźni. Rzeczywiście, był blisko. Znalazł się jakiś metr za nią, kiedy stanęła jak wryta. W połowie wysokości kondygnacji zobaczyła Colta. On też się zatrzymał. Znieruchomiał również Długonosy, który celował teraz w Colta, starając się zapanować nad dłonią. To była ostatnia chwila w jego życiu.

Kiedy pociągał za spust, Colt zdążył strzelić pierwszy. Kula z broni Długonosego przeleciała mu koło ucha i utkwiała w ścianie. Colt trafił Anglika w pierś. Osunął się powoli na kolana, mrużąc pod nosem jakieś przekleństwa, po czym runął na twarz.

Jocelyn opadła na schody z urywanym westchnieniem.

- To jedyny raz, kiedy nie mam ci za złe twego zwyczaju ścielenia trupów u moich stóp.

- Nic ci się nie stało?

- Nie. Jestem starym wyjadaczem w tego rodzaju sprawach - oświadczyła głosem, który trudno byłoby nazwać spokojnym.

Spojrzał na nią z uwagą.

- Zdaje się, nie zaszkodziłaby ci szklaneczka whisky.

- Zamień whisky na brandy, a nie zaprotestuję. Mam butelkę w salonie.

- Więc nie krępuj się. Dołączę do ciebie, jak tylko pozbędę się tego śmiecia.

Dołączył nawet szybciej. Jej ludzie, zwabieni strzałem, zbiegli się do domu ze wszystkich stron. Pozostawił im sprzętanie. Mało brakowało, a hrabina przed nim znalazłaby się w salonie, gdyby jej w tym nie przeszkodził.

- Vanesso, nic jej się nie stało - powiedział cicho, a zarazem stanowczo. - Zostaw to mnie.

Hrabina była w takim szoku, że w pierwszej chwili nie zorientowała się, iż użył jej imienia. A kiedy ten fakt przedarł się do jej świadomości, było za późno, bo Colt zamknął jej drzwi przed nosem.

- Hmm, nigdy bym ... - sapnęła groźnie.

- A wydawało mi się, że miałaś nadzieję, iż on się pojawi- zauważył stojący za nią Robbie.

- Chyba musiało mi chwilowo odebrać rozum. Zapomniałam, jaki jest.

- Kochanie, co ci do tego, jeśli jej to nie przeszkadza?

Już miała się nadąsać, lecz w końcu się uśmiechnęła.

- Masz rację. W końcu to nie ja będę dzielić z nim życie.

W salonie Jocelyn najpierw wysączyła szklaneczkę brandy, a potem dopiero stwierdziła: - To nie było zbyt miłe.

- Czyżbym okazał się niewystarczająco uprzejmy?

Uniosła brew na widok jego niewinnej miny, nie do końca pewna, czy mówi poważnie. Ach, mniejsza o to! Bardziej była ciekawa, co on tutaj robi.

Zanim krzyki na górze przyciągnęły jego uwagę, zdążył powiesić płaszcz w holu. Zauważyła, że nie zaplótł warkoczyków ani nie nałożył irchowego kaftana. Tylko mokasyny pozostały znajome. W ciemnych spodniach, niebieskiej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, z czerwoną chustką na szyi i w kapeluszu z szerokim rondem wyglądał jak typowy kowboj.

On też z zaciekawieniem oglądał jej strój, a szczególnie zainteresował go batystowy stanik, tak bardzo niepasujący do grubej wełnianej spódnicy. Poczowała, że się czerwieni. Boże drogi - pomyślała z irytacją - jak to możliwe, że po tym wszystkim, do czego między nimi doszło, on nadal potrafi wywołać u niej rumieńce?

Uznała, że za odpowiedź na jego pytanie powinna mu wystarczyć jej wątpiąca mina, i teraz z kolei ona zapytała:

- Skąd się tu wziąłeś, Colcie Thunderze?

- Doszły mnie słuchy, że postanowiłaś sama zastrzelić Długonosego.

- I pomyślałaś, że odwiedzisz mnie od tego zamiaru?

- Coś w tym rodzaju.

Przypomniała sobie, że kiedyś użyła tych samych słów, i chociaż rozczarował ją tą odpowiedzią, mimo woli się uśmiechnęła.

- Jak zawsze zjawiłeś się w samą porę. Pewnie już nigdy się nie dowiem, jak naprawdę się nazywał.

- Czy to ważne?

- Nie, na zawsze pozostanie dla mnie Długonosym, człowiekiem, który węsząc za mną, trafił aż do tego kraju. Wiesz, pewnie będzie mi go brakować. Wnosił element ekscytacji w moje życie.

- W takim razie musisz poszukać sobie czegoś innego, co będzie cię ekscytować.

Te słowa wywarły na niej wrażenie. Wyraźnie przyspieszyło jej serce. A sposób, w jaki na nią patrzył ...

Podeszła do okna, by obserwując krzątanie przy stajni, odzyskać równowagę. Zwierzęta już zaprowadzono do starej stodoły, której na szczęście nie zdołali rozebrać. Tylko tyle zdążyła zobaczyć, zanim Colt podszedł do niej. Miał dar ściągania na siebie całej jej uwagi, nawet gdy na niego nie patrzyła.

- Wyjdiesz za mnie?

Oparła czoło o szybę. To cud, że utrzymała się na nogach.

Odczuła niesłychaną ulgę, a zarazem ogarnął ją nastrój bliski uniesienia. Trzy tygodnie się zastanawiał, a ona przeżywała tortury!

- Nie wiem - odrzekła wyważonym tonem, choć nie miała pojęcia, jak się na to zdobyła. -

Hrabina twierdzi, że nie należy wychodzić za kochankę, to podobno zabija romans.

- Więc jestem odpowiedni dla ciebie tylko jako kochanek?

Odwróciła się do niego z oczyma płonącymi gniewem.

- Odpowiedni? Znów się poniżasz! Zdaje się, ostrzegałam cię .. •

Uciszył ją, porywając w ramiona.

- Czy nadal jestem twoim kochankiem?

- Jeżeli tak, to wielce niedbałym.

Delikatnie i przymilnie całował jej nadąsane usta.

- A gdybyśmy się pobrali, ot tak sobie, i nadal udawali, że jesteśmy kochankami?

- To niezły pomysł, ponieważ kochankowie darzą się miłością.

- A małżonkowie nie?

- Nie zawsze.

- Ja nie będę miał z tym problemu.

- Nie?

- Duchess, nie rób takiej zdziwionej miny. Myślałaś, że zależało mi na twoich pieniądzach?

- Prawdopodobnie każesz mi je rozdać - fuknęła na niego, speszona jego uśmiechem.

- Być może.

- I mieszkać w chacie na wzgórzach.

- Być może.

- I rodzić ci dzieci, i prać twoje rzeczy.

- Rzeczy lepiej nie ruszaj i - uprzedzam - trzymaj się z daleka od kuchni. I tak zapewne nie potrafisz się obejść bez służby.

- A co z dziećmi?

- Masz ochotę na małą gromadkę?

- Zdecydowanie tak.

- Więc rozumiem, że mnie kochasz?

- Albo po prostu podnieca mnie twoje ciało. Czy mówiłam ci już, jakie wspaniałe ... Tak! - zapiszczała, kiedy ją mocniej przycisnął. - Kocham cię, ty potworze!

- Mogłaś mi to wcześniej powiedzieć - wymruczał, tuląc ją do siebie. - Na przykład, kiedy się pieściliśmy, czy w innych równie sprzyjających okolicznościach. Nie musiałbym wtedy trzy tygodnie przechodzić przez piekło, zastanawiając się ...

- Colcie Thunderze, jeżeli wspomnisz choć jednym słowem o swoim pochodzeniu, to cię uderzę.

Odchylił się, by spojrzeć jej w twarz, i roześmiał się na widok zawziętej miny.

- Boże, duchess, jak ja cię kocham! Jesteś jedyna w swoim rodzaju.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała, obsypując jego twarz pocałunkami. - Jeżeli zwróciłeś się po imieniu do mojej przyjaciółki, czy nie mógłbyś również używać mojego imienia? Jestem Jocelyn, gdybyś przypadkiem zapomniał.

- Wiem dobrze, kochanie, ale to nie ty. Dla mnie pozostaniesz po prostu moją duchess.

No cóż, skoro tak ...